twórczość

WRZESIEŃ 1957

eksander Wat · Franz
fka · Zygmunt Radek ·
lian Wołoszynowski ·
aryk Grunwald · Zbig-
ew Grabowski · Krystyna
pomucka — Dworakow-
a · Andrzej Stawar ·
gmunt Bauman · Andrzej
Kijowski

twórczość

WRZESIEŃ 1957 ROK

9

twórczość

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XIII WRZESIEŃ 1957 NR 9

SPIS TREŚCI

Aleksander Wat
WIECZÓR — NOC — RANEK
str. 5

Franz Kafka
W ŚWIETLE WIECZORNEGO SŁOŃCA
(przełożył *Jarosław Iwaszkiewicz*)
str. 11

Franz Kafka
KRÓTKIE OPOWIADANIA
(przełożył *Roman Karst*)
str. 12

Franz Kafka
STRAŻNIK GROBOWCA
(przełożył *Roman Karst*)
str. 30

Zygmunt Radek
PODRÓŻ DO KĄPIELI MORSKICH KOT ALBO PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ
REMINGTON JAKIE ŻYCIE POETY PODOBA MI SIĘ
str. 40

Julian Wołoszynowski
WYRĄBANE DĘBY NENUFARY ATAK SERCA
str. 45

Henryk Grunwald
MARTWA NATURA PEJZAŻ MAZOWIECKI WSPOMNIENIE Z KAZIMIERZA
PEJZAŻ SENTYMENTALNY RACHEL
str. 67

Zbigniew Grabowski
KARTKI Z NOTATNIKA
str. 71

Krystyna Nepomucka-Dworakowska
WOJNA
str. 76

Andrzej Stawar
BOY W CZASACH MŁODEJ POLSKI
str. 88

Zygmunt Bauman
TRAKTAT O BIUROKRACJI
str. 103

Książka miesiąca
Andrzej Kijowski
TACYT KRZESZOWICKIEGO POWIATU
str. 119

Wśród książek
POŻEGNANIE KRAJU ŁAGODNOŚCI — *Jerzy Kwiatkowski*
str. 125

STUDIUM O EPICE MARII DĄBROWSKIEJ — *Janusz Sławiński*
str. 128

OPOWIADANIA KONSEKWENTNE — *Michał Głowiński*
str. 132

MICKIEWICZ NA SCENIE — *Wojciech Natanson*
str. 135

Na widnokręgu
DIALOGI — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 140

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 142

SPÓR O ARNOLDA TOYNBEE — *Anna Bartling*
str. 145

W STULECIE „PANI BOVARY" — *Jerzy Parvi*
str. 150

PRÓBA OKREŚLENIA CZŁOWIEKA — *Zbigniew Bieńkowski*
str. 154

REPORTAŻE NADY MARINKOVIĆ — *Milorad Pavić*
str. 156

Noty
str. 159

Korespondencja
str. 165

Książki nadesłane
str. 166

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—. Prenumerata kwartalna zł 30.—, półroczna zł 60.—
Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy Pocztowe i listonosze.
Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych przy „Ruchu". Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 4867/c z dnia 13.8.57 r.
Nakład 5925. Druk ukończono we wrześniu 1957 r. B-70

Aleksander Wat

WIECZÓR — NOC — RANEK

Zdejm sandały. Te kamienie
święte są. Martwa jaszczurka
legła jak klejnot z nieba rzucony.
Tymi schodami uciekał Orestes.
W łodzi z rudymi żaglami
Erynie ścigają go.
Nim wylądują, Orestes dobiegnie
do celli u San Pancrazio.
Już nie zastaje tam Opiekuna.
Więc pobiegł dalej.
Od grzechu do odkupienia
droga wiedzie schodami najpierw,
potem serpentyną,
po której gonią się dzikie Buicki
z zapalonymi pharami.
Bo zmrok ma zapaść
niedługo
i wszystko nakrywa ciemniejąc lazur
a molekuły olejków
wibrują hibiscusem,
maciejką
i migdałami.

Nim wylądują, na śniegach Etny
zaczerwieniony cień zatrzepoce.
To słońce zajdzie.
Giu — Giu,
nawołuje ptak z cyprysu.
Rybacy szykują się jechać na połów.
Luigi ma lat siedemdziesiąt cztery
i łódź do ostatniej szykuje posługi.
Chmura śpiewa
Skała śpiewa

Śpiewa akantu owoc szkarłatny.
Z grot ociemniałych greckiego teatru
wybiega jeleń. I wilk.
Czarna piękność
z balkonu San Domenico
fotografuje
szarzenie Etny,
czarna piękność z Oklahomy
z oczyma łani.

Gdy matkobójca wbiegł do miasteczka,
Erynie długą zmęczone podróżą
padły na skałki. Noc szybko czarnieje,
bezksiężycowa. Erynie
rozesłały na kamieniach skrwawione tkaniny.
Jak bestie w gonie
wypadają auta na drogę to tu to tam.
„Kogo szukają? Kogo chcą wymacać
z królestwa nocy?“ —
pytają jedna drugą Erynie.

Królestwo nocy! Nim księżyc wzejdzie —
Królestwo nocy! Wszechświat się kurczy,
ale królestwo nocy się rozkurcza.
Skurczu-rozkurczu rytm wiekuisty.
I tak pulsuje co jest i co nie jest
w Zgodzie.
Po za tym jest Niezgoda.

Płomyczki w ogrom wkroplone ciemności,
na morzu drgają maleńkie czółenka.
Ampułki z krwią na miejscu żarówek.
Rybacy widzą jak ciemność pochłania
i jak pulsuje co jest i co nie jest
w królestwie nocy.
Choć rosa śmierci zwilżyła im czoła,
struchlałe ręce sieci nie puszczą
a wyobraźnię w śmiertelnych potach
cucą posoką z jutrzejszych jatek.

Królestwo nocy żyje z naszych śmierci,
każda śmierć nasza jej obszar poszerza.
Ogrom królestwa rybaków przeraża
w łodziach na krótkiej drgających fali.
Ampułki z krwią na miejscu żarówek.
Fantazja w rybich zacieka się jatkach.
Każda śmierć nasza jej obszar poszerza,
nawet śmierć w ratach, z której się budzimy

do świata złudzeń, pod słońce pozoru,
w ciągłej pulsacji nocy i dnia.

Rosa śmierci kapnęła na usta
czarnej piękności z oczyma łani.
Gwiazda wieczorna inaczej Lucyfer
do Domu zwolna zbliża się Bliźniąt.
Jeleń ku gąszczom odbiega opuncyj
z krokusem między rogami płonącym.
Woń migdałowa sny przewleka przez koszmar.
Nagie niemowlę w krzakach jak w koszu z wikliny.
I wilk posuwistym krokiem tancerza
w zaułek się wkrada, przygląda się dzieci głośnym zabawom,
zagląda do mieszkań, gdzie krawiec nawleka nitkę,
a panny senne siedzą nad haftem.
Ślepia mu świecą,
chciałby być Minotaurem.

W otwartym z ulicy basso
żarówka na miejscu ampułki z krwią.
Amulet żelazny w postaci phallusa
stoi na szczycie smutnego kredensu.
Szwaczka Giovanna śmieje się, śmieje się matka jej wdowa,
śmiech kobiet pluszcze jak fala jonijska.
Wykańcza karnawałowe szatki,
w nich na karocy
wfastrygowana w kwiatów obfitość
wystawi uśmiech stereotypowy,
tak miły fotografom z początków stulecia.

Eryniom nie pilno. Już księżyc wzeszedł.
Morze nie szumi. Zdrzemnęło się morze.
Orestes z czarną się prześpi pięknością.
Potem zaciśnie jej gardło szarfą.
O, my beatiful bronze throat!
(Gardła go zawsze fascynowały.)
Potem Orestes powróci na brzeg
tam gdzie Erynie czekają. Potem wsiądą
wszyscy na barkę z rudymi żaglami
i pożeglują w królestwo nocy.
Wszechświat się kurczy, ale
królestwo nocy rozkurcza się. I tak
pulsuje co jest i co nie jest.

Kiedy przebrzmiały kogucie głosy,
giu giu giu — nawołuje ptak z cyprysu.
W dół. Więcej w dół!

Zejdźmy więc niżej, Orestesie,
więcej w dół.
Tam gdzie stara natury alchemia
przetapia wody w gorące metale.

Od grzechu do pokuty drogę zagradza skała tarpejskiej podobna.
Śród szarych sreber oliwek
wysoko na zamku ruinach
bougainvillei rozbłysnął płomień
oraz euphorbii złoto.
To ranek.
To ranek, Orestesie.
Pszczoły nam już wyfrunęły na nektar.
Jeleń i wilk skrywają się w niszach.
Ampułka z krwią na miejscu żarówki.
Niemowlę w krzakach jak w koszu z wikliny.
Na szczyty Badii ślepy myśliwy
wychodzi z łukiem srebrnym i lirą.
Apollo? Archagetás-li?
Ze studni pamięci wschodzą płomienie.
Ze stadnin pamięci czarne wybiegają konie.
I tak już za późno na o c z y s z c z e n i e,
Jego i tak nie zobaczy Orestes
schodzący schodami w dół. Giu giu —
nawołuje ptak z cyprysu. W dół, coraz niżej w dół.
Jeleń — śmierci praecursor poufny,
prowadzi w katakumby. Tam czarna piękność z oczyma łani
nagabuje młodego księżyka o trupy.
Przegląda rejestry. Wyobraża sobie
— dziewka z music hallu —
że jest Demeter i szuka Persefony, swojej
dzieweczki, umarłej w wypadku. Rosa śmierci
kapnęła na wargę jej uszminkowaną.
Dzień ją zobaczy w całunie. Czarną Demeter w białym płótnie.
Arme Menschenkinder! Na płótnie się rodzą,
na płótnie poczynają, w płótnach chowani.
W czarne płótna obleczone odpływają Erynie.
Orestes z nimi. Żegnaj, Orestesie.
Boże, uwolnij od grozy istnienia.
Czółna rybaków z nocnego wracają połowu
do świata złudzeń, pod słońce pozoru.
Krawiec nawleka nitkę. Giovanna drzemie nad suknią
niewykończoną.
Luigi na połów już nigdy nie wyjedzie.

Aleksander Wat

PRZYPISY

twór ten napisałem w pierwszych dniach pobytu na Sycylii. Poddając się z przy-
oną świadomością impulsom, oddziaływaniom niezwykłego miejsca. Mój pierwszy a wy-
gający czytelnik, żona — zakwestionowała *passus:* „Po za tym jest Niezgoda". Przyzna-
rację jej argumentom, ale usunąć go nie mogłem. Dociekając przyczyn tej niemożności,
ypomniałem sobie, że Zgoda i Niezgoda to podstawowe pojęcia filozofii Empedoklesa,
tórą otarłem się lat temu z górą trzydzieści pięć, aby nigdy do niej nie powracać. A prze-
Empedokles — to Sycylia, jak najbardziej Sycylia! Ucieszony niezmiernie poddałem
mat swoistej psycho- czy poezo-analizie, w której wyniku powstał obszerny komentarz.
owodów aż nadto zrozumiałych tylko część komentarza podaję do wiadomości w nadziei,
czytelnik, który potem zechce wrócić do wiersza, łatwiej dotrze do warstwy powiązań
vnętrznych i będzie bliższy domniemania, że znaki, obrazy, skojarzenia nie są tu ani do-
ne, ani przypadkowe.

SYCYLIA — „kawał nieba zrzucony na morze" (Goethe) — jest także ziemią, gdzie roz-
nawalne są — dotąd żywe — relikty licznych kultur, epok, wydarzeń. Dom na wzgórzu w Ce-
oglądały przypuszczalnie oczy Odyseusza, Pluton porwał Persefonę w okolicach Enny
itd. Entuzjaści Sycylii utrzymują, że więcej tu Grecji antycznej niż w samej Grecji.
ORESTES: historia Orestesa jeszcze ludziom pamiętna, nie ma więc potrzeby jej przy-
ać.
ile wiadomo, Orestes nie był na Sycylii. Co prawda wszystko tu jest mało pewne.
ELLA u San Pancrazio: kościół San Pancrazio w Taorminie stoi na podmurowaniu celli
llina.
GIU GIU (po włosku: w dół, na dół — wymawiaj dziju): tak brzmi głos ptaka — zapewne
ylijskiej odmiany szczygła?
RECKI TEATR W TAORMINIE: częściowo odrestaurowany w XVIII w. — bardzo rozum-
— tzn. tak, że nie przestał być ruiną, a daje wyobrażenie o dawnej urodzie. Położenie
idok stąd bajeczny, jeden z najpiękniejszych w Italii. Resztę uzupełnia wyobraźnia.
VILKI: trafiają się tu dotąd. Jelenie podobno także.
AN DOMENICO: luksusowy hotel w Taorminie zainstalowany w budynkach dawnego
ztoru.
ZARNA PIĘKNOŚĆ: jedyna tu osoba wymyślona.
GODA, NIEZGODA: podstawowe pojęcia filozofii (kosmogonii) Empedoklesa. Empedokles
w. przed N. Chr.) — wielki filozof, budowniczy, wieszczek i mag sycylijski. Z nienawiści do
nii nie przyjął władzy, ofiarowanej mu przez rodaków. Przecież, próżny nad miarę, sko-
do krateru Etny, aby nagłe zniknięcie potwierdziło domniemanie o jego boskim pocho-
niu. Bogowie jak wiadomo takich uroszczeń nie lubią: Etna wyrzuciła z powrotem sandał
rca.
Według Empedoklesa wszystkim rządzą dwie siły: Zgoda (Miłość), której substratem spo-
czterech elementów jest woda; oraz Niezgoda (Nienawiść) — substratem jej ogień. Na
ątku była jedność wszechrzeczy (w Zgodzie). Niezgoda spowodowała indywidualizację,
owość, rozpad. Zgoda stopniowo odzyskuje przewagę, z niedoskonałości wyłania się no-
doskonałość, a wszystko to powtarza się nieskończenie, w zamkniętych cyklach.
MPUŁKI Z KRWIĄ — zasugerowane przez ampułkę z krwią św. Januarego (w kościele
jego wezwaniem w Neapolu), która się raz do roku upłynnia. Lawa ognista, spływająca
aterów Etny, ma w nocy kolor krwi.
YBIE JATKI: obsesja autora, odkąd przeczytał opis krwawych jatek, sprawianych na
ndii poczciwym wielorybom.
WIAZDA WIECZORNA... do Domu zbliża się Bliźniąt: w lutym anachronizm, *licentia*
tica.
SNY przewleka przez koszmar: turyści co nerwowsi skarżą się tutaj na nawiedzające ich
to koszmarne sny. Zestaw to z tym, co C. G. Jung pisze o snach immigrantów w USA:
tarzają się w nich symbole z mitologii prekolumbiańskiej, o której śniący nic nie wiedzą.
ASSO: sklep lub mieszkanie parterowe bez okien, czasem z drzwiami wstawianymi na
.. W sezonie do późnej nocy widać w nich pochylone pilnie nad ręcznym haftem dziewczęta.
INOTAUR: w herbie Taorminy. Zdobi piękną fontannę (połowa XVII wieku) na Piazza
Duomo.

AMULET ZELAZNY: częsty w mieszkaniach sycylijskich; w kształcie phallusa — trafia się obecnie rzadko.

OD GRZECHU do pokuty drogę zagradza...: każdy zna to z własnego doświadczenia.

BADIA: inaczej klasztor. Badia Vecchia w Taorminie — jeden z najbardziej uroczych szczątków sycylijskiego gotyku (XIV w.).

APOLLO ARCHAGETAS: patron pierwszych osadników greckich na Sycylii.

KATAKUMBY: w Taorminie nie ma katakumb. To chyba senne majaczenia „czarnej piękności" z hotelu San Domenico. Są natomiast rozległe katakumby w niedalekich Syrakuzach.

ARME MENSCHENKINDER: język niemiecki z obcych najbardziej obiegowy w Taorminie. *Menschenkinder* — słowo wyborne, które nie ma jednowyrazowego odpowiednika w innych językach.

NA PŁÓTNIE SIĘ RODZĄ: plagiat z poety P. J. Jouve'a: *„l'enfant et le mourant sont portés par le linge"*.

BOŻE, UWOLNIJ OD GROZY ISTNIENIA: słowa chóru w Orestei — „Boże, uwolnij nas od grozy".

Taormina, luty 1957.

A. W.

Franz Kafka

W ŚWIETLE WIECZORNEGO SŁOŃCA

W świetle wieczornego słońca
tkwimy tacy przygarbieni
na trawnikach na ławeczkach
Ręce zwisły nam ku ziemi
nasze oczy smutkiem świecą.

A przed nami strojni ludzie
chwiejnie łażą ścieżynami
pod otwartym wielkim niebem
które od wzgórz w dal się ciągnie
ku dalekim innym wzgórzom.

Przełożył
Jarosław Iwaszkiewicz

Franz Kafka

KRÓTKIE OPOWIADANIA

POSEJDON

Posejdon siedział przy biurku i liczył. Zarządzanie wszystkimi wodami wymagało nieskończenie dużo pracy. Mógł mieć pomocników, ile tylko zechciał, i miał ich też bardzo dużo, ale że nader poważnie swój urząd traktował, więc wszystkie rachunki raz jeszcze sam sprawdzał, tak że z pomocników niewiele miał pożytku. Nie można rzec, by praca go cieszyła, wykonywał ją właściwie tylko dlatego, że została mu narzucona, ba, nieraz ubiegał się o przyjemniejszą, jak powiadał, pracę, ilekroć mu jednak potem jakieś propozycje czyniono, zawsze się okazywało, że nic mu tak nie odpowiada, jak dotychczasowy urząd. Było też nader trudno znaleźć dla niego coś innego. Przydzielić mu jakieś określone morze było niemożliwe; pomijając już to, że i tutaj rachunkowość była nie mniejsza, lecz bardziej drobiazgowa, dla wielkiego Posejdona wchodziło w rachubę jedynie takie stanowisko, które zapewniało władzę. A gdy proponowano mu stanowisko poza wodnym przestworem, na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze, jego boski oddech zaczynał się mącić, a spiżowa klatka piersiowa omdlewała; kiedy władca zrzędzi, trzeba mu nawet w najbardziej beznadziejnej sprawie na pozór ustąpić. O tym, by Posejdona rzeczywiście pozbawić urzędu, nikt nie myślał, od prapoczątku był przeznaczony na boga mórz i tak musiało pozostać.

Najbardziej złościł się — głównie dlatego, że był niezadowolony ze swojego urzędu — kiedy słyszał, że wyobrażano sobie, iż wciąż odbywał przejażdżki po falach, z trójzębem w ręku. A on tymczasem siedział tutaj w głębi oceanu i bez przerwy liczył, od czasu do czasu jedynie podróż do Jowisza przerywała tę monotonię, zresztą podróż, z której najczęściej wracał wściekły. Tak więc prawie nie widział mórz, chyba przelotnie, kiedy w pośpiechu wznosił się na Olimp, i nigdy ich w rzeczywistości nie przemierzył. Zwykle mawiał, że czeka z tym do końca świata, kiedy przed samym kresem, po przejrzeniu ostatniego rachunku, nadarzy się spokojna chwila, w której będzie mógł jeszcze odbyć małą przechadzkę.

MYŚLIWY GRAKCHUS

Dwóch chłopców siedziało na przybrzeżnym murze i grało w kości. Jakiś mężczyzna czytał gazetę na stopniach pomnika, w cieniu bohatera, który wywijał szablą. Dziewczyna przy studni napełniała faskę wodą. Sprzedawca owoców leżał przy swoim towarze i spoglądał na jezioro. W głębi szynku widać było przez puste otwory drzwi i okien dwóch mężczyzn przy winie. Szynkarz siedział z przodu, przy stole, i drzemał. Barka mknęła lekko do portu, jak gdyby unosiła się nad wodą. Mężczyzna w białym fartuchu wysiadł na ląd i przeciągnął liny przez żelazne pierścienie. Dwóch innych mężczyzn w ciemnych surdutach ze srebrnymi guzikami niosło za wioślarzem nosze, na których zapewne leżał człowiek pod dużą jedwabną chustą w kwiaty, z frędzlami.

Na nadbrzeżu nikt nie zwracał uwagi na przybyszów, nikt do nich nie podszedł nawet wtedy, gdy postawili nosze, aby zaczekać na przewoźnika, który był jeszcze zajęty przy linach, nikt nie zwrócił się do nich z zapytaniem, nikt nie przyjrzał im się dokładniej.

Przewoźnika jeszcze na chwilę zatrzymała kobieta z rozwianymi włosami, która pokazała się teraz na pokładzie z dzieckiem przy piersi. Potem nadszedł przewoźnik, wskazał na żółtawy dwupiętrowy dom, który piął się w niebo po lewej stronie w pobliżu wody, a tragarze dźwignęli ciężar i ponieśli go przez niską bramę, wspartą na smukłych kolumnach. Mały chłopiec otworzył okno i zdołał jeszcze dojrzeć, jak orszak znikł w domu, po czym je zatrzasnął. Zamknięto również bramę, mocno sklepioną z czarnego dębu. Rój gołębi, który dotychczas okrążał dzwonnicę, opadł przed domem. Gołębie zebrały się teraz przed bramą, jak gdyby wewnątrz przechowywano dla nich pokarm. Jeden z nich wzleciał do pierwszego piętra i zastukał w szybę. Były to jasnobarwne, dobrze wykarmione, żwawe ptaki. Kobieta z barki z impetem sypnęła im ziarna, gołębie zjadły je i przyfrunęły do kobiety.

Jedną z wąskich, stromo opadających uliczek, które prowadziły do portu, nadszedł mężczyzna w cylindrze, z żałobną opaską. Rozglądał się bacznie, wszystko zaprzątało jego uwagę, widok śmieci w kącie wywołał grymas na jego twarzy. Na stopniach pomnika leżały łupiny owoców, w przejściu zgarnął je laską. Zapukał do drzwi, równocześnie zdjął cylinder prawą ręką w czarnej rękawiczce. Otworzono mu natychmiast i około pięćdziesięciu chłopców ustawiło się w szpaler i oddało mu ukłon.

Przewoźnik zszedł po schodach, przywitał pana, zaprowadził go na górę, na pierwszym piętrze okrążył z nim dziedziniec otoczony lekkimi, kształtnymi loggiami i podczas gdy chłopcy tłoczyli się za nim w pełnej szacunku odległości, obaj wstąpili do chłodnej, dużej sali w tylnej części domu, naprzeciw którego już nie widać było żadnych zabudowań, a tylko czarną skalną ścianę. Tragarze byli zajęci ustawianiem i zapalaniem kilku długich świec, co jednak nie dało światła, tylko spłoszyło spoczywające dotychczas cienie, które teraz zakołysały się na ścianach. Z noszy zdjęto chustę. Leżał tam mężczyzna o dziko pomierzwionych włosach i brodzie, smagły, przypominający raczej myśliwego. Leżał nieruchomo, jak się zdaje, nie oddychał i miał przymknięte oczy, mimo

to jedynie z zachowania się otoczenia można było się domyślić, że prawdopodobnie nie żył.

Pan podszedł do noszy, położył rękę na czole leżącego, potem ukląkł i zaczął się modlić. Przewoźnik dał znak tragarzom, by opuścili pokój, ci wyszli, przepędzili chłopców, którzy zgromadzili się na dworze, i zamknęli drzwi. Ale i ta cisza, zdaje się, nie wystarczyła panu, albowiem spojrzał na przewoźnika, a ów zrozumiał i bocznymi drzwiami wyszedł do sąsiedniego pokoju. Mężczyzna na noszach natychmiast otworzył oczy, z bolesnym uśmiechem zwrócił twarz w stronę pana i rzekł: „Ktoś ty?" — Pan, wcale tym nie zdumiony, powstał z klęczek i odparł: „Burmistrz Rivy".

Mężczyzna na noszach skinął głową, wskazał bezsilnie wyciągniętym ramieniem krzesło i kiedy burmistrz przyjął jego zaproszenie, powiedział: „Wiedziałem, panie burmistrzu, ale w pierwszej chwili zawsze o wszystkim zapominam, wszystko mi się mąci i lepiej, że spytam, nawet gdy wszystko wiem. I pan zapewne wie, że jestem myśliwy Grakchus".

„Oczywiście", rzekł burmistrz. „Pańskie przybycie zapowiedziano mi dzisiaj w nocy. Spaliśmy już od dawna. Koło północy moja żona zawołała: »Salwatore« — tak się nazywam — »spójrz na gołębia w oknie!« Był to rzeczywiście gołąb, ale duży jak kogut. Przyfrunął do mojego ucha i powiedział: »Jutro przybędzie zmarły myśliwy Grakchus, przyjmij go w imieniu miasta«."

Myśliwy skinął głową i przesunął koniec języka pomiędzy wargami: „Tak, gołębie mnie wyprzedzają. Czy sądzi pan jednak, że powinienem zostać w Rivie?"

„Na to nie mogę jeszcze dać odpowiedzi", odparł burmistrz. „Czy pan nie żyje?"

„Tak", odrzekł myśliwy, „jak pan widzi. Przed wielu laty, musiało to chyba być bardzo dawno temu, runąłem ze skały w Czarnym Lesie — w Niemczech — kiedy ścigałem kozicę. Od owego czasu nie żyję".

„Pan chyba również żyje", powiedział burmistrz.

„W pewnej mierze", odparł myśliwy, „w pewnej mierze również żyję. Łódź zmarłych, która mnie wiezie, zmyliła drogę, fałszywy obrót steru, chwila nieuwagi przewoźnika, a może dlatego, żeśmy zboczyli do mojej przepięknej ojczyzny, nie wiem, co to było, wiem tylko, że pozostałem na ziemi i że odtąd moja łódź płynie po ziemskich wodach. Tak więc ja, który chciałem żyć tylko w górach, podróżuję po swojej śmierci przez wszystkie kraje świata".

„I nie ma pan żadnego udziału w życiu pozagrobowym?", spytał burmistrz ze zmarszczonym czołem.

„Jestem", odrzekł myśliwy, „zawsze na ogromnych schodach, które prowadzą do góry. Wałęsam się po tych nieskończenie ciągnących się schodach, to u góry, to na dole, to z prawej, to z lewej strony, wciąż jestem w ruchu. Myśliwy przemienił się w motyla. Niech się pan nie śmieje".

„Nie śmieję się", zaprzeczył burmistrz.

„Bardzo mądrze", rzekł myśliwy. „Jestem wciąż w ruchu. Kiedy jednak rozpędzam się z ogromnym impetem i już widzę blask bramy na górze, budzę się w swojej starej łodzi, zagubionej na jakiejś ziemskiej wodzie. Zasadniczy błąd mojej dawnej śmierci kpi ze mnie szyderczo w kajucie. Julia, żona przewoźnika, puka i podaje mi do noszy poranny napój kraju, którego brzegi właśnie opływamy. Leżę na drewnianej pryczy, noszę — to żadna przyjemność obser-

wować samego siebie — brudny całun, broda i włosy, siwe i czarne, są dziko pomierzwione, nogi okrywa mi jedwabna chusta kobieca w kwiaty, z długimi frędzlami. U mojego wezgłowia pali się gromnica. Na ścianie naprzeciw mnie wisi obrazek, zapewne buszmen, który celuje we mnie dzidą i stara się ukryć za wspaniale pomalowaną tarczą. Na statkach spotyka się niekiedy głupie obrazki, ale ten jest chyba najgłupszy. Poza tym moja drewniana klatka jest pusta. Przez lukę w bocznej ścianie napływa ciepłe powietrze południowej nocy i słyszę, jak woda uderza o starą barkę.

Leżę tutaj od owego czasu, kiedy jeszcze jako żywy strzelec Grakchus ścigałem u siebie, w Czarnym Lesie, kozicę i runąłem ze skały. Wydarzenia potoczyły się po kolei. Zapędziłem się, runąłem w dół, skonałem, byłem martwy i barka miała mnie ponieść w zaświaty. Pamiętam jeszcze, jak wesoło wyciągnąłem się pierwszy raz tutaj, na pryczy. Góry nigdy nie słyszały takiego śpiewu, jak te cztery, wówczas w półmroku jeszcze tonące ściany.

Żyłem chętnie i chętnie zmarłem, byłem szczęśliwy, nim wstąpiłem na pokład, cisnąłem to draństwo, puszkę, torbę i fuzję, którą zawsze dumnie nosiłem, i wśliznąłem się w całun jak dziewczyna w ślubną suknię. Potem stało się nieszczęście".

„Zły los", rzekł burmistrz ze wzniesioną jakby do obrony ręką. „A pan nie ponosi żadnej winy?"

„Żadnej", powiedział myśliwy, „byłem szczęśliwy, czy to moja wina? Mianowano mnie myśliwym w Czarnym Lesie, gdzie były jeszcze wtedy wilki. Stałem na czatach, strzelałem, trafiałem, ściągałem skórę, czy to moja wina? Moja praca została pobłogosławiona. Nazywano mnie »Wielkim Myśliwym Czarnego Lasu«. Czy to moja wina?"

„Nie jestem powołany do rozstrzygania tego", rzekł burmistrz, „ale i mnie się wydaje, że nie ma w tym przewinienia. Kto jednak zawinił?"

„Żeglarz", powiedział myśliwy. „Nikt nie przeczyta tego, co tutaj piszę, nikt nie przyjdzie, aby mi pomóc; gdyby polecono udzielić mi pomocy, to by wszystkie drzwi i domy zamknęły się przede mną, zamknięto by okna, wszyscy pozostaliby w łóżkach, zakryliby głowy kołdrami, cała ziemia stałaby się nocnym zajazdem. Miałoby to zresztą sens, albowiem nikt nic nie wie o mnie, a jeśliby wiedział, to nie znałby miejsca mojego pobytu, a jeśliby znał miejsce mojego pobytu, nie potrafiłby mnie tam zatrzymać, nie wiedziałby, jak mi pomóc. Myśl udzielenia mi pomocy jest chorobą i musi być leczona w łóżku.

Wiem o tym i nie wzywam pomocy, nawet gdy chwilami — nie panując nad sobą, jak na przykład teraz — bardzo intensywnie o tym myślę. By jednak przepędzić takie myśli, wystarczy, że rozejrzę się wokoło i uprzytomnię sobie, gdzie jestem i gdzie — mogę to śmiało rzec — mieszkam od stuleci."

„To niezwykłe", rzekł burmistrz, „niezwykłe. — A teraz zamierza pan zostać u nas w Rivie?"

„Nie zamierzam", powiedział myśliwy z uśmiechem i położył rękę — by złagodzić drwinę — na kolanie burmistrza. „Moja łódź nie ma steru, płynie z wiatrem, który wieje w najgłębszych regionach śmierci."

MOST

Byłem zesztywniały i zimny, byłem mostem, leżałem nad przepaścią. Z tej strony były wwiercone palce u nóg, z tamtej ręce, wgryzłem się mocno w kruszącą się glinę. Poły mojego surduta powiewały po obu bokach. W głębi szumiał potok z pstrągami. Żaden turysta nie zabłąkał się na tę niedostępną wysokość, most nie był jeszcze zaznaczony na mapie. — Tak leżałem i czekałem; musiałem czekać. Most raz zbudowany, jeśli nie runie, nie może przestać być mostem.

Pewnego razu pod wieczór — może pierwszy, może tysięczny, nie wiem — moje myśli krążyły w nieładzie i wciąż w koło. Pod wieczór latem, strumień szumiał posępniej, usłyszałem męski krok. Do mnie, do mnie! — Wyciągnij się, moście, bądź gotowa, belko bez poręczy, utrzymaj tego, którego ci powierzono. Ułagodź niepewność jego kroku, a jeśli się zachwieje, daj się poznać i rzuć go, niby górski bóg, na ziemię.

Przyszedł, opukał mnie żelaznym końcem laski, potem podniósł nim poły mojego surduta i ułożył je na mnie. Koniec laski zanurzył w moje rozmierzwione włosy i pozostawił go tam na długo, zapewne dziko się rozglądając. Potem jednak — właśnie marzyło mi się, że jest już za górami i lasami — skoczył obiema nogami na środek mojego ciała. Wzdrygnąłem się w dzikim bólu, nic nie wiedząc. Kto to był? Dziecko? Sen? Rozbójnik? Samobójca? Kusiciel? Niszczyciel? Odwróciłem się, aby go zobaczyć. — Most się odwraca! Jeszczem się nie odwrócił, a już runąłem, runąłem, i już byłem rozdarty i nadziany na ostre krzemienie, które tak spokojnie wpatrywały się we mnie z gwałtownie pędzącej wody.

SĘP

Był sęp, który szarpał moje nogi. Postrzępił mi buty i pończochy, a teraz dziobał gołe nogi. Wciąż tłukł dziobem, potem niespokojnie okrążał mnie kilka razy i znowu zabierał się do swojej roboty. Jakiś pan przechodził obok, chwileczkę się przyglądał i potem zapytał, dlaczego pozwalam na to sępowi. „Jestem przecież bezbronny”, rzekłem, „przyleciał i zaczął szarpać, więc musiałem go oczywiście odpędzić, usiłowałem nawet zadusić go, ale takie zwierzę jest bardzo silne, poświęciłem przeto nogi. I oto są już prawie rozszarpane.“ „Że też pan daje się tak męczyć”, powiedział ów pan, „jeden strzał i sęp jest gotów.“ „Rzeczywiście?“, zapytałem, i zechce pan to zrobić?“ „Chętnie“, odparł ów pan, „musiałbym tylko pójść do domu i przynieść strzelbę. Może pan jeszcze pół godziny poczekać?” „Nie wiem”, odrzekłem i przez chwilę stałem zdrętwiały z bólu, potem powiedziałem: „Proszę, na wszelki wypadek niech pan spróbuje.“ „Dobrze“, rzekł ów pan, „pośpieszę się.“ Podczas rozmowy sęp przysłuchiwał się spokojnie i przenosił swój wzrok z jednego na drugiego. Teraz spostrzegłem, że wszystko zrozumiał; sęp wzbił się w powietrze, wygiął

się mocno do tyłu, aby nabrać dostatecznego rozpędu, i potem niby oszczepnik wbił przez moje usta głęboko we mnie swój dziób. Padając czułem, już oswobodzony, jak utonął na zawsze w mojej krwi, która wypełnia wszystkie głębiny i przelewa się przez wszystkie brzegi.

DAJ SPOKÓJ

Był wczesny ranek, ulice czyste i puste, szedłem na dworzec. Kiedy porównałem zegar na wieży z moim zegarkiem, spostrzegłem, że jest już o wiele później, niż myślałem, musiałem się bardzo śpieszyć, przerażenie wywołane tym odkryciem zmąciło kierunek mojej drogi, niezbyt dobrze orientowałem się w tym mieście, na szczęście policjant był w pobliżu, podbiegłem do niego i bez tchu spytałem o drogę. Uśmiechnął się i powiedział: „Mnie pytasz o drogę?". „Tak", rzekłem, „bo sam nie mogę jej znaleźć." „Daj spokój, daj spokój", powiedział i odwrócił się z impetem, jak ludzie, którzy chcą być sami ze swoim śmiechem.

NOCĄ

Pogrążony w nocy. Tak jak się niekiedy pochyla głowę, aby rozmyślać, tak pogrążyć się całkiem w nocy. Dokoła śpią ludzie. Mała komedia, niewinne okłamywanie samego siebie, że śpią w domach, w solidnych łóżkach, pod solidnym dachem, wyciągnięci lub skuleni na materacach, na prześcieradłach, pod kołdrami, w rzeczywistości odnaleźli się, jak kiedyś i jak potem, w pustynnej okolicy — obozowisko na wolnym powietrzu, nieprzejrzany tłum ludzi, wojsko, naród, pod zimnym niebem na zimnej ziemi, powaleni tam, gdzie przedtem stali, z czołami wspartymi o ramiona, z twarzami zwróconymi ku ziemi, spokojnie oddychając. A ty czuwasz, jesteś strażnikiem, dostrzegasz najbliżej śpiącego wymachując głownią wydobytą z chrustu, który płonie obok ciebie. Dlaczego czuwasz? Jeden musi czuwać. Jeden musi tu być.

STERNIK

„Czy nie jestem sternikiem?" krzyknąłem. „Ty?" zapytał ciemny, rosły mężczyzna i przesunął ręką po oczach, jak gdyby odpędzał sen. Stałem przy sterze ciemną nocą, nad moją głową świeciła słabo latarnia, a oto przyszedł ten czło-

wiek i chciał mnie odsunąć. A że nie ustępowałem, postawił nogę na mojej piersi i powoli mnie przydeptywał, podczas gdy ja wciąż wisiałem na szprychach koła sterowego i padając całkiem je oderwałem. Wtedy ów człowiek podniósł ster, doprowadził go do porządku, ale mnie odepchnął. Jednakże zaraz oprzytomniałem, pobiegłem do luki, która prowadziła do pomieszczeń załogi, i krzyknąłem: „Załoga! Towarzysze! Prędko do mnie! Obcy człowiek odepchnął mnie od steru!" Szli zwolna, wspinali się po schodkach okrętowych, chwiejące się, zmęczone postacie. „Czy jestem sternikiem?", spytałem. Przytaknęli skinieniem głowy, ale ciekawił ich tylko obcy, którego otoczyli półkolem, a kiedy rzekł rozkazująco: „Nie przeszkadzajcie mi", zebrali się, skinęli na mnie głowami i z powrotem zeszli po schodkach okrętowych. Cóż to za ludzie! Czy oni myślą, czy włóczą się bezmyślnie po świecie?

BĄK

Pewien filozof szwendał się zawsze tam, gdzie się bawiły dzieci. Gdy zobaczył chłopca, który miał bąka, już się przyczajał. Kiedy tylko bąk zaczynał krążyć, filozof pędził za nim, aby go złapać. Nic go nie obchodziło, że dzieci wrzeszczały i próbowały odwrócić jego uwagę od zabawki, jeśli zaś udało mu się złapać bąka, dopóki ten jeszcze wirował, był szczęśliwy, ale tylko na chwilę, potem rzucał go na ziemię i odchodził. Wierzył bowiem, że poznanie każdej drobnostki, a więc na przykład i wirującego bąka, wystarczy do poznania ogólnego prawa. Dlatego nie zajmował się wielkimi problemami, wydawało mu się to rozrzutnością. Jeśli się rzeczywiście zdoła poznać najdrobniejszą drobnostkę, można wszystko poznać, dlatego zajmował się tylko wirującym bąkiem. I zawsze, gdy przygotowywano się do puszczenia bąka w ruch, miał nadzieję, że teraz mu się uda, a kiedy bąk się kręcił, w ustawicznej pogoni za nim nadzieja stawała się pewnością, ale gdy już potem trzymał głupi kawałek drzewa w ręku, robiło mu się niedobrze i krzyk dzieci, którego dotychczas nie słyszał a teraz nagle rozdzierał mu uszy, odpędzał go i on zataczał się jak bąk niezdarnie smagany biczem.

MAŁA BAJKA

„Ach", rzekła mysz, „świat staje się z każdym dniem mniejszy. Z początku był tak duży, że się bałam, pobiegłam więc dalej i byłam szczęśliwa, iż wreszcie zobaczyłam z daleka, z prawej i lewej strony, ściany; ale te długie ściany z takim pędem zbliżają się do siebie, że już jestem w ostatnim pokoju i tam stoi w kącie pułapka, do której biegnę." — „Wystarczy, że zmienisz kierunek biegu", powiedział kot i pożarł ją.

NA KUBLE

Cały węgiel zużyty; kubeł pusty; łopata niedorzeczna; piec tchnący zimnem; ókój nabrzmiały mrozem; przed oknem drzewa zdrętwiałe od szronu; niebo, ebrny puklerz przeciwko temu, kto chce od niego pomocy. Muszę mieć węel; nie mogę przecież zamarznąć; za mną bezlitosny piec, przede mną takie mo niebo, toteż muszę pomiędzy nimi cwałować i pośrodku drogi szukać omocy u handlarza węglem. Ale on już zobojętniał na moje zwykłe prośby; zeba mu jak najdokładniej dowieść, że nie mam już ani pyłka węgla i dlago właśnie jest dla mnie słońcem na firmamencie. Jestem zmuszony nagawać go jak żebrak, który rzężąc z głodu dogorywa u drzwi, aż pańska kuarka zdecyduje się nalać mu fusów z ostatniej kawy; tak samo handlarz, ściekły, lecz opromieniony przykazaniem „Nie będziesz zabijał!", musi sypnąć kubła łopatę pełną węgla.

Zaważyć musi już sam wjazd; dlatego jeżdżę tam na kuble. Siedząc na kue, z ręką na uchwycie, tej najprostszej uprzęży, z trudem staczam się po hodach; na dole jednak mój kubeł wzbija się wspaniale, wspaniale; wielbłą- przywarte do ziemi nie podnoszą się piękniej, gdy drżą pod razami przeodnika. Przez zamarznięte ulice pędzę miarowym kłusem; często wzlatuję d niższe piętra; nigdy nie opadam aż do bram. A już niezwykle wysoko unoę się przed piwnicą handlarza, w której węglarz ślęczy głęboko na dole, przy oim stoliku, i pisze; aby zmniejszyć niezwykłą spiekotę, otworzył drzwi.

„Węglarzu!", wołam głosem przepalonym od zimna, otulony oparami oddeu, „proszę cię, daj mi odrobinę węgla. Mój kubeł jest już tak pusty, że nie ogę na nim jeździć. Bądź tak dobry. Zapłacę, jak tylko będę mógł."

Handlarz przykłada rękę do ucha. „Czy dobrze słyszę?", mówi przez ramię swojej żony, która robi na drutach, na ławce pod piecem, „czy dobrze słyę? Klient."

„Ja nic nie słyszę", powiada kobieta, która spokojnie wypuszcza i wciąga dech nad drutami, czując przyjemne ciepło na plecach.

„Tak", wołam, „to ja; stary klient; wiernie oddany; ale chwilowo bez piędzy."

„Żono", powiada handlarz, „ktoś jest, ktoś tam jest; tak bardzo chyba się e mylę; to zapewne stary, bardzo stary klient, jeśli mi potrafi tak przeówić do serca."

„Co z tobą, mężu?", mówi żona i przyciska robótkę do piersi, odpoczywac chwileczkę, „nikogo nie ma, ulica pusta, wszyscy nasi klienci mają już ęgiel; możemy nasz sklep zamknąć na kilka dni i odetchnąć".

„Przecież tu siedzę na kuble", krzyczę i martwe łzy wyciśnięte zimnem zesłaniają mi oczy, „spójrzcie, proszę, w górę; zaraz mnie odkryjecie; proę o pełną łopatę; a jeśli mi dacie dwie, będę najszczęśliwszy z ludzi. Przeż reszta klientów już się zaopatrzyła w węgiel. Ach, byle tylko usłyszeć jego zęk w kuble!"

„Idę", odzywa się handlarz i chce na swoich krótkich nóżkach wspiąć się po wnicznych schodach, ale żona już jest przy nim, trzyma go mocno za rę-w i mówi: „Zostaniesz. Jeśli się będziesz nadal upierał, to sama pójdę na

górę. Pamiętaj o swoim ostrym kaszlu z dzisiejszej nocy. Ale dla interesu, choćby urojonego, zapominasz o żonie i dzieciach i poświęcasz swoje płuca. Idę". „W takim razie wymień mu wszystkie gatunki, jakie mamy na składzie; ceny podam ci później." „Dobrze", powiada żona i wychodzi na ulicę. Dostrzega mnie oczywiście natychmiast. „Pani węglarzowa", krzyczę, „witam uniżenie; tylko jedną łopatę węgla; od razu tu, do kubła; zapłacę, rzecz jasna, ale nie teraz, nie teraz." Jakżeż te dwa słowa „nie teraz" dźwięczą niby dzwon i jak bałamutnie mieszają się z wieczornym biciem dzwonów, które dochodzi właśnie z pobliskiej wieży kościelnej!

„Czego mu więc potrzeba?", woła handlarz. „Niczego", odkrzykuje żona, „przecież nikogo tu nie ma; nic nie widzę, nic nie słyszę; to tylko szósta godzina bije, zamykamy. Potworne zimno; jutro pewnie będziemy mieli jeszcze dużo roboty."

Ona nic nie widzi i nic nie słyszy; a jednak rozluźnia tasiemki fartucha i usiłuje mnie zdmuchnąć fartuchem. Niestety, to się jej udaje. Mój kubek ma wszelkie zalety dobrego wierzchowca; nie ma jednak siły oporu; jest za lekki; kobiecy fartuch odrywa go od ziemi.

„Wiedźmo", wołam za nią, podczas gdy ona, kierując kroki ku sklepowi na poły ze wzgardą, na poły z zadowoleniem macha ręką, „ty wiedźmo! Prosiłem cię o łopatę najgorszego, a tyś mi odmówiła." Z tymi słowami wznoszę się w regiony lodowych gór i znikam na zawsze.

EGZAMIN

Jestem służącym, ale nie ma dla mnie pracy. Jestem bojaźliwy i nie roz pycham się, nie pcham się nawet do jednego szeregu z innymi, ale to tylk jedna z przyczyn, dla której nie mam zajęcia, choć też może nie ma t w ogóle nic wspólnego z brakiem zajęcia dla mnie, w każdym razie najważ niejsze jest, że nie wzywają mnie na służbę, innych zaś wezwano, pomim że nie ubiegali się o nią bardziej niż ja, może nawet nie życzyli sobie, by ic wzywano, podczas gdy przynajmniej ja nieraz bardzo tego pragnę.

Tak więc leżę na pryczy w czeladnej, spoglądam na belki sufitu, zasypian budzę się i zaraz ponownie zasypiam. Czasem idę naprzeciwko do gospod gdzie podają kwaśne piwo, czasem ze wstrętu wylewam piwo z kufla, ale po tem piję znowu. Chętnie tam przesiaduję, bo mogę przez przymknięte okier ko, nie dostrzeżony przez nikogo, patrzeć na okna naszego domu. Niewie tam widać, myślę, kiedy się ma przed sobą ulicę, tylko okna korytarzy i c tego nie tych korytarzy, które prowadzą do mieszkań państwa. Może się i my lę, ktoś jednak tak utrzymywał, choć go o to nie pytałem, i ogólne wrażeni jakie wywołuje front kamienicy, potwierdza to. Z rzadka tylko ktoś otwie okna, a jeśli się rozchylają, to robi to służący, który opiera się potem o p rapet, aby chwileczkę popatrzeć w dół. Są to więc korytarze, gdzie nikt n może go zaskoczyć. Zresztą, nie znam tych służących, służba zajęta stale n górze śpi gdzie indziej, nie w mojej izbie.

Pewnego razu, kiedy przyszedłem do gospody, na miejscu, które służyło mi o obserwacji, siedział już gość. Nie miałem odwagi przyjrzeć mu się bliżej zaraz w drzwiach chciałem zawrócić i odejść. Gość jednak zawołał mnie o siebie i okazało się, że też był służącym, którego już gdzieś widziałem, ale otychczas z nim nie rozmawiałem.

„Dlaczego uciekasz? Siadaj i pij! Ja płacę." Usiadłem więc. Zadał mi kilka ytań, ale nie mogłem na nie odpowiedzieć, nawet ich nie zrozumiałem. latego rzekłem: „Może teraz żałujesz, żeś mnie zaprosił, więc pójdę sobie", już chciałem wstać. Ale on wyciągnął rękę przez stół i przygniótł mnie do wy: „Zostań", powiedział, „to był tylko egzamin. Kto nie odpowiada na pyania, ten zdał egzamin".

OBROŃCY

Było bardzo niepewne, czy miałem obrońców, nic dokładnego nie mogłem ię o tym dowiedzieć, wszystkie twarze wyrażały odmowę, większość ludzi, tórzy szli z przeciwnej strony i których wciąż spotykałem na korytarzach, yglądała jak stare grube kobiety, nosiła duże, całe ciało osłaniające fartuhy w ciemnoniebieskie i białe paski, głaskała się po brzuchach i ociężale ręciła się tu i tam. Nie mogłem się nawet dowiedzieć, czy byliśmy w byniku sądowym. Niejedno przemawiało za tym, wiele przeciwko temu. Pohijając wszystkie inne szczegóły, sąd najbardziej przypominało mi huczenie ochodzące bez przerwy z daleka, nie podobna rzec, z której strony, tak barzo bowiem wypełniało wszystkie pomieszczenia, że można było przyjąć, iż rzychodzi zewsząd, albo, co wydawało się jeszcze trafniejsze, że właśnie to niejsce, gdzie przypadkowo ktoś stał, jest miejscem, z którego się huk rozhodzi, choć było to zapewne złudzenie, gdyż huk dobiegał z daleka. Te orytarze, wąskie, prosto sklepione, o łagodnych zakrętach, ze skąpo zdobiomymi i wysokimi drzwiami, wydawały się nawet stworzone dla głębokiej iszy, były to korytarze muzeum lub biblioteki. Jeśli to jednak nie był sąd, o dlaczego szukałem tutaj obrońcy? Dlatego, że szukałem obrońcy wszędzie, wszędzie jest potrzebny, w sądzie nawet mniej niż gdzie indziej, albowiem sąd wydaje wyrok według prawa, jakby należało przyjąć. Gdyby rzyjęto, że sąd postępuje niesprawiedliwie lub lekkomyślnie, życie stałoby ię niemożliwe, trzeba sądowi ufać, że zapewnia swobodę majestatowi prava, gdyż jest to jego jedyne zadanie, ale w samym prawie wszystko jest skarżeniem, obroną i wyrokiem, tutaj samowolna ingerencja człowieka byaby występkiem. Inaczej jednak ma się rzecz z osnową wyroku, ta opiera ię na dochodzeniach przeprowadzonych tu i tam, wśród krewnych i obcych, rzyjaciół i wrogów, w rodzinie i w sferach społecznych, w mieście i na wsi, krótko mówiąc wszędzie. Tutaj potrzeba nagląco obrońców, by jeden stał bok drugiego, jak żywy mur, albowiem obrońcy są z natury swojej ociężali, natomiast oskarżyciele, te sprytne lisy, te obrotne łasice, te niewidoczne myszki, prześlizgują się przez najmniejsze szczeliny, przemykają się pomiędzy no-

gami obrońców. A więc uwaga! Po to jestem tutaj, zbieram obrońców. Ale jeszcze żadnego nie znalazłem, tylko te stare kobiety przychodzą i odchodzą, nieustannie; gdybym nie poszukiwał, usnąłbym. Nie jestem na właściwym miejscu, niestety nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie jestem na właściwym miejscu. Moje miejsce powinno być tam, gdzie schodzą się różni ludzie, z różnych okolic, ze wszystkich stanów, ze wszystkich zawodów, musiałbym mieć możność ostrożnego dobierania z tłumu ludzi zdatnych, przyjaznych, takich, co mnie potrafią ocenić. Najlepiej nadawałby się do tego być może jarmark. Zamiast tego wałęsam się po tych korytarzach, gdzie widać jedynie te stare kobiety, a i tych niewiele, i to wciąż te same, ale nawet i tej garstki kobiet, pomimo ich opieszałości, nie mogę zatrzymać, bo mi się wymykają, unoszą się niby chmury deszczowe, są całkiem pochłonięte nieznanymi mi zajęciami. Dlatego też wpadam na oślep do budynku, nie czytam napisu nad bramą, pędzę od razu na korytarze, usadawiam się tu z takim uporem, że nie mogę sobie zgoła przypomnieć, iż kiedykolwiek byłem przed budynkiem i kiedykolwiek wbiegłem na schody. Nie mogę jednak wyjść z powrotem, ta strata czasu, to przyznanie się do błędu byłoby dla mnie nie do zniesienia. Co? W tym krótkim, pospiesznym życiu, któremu towarzyszy niecierpliwe huczenie, zbiec ze schodów? To niemożliwe. Czas wyznaczony ci jest tak krótki, że straciwszy sekundę utraciłeś już całe życie albowiem nie jest ono dłuższe, lecz zawsze tylko tak długie jak czas, który tracisz. Jeśli więc wybrałeś jakąś drogę, idź nią dalej, za wszelką cenę, możesz tylko na tym zyskać, nie narazisz się na niebezpieczeństwo, u kresu być może runiesz w przepaść, ale gdybyś już po pierwszych krokach zawrócił i zbiegł ze schodów, runąłbyś na samym początku i to z wszelką pewnością. Jeśli zatem nie znajdziesz tu nic na korytarzach, otwórz drzwi, a jeśli za drzwiami nic nie znajdziesz, są jeszcze inne piętra, a jeśli na górze nic nie znajdziesz, to nie ma nieszczęścia, wejdź na wyższe piętra. Dopóki nie przestaniesz wchodzić, dopóty nie skończą się stopnie, pod twoimi wspinającymi się nogami będą wciąż rosły w górę.

POWRÓT

Wróciłem, minąłem sień i rozglądam się. To stary dziedziniec mojego ojca. Pośrodku kałuża. Stare, nieużyteczne narzędzia, splątane ze sobą, zagradzają drogę do schodów, które prowadzą na strych. Kot czai się na poręczy. Podarta chusta, kiedyś podczas zabawy owinięta wokoło drąga, powiewa na wietrze. Przybyłem. Kto mnie przywita? Kto czeka za kuchennymi drzwiami? Z komina wydobywa się dym, kawa gotuje się na wieczerzę. Czy odczuwasz, że jesteś u siebie, w swoim domu? Nie wiem, nie czuję się zbyt pewnie. To dom mojego ojca, ale sprzęt obok sprzętu stoi zimny, jak gdyby wszystkie były zajęte swoimi własnymi sprawami, o których bądź zapomniałem, bądź nigdy nic nie wiedziałem. Jakiż mogą mieć ze mnie pożytek, co dla nich znaczę, choć jestem synem ojca, starego wieśniaka. I nie odważam się zastukać

do kuchennych drzwi, tylko z daleka nadsłuchuję stojąc, aby nie można mnie przyłapać na podsłuchiwaniu. A że słucham z daleka, słyszę tylko — a może wydaje mi się, że słyszę — lekkie tykanie zegara, które dochodzi z pokoju dziecinnego. Co jednak dzieje się w kuchni, to tajemnica, której strzegą przede mną ci, co tam siedzą. Im dłużej człowiek zwleka pod drzwiami, tym bardziej staje się obcy. Co by to było, gdyby teraz ktoś otworzył drzwi i zapytał mnie o coś. Czyż nie byłbym wtedy jak człowiek, który chce strzec swojej tajemnicy?

WSPÓLNOTA

Jest nas pięciu przyjaciół, pewnego razu przyszliśmy jeden po drugim z domu, najpierw przyszedł pierwszy i stanął obok bramy, potem drugi wyszedł z bramy, a raczej potoczył się lekko, tak jak toczą się kuleczki rtęci, i stanął w pobliżu pierwszego, potem trzeci, potem czwarty, potem piąty. W końcu wszyscy staliśmy w szeregu. Ludzie zaczęli na nas zwracać uwagę i wskazywać mówiąc: tych pięciu przyszło teraz z domu. Odtąd żyjemy razem i byłoby to spokojne życie, gdyby wciąż nie wtrącał się szósty. Nic nam nie robi, ale jest natrętny, a to wystarcza; dlaczego pcha się tam, gdzie go nie chcą? Nie znamy go i nie chcemy go przyjąć. Wprawdzie i nas pięciu nie znało się nawzajem, a prawdę mówiąc i teraz się nie znamy, ale co uchodzi między nami pięcioma, jest niemożliwe i nie do zniesienia z owym szóstym. Poza tym jest nas pięciu i nie chcemy, by nas było sześciu. A w ogóle co za sens ma mieć owo ustawiczne współistnienie, między nami pięcioma nie ma ono również sensu, ale my jesteśmy już razem i tak pozostaniemy, nie chcemy jednak nowego zrzeszenia, właśnie na podstawie naszych doświadczeń. Jak to jednak wytłumaczyć szóstemu, długie wyjaśnienia oznaczałyby niemal przyjęcie do naszego kręgu, już lepiej nic nie będziemy wyjaśniać i nie przyjmiemy go. Niech się dąsa, ile chce, odepchniemy go łokciami, ale choćbyśmy go nie wiedzieć jak odpychali, powróci.

DRZEWA

Albowiem jesteśmy jak te pnie drzewa w śniegu. Na pozór leżą swobodnie na wierzchu i wydaje się, że można je odsunąć lekkim pchnięciem. Nie, to się nie da zrobić, albowiem są mocno z ziemią związane. Ale spójrz, nawet i to jest pozorem.

NOWY ADWOKAT

Mamy nowego adwokata, doktora Bucefała. Swoim wyglądem przypomina trochę czasy, kiedy był jeszcze bojowym rumakiem Aleksandra Macedońskiego. Kto obeznany jest ze sprawą, ten coś niecoś zmiarkuje. Ostatnio widziałem na schodach od ulicy, jak nawet całkiem głupi woźny sądowy fachowym spojrzeniem niepozornego bywalca wyścigów gapił się na adwokata, kiedy ten, podnosząc wysoko łydki, wchodził po stopniach krokiem, który podzwaniał po marmurze.

Stan adwokacki w ogólności aprobuje przyjęcie Bucefała. Ze zdumiewającym wyrozumieniem każdy powiada sobie, że w dzisiejszym ustroju społecznym Bucefał jest w trudnym położeniu i z tego powodu, jak i z uwagi na swoje historyczne znaczenie, zasługuje bądź co bądź na względy. Dzisiaj — temu już nikt nie zaprzeczy — nie ma wielkiego Aleksandra. Co prawda, niejeden umie mordować; nie brak też zręcznych, co to potrafią poprzez stół bankietowy ugodzić lancą nieprzyjaciela; dla wielu zresztą Macedonia jest za mała, tak że przeklinają Filipa, ojca — ale nikt, nikt nie potrafi poprowadzić do Indii. Już wtedy wrota Indii były nieosiągalne, ale królewski miecz wskazał drogę do nich. Dzisiaj wrota zostały przeniesione gdzie indziej, dalej i wyżej; nikt nie wskazuje drogi; wielu trzyma miecze, ale jedynie po to, aby nimi wywijać, i spojrzenie, które je ściga, gubi się w zamęcie.

Może dlatego rzeczywiście najlepiej będzie pogrążyć się w kodeksach, tak jak to zrobił Bucefał. Swobodny, bez odcisków, które pozostawiają lędźwie jeźdźca, z dala od wrzawy bitew Aleksandra, czyta i wertuje nasze stare księgi.

PRZED PRAWEM

Przed prawem stoi odźwierny. Do tego odźwiernego przychodzi człowiek ze wsi i prosi, by mu pozwolił wejść do prawa. Ale odźwierny powiada, że teraz nie może udzielić mu zezwolenia. Ów człowiek namyśla się, po czym zapytuje, czy będzie mógł tam wejść później. „Może", mówi odźwierny, „ale teraz nie". A że brama do prawa, jak zawsze, stoi otworem i odźwierny usuwa się na bok, więc ów człowiek pochyla się, aby przez bramę zajrzeć do środka. Odźwierny, widząc to, śmieje się i mówi: „Jeśli to cię tak nęci, spróbuj wejść wbrew mojemu zakazowi. Ale pamiętaj: jestem potężny. A przecież jestem najniższym odźwiernym. We wszystkich salach stoją odźwierni, jeden potężniejszy od drugiego. Już widoku trzeciego ja sam nie mogę znieść". Takich trudności nie spodziewał się człowiek ze wsi; prawo, myśli, winno przecież być dostępne zawsze i dla każdego, kiedy jednak teraz przygląda się odźwiernemu w jego futrze, jego dużemu, ostremu nosowi, długiej, cienkiej, czarnej

rodzie tatarskiej, postanawia zaczekać, dopóki nie otrzyma zezwolenia na vstęp. Odźwierny podsuwa mu stołek i każe mu usiąść obok drzwi. Tam siedzi lniami i latami. Dokłada wszelkich starań, by go wpuszczono, zmęczył już dźwiernego swoimi prośbami. Odźwierny poddaje go często małym przesłuhaniom, wypytuje o jego rodzinne strony i wiele innych rzeczy, są to jednak bojętne pytania, jakie zwykli zadawać wielcy panowie, i w końcu wciąż na owo powtarza, że nie może go jeszcze wpuścić. Człowiek ze wsi, który zaoparzył się obficie na drogę, nie żałuje niczego, choćby to było bardzo kosztowne, by przekupić odźwiernego. Ten wszystko przyjmuje, ale powiada przy tym: „Przyjmuję to tylko dlatego, żebyś nie myślał, żeś cokolwiek zaniedbał". W ciągu tych wielu lat ów człowiek niemal bez przerwy obserwuje odźwiernego. Zapomina o pozostałych odźwiernych, pierwszy wydaje mu się jedyną przeszkodą broniącą mu wstępu do prawa. Przeklina nieszczęsny przypadek, w pierwszych latach bez opamiętania i głośno, potem, kiedy się starzeje, mruczy tylko przed siebie. Dziecinnieje, a że studiując latami odźwiernego poznał nawet pchły w jego futrzanym kołnierzu, więc prosi i pchły, by mu pomogły przekonały odźwiernego. W końcu jego wzrok słabnie i nie wie już, czy rzeczywiście wokół niego staje się coraz ciemniej, czy tylko oczy go zwodzą. Jednakże rozpoznaje teraz w ciemności blask, który nieodparcie bije od drzwi do prawa wiodących. Ale niewiele już mu pozostało żywota. Przed śmiercią wszystkie doświadczenia tego czasu stapiają się w jego głowie w jedno pytanie, którego dotychczas nie zadał odźwiernemu. Przywołuje go skinieniem, albowiem nie może już podźwignąć swojego zdrętwiałego ciała. Odźwierny musi się nad nim nisko pochylić, gdyż różnica ich wzrostu zmieniła się wielce na niekorzyść człowieka ze wsi. „Co jeszcze chcesz wiedzieć?", pyta odźwierny, „jesteś nienasycony." Wszyscy przecież dążą do prawa", powiada ów człowiek, „dlaczego więc w ciągu kilku lat nikt prócz mnie nie prosił o wstęp?" Odźwierny dostrzega, że człowiek ze wsi jest już u kresu, i wrzeszczy, by jego słabnące ucho mogło dosłyszeć: „Nikt, prócz ciebie, nie mógł uzyskać tu wstępu, albowiem to wejście było przeznaczone tylko dla ciebie. Teraz pójdę i zamknę je".

NAJBLIŻSZA WIEŚ

Mój dziad zwykł mówić: „Życie jest zdumiewająco krótkie. Teraz tak kurczy się w moim wspomnieniu, iż na przykład nie pojmuję, jak młody człowiek może się zdecydować na konną przejażdżkę do najbliższej wsi, nie bojąc się — pomijając już nieszczęśliwe wypadki — że na taką jazdę nie wystarczy nawet zwykłe, szczęśliwie płynące życie".

ODMOWA

Nasze miasteczko nie leży przy granicy, wcale nie, do granicy jest jeszcze tak daleko, że z miasteczka, być może, nikt jeszcze do niej nie dotarł; trzeba by przemierzyć wymarłe kraje górskie, a także rozległe żyzne ziemie. Sama myśl o kawałku drogi wywołuje zmęczenie, a więcej niż kawałka drogi nie podobna sobie w ogóle wyobrazić. Po drodze ciągną się także duże miasta, o wiele większe od naszego miasteczka. Gdyby dziesięć takich miasteczek ułożono obok siebie i wciśnięto pomiędzy nie drugie dziesięć takich miasteczek, to jeszcze nie otrzymalibyśmy ani jednego z tych potężnych i ciasnych miast. Kto by nie zbłądził w drodze, ten zbłądziłby niewątpliwie w miastach, a wyminąć ich niesposób ze względu na ich ogrom.

Ale jeszcze dalej niż do granicy, jeśli w ogóle można porównywać takie odległości — to tak, jak gdyby powiedziano, że stuletni człowiek jest starszy od trzystuletniego — otóż o wiele dalej niż do granicy jest z naszego miasteczka do stolicy. Podczas gdy niekiedy otrzymujemy mimo wszystko wiadomości o wojnach nad granicą toczonych, to ze stolicy nic do nas nie dociera, mam na myśli nas obywateli, albowiem urzędnicy państwowi mają bardzo dobre połączenie ze stolicą i już w ciągu dwóch, trzech miesięcy mogą otrzymać stamtąd wiadomość, przynajmniej tak utrzymują.

I oto zadziwia, a mnie wciąż od nowa zdumiewa, z jakim spokojem poddajemy się w naszym miasteczku wszystkim zleceniom, które przychodzą ze stolicy. Od wieków nie zaszła u nas żadna polityczna zmiana z inicjatywy mieszkańców miasteczka. W stolicy zmieniali się wielcy władcy, ba, dynastie wygasły lub zostały pozbawione władzy i nowe rozpoczęły swoje rządy, w ubiegłym stuleciu nawet stolica została zburzona i z dala od niej założono nową, potem i ją zburzono i znowu odbudowano starą, ale nasze miasteczko nie miało na to właściwie żadnego wpływu. Nasi urzędnicy wciąż pozostawali na swoich stanowiskach, najwyżsi urzędnicy pochodzili ze stolicy, średni co najmniej spoza miasteczka, najniżsi spośród nas, tak już zostało i to nam wystarczyło. Najwyższym urzędnikiem jest naczelny poborca podatków, ma on stopień pułkownika i tak go tytułują. Dzisiaj jest starym człowiekiem, ale znam go od lat, albowiem już w moim dzieciństwie był pułkownikiem, początkowo szybko robił karierę, potem, jak się zdaje, przestał awansować, zresztą jego stopień służbowy starczy naszemu miasteczku, wyższy stopień przekraczałby nawet nasze możliwości. Kiedy usiłuję wyobrazić go sobie, widzę, jak siedzi na werandzie swojego domu na rynku, oparty o poręcz fotelu, z fajką w ustach. Z dachu powiewa nad nim sztandar państwowy, a po bokach werandy, która jest tak duża, że niekiedy odbywają się tam małe ćwiczenia wojskowe, suszy się bielizna. Wokół niego bawią się jego wnukowie w jedwabnych ubrankach, ale nie wolno im zejść na rynek, inne dzieci na to nie zasłużyły; jednakże plac przecież ich nęci, więc przynajmniej wsuwają głowy pomiędzy pręty poręczy, a kiedy inne dzieciaki kłócą się na dole, biorą udział w kłótni z werandy.

Ten pułkownik panuje tedy w mieście. Zdaje mi się, że jeszcze nikomu nie pokazał dokumentu, który by go do tego uprawniał. Zresztą nie ma on takiego

dokumentu. Może jednak rzeczywiście jest naczelnym poborcą podatków. No i co z tego? Czy to uprawnia go do kierowania wszystkimi dziedzinami administracji? Jego urząd jest bardzo ważny dla państwa, ale nie najważniejszy dla obywateli. U nas odnosi się wrażenie, jak gdyby ludzie mówili: „Zabrałeś nam wszystko, cośmy mieli, zabierz, proszę, i nas w dodatku". Co prawda, faktycznie nie zagarnął władzy i nie jest tyranem. Z dawien dawna tak się utarło, że naczelny poborca podatków jest pierwszym urzędnikiem i pułkownik stosuje się do tej tradycji tak samo jak my.

Ale chociaż nie wynosi się ponad nas, jest przecież zupełnie innym człowiekiem aniżeli zwyczajny obywatel. Kiedy przychodzi doń delegacja z prośbą, stoi przed nią niby mur świata. Poza nim jest już pustka, wydaje się, że słychać tam jeszcze kilka szepczących głosów, ale to zapewne złudzenie, przecież pułkownik jest kresem Wszystkiego, przynajmniej dla nas. Trzeba go było widzieć w czasie takich audiencji. W dzieciństwie byłem raz obecny przy tym, jak delegacja obywateli prosiła go o pomoc rządu, gdyż najbiedniejsza dzielnica miasta całkowicie spłonęła. Mój ojciec, kowal, cieszący się szacunkiem gminy, był członkiem delegacji i wziął mnie ze sobą. Nie było w tym nic dziwnego, na takie widowisko wszyscy się tłoczą, trudno nawet pośród tłumu rozpoznać delegację; a że takie audiencje odbywają się przeważnie na werandzie, więc trafiają się też ludzie, którzy z placu rynkowego wspinają się na werandę po drabinie i poprzez poręcz uczestniczą w wydarzeniach. Przyjął się wtedy taki porządek, że ćwierć werandy była zastrzeżona dla niego, resztę zapełniał tłum. Wszystkiego strzegło kilku żołnierzy, którzy otaczali go półkolem. W gruncie rzeczy wystarczyłby jeden żołnierz, tak wielki strach odczuwaliśmy przed nimi. Nie wiem dokładnie, skąd ci żołnierze pochodzą, w każdym razie z daleka, a wszyscy są tak do siebie podobni, że nawet mogliby się obejść bez mundurów. Są to niscy, niezbyt silni, ale zręczni ludzie i najbardziej wyróżniają się mocnym uzębieniem, które ledwo mieści się w ich ustach, i jakimś niespokojnie drgającym błyskiem małych, wąskich oczu. Z tego powodu są postrachem dzieci, choć także dostarczają im zabawy, gdyż dzieci wciąż chętnie doznają strachu przed tym uzębieniem i tymi oczami, aby potem móc rozpaczliwie uciekać. Ten lęk z czasów dzieciństwa nie ginie prawdopodobnie i w dojrzałym wieku, w każdym razie potem się odzywa. Żołnierze mówią zupełnie niezrozumiałym dla nas dialektem i z trudem przyzwyczajają się do naszego, dlatego też są w pewnej mierze zamknięci w sobie i niedostępni, co zresztą odpowiada ich charakterowi, jako że są cisi, poważni i uparci, i choć właściwie nic złego nie robią, to przecież nikt ich ścierpieć nie może. Przychodzi na przykład żołnierz do sklepu, kupuje jakąś drobnostkę i stoi tam oparty o ladę, przysłuchuje się rozmowom, których prawdopodobnie nie rozumie, choć wydaje się, jakoby je rozumiał, nie odzywa się ani słowem, patrzy tylko tępo na tego, co mówi, potem na tych, co słuchają, i trzyma rękę na rękojeści noża tkwiącego za pasem. To ohydne, człowiek traci ochotę do rozmowy, sklep opróżnia się i dopiero kiedy jest całkiem pusty, żołnierz wychodzi. Gdzie zatem pojawiają się żołnierze, tam milknie nasz żwawy ludek. Tak było i wtedy. Jak przy wszystkich uroczystych okazjach, nasz pułkownik stał wyprostowany i trzymał dwa długie kije bambusowe w wyciągniętych do przodu rękach. To stary obyczaj,

który mniej więcej oznacza: tak on wspiera prawo i tak ono jego wspiera Każdy oczywiście wie, co go czeka na górze, na werandzie, a przecież wszystkich wciąż na nowo oblatuje strach; i wówczas ten, którego wyznaczono na mówcę, nie chciał przemawiać, stał chwilę przed pułkownikiem, ale potem stracił odwagę i na różne sposoby się wymawiając, z powrotem wcisnął się między tłum. Jak zwykle, nie znalazł się nikt odpowiedni, kto byłby gotów przemawiać — z tych, co się nie nadawali, kilku zaofiarowało swoje usługi — więc zrobiło się wielkie zamieszanie i wysłano posłańców do różnych obywateli, znanych mówców. Przez cały czas pułkownik stał nieruchomo, tylko jego pierś mocno falowała. Nie dlatego, że miał ciężki oddech, oddychał po prostu w sposób bardzo widoczny, tak jak na przykład żaby, tylko że one zawsze tak oddychają, a on wtedy wyjątkowo. Prześliznąłem się pomiędzy dorosłymi i obserwowałem go przez lukę pomiędzy dwoma żołnierzami dopóty, dopóki jeden z nich nie odepchnął mnie kolanem. Tymczasem ten, którego z początku wyznaczono na mówcę, zebrał się w garść i podtrzymywany mocno przez dwóch współobywateli wygłosił przemówienie. Był to wzruszający widok, jak wciąż uśmiechał się w czasie tego poważnego przemówienia, które opisywało wielkie nieszczęście, a był to ze wszech miar pokorny uśmiech, który daremnie się wysilał, aby na twarzy pułkownika wywołać choćby najlżejszy odruch. W końcu sformułował prośbę, prosił, myślę, tylko o zwolnienie od podatków na rok, a może jeszcze o tani budulec z cesarskich lasów. Później ukłonił się nisko i stał zgięty w ukłonie tak jak wszyscy prócz pułkownika, żołnierzy i kilku urzędników za nimi. Dziecku wydawało się śmieszne, jak ci, co stali na drabinach opartych o skraj werandy, zeszli o kilka szczebli, by podczas tej decydującej przerwy nikt ich nie dostrzegł, i tylko od czasu do czasu z zaciekawieniem szpiegowali, wychylając głowy ponad podłogę werandy. Trwało to chwilę, potem jakiś urzędnik, niskiego wzrostu, wystąpił i podszedł do pułkownika; próbował wznieść się na palcach i otrzymał od pułkownika, który wciąż jeszcze stał nieruchomo i tylko głęboko oddychał, jakieś zlecenie szepnięte do ucha, po czym klasnął w dłonie, na co wszyscy się podnieśli, i obwieścił: „Prośbie odmówiono. Oddalcie się". Uczucie niekłamanej ulgi ogarnęło tłum, wszyscy zaczęli się tłoczyć do wyjścia, mało kto zwracał uwagę na pułkownika, który znowu stał się człowiekiem, jak my wszyscy, i widziałem tylko, jak wyczerpany wypuścił z rąk pręty, które upadły, i opadł na przywleczony przez urzędników fotel, wkładając szybko fajkę do ust.

Cały ten wypadek nie jest odosobniony, to się wciąż powtarza. Zdarza się wprawdzie, że od czasu do czasu małe prośby znajdują posłuch, ale wtedy ma się wrażenie, że pułkownik zrobił to na własną odpowiedzialność, jako potężna osoba prywatna, i sprawa musi — oczywiście nie na wyraźny rozkaz, lecz nakazuje to nastrój — być zachowana w tajemnicy przed rządem. W naszym miasteczku oczy pułkownika, na ile możemy to ocenić, są także oczami rządu, a jednak zachodzi tu pewna różnica, której nie można w pełni dociec.

Natomiast w ważnych sprawach obywatele mogą być pewni odmowy. Rzecz wielce osobliwa, że do pewnego stopnia niesposób obejść się bez tej odmowy a przy tym owo chodzenie tam po odmowę wcale nie jest formalnością Ludzie idą tam zawsze ochoczo, z powagą i nie wracają, co prawda, pokrzepieni i szczęśliwi, ale są też niezupełnie rozczarowani i zmęczeni. Nie

potrzebuję dowiadywać się o tym u nikogo, sam to czuję w sobie, jak wszyscy. Nie odczuwam nawet jakiejś ciekawości, by dociekać sedna tych spraw.

Istnieje jednak pewna kategoria wieku, jak wynika z moich obserwacji, która nie jest zadowolona, są to młodzi ludzie pomiędzy siedemnastym i osiemnastym rokiem życia. A zatem całkiem młodzi chłopcy, którzy nawet nie mogą domyślać się doniosłości najbłahszej, a co dopiero rewolucyjnej myśli. I właśnie pomiędzy nich zakrada się niezadowolenie.

Przełożył
Roman Karst

Franz Kafka

STRAŻNIK GROBOWCA

Mały gabinet, wysokie okno, przed nim łysy wierzchołek drzewa. Książę (przy biurku, w fotelu, wygląda oknem), szambelan (z gęstą, siwą brodą, wciśnięty niby młodzieniec w ciasny żakiet, przy ścianie obok środkowych drzwi). Milczenie.

KSIĄŻĘ *(odwracając się od okna):* A zatem?

SZAMBELAN: Nie radziłbym tego Waszej Wysokości.

KSIĄŻĘ: Dlaczego?

SZAMBELAN: Trudno mi w tej chwili sformułować swoje zastrzeżenia. Nie powiem bynajmniej wszystkiego, co mam na myśli, jeśli przytoczę tylko powszechnie znane powiedzenie: Trzeba zmarłych pozostawić w spokoju.

KSIĄŻĘ: I ja jestem tego zdania.

SZAMBELAN: Wobec tego nie zrozumiałem dobrze, o co chodzi.

KSIĄŻĘ: Tak się wydaje.

Milczenie.

KSIĄŻĘ: Zapewne zbija pana z tropu tylko ta dziwna okoliczność, że nie wydałem od razu zarządzenia, lecz uprzedziłem pana o nim.

SZAMBELAN: To obarcza mnie tym większą odpowiedzialnością, której muszę sprostać.

KSIĄŻĘ: Ani słowa o odpowiedzialności!

Milczenie.

KSIĄŻĘ: Powtarzam więc. Grobowca w parku Fryderyka strzegł dotychczas jeden strażnik, który mieszka w domku u wejścia do parku. Czy można było temu coś zarzucić?

SZAMBELAN: Oczywiście, że nie. Grobowiec ma ponad czterysta lat i przez cały czas był w ten sposób strzeżony.

KSIĄŻĘ: Można by pomyśleć, że wykorzystujemy strażnika. A może naprawdę wykorzystujemy go?

SZAMBELAN: To konieczne zarządzenie.

KSIĄŻĘ: A zatem konieczne. Tym razem bawię tu, w letnim zamku, dosyć długo, poznaję bliżej szczegóły, które dotychczas powierzano obcym — ci jako tako dają sobie z nimi radę — i odkryłem: Strażnik w parku nie wystarcza, na dole w grobowcu musi czuwać drugi strażnik. Nie będzie to

ıoże przyjemny urząd. Ale, wiemy z doświadczenia, na każde stanowisko ıajdą się chętni i odpowiedni ludzie.

SZAMBELAN: Wszystko, co Wasza Wysokość rozkaże, będzie oczywiście ykonane, choćby nawet konieczność zarządzenia pozostała niepojęta.

KSIĄŻĘ *(zrywając się):* Konieczność! Czy straż przy bramie parkowej jest ıezbędna? Park Fryderyka jest częścią parku zamkowego, który go zewsząd acza, i ma dostateczną ochronę, nawet wojskową. Po co więc jest potrzebna raż w parku Fryderyka? Czyż nie jest to zwykła formalność? Miłościwe oże śmierci dla nieszczęsnego starca, który pełni tam służbę?

SZAMBELAN: To formalność, ale konieczna. Objaw szacunku dla wielich zmarłych.

KSIĄŻĘ: A straż w samym grobowcu?

SZAMBELAN: Moim zdaniem miałaby ona ukryty cel policyjny; byłaby ealną ochroną nierealnych, dla człowieka tajemniczych spraw.

KSIĄŻĘ: Ten grobowiec jest w mojej rodzinie granicą pomiędzy ludzkim owym innym światem i przy tej granicy chcę postawić straż. W sprawie, ık pan powiada, policyjnej konieczności możemy przesłuchać samego strażika. Kazałem mu przyjść.

SZAMBELAN: To zdziwaczały staruszek, jeśli mi wolno zauważyć, który ałkowicie utracił równowagę ducha.

KSIĄŻĘ: Jeśli tak jest naprawdę, byłby to jeszcze jeden dowód, że zachozi konieczność wzmocnienia straży według mojej myśli.

Służący.

KSIĄŻĘ: Strażnik grobowca!

Służący wprowadza strażnika grobowca, podtrzymując go mocno pod ranię, aby nie upadł. Stara, czerwona liberia galowa zwisa na nim luźno, wyzyszczone do połysku srebrne guziki, różne odznaczenia. Czapka w ręku. tarzec drży, przerażony spojrzeniem swego pana.

KSIĄŻĘ: Na otomanę!

Służący kładzie strażnika i odchodzi. Tylko ciche rzężenie starca.

KSIĄŻĘ *(znowu w fotelu):* Słyszysz mnie?

Strażnik usiłuje odpowiedzieć, ale nie może, jest zbyt wyczerpany, ponowie opada na otomanę.

KSIĄŻĘ: Weź się w garść. Czekamy.

SZAMBELAN *(pochylony nad księciem):* Jakiejż informacji mógłby ten złowiek udzielić, w dodatku informacji ważnej i wiarygodnej. Trzeba go ık najrychlej położyć do łóżka.

STRAŻNIK: Nie chcę do łóżka — jestem jeszcze silny — stosunkowo — otrafię się jeszcze bronić.

KSIĄŻĘ: Niech i tak będzie. Masz dopiero sześćdziesiąt lat, mimo to wylądasz tak mizernie.

STRAŻNIK: Zaraz przyjdę do siebie — zaraz.

KSIĄŻĘ: To nie był zarzut. Ubolewam tylko, że się tak źle czujesz. Czy ıasz jakiś powód do skargi?

STRAŻNIK: Ciężka służba — ciężka służba — nie skarżę się — ale bardzo yczerpuje — co noc się mocuję.

KSIĄŻĘ: Co ty powiadasz?

STRAŻNIK: Ciężka służba.

KSIĄŻĘ: Co jeszcze powiedziałeś?
STRAŻNIK: Mocuję się.
KSIĄŻĘ: Mocujesz się? Z kim się mocujesz?
STRAŻNIK: Ze świętej pamięci przodkami.
KSIĄŻĘ: Nie rozumiem tego. A może trapią cię sny?
STRAŻNIK: Żadne sny — przecież w nocy nigdy nie śpię.
KSIĄŻĘ: Wobec tego opowiedz — o tych zapasach.
STRAŻNIK *(milczy).*
KSIĄŻĘ *(do szambelana):* Dlaczego milczy?
SZAMBELAN *(podchodzi szybko do strażnika):* Przecież on w każdej chw
może wyzionąć ducha.
KSIĄŻĘ *(stoi obok stołu).*
STRAŻNIK *(kiedy szambelan go dotyka):* Precz, precz, precz! *(boryka s
z palcami szambelana, potem z płaczem rzuca się na otomanę.)*
KSIĄŻĘ: Męczymy go.
SZAMBELAN: Czym?
KSIĄŻĘ: Nie wiem.
SZAMBELAN: Droga do zamku, prezentacja, widok Waszej Wysokoś
pytania — temu wszystkiemu nie może sprostać jego rozum.
KSIĄŻĘ *(wciąż patrzy na strażnika):* Nie w tym rzecz. *(podchodzi do ot
many, pochyla się nad strażnikiem, obejmuje rękami jego małą czaszk*
Nie trzeba płakać. Dlaczego płaczesz? Przecież sprzyjamy ci. Ja sam n
uważam twojego urzędu za łatwy. Niewątpliwie zasłużyłeś się memu d
mowi. Nie płacz więc i opowiadaj.
STRAŻNIK: Ale ja się tak boję tego pana. *(patrzy na szambelana gro
nie, bez obawy.)*
KSIĄŻĘ *(do szambelana):* Pan musi odejść, bo nie zechce opowiadać.
SZAMBELAN: Niech Wasza Wysokość spojrzy, on ma pianę na ustac
jest ciężko chory.
KSIĄŻĘ *(roztargniony):* Tak, niech pan idzie, to niedługo potrwa.
Szambelan wychodzi.
KSIĄŻĘ *(siada na skraju otomany).*
Milczenie.
KSIĄŻĘ: Dlaczego się go bałeś?
STRAŻNIK *(zdumiewająco skupiony):* Nie bałem się. Bać się służ
cego?
KSIĄŻĘ: To nie służący. To hrabia, człowiek wolny i bogaty.
STRAŻNIK: A jednak tylko sługa, panem jesteś ty.
KSIĄŻĘ: Niech i tak będzie. Sam przecież powiedziałeś, że się boisz.
STRAŻNIK: Mam przy nim opowiadać o sprawach, o których tylko
możesz wiedzieć? Zresztą, czy i tak nie powiedziałem za dużo w jego obe
ności?
KSIĄŻĘ: Ufamy więc sobie wzajemnie, a przecież pierwszy raz dzisiaj c
widziałem.
STRAŻNIK: Widziałeś mnie pierwszy raz, ale już z dawien dawna wie
(podnosi palec wskazujący), że piastuję najwyższy urząd dworski. Uznał
to przecież publicznie, odznaczając mnie medalem „Ognista czerwień". Tuta
(odchyla medal od surduta.)

KSIĄŻĘ: Nie, to medal za dwudziestopięcioletnią służbę na dworze. Dał ci go jeszcze mój dziadek. Ale i ja cię odznaczę.

STRAŻNIK: Rób, co ci się podoba i co odpowiada powadze mojego stanowiska. Trzydzieści lat służę ci jako strażnik grobowca.

KSIĄŻĘ: Nie mnie. Moje rządy trwają zaledwie rok.

STRAŻNIK *(w zamyśleniu):* Trzydzieści lat.

Milczenie.

STRAŻNIK *(jak gdyby wracając myślą do uwagi księcia):* Noc trwa tam rok.

KSIĄŻĘ: Nigdy jeszcze nie miałem sprawozdania o twoim urzędzie. Jak tam służba?

STRAŻNIK: Noce są monotonne. Co noc o mało żyły nie pękają na szyi.

KSIĄŻĘ: Czy masz służbę tylko nocą? Nocna służba dla ciebie, starca?

STRAŻNIK: Otóż to właśnie, Wasza Wysokość. To służba dzienna. Posada dla lenia. Człowiek siedzi przed bramą i rozdziawia gębę w blasku słońca. Czasem strażniczy pies położy ci łapy na kolana i potem znowu się układa do snu. Oto cała rozrywka.

KSIĄŻĘ: Tak, tak.

STRAŻNIK *(potakując głową):* Ale zmieniono ją na służbę nocną.

KSIĄŻĘ: Kto zmienił?

STRAŻNIK: Panowie z grobowca.

KSIĄŻĘ: Znasz ich?

STRAŻNIK: Tak.

KSIĄŻĘ: Przychodzą do ciebie?

STRAŻNIK: Tak.

KSIĄŻĘ: Ostatniej nocy też byli?

STRAŻNIK: Też.

KSIĄŻĘ: Jak to było?

STRAŻNIK *(siada):* Jak zawsze.

KSIĄŻĘ *(wstaje).*

STRAŻNIK: Jak zawsze. Do północy jest spokój. Leżę — wybacz mi — w łóżku i palę fajkę. Obok, w łóżku, śpi dziecko mojej córki. O północy rozlega się pierwsze stukanie w okno. Patrzę na zegarek. Zawsze punktualnie. Stukanie słychać jeszcze dwa razy, miesza się z biciem zegara na wieży, ale nie słabnie. To nie są kostki palców. Ale ja znam to wszystko i nie ruszam się. Potem ktoś chrząka na dworze, dziwi się, że nie otwieram okna, choć słyszę stukanie. Wasza Wysokość się zdziwi! Ale stary strażnik wciąż jeszcze czuwa! *(Pokazuje pięść).*

KSIĄŻĘ: Grozisz mi?

STRAŻNIK *(nie od razu się spostrzega):* Nie tobie. Temu przed oknem.

KSIĄŻĘ: Kto to?

STRAŻNIK: Wnet się zjawia. Za jednym zamachem otwierają się okna i okiennice. Ledwo zdążę jeszcze zarzucić kołdrę na twarz dziecka. Do środka wdziera się burza, gasi w mgnieniu oka światło. Książę Fryderyk! Jego twarz, porośnięta włosami i okolona brodą, całkiem wypełnia moje biedne okno. Jakżeż on się rozrósł w ciągu stuleci. Kiedy otwiera usta, aby przemówić, wiatr wpycha mu starą brodę pomiędzy zęby i książę ją gryzie.

KSIĄŻĘ: Poczekaj, książę Fryderyk — powiadasz? Który Fryderyk?

STRAŻNIK: Książę Fryderyk, tylko książę Fryderyk.

KSIĄŻĘ: Tak wymienia swoje imię?

STRAŻNIK *(trwożliwie):* Nie, nie wymienia go.

KSIĄŻĘ: A mimo to wiesz — *(urywa).* Opowiadaj dalej!

STRAŻNIK: Mam dalej opowiadać?

KSIĄŻĘ: Oczywiście. To mnie bardzo obchodzi. Tutaj jest jakiś błąd w podziale pracy. Byłeś przeciążony.

STRAŻNIK *(klękając):* Niech mnie Wasza Wysokość nie pozbawia tej posady. Skoro już tak długo żyłem dla ciebie, pozwól mi teraz dla ciebie umrzeć! Nie każ zamurować grobu, do którego dążę. Chętnie ci służę i jeszcze jestem zdolny do służby. Taka audiencja jak dzisiejsza, jeden wypoczynek u pana — dodaje mi siły na dziesięć lat.

KSIĄŻĘ *(sadza go znowu na otomanę):* Nikt ci nie odbiera posady. Jakżeż mógłbym się obejść bez twojego doświadczenia! Wyznaczę jednak jeszcze jednego strażnika, a ty zostaniesz starszym strażnikiem.

STRAŻNIK: A ja nie wystarczam? Czy kiedykolwiek przepuściłem kogoś?

KSIĄŻĘ: Do parku Fryderyka?

STRAŻNIK: Nie, z parku. Kto by tam chciał wchodzić. Jeśli ktoś zatrzymuje się przed ogrodzeniem, wystarczy, że machnę ręką z okna i już ucieka. Ale wyjść, wyjść chcą wszyscy. Po północy możesz usłyszeć wokoło mojego domu wszystkie głosy z grobowca. Tylko dlatego, myślę, że się tak tłoczą na raz, nie mogą się do mnie przedostać przez wąski otwór okna. Kiedy przebierze się miarka, wyciągam spod łóżka latarnię, wywijam nią wysoko i wtedy pierzchają, te niepojęte istoty, ze śmiechem i jękiem; potem słyszę jak hałasują w ostatnich zaroślach przy końcu parku. Po chwili jednak znowu się zbierają.

KSIĄŻĘ: A proszą o coś?

STRAŻNIK: Najpierw wydają rozkazy. Głównie książę Fryderyk. Nikt z żyjących nie jest tak pewny siebie. Od trzydziestu lat spodziewa się co noc, że mu ulegnę.

KSIĄŻĘ: Jeśli przychodzi od trzydziestu lat, to nie może to być książę Fryderyk, on zmarł dopiero przed piętnastu laty. Ale w grobowcu nie ma innego o tym imieniu.

STRAŻNIK *(zbyt pochłonięty swoim opowiadaniem):* Tego nie wiem, Wasza Wysokość, ja nie studiowałem. Wiem tylko, jak rozpoczyna. „Stary psie", zaczyna przy oknie, „panowie pukają, a ty nie raczysz wstać z twojego brudnego łóżka". Łóżka ciągle są im solą w oku. Potem co noc rozmawiamy wciąż o tym samym. Ja powiadam: „Mam tylko służbę dzienną". Wówczas pan zwraca się w stronę parku i krzyczy: „On ma tylko służbę dzienną". Na to wybucha ogólny śmiech zgromadzonej szlachty. Potem książę znów mówi do mnie: „Przecież jest dzień". Ja na to krótko: „Pan się myli". Książę: „Dzień czy noc, otwórz bramę". Ja: „To sprzeciwia się regulaminowi służby". I wskazuję cybuchem fajki na kartkę papieru na ścianie. Książę: „Przecież jesteś naszym strażnikiem". Ja: „Waszym strażnikiem, ale mianowanym przez księcia, który rządzi". On: „Jesteś naszym strażnikiem, to najważniejsze. Otwórz tedy i to natychmiast". Ja: „Nie". On: „Głupcze, stracisz posadę. Książę Leo zaprosił mnie na dzisiaj".

KSIĄŻĘ *(prędko):* Ja?

STRAŻNIK: Ty.

Milczenie.

STRAŻNIK: Kiedy słyszę twoje imię, zaczynam się wahać. Dlatego od razu, z ostrożności, opieram się o drzwi i tylko one są mi podporą. Na dworze wszyscy wyśpiewują twoje imię. „Gdzie zaproszenie?", pytam słabym głosem. „Bydlaku gnijący w łóżku", krzyczy, „nie wierzysz mojemu książęcemu słowu?" Powiadam: „Nie mam żadnych wskazówek i dlatego nie otwieram, nie otwieram, nie otwieram". „Nie otwiera", krzyczy na dworze książę, „wobec tego naprzód, wszyscy, cała dynastia do bramy, sami sobie otworzymy." I w mgnieniu oka jest pusto przed oknem.

Milczenie.

KSIĄŻĘ: To wszystko?

STRAŻNIK: Skądże! Dopiero teraz zaczyna się moja właściwa służba. Wyskakuję, obchodzę dom, raptem zderzam się z księciem i już borykamy się ze sobą. On taki duży, ja taki mały, on taki gruby, ja taki chudziutki, ja mocuję się tylko z jego nogami, ale on podnosi mnie czasami i wtedy walczę także u góry. Wszyscy jego towarzysze otaczają nas kołem i śmieją się ze mnie do rozpuku. Jeden z nich na przykład rozcina mi z tyłu spodnie i podczas gdy walczę, wszyscy bawią się końcem mojej koszuli. Nie mogę pojąć, dlaczego się śmieją, przecież dotychczas zawsze zwyciężałem.

KSIĄŻĘ: Jakim sposobem zwyciężasz? Masz broń?

STRAŻNIK: Tylko w pierwszych latach zabierałem ze sobą broń. Na co jednak mogła się zdać w walce z nim, tylko mi kłopot sprawiała. Walczymy jedynie pięściami, a właściwie tylko siłą oddechu. I ty zawsze panujesz w moich myślach.

Milczenie.

STRAŻNIK: Ale nigdy nie wątpię o zwycięstwie. Czasami tylko obawiam się, że książę może mnie zgubić pomiędzy swoimi palcami i nie będzie potem wiedział, iż walczy.

KSIĄŻĘ: A kiedy zwyciężałeś?

STRAŻNIK: Nad ranem. Wtedy rzuca mnie na ziemię i opluwa, to jest jego przyznanie się do klęski. Ja jednak muszę leżeć jeszcze godzinę, zanim złapię oddech.

Milczenie.

KSIĄŻĘ *(wstaje):* Powiedz mi jednak, czy nie wiesz, czego oni wszyscy chcą?

STRAŻNIK: Chcą wydostać się z parku.

KSIĄŻĘ: Ale dlaczego?

STRAŻNIK: Tego nie wiem.

KSIĄŻĘ: Nie pytałeś ich?

STRAŻNIK: Nie.

KSIĄŻĘ: Dlaczego?

STRAŻNIK: Nie mam odwagi. Jeśli jednak chcesz, zapytam ich dzisiaj.

KSIĄŻĘ *(przerażony, potem głośno):* Dzisiaj!

STRAŻNIK *(tonem doświadczenia):* Tak, dzisiaj.

KSIĄŻĘ: Nie domyślasz się nawet, czego chcą?

STRAŻNIK *(po namyśle):* Nie.

Milczenie.

STRAŻNIK: Czasem — może powinienem i to ci powiedzieć — kiedy tak leżę bez tchu, wtedy jestem tak słaby, że nie mogę rozewrzeć oczu, przychodzi wczesną porą subtelna, w dotyku wilgotna i włosem pokryta istota, marudziarka, księżna Izabella. Dotyka mnie palcami z różnych stron, chwyta za brodę, obejmuje mi szyję pod samym podbródkiem i zwykle mówi: „Tamtych nie, ale mnie, mnie wypuść". Zaprzeczam ruchem głowy jak tylko mogę. „Do księcia Leo, by podać mu dłoń." Nie przestaję potrząsać głową. „Tylko mnie, tylko mnie", słyszę jeszcze, potem znika. Moja wnuczka przychodzi później z kołdrą, owija mnie i czeka, aż sam będę mógł chodzić. Niezwykle dobra dziewczynka.

KSIĄŻĘ: Nieznane imię, Izabella.

Milczenie.

KSIĄŻĘ: Podać mi dłoń. *(staje przy oknie, wygląda.)*

Służący wchodzi środkowymi drzwiami.

SŁUŻĄCY: Wasza Wysokość, jej książęca mość prosi.

KSIĄŻĘ *(patrzy roztargniony na służącego — do strażnika):* Poczekaj aż wrócę. *(odchodzi lewą stroną.)*

Środkowymi drzwiami wchodzi natychmiast szambelan, potem, drzwiami z prawej strony, marszałek dworu (młody mężczyzna w oficerskim mundurze).

STRAŻNIK *(kuli się ze strachu, jakby na widok upiorów, za otomaną i wymachuje rękami).*

MARSZAŁEK: Nie ma tu księcia?

SZAMBELAN: Zgodnie z pańską poradą, księżna pani kazała go zawołać.

MARSZAŁEK: Dobrze. *(nagle się odwraca, pochyla się i zagląda pod otomanę.)* A ty, nędzny upiorze, ośmielasz się przychodzić tu, do książęcego zamku. Nie boisz się potężnego kopnięcia, które cię wyrzuci za bramę?

STRAŻNIK: Jestem, jestem —

MARSZAŁEK: Cicho, przede wszystkim zamilcz, całkowicie zamilcz — i siadaj tu w kącie! *(do szambelana)* dziękuję panu za wiadomość o nowym kaprysie księcia.

SZAMBELAN: Pan kazał mnie o to zapytać.

MARSZAŁEK: Oczywiście. A teraz jedno słówko, w sekrecie. Żeby tamten nie słyszał. Pan, panie hrabio, kokietuje partię przeciwnika.

SZAMBELAN: Czy to ma być oskarżenie?

MARSZAŁEK: Na razie obawa.

SZAMBELAN: Wobec tego mogę odpowiedzieć. Nie kokietuję partii przeciwnika, albowiem jej nie uznaję. Wyczuwam różne nurty, ale nie zanurzam się w nich. Jestem jeszcze poplecznikiem jawnej polityki, która obowiązywała za księcia Fryderyka. Wtedy trzymano się w służbie dworskiej jednej polityki, którą polegała na służeniu księciu. Ponieważ byłem kawalerem, nie sprawiało mi to trudności, choć nigdy nie powinno to być trudne.

MARSZAŁEK: Bardzo mądrze. Ale własny nos — choćby nie wiedzieć jak był niezawodny — nigdy nie wskazuje stale należytej drogi, wskazuje ją tylko rozum. Tylko on winien decydować. Przyjmijmy, że książę zszedł na bezdroża: czy służy mu ten, co mu tam towarzyszy, czy ów, który go — z całym oddaniem — zawraca z tej drogi? Bez wątpienia ten, kto go zawraca.

SZAMBELAN: Pan przybył z księciem z obcego dworu, jest tu pół roku i chce od razu rozciąć zawiłe życie dworu granicą, która oddziela dobro od zła

MARSZAŁEK: Kto mruga oczami, ten widzi same komplikacje. Kto ma oczy otwarte, ten widzi, zarówno w pierwszej chwili, jak i po stu latach, wiecznie klarowną istotę rzeczy. W każdym razie tutaj dostrzega zasmucającą istotę sprawy, która jednak już w najbliższych dniach dojrzeje, miejmy nadzieję, do pomyślnego rozstrzygnięcia.

SZAMBELAN: Trudno mi uwierzyć, że decyzja, którą pan chce spowodować i którą znam tylko z zapowiedzi, będzie dobra. Lękam się, że pan nie rozumie naszego księcia, dworu i wszystkiego, co tu się dzieje.

MARSZAŁEK: Czy rozumiem, czy nie, obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia.

SZAMBELAN: Być może, iż jest nie do zniesienia, ale wynika z istoty rzeczy i tutejszych warunków i będziemy go tolerować do końca.

MARSZAŁEK: Ale nie księżna, ani ja, ani ci, co z nami trzymają.

SZAMBELAN: Dlaczego sytuacja, według pana, jest nie do zniesienia?

MARSZAŁEK: Właśnie w obliczu decyzji chcę mówić otwarcie. Książę składa się z dwóch postaci. Jedna zajmuje się rządzeniem, zatacza się nieprzytomnie przed ludem, lekceważy własne uprawnienia. Druga, przyznajmy, bardzo precyzyjnie usiłuje wzmocnić swoje fundamenty. Szuka oparcia w przeszłości i to coraz głębiej. Co za niezrozumienie sytuacji! Niezrozumienie nie pozbawione wielkości, ale większe w swoim błędzie niż w kształcie. Czy mogło to ujść pańskiej uwagi?

SZAMBELAN: Oponuję nie przeciwko opisowi sytuacji, lecz przeciw jej ocenie.

MARSZAŁEK: Przeciw ocenie? Spodziewając się pańskiej zgody oceniłem sprawę łagodniej, niż w rzeczywistości o niej myślę. Wciąż jeszcze powstrzymuję się z sądem, aby pana oszczędzić. Tylko jedno: nie ma potrzeby, by książę umacniał swoje fundamenty. Niech użyje wszystkich dostępnych mu środków władzy — dojdzie do przekonania, że wystarczą — by sprostać wszystkiemu, czego wymaga od niego najwyższa odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi. On jednak boi się równowagi życia, jest na drodze do tyranii.

SZAMBELAN: A jego skromna natura?

MARSZAŁEK: To skromność jednej postaci, albowiem drugiej potrzeba wszystkich sił wspierających fundament, który ma unieść wieżę Babel. Zapobiec tej pracy, oto jedyna polityka tych, którym zależy na własnym istnieniu, na księstwie, na księżnej i może nawet na samym księciu.

SZAMBELAN: „Może nawet" — pan jest bardzo szczery. Pańska szczerość, jeśli mam rzec prawdę, wzbudza we mnie strach przed zapowiedzianą decyzją. Żałuję, jak tego ostatnio coraz bardziej żałowałem, że służąc wiernie księciu zapomniałem o własnym bezpieczeństwie.

MARSZAŁEK: Wszystko jest jasne. Pan nie kokietuje partii przeciwnika, pan nawet odtrąca ją jedną ręką. Tylko jedną, to zasługuje na uznanie u starego dworzanina. Pozostała panu jedyna nadzieja, że nasz wielki przykład porwie pana za sobą.

SZAMBELAN: Zrobię wszystko co w mojej mocy, by temu zapobiec.

MARSZAŁEK: To mnie nie trwoży. *(pokazując na strażnika grobowca)* A ty, co tak pięknie umiesz siedzieć w milczeniu, zrozumiałeś wszystko, o czym tu mówiono?

SZAMBELAN: Strażnik grobowca?

MARSZAŁEK: Strażnik. Trzeba, widać, dopiero przybyć z daleka, by go poznać. Nieprawda, mój chłopcze, ty stare dziwaczysko. Widział pan go choćby raz, jak wieczorem pędzi przez las, tak że nie może go dosięgnąć kula najwytrawniejszgo strzelca? Ale w dzień staje się potulny na pierwsze skinienie.

SZAMBELAN: Nie rozumiem.

STRAŻNIK *(bliski płaczu):* Pan się ze mną spiera i nawet nie wiem dlaczego. Niech mnie pan puści, proszę, do domu. Przecież nie jestem złym człowiekiem, tylko strażnikiem grobowca.

SZAMBELAN: Pan mu nie dowierza?

MARSZAŁEK: Nie dowierzać? Nie, nie zasługuje nawet na uwagę. Ale jeszcze się do niego dobiorę. Myślę — niech to pan poczyta za kaprys lub przesąd — że jest nie tylko narzędziem zła, lecz także najczcigodniej samodzielnym rzecznikiem zła.

SZAMBELAN: Służy spokojnie dworowi około trzydziestu lat i zapewne ni razu nie był w zamku.

MARSZAŁEK: Ach, takie krety ryją długie korytarze, zanim wyjdą na powierzchnię! *(do służącego):* Zaprowadź go do parku Fryderyka, zostań przy nim i nie wypuszczaj go, aż nie otrzymasz dalszych rozkazów.

STRAŻNIK *(bardzo przestraszony):* Mam tu czekać na jego książęcą mość.

MARSZAŁEK: Mylisz się — zabieraj się stąd.

SZAMBELAN: Trzeba się z nim oględnie obchodzić. To stary, chory człowiek i księciu na nim zależy.

STRAŻNIK *(oddaje szambelanowi głęboki ukłon).*

MARSZAŁEK: Co? *(do służącego):* Oszczędzaj go, ale wyprowadź wreszcie! Migiem!

SŁUŻĄCY *(chce wyprowadzić strażnika).*

SZAMBELAN *(zastępuje im drogę):* Nie, trzeba sprowadzić powóz.

MARSZAŁEK: To dworskie powietrze. Bądź tu mądry. Niech będzie powóz. Przewieziesz ten klejnot powozem. Ale wynoście się już obaj z pokoju. *(do szambelana):* Pańskie zachowanie mówi mi —

STRAŻNIK *(w drodze do drzwi pada z lekkim okrzykiem).*

MARSZAŁEK *(tupie nogami):* Nie można się go pozbyć. Weź go na ramię, jeśli się nie da inaczej. Zrozum wreszcie, czego od ciebie chcą.

SZAMBELAN: Książę!

SŁUŻĄCY *(otwiera drzwi z lewej strony).*

MARSZAŁEK: Ach! *(rzuca spojrzenie na strażnika)* Powinienem był wiedzieć, że upiory nie dają się transportować.

KSIĄŻĘ *(wchodzi szybkim krokiem, za nim księżna, młoda, ciemnowłosa kobieta, zęby ma zaciśnięte, staje przy drzwiach).*

KSIĄŻĘ: Co się stało?

MARSZAŁEK: Strażnikowi zrobiło się niedobrze, chciałem zarządzić, by go odwieziono.

KSIĄŻĘ: Trzeba było mnie zawiadomić. Czy posłano po lekarza?

SZAMBELAN: Każę go wezwać. *(wychodzi środkowymi drzwiami, po chwili wraca).*

KSIĄŻĘ *(klęcząc przy strażniku):* Przygotujcie dla niego łóżko! Przy-

nieście nosze! Czy lekarz już idzie? Nie ma go tak długo. Puls słabiutki. Nie można wyczuć bicia serca. Żałosny kościotrup. Jakież to wszystko wyczerpane. *(raptem wstaje, przynosi szklankę wody, oglądając się wokoło.)* Ludzie są tacy nieruchliwi. *(znowu klęka, zwilża twarz strażnika.)* Teraz raźniej oddycha. Nie grozi nic złego, to zdrowy rdzeń, nie zawodzi nawet w największym nieszczęściu. Gdzież ten lekarz, lekarz! *(patrzy na drzwi, a strażnik podnosi rękę i głaska raz jeden księcia po policzku.)*

KSIĘŻNA *(odwraca wzrok, podchodzi do okna. Służący z noszami, książę pomaga układać strażnika).*

KSIĄŻĘ: Bierzcie go ostrożnie. Ach, z waszymi łapami! Podnieść mu nieco głowę. Nosze bliżej. Poduszkę niżej pod plecy. Ramię! Kiepscy, kiepscy z was pielęgniarze. Czy będziecie kiedyś też tacy zmęczeni, jak ten na noszach? — Tak — a teraz jak najwolniejszym krokiem. Przede wszystkim zaś równym. Idę za wami. *(w drzwiach do księżnej):* To właśnie strażnik grobowca.

KSIĘŻNA *(potakuje głową).*

KSIĄŻĘ: Chciałem ci go pokazać w innych okolicznościach. *(robi jeszcze jeden krok.)* Chcesz pójść z nami?

KSIĘŻNA: Jestem taka zmęczona.

KSIĄŻĘ: Wrócę, gdy tylko pomówię z lekarzem. A wy, moi panowie, zechcecie poczekać na mnie i złożyć mi relację. *(odchodzi.)*

MARSZAŁEK *(do księżnej):* Czy Waszej Wysokości będą potrzebne moje usługi?

KSIĘŻNA: Zawsze. Dziękuję za pańską czujność. Niech pan jej nie osłabia, pomimo że dzisiaj okazała się daremna. Tu chodzi o wszystko. Pan widzi więcej niż ja. Jestem na moich pokojach. Wiem jednak, że będzie coraz posępniej. Tym razem jesień jest niezwykle smutna.

Przełożył
Roman Karst

Zygmunt Radek

PODRÓŻ DO KĄPIELI MORSKICH

Z OKNA WAGONU

Gdzież jechać? Na wieś jaką? Do kooperatyw?
Chcesz psów szczekania słuchać w leśnym uroczysku
Czy poematów kruchych lecząc reumatyzm,
W błocie się kąpać albo w morskim kąpielisku?

Już przez okno otwarte z wagonu podróży
Drzew rysy świeże widzę i prace rolnicze.
Białe ptaki śpią w bruzdach, brąz upraw się kurzy,
Do wieśniaczek z grabiami pozdrowienia krzyczę.

I jeżeli przy pismach niejedną godzinę
Straciłem wertujący Brockhausa cierpliwie,
Teraz rumieńce pola w oku błyszczą żywiej,
Teraz z rozkładem jazdy jak na skrzydłach płynę.

Tu dawna Meklemburgia — stodół suche rysy,
Elewator pasiaty ze szpiczastym dachem.
I zioła w siana stertach tumanią zapachem,
I kosiarze na łąkach z kosą jak ibisy.

Ellys! Jest w tym obrazie urok jakiś świeży,
Przez czytanie poetów udoskonalony,
Każda rzecz do fantazji mojej tu należy —
Wszystko co lokomotyw mija bieg szalony.

Wpółrozwalona chata, gdzie w cegłach drżą bluszcze,
I korzenie splątane nad potokiem jaru,
Skąd poryk słychać bydła, gdzie czerń wody pluszcze,
Wszystko znów pełne sensu, znaczenia i czaru.

Może mnie tak uczyły pojmować naturę
Sceny z życia doktora, co przywołał czarta,
A teraz jeśli zręczność swą okażę piórem,
Wśród pism pierwszych nie będę chyba za bękarta.

Podobnie gdy oberek słychać gdzieś z fujarki,
Grajek taniec, a Niemiec ułoży kantatę,
Bo choć temat w obydwu tej samej jest miarki,
Sztuk zasady pozwolą zabłysnąć tematem.

Świeże uczucia łączą nas w związki serdeczne,
Poeta kocha mocniej i nie dla igraszek.
Gdy znasz pisma, gdyś badał i zajrzał do czaszek,
Gdy pytasz co jest zmienne, co trwałe i wieczne,

Gdyś dymił z kolb i flaszek, jeśli cyfr znasz prawa,
Gdy znasz się na turbinach, żaglach, kołowrotach,
Wtedy jest miłość z jaką krowiarką ciekawa,
Z doskonałością sztuki łączy się prostota.

Więc bluszcze żółte żółkną, krwią ruiny płoną,
Wiatrak zmienia się w wieżę w oku zachwyconym,
W zamczysko, gdzie siekierą o bramy walczono,
Czego dowód dostrzegam w drwalu przygarbionym.

Cztery ogromne skrzydła podnosząc, bo gonty
Do drągów przybijane służyły za pióra,
Jak łajdak, co odmienia ciągle w życiu fronty,
Do wiatru się obraca ta wieża ponura.

A wagon huczy, huczy w jarach, na wiaduktach,
Gra zwrotkę mechaniczną poczta kolejowa,
Na mostach, gdzie głóg pnie się jak na ekweduktach,
Gwiżdż głośniej, dygoc, bębnij — nie powiem ni słowa,

Nie powiem — tylko z ust mi wyrwie się piosenka
Fantastyczna, gdy echo woła las pobliski
I tory gdy wtórują mi rytmem bębenka.
Ach tę piosnkę pamiętam chyba od kołyski!

KOT ALBO PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEJ

Z ponurej restauracji, gdzie cuchnące śledzie,
Wyjadał z zielonego kubła w kuchni kącie,
Chciał emigrować. Zapewne do Egiptu wyjedzie.
Sczerniałej mumii kota szukano w Hellesponcie.

On także powstał z mumii po lat trzech tysiącach —
Królowa mu na czoło wkładała diadem,
Gdyż wiatr, który o rynny blaszane potrąca,
Mur kominów w indiańską zmienił palisadę.

Tymczasem u rzeźnika niektóre wyroby
Po upływie tysiąca lat się psuły nieco
I mówiono, że koty po nocy jakoby
Okradły masarnię, bo oczy im się świecą.

Potem byłam na pensjii sprzątaczką u panien,
Seanse spirytystek porwały mnie w locie.
Przy garażach nosiłam zasmolone ubranie.
Mój kochanek się zabił na starym samolocie.

Westchnień serca nie może znieść piwiarnia biedna
Podejrzana o kłamstwo i o cudzołóstwo,
Ale za to pieniądze już brała niejedna —
Przy tym w mieście jest armia i żołnierzy mnóstwo.

Kot Kajetan nie zawiódł mnie w tej życia próbie.
W fabryce past do butów złapał króla szczurów.
Byłam stenotypistką, lecz litery gubię,
Nie nadaję się także do klasztornych chórów.

I tak wsparta o łokieć pod lampą naftową
Na prowincji osiadłam w charakterze praczki,
A choć się dzisiaj mówi to i owo,
Najlepsze są obecnie amerykańskie wyżymaczki.

Białe nici krawcowej, uczcie mnie z przeciwka
Ściegów na modnych sukniach w tanecznym balecie.
To mi dopiero dziwo i cudna rozrywka,
By z chłopcami na scenie tańczyć jak nikt w świecie.

Koty archeologii już nas nie nauczą,
Gdy w ślepiach im zielona zastyga kamena.
O szóstej z rana wstańcie, gdy kominy fabryk huczą.
Gdybym była młodsza, uwiodłabym Tutenkamena.

1957 r.

REMINGTON

Czuję przez sen — ktoś pisze na mojej maszynie.
To jej dawny właściciel. Wszyscy zasypiali
O tej porze. Widziałem szkic w mód magazynie.
On żegna w długim liście ukochaną Sally.

I gdy tak znane czcionki biją o weliny
Karty, bo napisały stos mych poematów —
W porcie cztery czerwone ryczą gdzieś kominy.
Żegnaj luba. Niedługo już odpływa statek.

W kapeluszu z niewielkim rondem z lat dwudziestu,
Zasłuchana w melodię modną charlestona,
Zarzuciła z piór strusich boa na ramiona.
Parowce „Hamburg-Hansa" jechały do Triestu.

Krew kominów i serca spływa w barwną taśmę
Dwóch kółek zwijających papyrus epoki.
Łzy czarne są jak czcionki. Sally czyta właśnie
Papier, gdzie się karminu rozlały posoki.

W spodniach z łamanym kantem tysiąc Max Linderów
Macha parasolami pod skrzypieniem kranów.
I wyłania się z łodzi zieleń oceanu.
Kufry, pudła, walizy wnoszą do numerów.

Oto na trzecim piętrze zaskrzypiał gramofon
I zasnąłem ponownie — tak mi się zdawało,
Że maszyna stukała wiersze grecką strofą
A ja wisiałem nad nią, martwej rzeźby ciało.

Jestem woźnicą kwadryg. Czcionki podniesione
Jak czarne konie biją liter kopytami.
Kółka rwą niby koła. Rzym krzyczy w tę stronę,
Gdzie karty poematów giną pod kołami.

Maszyna się zepsuła, była pisma próba.
Wczoraj przez trzy godziny mokłem na pogrzebie.
Mechanik przyjdzie tutaj w drelichu cheruba,
Który zbiera litery dla znaków na niebie.

1957 r.

JAKIE ŻYCIE POETY PODOBA MI SIĘ

Od rana przyjaciele, mandolina, karty,
Wycieczki pod żaglami od czasu do czasu,
Całuski Katarzyny i wina dwie kwarty,
Róże, konwalie, maki, zabawy wśród lasów,
Teatr — buda, gdzie ledwo ściany będą cztery,
A z kurtyny jedyna jest tylko ozdoba,
I szelma kucharz gruby jak cztery litery —
Takie życie poety to mi się podoba.

Więc przykład bierz z Villona lub Claud de Lorraina.
Stare mury Londynu czy nowe Warszawy —
Wszystko jedno — niech tylko będzie miasta scena,
Niech tylko lutnia śpiewa twego ducha sprawy
(I twej kieszeni — dodam tutaj choć w nawiasie).
Więc hulaj pókiś młody i niech każda doba
Służy ci niby dobra karczma na popasie —
Takie życie poety to mi się podoba.

W więzieniu siaduj rzadko, a jeśli już trzeba,
Dla kata i oprawców ułóż panegiryk,
Ministrów i policję przeprowadź do nieba,
A zobaczysz, że wyjdą cztery tomy liryk.
Porównuj do Cezarów i do Kaligułów.
Jeśli inaczej piszesz, wezmą cię pod oba
Boki i zaprowadzą prosto do cyrkułu —
Takie życie poety to mi się podoba.

PRZESŁANIE:

Nie pęknij z przejedzenia, zażywaj senesu,
Nie umieraj, bo będzie państwowa żałoba,
Jeśli spotkasz cenzora — proszę daj go biesu —
Takie życie poety to mi się podoba.

Zygmunt Radek

Julian Wołoszynowski

WYRĄBANE DĘBY

Pan Piotr de Castro di Medina Coeli był trochę przygłuchy. Nie pamiętał już odzimej Hiszpanii, z której wywieziono go dzieckiem. A jednak do późnej arości zachował w myśli obrazy, które — jak w to wierzył — opromienione yły słońcem najżarliwszego Południa. Im był starszy, tym uporczywiej powra- ał do tych obrazów.

„Straszny kraj" — była ta jego nowa ojczyzna, południowa Rosja. Lubił po- tarzać: „to straszny kraj", gdy coś mu w życiu nie szło. A przeważnie wszy- ko mu jakoś w życiu nie szło. Ojciec jego spolonizował się w końcu, ożenio- y — po śmierci pierwszej żony — z Polką. Sam pan Piotr uważał się także za olaka, ale lubił przypominać każdemu swą krew hiszpańską. Trzeba przyznać, e to, co wyczytał w książkach o Hiszpanii, znakomicie mu pomogło do uwie- zenia w swoją własną i przodków swoich legendę.

— Wstąpię na śniadanie a potem rozejrzę się w planie dnia — powiedział sam o siebie.

Włożył niedźwiedzie futro, bo zima była zawalna, cały Mohylów Podolski za- iało śniegiem. Zamknął swoją księgarenkę na małą godzinkę — „i tak pies kulawą nogą w taką zamieć nie przyjdzie" — pomyślał i wyszedł na miasto, ogrążone w najgłębszej ciszy, bo tylko śnieg po nim latał i to bezszelestnie.

„O, idzie nasz Don Pedro" — pomyślał pan Uznański, właściciel cukierni, awiarni i piekarni pod firmą „François", patrząc przez okno na pustą ulicę po- iatowego miasta Mohylowa. — „Znowu będzie wygadywał na nasze miasteczko, że to mogiła."

Prawdę mówiąc nazwa Mohylowa pochodziła od źródłosłowu mogiła, ruskiego mohyła". Ale nawet pan de Castro, jako właściciel księgarni i wypożyczalni siążek, a więc człowiek oczytany, musiał przyznać, że to nie o taką zwykłą ogiłę panu wojewodzie Potockiemu, założycielowi miasta w XVI wie- u, chodziło, tylko o nazwisko jego teścia, hospodara Multan, Jeremiasza Łohiły.

„Nie kijem go, to pałką" — mówił zawsze jednak pan Piotr de Castro di Me- ina Coeli. — „Jeśli nie miasto samo, to ten, którego imieniem je nazwano, miał sobie coś takiego z mogiły. Śmiertelne miasto, straszny kraj" — powtarzał rzy każdej sposobności.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł pan Piotr, po hiszpańsku żarliwy kato- k, otrząsając się ze śniegu w oszklonej sionce, u wejścia do cukierni „François".

— Na wieki — odpowiedział pan Franciszek Uznański, sam pan „François"

we własnej osobie, z matki Francuzki i trochę „farmazon", jak go nazywał pan Piotr.

Pan Franciszek był rumiany na twarzy, rzadkie blond włosy miał starannie uczesane i rozdzielone pośrodku głowy, spod których coraz wyraźniej z każdym rokiem przeświecała różowa łysina. Szklane drzwi, opatrzone dzwonkiem dzwoniły dłużej niż trzeba, aż się uspokoiły i pan Piotr, uściskany przez pana Franciszka, rozebrany z niedźwiedziego futra przez perkatego chłopaka do posług kawiarnianych, usiadł w zacisznym kąciku cukierenki, tak „żeby nie wiało" od okien.

— Oto już i nowy rok od kilku tygodni, 1892, a wszystko po staremu — rzekł pan de Castro.

Ścienny zegar w cukierni zaczął właśnie bić, z wielkim grzechotem, dwunastą godzinę południa.

— Przez całą noc taka zadymka, aż do tej pory. Co za kraj! — dodał pan Piotr, ocierając swe gęste, nastroszone czarne brwi, stosunkowo nieznacznie posiwiałe. Twarz miał starannie wygoloną, bez zarostu.

Pan Franciszek, „François", miał zwyczaj wysłuchiwać pierwszych zwierzeń każdego gościa w milczeniu, potem dopiero — w zależności od nastroju klienta — wtrącać swój pogląd na rzeczy. Wyglądał sam jak pączek w maśle i z pączków słynęła jego cukierenka.

— Więc jak z tym będzie, hrabio? — zapytał pan Franciszek, znając słabość pana Piotra do tego tytułu.

„De Castro di Medina Coeli — to stara hrabiowska rodzina hiszpańska" — lubił powtarzać ten stary polski Hiszpan.

Pan „François", dobrze znający się na prawdziwych hrabiach, nie odmawiał biednemu staremu człowiekowi fonetycznej przyjemności, płynącej z tego urojonego, jego zdaniem, tytułu. Miał w gruncie rzeczy dobre serce pan Franciszek, mimo wielkich zdolności do interesów.

— Papier napisałem — odrzekł pan de Castro poważnie, smakując jeszcze dźwięk tytułu hrabia.

Biała kawa ze śmietanką, z ulubionym kożuszkiem, pachniała już aromatycznie na stoliku przed panem Piotrem, a sterta świeżutkich, lukrowanych, jeszcze ciepłych pączków z różanymi konfiturami znalazła się także przed nim.

— Trzeba to będzie dzisiaj jeszcze wysłać — rzekł pan Uznański.

— Co takiego? — zapytał przygłuchy trochę pan Piotr, zajęty pochłanianiem tłustych, niezrównanych pączków *à la François*.

— Powiadam, że dziś jeszcze trzeba to wyprawić pocztą, gdzie należy — powtórzył głośniej pan Franciszek, jednocześnie wyjmując z górnej kieszonki od czarnego surduta duże „pince-nez", zawieszone na grubym, czarnym, jedwabnym sznurku. Osadziwszy je na nosie, nieco powyżej nozdrzy, poprosił pana Piotra o pokazanie mu owego „papieru".

Chodziło o dostawy drzewne do Mohylowa. Konkurencja galicyjskich jodeł sprowadzanych z Austrii Dniestrem na budowę domów w Mohylowie, podcinała handel lepszym, ale droższym budulcem dębowym, z resztek wspaniałych niegdyś lasów dębowych Podola. Icko Szafir, wszechmocny faktor z Mohylowa, znalazł na to sposób.

— Icko zaraz tu będzie — rzekł pan Uznański. — Zaraz tu będzie! Icko! — huknął panu de Castro nad uchem.

— Aha! To dobrze — skinął głową pan Piotr.

W monasterze naprzeciwko cukierni „François“ odezwały się dzwony.

— O, znowu kogoś chowają — mruknął pan de Castro. — W taką zamieć. Nie mogliby poczekać. Co za kraj!

Za oknami cukierni przystanął, cały ubielony śniegiem, stary żebrak. Zdjął czapkę i trząsł tylko głową na obie strony, jakby ciągle powtarzał: Nie, nie. Pan Franciszek skinął na niego ręką, uchylił szklanych drzwi i dał staremu niedziaka. Ale stary stał dalej i kiwał przecząco głową.

— Pączka chce — rzucił pan Piotr de Castro di Medina Coeli, znawca ludzi, nohylowski hiszpański hrabia.

Pan Franciszek uśmiechnął się i powiedział:

— Wie co dobre.

Potem ujął w dwa pulchne palce ciepły pączek i podał go przez drzwi żebrakowi. Ten pokazał swe bezzębne dziąsła w dziadowskim uśmiechu, wpakował od razu cały pączek do paszczy, nadział na łysą czaszkę czapkę siwą, baranią i poszedł sobie.

Icko Szafir krążył koło szynku, ale wolał do środka nie wchodzić. Ledwo mógł utrzymać w obu rękach czarny, ogromny parasol, którym się zasłaniał od zadymki śnieżnej. Głębokie kalosze tonęły mu w grząskim śniegu na ulicy. W szynku siedziało kilku pocztarzy-jamszczyków i piło herbatę z wódką. Icko zobaczył z daleka doktora Wajnsztejna, który mimo podeszłego wieku szedł pewnym krokiem i bez parasola.

— Nu? — zagadnął doktor Wajnsztejn Icka, gdy się zbliżył do niego. — Jak interesa?

— Jakie mogą być dzisiaj interesa? — wzruszył ramionami Icko.

— A dlaczego nie mają być? — zażartował doktor Wajnsztejn, który wiedział, że Icko jest bardzo bogaty.

— Być to są, ale nie dla nas, panie doktorze — odparł nieugięty pesymista Icko.

— Co znaczy nie dla nas? — żartował dalej doktor Wajnsztejn. — A dla kogo mają być?

— Oj, panie doktorze, panie doktorze, ja to mam same zmartwienia.

— Co znaczy „zmartwienia“, ale „gield“ jest! Nu? Do widzenia się z panem.

— Do widzenia się z panem doktorem.

Doktor Wajnsztejn pobiegł naprzód dalej.

W karczmie Iwaś zadawał tonu. Był to ogromnego wzrostu chłop, atletycznej budowy. W rozchełstanej koszuli — tak go herbata z wódką rozgrzała — opowiadał coś swoim kolegom. Icko widział przez okno karczmy tylko jego zamaszyste gesty. Śnieg powoli przestawał sypać, wreszcie Icko mógł złożyć parasol. Przez chmury przesączyło się jasne, zimne, styczniowe słońce.

Icko do karczmy nie zdecydował się wejść i machnąwszy ręką pośpiesznym krokiem pobiegł w stronę monasteru. Naprzeciwko monasteru mieściła się właśnie schludna, zaciszna cukierenka pana „François” i Icko pomyślał, że lepiej jest zawsze pogadać z kulturalnym państwem niż z pijanym chłopstwem.

— Jamszczyki wszystko pijane — rzekł, wchodząc do cukierenki.

Zdjął czapkę futrzaną z nausznikami i został w samej jarmułce. Icko Szafir lubił porozmawiać czasem z hrabią de Castro di Medina Coeli o literaturze albo nawet o Hiszpanii, z której — jak utrzymywał — jego przodkowie byli wygnani przed wiekami. „Zawsze was skądś wyganiają" — mówił wtedy stary pan de Castro, chociaż właściwie lubił Icka. Icko! Ten to umiał każdemu się przypochlebić. „A z Egiptu to was nie wygnali"? — dokuczał pan Piotr. — „Wyście to byli największa plaga egipska." „Nu, pan hrabia żartuje, ale Icka Szafira lubi." „Lubi, lubi", odpowiadał udobruchany „hrabia", który uważał siebie zawsze za wcielenie Don Kichota Cervantesa. Ale teraz nie o literaturę itd. chodziło. Pan „François" pośredniczył w nawiązaniu kontaktu pomiędzy okolicznym ziemiaństwem a przedsiębiorstwem drzewnym Icka Szafira. Pan de Castro wykaligrafował tylko projekt umowy, pracował bowiem kiedyś u notariusza. Sprawa wysłania projektu była pilna.

— Zapusty, panie, zapusty! — zacierał ręce pulchny pan François. — To i u pocztarzy bałagan.

— Rozmówić się? Co znaczy rozmówić się, kiedy wszystko pijane? — tłumaczył się Icko.

— To prawda — zauważył pan de Castro. — Że Żyd się boi, ja się nie dziwię. Jamszczyki nie poznają po pijanemu, kto on jest, że on najważniejsza osoba w Mohylowie, tylko za pejsy i do przerębla w Dniestrze, prawda? A że Dniestr środkiem nie zamarza, popłynie Żyd do Morza Czarnego, bo to nie Czerwone, żeby się przed nim rozstąpiło...

— Aj-waj! — aż zakołysał się na krześle Icko Szafir. — Pan hrabia jak z Pisma Świętego czyta! Ja zawsze mówię, że tylko pan hrabia może z pijakami poradzić sobie.

Stanęło na tym, że pan Piotr de Castro di Medina Coeli osobiście rozmówi się z Iwasiem, który dzisiaj miał kurs pocztowy z Mohylowa do stacji kolejowej Rachny Leśne — sześćdziesiąt wiorst z okładem. Pierwszy postój ze zmianą koni przypadał w Serbach, na dwudziestej wiorście. Iwaś miał wyjechać zaraz po obiedzie, tylko że ten obiad w karczmie się przeciągał. Pan de Castro poszedł do karczmy. Oprócz woźniców zastał tam kilku jeszcze strażaków z ochotniczej straży pożarnej, którzy, odpasawszy topory, popijali z pocztarzami. Pan de Castro usiadł na skrzyni przy szynkwasie, chociaż Iwaś, poznawszy go, chciał mu ustąpić swego miejsca na ławie przy stole. Iwaś lubił przychodzić do księgarenki pana Piotra i przeglądać obrazki w książkach i czasopismach. To działało na jego wyobraźnię. Był zresztą niepiśmienny. Ta księgarenka to właściwie był antykwariat. Więcej tam było bardzo starych książek niż nowych; rocznik pism ilustrowanych, kalendarze berdyczowskie i tak dalej.

— Nie zgubisz listu? — rzekł pan Piotr do Iwasia.

Ten odwrócił się twarzą ku kątowi karczmy, gdzie wisiała ikona z Matką Boską Poczajowską i przeżegnał się, zupełnie na pijano, trzykrotnie krzyżem prawosławnym, trzema ściągniętymi ku sobie palcami: kciukiem, wskazującym i środkowym.

— Dawaj pan, dawaj graf!

Pan de Castro wyjął ostrożnie z kieszeni zalakowaną kopertę i wręczył ją Iwasiowi.

— Na poczcie konnej w Serbach oddasz ten list osobiście poczmistrzowi, panu Szmile. Do rąk własnych, rozumiesz?

— Oddać, to oddać. Wiadomo. Nieurzędowo. Nie pierwszy raz, nie ostatni — iwnął głową Iwaś.

Oczy miał jednak dosyć błędne.

— Ale nie odmówi pan hrabia czarkę jedną, z Iwasiem? A? Pokornie proszę. a nie cham, jak tu inni, ja Kozak. Ich ojców bili w zadek, a mego nie. Ja tak rawie jak szlachcic.

— Ja piję tylko szlachetne wino — rzekł dumnie staruszek, pan Piotr de Castro di Medina Coeli. — Wina napiję się z tobą, Iwasiu.

— Ale ja stawiam, panie hrabio.

— A cóżeś ty taki wielki pan dzisiaj?

Iwaś znowu zwrócił się do czerwonej lampki olejnej pod obrazem świętym.

— Tego ja tobie, mój grafie, nie powiem. Wielki pan — to wielki pan. Moja zecz!

Konie Iwasia już były zaprzężone, tylko woźnica się spóźniał. Stały uwiązane ejcami przy bramie i pilnował ich chłopiec z zajazdu.

— Zaśpiewaj, Iwasiu, zaśpiewaj! — prosili go jamszczycy i chłopcy z ochoticzej straży pożarnej.

Iwaś nie dał się długo prosić. Wziął do rąk bałałajkę. Zaczął śpiew jakimś rzytłumionym, miękkim, niskim głosem.

...Coś w tej pieśni było o nocy, o bacie jamszczyka w ręku, o księżycu jak ampa na niebie — o dziewczynie czarnobrewej w czerwonych koralach, o biaej pościeli, o wilkach, które, gdy je gonić, uciekają na cmentarze — i co one am robią? Pieśń o takich, którzy są w podróży, którzy są ciągle w podróży, drodze, na wozie i pod wozem, na saniach i pod saniami... Świeca na szynwasie migotała. Stary pan Piotr de Castro di Medina Coeli pociągał małymi austami wino i zdawało mu się, że się znajduje w jakiejś może mauretańskiej, zikiej winiarni, gdyby nie ten za oknami biały śnieżny pejzaż Mohylowa, no te dywagacje o wilkach.

„Starość", myślał pan Piotr de Castro. „Bodaj to być młodym!"

Kędzierzawe jasne włosy wielkoluda Iwasia spadły mu na oczy kozackim zubem.

— Nieszczęśliwa miłość — szepnął do pana Piotra karczmarz, chudy, wysoki Niemiec, dawny kolonista spod Odessy, od niedawna prawosławny.

Nazywał się Siegfried Krebs i miał w sobie coś z raka: pomiędzy pijakami miał tak chodzić, jakby ciągle się cofał. Ale nigdy nie darował swego. Miał zaniłowanie do map i nieraz wstępował do pana Piotra, by obejrzeć jakiś atlas. Trochę w życiu podróżował, był nawet w Ameryce.

— Cóż to za dziewczyna? — zapytał pan de Castro karczmarza Niemca. Lubił owiem romantyczne historie.

— Taka tam, panie hrabio, z tych, co to na skrzyżowaniach ulic w czerwoych chustkach i w trzewiczkach na wysokich obcasach na gołą nogę chodzą — nachnął ręką chudy, cnotliwy Niemiec.

— Taka Carmen — pokiwał głową pan Piotr.

— To, to, to! Nieprawdaż? — zaśmiał się pan Krebs.

— No i co?

— Wywieźli ją stąd, z Mohylowa. Była początkująca, nieprawdaż? Kupili ją do baletu, do Odessy. Był tu jeden taki pan, nieprawdaż, Grek jak się zdaje, bardzo bogaty. Wziął ją któregoś wieczoru do hotelu, a potem wywiózł. Iwaś

odtąd wariuje, nieprawdaż? Kiedy wrócił któregoś razu z Rachen do Mohylowa, już jej nie zastał. Szkoda chłopca, bo takiej to i nie żal...

Zmrok wcześnie zapadał i Iwaś, oprzytomniawszy nagle, zaczął się ubierać. Włożył kożuch, na kożuch burkę, przewiązał się czerwonym wełnianym pasem, omotał się nim trzy razy. Zapłacił, co się należało, karczmarzowi. Powiedział:

— No, rachunki moje w porządku?

— W porządku, w porządku — poklepał go pan Krebs po ramieniu.

— Bóg z tobą, Iwasiu! — rzekł pan de Castro. — A nie zapomnij oddać listu, gdzie należy.

— Ja wiem, ja wiem — mówił pośpiesznie wielki chłop Iwaś, wciskając na głowę czapkę siwą, baranią, kozacką, z blachą cesarskiego pocztarza. — Na prawo dwór, na lewo cerkiew, tam i poczta konna. A chata dzierżawcy poczty — za cmentarzem.

— Tak, tak — potwierdził pan de Castro.

Iwaś wyszedł.

— Ja bym zadarł takiej spódnicę i batem na goło — rzekł pan Krebs. — Nie latałaby wtedy po mieście. Z batem Iwaś obchodzić się umie, nieprawdaż, a tego nie zrobił. I dlaczego?

— „Bo miłość to jest cygańskie dziecię"... — zanucił pan de Castro arię z *Carmen* i pożegnał się z panem Krebsem.

Iwaś podróżował przez śnieżny step bez końca. Zaciął konie i pędził przed siebie. Już mohylowski jar został za nim daleko. Wielka biała przestrzeń leżała przed oczami. Płaskie, bałagulskie, blaszane dzwonki dźwięczały głucho w bezmiernej ciszy.

„Ech, swoboda!" — myślał Iwaś.

Na śnieżnym, mroźnym powietrzu wódka, wypita w karczmie, na nowo go omroczyła. Przypominał sobie, jak tego jeszcze lata kąpali się razem z Nastią w Dniestrze. W rosiste poranki biegali do jaru, najadali się słodkich morw, aż czarne mieli usta, a potem się całowali, całowali!

„Oj, dziewczyna była!! Jak wzdychała, jak modliła się do mnie, omdlewała! Mamo, mamo — wołała i padała biała, jak umarła..."

Śnieg znowu zaczynał padać. Iwaś sięgnął pod baranicę w saniach i wydobył butelkę wódki. Wybił dłonią korek w powietrze i wypróżnił butelkę do dna. Konie biegły bez bata w cwał. Dobra to była dwójka koni pocztowych: kary wałach i gniada klacz. Kary był z lewej strony, gniada z prawej. Chmury śniegu kłębiły się coraz niżej nad traktem. I wiatr zaczął wyć. Zbliżała się zamieć od stepu. Przejechał jeszcze kilka wiorst. Zamieć się rozrzedzała. Śnieg był miękki, mróz niewielki. Noc bez gwiazd i bez księżyca — tylko śnieg rozświecał drogę. Dobra to była dwójka koni! Kary i gniada. Z początku się gryźli, a potem się polubili. Ona mu zakładała głowę na szyję i coś szeptała do ucha, a on słuchał i słuchał, tylko czasem strzygł uszami. Naraz Iwaś zauważył, że i kary, i gniada strzygą uszami niezwyczajnie i parskają raz po raz. Z początku nie chciał wierzyć oczom.

— „Oni"! — szepnął sam do siebie.

Przed saniami, o jakieś kilkadziesiąt kroków, biegła para jakby wielkich psów.

„Jest ich dwoje, to może być i więcej" pomyślał Iwaś z przerażeniem.

Wilki nagle przystanęły i obejrzały się za siebie. Gniada klacz wspięła się dęba. Iwaś uderzył ją pod brzuch batem. Opadła na cztery nogi, ale biegła bocząc się i chrapiąc. Kary galopował regularnie i tylko strzygł uszami nieustannnie. Iwaś zdjął czapkę, wstał z kozła, przeżegnał się trzy razy krzyżem i, ściągnąwszy lejce mocno, począł okładać konie batem. Rzuciły się na oślep w galop. Tak pędził przed sobą parę wilków aż do jakiejś wioski, gdzie uskoczyły swoim zwyczajem na cmentarz.

— Bóg się zlitował — odetchnął wielki Iwaś.

Konie buchające parą poczynały się uspokajać.

— Dlaczego „Oni" zawsze na cmentarz uciekają? — pomyślał na głos. — Co „Oni" tam robią?

I nie mógł jakoś oddzielić wilków od wilkołaków w swojej wyobraźni, uważając je więcej za upiory niż za zwierzęta. I wypróżnił do dna drugą butelkę wódki, wstrzymawszy konie na krótki odpoczynek w białym bez końca stepie.

Nad ranem durny Demko, zawsze rozczochrany, ze słomą we włosach (palił we dworze słomą w piecach) poszedł do pana Szmiły, dzierżawcy poczty konnej w Serbach, aby odebrać *„Gazetę Warszawską"* i listy dla dworu. Pan Szmiła jeszcze leżał w łóżku i powiedział, że poczta wczoraj nie przyszła. Demko pokłonił się i poszedł sobie. Smutno mu było iść, więc pogwizdywał przez zęby. Nikt tak nie umiał gwizdać jak on, to była jego specjalność. I sam nie wiedział, dlaczego nie chciało mu się iść prosto, tylko jakoś krzywo, jakby tańczył po śniegu. Był durny, to wiadomo, wszyscy go mieli za idiotę, ale on wcale tak o sobie nie myślał. Zawrócił na prawo, zamiast iść przed siebie. Nikt mu nie powiedział, a on sam jakoś wpadł na to. I gwizdał idąc. I on pierwszy zobaczył martwego Iwasia. Gwizdnął tak przeciągle, że aż sam sobie się zdziwił, jak to potrafił.

Oto taki był koniec.

...Wśród śnieżnej pustyni, w zamieć, zawrócił jamszczyk Iwaś nie w lewo, lecz w prawo. Pomieszało mu się w głowie, gdzie cerkiew, poczta i cmentarz, a gdzie dwór — i zleciał z saniami i końmi z urwiska do jaru. Skośne jego kozacko-tatarskie oczy były szeroko otwarte. Konie wdeptały go w śnieg z błotem i same się podusiły w splątanej uprzęży, kary koń i gniada klacz. W śniegu leżała nietknięta ostatnia, trzecia butelka wódki. Część listów i paczek leżała w połamanych saniach, a część na śniegu w jarze. Cisza była nad jarem. Śnieg nad ranem tajał.

Durny Demko drapał się w głowę. Nagle spostrzegł kilka numerów *„Gazety Warszawskiej"* w jarze. Porwał je i poleciał do dworu.

— Je, je gazeta! — krzyczał.

— Czego się drzesz, durniu — skarcił go pan Teodor Draczyński, stary gumienny, który z trzciną w ręku wychodził ze swojej oficynki na podwórze. — Dawaj gazetę, zaniosę panu. Cóżeś ją tak ubłocił?

— Gazeta w jarze!

— Co ty pleciesz, durniu, w jakim jarze?

— W naszym jarze, panie gumienny, w tym to naszym...

Więcej durny Demko nie umiał wytłumaczyć, tylko ciągnął starego gumiennego za kożuszek, żeby poszedł coś zobaczyć. I uśmiechał się idiotowato. Poszli.

W burce Iwaś miał zaszyty paszport. Pan gumienny, Teodor Draczyński, drżącymi rękami założył okulary, stojąc po pas w śniegu w głębi jaru, i odczytywał nazwisko pocztarza: Jaczkuryński vel Lanckoroński — imię Iwan, prawosławny, lat dwadzieścia siedem... Pan Teodor zdjął kaszkiet i przeżegnał się po katolicku.

— Jeszcze jeden z naszej szlachty ubył. Któż tu u nas w Serbach z tej bidnej czynszowej szlachty został? No, niby ja, Draczyński; Kaczyńscy, Bilińscy, Lachowieccy, Bojanowscy, Irzykowscy, Krzemińscy, Białozory, Dabiże, Peretiatki, a oto i ostatni Lanckoroński...

List w sprawie dostaw dębów podolskich dla kupca drzewnego Icka Szafira w Mohylowie doszedł jednak, dzięki pedantycznemu dzierżawcy poczty konnej w Serbach, panu Szmile, do rąk właściwych i konkurencja jodeł galicyjskich na jakiś czas została wstrzymana. Wszystkie porządniejsze budynki w Mohylowie stawiano z ostatnich dębów podolskich, aż wyniszczono te słynne podolskie dęby — do ostatniego dębowego gaju, zwanego Staszkowe Krzaki, tam za górą czerniowiecką, na drodze do wsi Borówki. Odtąd całe Podole zadniestrzańskie stało się stepem bez lasów. (Prawdę powiedziawszy większość tych dębów zużyto jeszcze przedtem na opał w cukrowniach.)

— Jedna wielka mogiła, ten kraj — mówił pan Piotr de Castro di Medina Coeli siedząc w cukierni pana François Uznańskiego w Mohylowie.

W monasterze naprzeciw cukierenki biły znów dzwony na czyjś pogrzeb.

Warszawa — 1952

NENUFARY

Na wschód od nowego dworu stał stary dwór nad rzeką. Pora była letnia i wieczorami, od dwóch niedużych stawów, zasilanych podskórną wodą, rozlegały się koncerty żab, równie dobrze słyszane w obu dworach. Stary dwór miał charakter kresowego zameczku, nowy — zbudowany w 1850 roku — wyglądał bardziej nowocześnie. Stary składał się z kilkunastu pokojów, w różnych czasach dobudowywanych, o rozmaitych poziomach podłóg (z pokoju do pokoju wchodziło się lub schodziło po schodkach) — nowy dwór, o jakąś wiorstę od starego oddalony, nie znający ani tatarskich strzał, ani kozackich kul z autopsji, zdawał się być zgodny z ekonomicznymi pojęciami swego wieku. Nad obu stawami wieczorem często unosiła się rozmarzająca mgła, która pozwalała temu, kto tego chciał, wyobrażać sobie, że to morze.

Dawny żołnierz z wojny tureckiej, którego nienawidziły psy w obu dworach, przeczuwając w nim — nieomylnym swym węchem — żebraka, znajdował na przykład w tych mgłach uderzające podobieństwo do swych wizyj

młodości. Służył w rosyjskiej flocie czarnomorskiej. Opowiadał, że tonął dwa razy, że raz był bardzo długo pod wodą. Zapewniał, że na samym dnie Morza Czarnego. Ale się cudem uratował. Nosił z sobą na pamiątkę przebytej kampanii tureckiej nawleczoną na sznurek od szkaplerza poczajowskiego (z monasteru Matki Boskiej w Poczajowie na Wołyniu) złotą monetę turecką i chociaż żebrał, a co dostawał w kopiejkach, przepijał, nigdy mu do głowy nie przyszło, że można przehandlować ten amulet. Nad zieloną wodą stawów lubił przesiadywać, gdy był podchmielony, i patrzeć w kuszące głębiny. Wtedy mruczał coś pod nosem. Najczęściej obliczał w myśli, ile sążni głębokości mają wody w różnych miejscach stawu.

Któregoś wieczoru, gdy tak siedział nad wodą, posłyszano w starym dworze jego krzyk przeraźliwy. Pięciu chłopców stajennych, którzy przejęli właśnie pańskie wierzchowce, zgrzane forsownym galopem, i oprowadzali je dokoła gazonu przed gankiem, aby ochłonęły, skoczyło na polecenie dziedzica Władysława w stronę stawu.

— Znowu Jarema wariuje — powiedział najmłodszy, Władysław, zwracając się do swych braci: Juliana, Oktawiana, Augustyna i Aleksandra.

— Tak, to jego głos — rzekł poważny Augustyn. — Dałby Bóg, żeby nic złego.

— Musiał zdrowo popić — uśmiechnął się Oktawian, piękny, rosły mężczyzna, nadmiernie czerwony na twarzy, który sam nie stronił od kieliszka.

— Był dzisiaj u mnie z rana na basztanie — wtrącił jakby z poczuciem winy otyły Aleksander.

— Musiałeś mu dać znowu więcej niż należy — stwierdził Władysław, prawnik z wykształcenia. — Od ciebie poszedł do karczmy.

— Możliwe, możliwe — kłopotał się zbyt dobry Aleksander.

— Historia, którą mi opowiadaliście, jest ciekawa — przerwał braciom najstarszy Julian. — Mam o tym książkę w mojej bibliotece, tylko że tam zupełnie inaczej jest to przedstawione.

Tymczasem chłopcy stajenni chwycili pod ramiona Jaremę, który, mimo swej drewnianej nogi inwalidzkiej, stawiał zacięty opór. Wreszcie, gdy zrozumieli, o czym bredzi, puścili go, a on upadł na ziemię z rozpędu i krzyczał:

— Tam, tam, tylko patrzcie! Wystają z wody ręce.. Tam, gdzie woda taka czysta, bez żabińca, za ostatnim zielem tatarskim!

Pięciu chłopców naprawdę zobaczyło te ręce, wynurzone z rozjaśnionej księżycem fali, i nie oglądając się za siebie, w przerażeniu przybiegło pod ganek. Wkrótce dwa czółna, rozcinając na stawie wodę, zaciszną i nieruchomą, zdawały się zbliżać ku tym rękom. Pięciu braci patrzyło na to, stojąc na skraju parku, w miejscu, gdzie za dawnych czasów zaczynała się fosa obronna. Teraz stała tu ławka ogrodowa a przed nią niewielki okrągły stół, wkopany jak grzyb w ziemię. Władysław czasem przychodził tu z książką. Ale chłopcy na czółnach minęli sterczące z wody ręce i płynęli dalej.

— Nie tam, nie tam! Nazad, nazad! — krzyczał z brzegu Jarema, skacząc na jednej nodze.

Nie można było zaprzeczyć, że miał rację. Ręce zniknęły pod wodą a potem znowu się wynurzyły w innym miejscu. Chłopcy w czółnach trafili na mieliznę. Zasłoniły ich dalekie kępy tataraku. Poczuli nagle, że coś ich prze-

straszyło, i nie mogli odkrzyknąć Jaremie ani nawet panom, których w tej chwili mniej się bali niż zwykle. Mieli wolę zupełnie sparaliżowaną i spoglądali jeden na drugiego z ogłupiałym przerażeniem.

— Nic innego, proszę łaski panów, tylko rusałka — odezwał się, zupełnie trzeźwo tym razem, Jarema. — Zeszła się z nimi, nie ma co gadać. One to umieją. Sam tonąłem dwa razy, to wiem. Umrę, a ją złapię!

— Nie puszczać starego, bo utonie — zaprotestował dobry Aleksander, poprawiając pasa na brzuchu.

Ale Julian, najstarszy z braci, machnął ręką:

— Co komu pisane, to go nie ominie.

Augustyn chciał rozsądnie podtrzymać Aleksandra, ale Oktawian, ubawiony całą sceną, dopomógł nawet Jaremie odwiązać zapasowe czółno i sam je odepchnął od brzegu. Władysław przyglądał się w milczeniu rozfalowanej na stawie wodzie i zdawało mu się, że zarysy rąk mnożyły się mu w oczach. Nad starym dworem i parkiem unosiły się mgły coraz gęstsze znad jeziora, w księżycu zdawały się prawie żółte. Wysokie szable tataraku zasłoniły na razie czółno starego żebraka-inwalidy i jednocześnie na grobli dzielącej dwa stawy, od strony Czerniowiec, ukazało się światło kagańca. Julian pierwszy zauważył to światło i zajęło go ono więcej niż to, co się działo na stawie.

— Dureń. Z kagańcem przy księżycu jedzie — rzucił, nie wiadomo czemu zdenerwowany.

Jednokonna bryczka pocztowa zatrzymała się przed bramą wjazdową. Pocztylion uwiązał lejce u bramy i przez uchyloną furtkę wszedł na ścieżkę, prowadzącą wzdłuż gazonu ku izbom czeladnym. Była to depesza do Juliana, aby natychmiast udał się do Mohylowa. W jego domu mohylowskim, zamienionym na bibliotekę, był pożar. Spłonęła większa część książek. Donosił o tym jego oficjalista, który po ugaszeniu pożaru pobiegł na telegraf i nadał depeszę do Czerniowiec, opłaciwszy umyślnego posłańca. Julian, przeczytawszy depeszę, opadł na ławkę nad stawem. Potem, oparłszy się łokciami o stół wkopany w ziemię, ukrył twarz w dłoniach.

— Zaprzęgać! — rzucił słabym głosem.

W tej właśnie chwili fontanna wody trysnęła wysoko na środku stawu. To Jarema wskoczył do wody. Światło kagańca pocztowego znów ukazało się na grobli, a potem jeszcze błyszczało, gdy bryczka, minąwszy zakręt drogi, zwolna poczęła się wznosić na czerniowiecką górę.

„Świątynia mojej nauki" sformułował Julian w myśli cios, który odbierał mu sens życia. „Ta starzyzna, ta moja starzyzna, książki liczące setki lat..."

Tymczasem zaprzęgano czwórkę koni w poręcz, żeby skrócić możliwie czas jazdy. Aleksander, który miał stadninę i najlepszymi cugowymi końmi przyjechał do Władysława, pożyczył Julianowi swojej arabskiej białej czwórki — i Julian pojechał. Jeden tylko Augustyn zajął się bratem poważnie. Reszta braci została nad stawem. Przestraszeni chłopcy, którzy osiedli z czółnami na mieliźnie i nie mieli sił stamtąd się ruszyć — gdy posłyszeli plusk wody i przekleństwa chlupiącego się w stawie Jaremy, nagle oprzytomnieli, zręcznie zsunęli czółna z powrotem do wody i pośpieszyli ratować żywego człowieka. Wyciągnęli Jaremę z wody i przybili do brzegu, wśród stalowych w księżycu tataraków. Jarema, ociekający wodą, trzymał w ręku kilka ogromnych, białych nenufarów i potrząsał nimi.

— To nie to! — krzyczał. — To nie to było! Tylko mi splątało ręce, więc — dawaj go tu — urwałem.

— To znaczy, że lilie wodne były podobne do rąk? — zapytał ponuro Władysław, który nie lubił niejasnych sytuacyj.

Zbyt wiele miał z nimi do czynienia, mieszkając odludkiem w starym dworze, samotnie — w towarzystwie duchów, w które nie chciał wierzyć, ale które tym natarczywiej dobijały się do niego.

On jeden wiedział, co te stare kąty w sobie kryją. Przebudowywano ten stary dwór od paruset lat i ciągle tu czegoś brakowało. Zaczynano i przerywano budowę. Klecono byle jak to, co zaczęto, i tak zostawało. „A niechaj no", „poczekajmy do lepszych czasów". W duszne wieczory letnie pachniały odurzająco kłomby nikocjany. Wtedy Władysław lubił kłaść się w hamaku, zawieszonym na ganku. Widział stąd okna niskiej oficyny, oświetlone, zamieszkałe. Mieszkał tam rządca z rodziną. Kiedyś ta oficyna miała innych gości. Rządca, dobroduszny wąsal, wdzięczny był za kawałek chleba i zatroskany o swoje dzieci. Cicho teraz było w starym dworze, ale kiedyś należał do krwawej historii. Tutaj, na dziedzińcu dworskim, posypanym dzisiaj żółtym piaskiem, odbyła się egzekucja Gonty.

Zabity w mękach na tym dziedzińcu pułkownik kozacki Gonta — zdawało się Władysławowi — został gdzieś w tych okolicach i krążył dokoła starego dworu serbiańskiego, nie mogąc znaleźć poćwiartowanych części swego ciała, zakopanych, jako przeklęte, po różnych rozstajach dróg. We wsi wskazywano jedno miejsce, pod krzyżem zielonym na górze czerniowieckiej drugie, trzecie — gdzie rozwidla się trakt mohylowski i na lewo prowadzi, poszerzona ostatnio, droga do Słobódki Gruszeńskiej. Nieraz konno, na białym ogierze, jeździł Władysław na tamto trzecie miejsce. Uczyło go ono myśleć o sprawach nieznanych, które warto poznać do końca. Tam był kamień wapienny na rozdrożu, nad ziemią stercząca płyta w kształcie trójkąta, a na niej ślad napisu — niewyraźny krzyż, nazwisko i data kaźni Gonty. Lecz po co było tak daleko jechać? Na jednej ze ścian drewnianej oficyny, której pogodnie oświetlone okna widział Władysław ze swojego hamaka, na czarnej belce wycięty był dłutem napis: data kaźni Gonty. Z okien tej oficyny w 1768 roku oficerowie rosyjscy i polscy z hetmanem Branickim na czele, przy zastawionych w sieni stołach przyglądali się egzekucji. Że pili wtedy na umór, temu się nie dziwił Władysław. Dziwił się tylko, że mogli jeść. Tradycja egzekucji była we wsi żywa. Jak do Serbów sprowadzano „hycla" z Mohylowa; jak ten wyrwał Goncie język przed kaźnią („bo za dużo wiedział"); jak wkopano osikowy pal tu, na dziedzińcu; jak odcięto Goncie prawą rękę i lewą nogę; jak potem darto z niego pasy skóry. Potem podniesiono go w górę i posadzono na palu, ostro zaciętym. Mówiono, że pal wchodził „trudno" w ciało. Z wszystkich okolicznych wsi podolskich spędzono chłopów — „dosyć było ludzi" — żeby widzieli, jak się kończy bunt. To miejsce zachowało tamte ślady.

O świcie wróciły konie z Mohylowa. Juliana odwiózł Augustyn. Przez pusty step, traktem mohylowskim jechali w nocy. Przyjechali jeszcze przed północą.

Julian był zrujnowany. Stał długo nad czarnym spaleniskiem książek, potem uklęknął wśród gruzów i głaskał grzbiety okładek, które ocalały. Krew mu uderzała do mózgu, stracił przytomność na krótko, potem otworzył oczy, usiadł na ziemi, oparł się plecami o ścianę i już nie żył.

— Apopleksja — powiedział Augustyn do Władysława.

— Czy nie można było ratować? — zapytał Władysław. Ale zdawało się, że o czym innym myślał.

— Panie, świeć nad jego duszą! W Bogu jedyny ratunek — rzekł Augustyn, odwracając się twarzą do okna. — Zamknąłem mu oczy, zamknąłem szczęki. Dobrze, że choć na to się przydałem.

O świcie nad stawami ścieliła się znowu mgła. Władysław z fajką w zębach poszedł na ławkę nad stawem. Augustyn pojechał do siebie, do nowego dworu, do żony i dzieci. Władysław zobaczył Jaremę, który otrząsał jabłka z drzewa i chował je po kieszeniach wytartego munduru. Władysław zagwizdał i Jarema obejrzał się od razu. Skradając się za krzakami róż ukazał się wreszcie i zdjął kaszkiet z głowy. Łysina jego błyszczała jak kolano, a ruda broda mocno była pobielona siwizną.

— A co, proszę łaski pana, nie mówiłem?

Słońce już podnosiło się zza góry czerniowieckiej i oświetlało zielony krzyż pośrodku.

— Co ma wisieć, nie utonie — powiedział na początku Jarema. — To niby ja, proszę łaski pana. A że się najstarszemu jaśnie panu zmarło — Królestwo niech ma Niebieskie — to tak, widać, było mu pisane.

Władysław tak był zmęczony, że nie przepędził żebraka.

— Pośpieszyć się trzeba, proszę łaski pana, poświęcić te wody na nowo — święconą wodą. Bo będzie wymiatało z domu dziedziców naszych. Na skrzyżowaniach dróg też pokropić na nowo — chrzczoną wodą, kropidłem z cerkwi.

— Ty czego, dziadu, chcesz?

— Ja nic, ja tylko tak — mruknął niepewnie Jarema.

I wtedy nagle uświadomił sobie Władysław, że brat Julian gromadził w swych zbiorach wszystkie druki i rękopisy dotyczące sprawy Gonty. Były tam liczne zeznania naocznych świadków kaźni, a także nieznane materiały, związane z przebiegiem buntu Gonty, spisy osób zamordowanych podczas rzezi kozackich i chłopskich, kierowanych przez Gontę i Żeleźniaka. Jarema usiadł na trawie u stóp Władysława i powiedział:

— Kiedy ona się zjawia, to niedobry znak. Zawsze jakąś śmierć dla dworu przyniesie.

— Któż to taki?

— Rusałka — szepnął Jarema.

— Znowuś pił?

Jarema uklęknął na trawie, złożył ręce jak do modlitwy i mówił powoli:

— Chwała Bogu, chwała Bogu i na wieki chwała! Dopraszam się łaski pana: Oto jak to było. Kiedy zobaczyła na własne oczy, co mu zrobili, serce jej ścisnęło się i nie wiedziała, czy na tym świecie żyje. Jak ta osika zadrżała, gdy go na osikowy posadzili kół. A potem zaryczała i wiatr ją poniósł. Duszno było jak teraz, taki znój. Może ochłodzić się chciała, a może

i bez tego... Jak pobiegła wtedy z dziedzińca, to ludziom się zdawało, że przez drzewa przeskakuje, przez dachy chat i tam, gdzie ta stara płaska grobla, poniosło ją. Byli tacy, co to widzieli. Matka moja nieboszczka — Królestwo niech ma Niebieskie — sama mi opowiadała. A na drugi dzień wyciągnęli ze stawu dziewczynę. Z naszych Serbów była. Zła dziewczyna. Oczy, mówili, złe miała. Tylko nad podziwienie gładka. Trup już był z niej rozmiękły, gdy ją wyłowili postronkami z wody. Powiadali, że to była jedna z dziewczyn Gonty. Powiadali, że ostatnia, z którą spał, zanim go podstępem wzięli w Gruszce. Ona to jest ta rusałka. Gdy pokaże się, to kogoś w starym dworze upatrzyła. Widać, nie przeklęła tych, co go zabili, tylko miejsce. A teraz się męczy, diabla dusza, a czaru swego przedśmiertnego nie może odczynić. Święconą wodą, proszę łaski pana, pokropić na nowo te przeklęte wody — a złe się odczepi.

— I już nigdy tu śmierci nie będzie! — uśmiechnął się sceptycznie Władysław.

— I już nigdy tu śmierci nie będzie, na wieki wieków, amen — przeżegnał się klęczący żebrak, inwalida z wojny tureckiej, który dwa razy tonął w Morzu Czarnym i nie utonął.

Władysław dał mu tego dnia na wódkę i pojechał do Mohylowa, by zająć się pogrzebem brata.

Materiały dotyczące Gonty naturalnie spłonęły razem z biblioteką Juliana. Władysław bez Jaremy wiedział, że ta „rusałka" należała do stałego repertuaru opowiadań o duchach i przywidzeniach, nawiedzających stary dwór w Serbach.

P. S. Wojna rosyjsko-turecka, w której po stronie Rosji wojował Jarema, była tą samą, w której — po stronie Turcji — formował swój legion Mickiewicz.

Warszawa — 1951

ATAK SERCA

Schodziło się z góry w dół, od nasypu kolejowego, ścieżką spadzistą do lasu. Tędy wody wiosenne, naruszając śnieg, spływały pierwsze, krótkim, szumiącym porywem. Spod tej wody, która zmyła śnieg, wody jeszcze szumiącej, wynurzały się pierwiosnki, białe jak śnieg, jak ostatnie ocalałe gwiazdki śniegu, pierwsze kwiaty bez zapachu. Stary człowiek, otyły, w bekieszy, cierpiący od kilku nocy na bezsenność, szedł tą ścieżką z góry na dół w las. Czuł wiosnę, tę najpiękniejszą, niezwykłą porę, która wywołuje ucisk w sercu. Chciał rozmawiać i nie miał z kim. Chciał opowiadać, co znaczą takie chwile

w życiu. Czerwona zorza oblewała biały w dolinie las i stary człowiek zamruczał, w przekonaniu, że nuci, jakiś fragment mszy śpiewanej po łacinie:

— *„Pater noster, qui es in coelis; sanccefícaetur Nomen tuum; adveniat regnum tuum...”*

Skąpe były wspomnienia, a jednak w melodii i w słowach tej mszy odżywało dzieciństwo, gdy był chłopcem małym i do mszy służył:

— *„...sed libera nos a malo...”*

Górą, po nasypie, przeleciał pociąg towarowy, długi szereg czerwonych wagonów. Wygiął się na zakręcie jak harmonia. Gwizd lokomotywy, dany na zakręcie, w pobliżu stacji, przerwał staremu rozmyślania, i pan Burba przystanął pod drzewem.

„Może warto by — myślał — pojechać do doktora!”

Wiedział, że pociąg towarowy o tej porze długo będzie stał na stacji i czerpał wodę u pompy. Ranek przed wschodem słońca, w purpurowej zorzy wśród śnieżnego lasu, bukiecik białych, zimnych pierwiosnków — to jeszcze nie wszystko, kiedy coraz trudniej oddychać...

W bufecie na stacji otwierano szafę, nalewano wodę z wiadra do samowara. Stary maszynista pociągu szukał po kieszeniach miedzianych kopiejek, zawiązanych w czerwoną chustkę do nosa. Usiadł na ławce w pustej poczekalni i rozwijał z gazety ranne śniadanie, kiełbasę z bułką.

Pan Burba, schowawszy do skośnej kieszeni bekieszy bukiecik pierwiosnków, ciężko opierając się na dębowej lasce, wszedł do zimnej poczekalni. Na białych, bielonych kiedyś ścianach, kwitła wilgoć wszystkimi kolorami tęczy. Na ladzie bufetu zjawiła się urzędowa wódka. Brudna, rozczochrana dziewczyna przybiegła z mokrą ścierką na kiju, przetarła pośpiesznie drewnianą podłogę. Pan Burba przysiadł się do maszynisty.

— Podwiezie mnie pan do Żmerynki?

Maszynista spojrzał na starego, otyłego człowieka i otarł wąsy czerwoną chustką.

— Dlaczego nie?

Talerz z dwoma kieliszkami znalazł się od razu na stole. Przez uchylone do kuchni drzwi zobaczył pan Burba, jak ta sama brudna, rozczochrana dziewczyna zarzynała kurę — jak potem tułów bez głowy skakał po kuchni, krwawiąc.

— Muszę jechać do doktora — rzekł pan Burba do maszynisty.

— Nie chce pan czekać na osobowy?

— Nie.

— Mróz był w nocy, a teraz roztajało. Trzeszczał las, kiedyśmy tu jechali. A u was wiosna.

— A u nas wiosna. — Pan Burba rozpiął bekieszę.

Wschód słońca napełnił światłem brudną poczekalnię, wszystko pożółciało. Pan Burba nie pił wódki tym razem. Przybiegł pomocnik maszynisty. Pan Burba poczęstował go kieliszkiem — i pojechali.

Ciepło było, za ciepło w parowozie. Lokomotywa gwizdnęła, szarpnęła obciążone wagony. Po obu stronach toru, wśród białych wysp śniegu, płynęły wiosenne strumienie.

— Tu zawsze bywają powodzie, ta mała rzeczka wylewa — krzyknął stary

naszynista, odwracając się do pana Burby, gdy mijali most nad Jaroszyną. — Musi być i w tym roku.

Pan Burba znał tego maszynistę od wielu lat. Maszynista pochodził z tych tron, z sąsiedniej wsi. Na trasie Odessa — Kijów jeździł od dawna. Tutaj yła mniej więcej połowa drogi. Rozgrzany paroma kieliszkami, maszynista ył w podnieconym humorze. Przytupywał nogami w walonkach i podśpiewywał pod nosem. Pomocnik za niego prowadził maszynę, dorzucając węgla o pieca. Stary maszynista wiedział, że kiedy z doktorem sprawa, to lepiej tym nie gadać. Będzie, co ma być. Byle się nie położyć do łóżka. Bo kiedy złowiek położy się do łóżka, to rzadko kiedy wstaje. Dopóty życia, dopóki złowiek chodzi, ma siły do pracy. A kiedy się położy, to zaczyna rozmyślać. to jak śmierć. Starzy ludzie nie powinni kłaść się do łóżka, nie powinni ami z sobą zostawać.

Pan Burba w rozpiętej bekieszy nic nie mówił. Przed nim biegły stalowe zyny, błyszcząc w porannym słońcu. Stary maszynista usiadł obok pana urby.

— Podleczyć się zawsze warto — zaczął bez przekonania. — Nie wiem laczego — ciągnął dalej — ale kiedy wypiję z rana, to od południa czuję ię nieswój.

Myślał, że najlepiej pociesza się chorego opowiadaniem o chorobach inych ludzi.

— W Żmerynce stoimy ze dwie godziny. Mógłbym pójść z panem razem o doktora, sam bym się też poradził.

— Nie wiem, ale może sam sobie dam radę — odpowiedział pan Burba iewyraźnie.

Lekarz, ujrzawszy pana Burbę o tak wczesnej porze, zamknął furtkę w milczeniu prowadził go przez ogród do drewnianego domku. W małym aloniku-poczekalni ujrzał pan Burba kolorowy obrazek, przedstawiający żyie na dnie morza. Młody lekarz nie pytał o zdrowie, tylko od razu podał akiś płyn w szklance i podsunął karafkę z wodą do popicia lekarstwa. Ale an Burba nie popijał.

— To zupełnie smaczne — rzekł, ocierając żółtosiwe wiechcie wąsów.

Lekarz wyszedł do drugiego pokoju i przyniósł poduszkę.

— Niech się pan dobrodziej położy trochę na tej otomance.

Pan Burba był ojcem dwóch pięknych córek. Młody lekarz poznał je kieyś na werandzie, gdy odwiedzał pana Burbę.

„Infarctus — podobno już nie po raz pierwszy" — przypominał sobie.

Panny Burbianki podejmowały go wtedy herbatą z placuszkami własnego ypieku. Zakochał się z miejsca, tylko nie wiedział dobrze w której. Potem, iedy go prowadziły przez ogródek do bramy, gdzie czekała na niego bryczka worska — a w ogródku była żółta jesień — nie wiedział, która z dziewcząt ardziej mu się podoba, i żałował, że nie jest Turkiem. Od jesieni ostatniej ie widział pana Burby ani jego obu pięknych córek. Usiadł teraz na otoance obok starego, chorego człowieka i ujął go za rękę.

— Pan, doktorze, więcej wie ode mnie, jak jest naprawdę. Nieprawda, że złowiek bliski śmierci gada morały. Morały to wy gadacie, lekarze. A nie łób

tego, a nie pij tego, a tego nie jedz! A nie trzeba było tego robić, tamtego pić, owego jeść...

Lekarz widział, że pacjent chce rozgadać się niby żartobliwie. Ale wyczuł niezwykły niepokój w jego słowach. Zbadawszy puls, ścisnął mocno pana Burbę za rękę i powiedział:

— Wszystko jeszcze będzie dobrze!

I rzeczywiście, po zażyciu lekarstwa poczuł się pan Burba znacznie lepiej. Po południu lekarz podjął się odwieźć pana Burbę do domu. Wracali pociągiem osobowym — zaledwie godzina drogi.

Na ganku spotkały ich zapłakane dziewczęta. Nie wiedziały, co się z ojcem stało. Spały jeszcze, gdy wyszedł z domu. Łysy buchalter z administracji hrabskiego majątku siedział od rana w mieszkaniu pana administratora Burby i biadał razem z dziewczętami. Lekarz prowadził pana Burbę pod rękę, ułożono go na łóżku. Dwie ciemnowłose, piękne córki stanęły nad ojcem z załamanymi rękami. Różane ich wargi drżały, wpółrozchylone bezradnie. Potem pan Burba zasnął, odwróciwszy twarz do ściany. Młody lekarz pierwszy opuścił pokój. Nieznacznie przejrzał się w lustrze, które mijali u wejścia do małego saloniku. Poprawił sobie włosy.

— Co się stało? — zapytały obie córki niemal jednocześnie, gdy znaleźli się w saloniku.

Były przerażone.

Za oknami zaczął padać zimny, wczesnowiosenny deszcz.

— Boże, co się stało? — powtórzyły znów razem.

Łysy buchalter o twarzy lunatycznej ledwo się trzymał na nogach. Dziewczęta były ubrane w brązowe mundurki z czarnymi fartuszkami, chociaż już od roku skończyły szkołę. Donaszały po domu swe szkolne sukienki.

— Muszę wracać — powiedział lekarz.

— Jakże się panu odwdzięczymy! — zawołały z przejęciem. — Może pan coś przekąsi?

— Przyjadę późnym wieczorem — odpowiedział młody lekarz.

— Ale jeżeli się przedtem powtórzy? — Dziewczęta ukryły twarze w dłoniach.

— Ojciec jest poważnie chory, ale do mego powrotu nic się stać nie może. Oto krople w razie potrzeby.

Konie czekały na doktora, deszcz padał. Łysy buchalter zapowiedział, że nie opuści pana Burby. Stróż nocny napalił w piecu.

— Oj, wiosna, wiosna — mruczał do siebie, pokaszlując.

Doktor odjechał.

„Co się czuje — myślały dziewczęta — gdy serce pęka?"

•

Ukazała się na niebie gwiazda wieczorna, gdy pan Burba się przebudził. Ujrzał ją przez okno na ciemnym, czystym, szafirowym niebie. Resztki wiosennych chmur, jak zsiadłe mleko, rozpędził wiatr wieczorny. Pan Burba był szczęśliwy, że ją zobaczył:

— „O, gwiazdeczko, coś błyszczała, gdym ja ujrzał świat..."

Poczuł łzy w oczach, załaskotały go. Otarł je kołdrą.

„Dlaczego nie mam syna — pomyślał — tylko córki?"

Miał kiedyś syna, ale umarł mu niemowlęciem.

„Przed córkami trzeba będzie udawać, z synem można byłoby pomówić po ęsku...”

Nagle przychodzi zupełny bezwład. Taka cisza w domu. Panu Burbie zdawało się, że przez sen słyszał, jak Onufry zwalił wiązkę drew na podłogę rzed kominkiem. Zapewne palił w piecu... Pan Burba czuł wielkie osłabienie. Włożył rękę pod koszulę i dotknął okolicy serca. Skóra była wilgotna. Iusiał się spocić podczas snu. Odchylił kołdrę. Ogarnęła go tkliwość na widok tej jedynej gwiazdy na ciemnym niebie. Zdawało mu się, że to jakiś nak od matki.

— Mamusia — powiedział szeptem stary człowiek i sam się zdziwił, że to owiedział. Jakby się zawstydził. Ale był sam, nikt go nie mógł podsłuchać.

„Taka stara już była, tak zawsze o wszystko zatrwożona, spodziewająca się iągle najgorszego...”

Zdawało mu się, że słyszy w tej chwili jej głos, taki słodki, uspokajający. 'rzypominał sobie historię z gąsiorem, którą mu opowiadała. Była kluczicą przy dworze.

...Była para rasowych gęsi, gąsior i gęś, nigdy się ze sobą nie rozstających. o wieczór ta nierozłączna para, o zachodzie słońca, szła na śmietnik w poliżu podziemnego spichlerza i gęgała przez dłuższą chwilę. Potem gąsior zedł pierwszy a gęś za nim, do zagrody dla drobiu, do stada. Matka co wieczór z okien czeladnych to widziała. Aż któregoś Bożego Narodzenia, w wilię Vilii, gdy w piekarni była zajęta ciastem, zarżnięto z jej polecenia kilka gęsi. Iie przewidziała, że niebezpieczeństwo może zagrozić wiernej towarzyszce ąsiora. Mówiła zawsze, że to była jedna z najsmutniejszych wilij dla niej. Gąsior poszedł tego dnia, o zachodzie słońca, sam na śmietnik i gęgał dłużej iż zwykle i rozpaczliwie. I tak co wieczór , o zachodzie słońca, nawoływał swoją owarzyszkę. Nie chciał prawie nic jeść, pił tylko wodę, aż zdechł z tęsknoty iedługo po Trzech Królach.

Pan Burba przypomniał nagle sobie, że w kieszeni bekieszy miał pierviosnki. Gdyby nie one, nie przerywałby sobie marzeń. Ale zrobiło mu się al niewinnych kwiatków i pomyślał, że może one męczą się w tej chwili ez wody tak samo, jak on dziś z rana bez powietrza.

„Głupia rzecz umierać na wiosnę” — pomyślał.

Matka także umarła na wiosnę, mniej więcej o tej co teraz porze, niedługo o Wielkanocy. Żona umarła przy połogu, rodząc słabowitego synka.

Gdy pan Burba zawołał, stanęły w drzwiach obie piękne córki, z szeroko twartymi czarnymi oczami, bardzo zatroskane. Były tak podobne w tej hwili do swojej matki ciemnowłosej, którą — dorosły już mężczyzna— polubił prawie dzieckiem. Sine niebo za oknami było już pełne gwiazd, z przyległego pokoju wpadała smuga światła od lampy naftowej pod żółym kloszem. Pan Burba nigdy nie nosił okularów, wzrok miał dotąd ostry. Dostrzegł, że na szkiełku od lampy osadzona była przezornie żelazna szpilka, hroniąca je od pęknięcia. W pokoju, gdzie leżał pan Burba, było zupełnie iemno, ale córki stały w smudze światła i dlatego widział ich twarze.

— W mojej bekieszy, w prawiej kieszeni, jest trochę pierwiosnków. Włóżie je do wody. Powiędły pewnie — powiedział pan Burba spokojnym łosem.

To uspokoiło obie córki od razu. Obie skoczyły do sieni szukać bekieszy.

— Zaraz przyjdą do siebie! — zawołały z drugiego pokoju. — Niech się ojciec nie martwi

Na progu stanął łysy buchalter, jak zawsze o lunatycznej twarzy.

— Czy można? — zapytał cicho.

— Siadaj, panie Iwański, rad cię widzę — odezwał się w ciemnościach głos pana Burby.

Nad podwójnym małżeńskim dębowym łożem wisiał krucyfiks, a niżej niewielki japoński wachlarz, w który wpięta była, bez żadnych ramek, fotografia młodej, pięknej kobiety. Smuga światła z uchylonych drzwi padała wprost na fotografię nieboszczki żony pana Burby. Łysy buchalter zapytał:

— Jak się pan czuje, panie Janie?

— Piechotą nie mógłbym pana odwiedzić ,panie Karolu, to pewne.

— No, tak — chrząknął pan Iwański. — Che, che, che... pan zawsze żartuje.

— Niech pan pali swą fajeczkę, nic mi to nie szkodzi. Widzę, że pan zostawił ją w jadalnym. Stąd widzę, jak się kurzy w popielniczce.

— Nie, wcale mi się nie chce w tej chwili palić — zaprzeczył pan Iwański, gładząc się nerwowym ruchem po łysinie.

Księżyc zajrzał przez okno, jakby szukając twarzy pana Iwańskiego.

— O, teraz widzę pana dobrze — powiedział pan Burba. — Dlaczego pan jest taki przerażony!

— Ja? Ale skądże? — zaprotestował buchater.

— Wie pan co — rzekł pan Burba — pan ma ładny charakter pisma. Chciałem pana prosić, żeby pan parę rzeczy zapisał.

— Ale co takiego?

— Wymawia się pan?

— Skądże znowu!

W drzwiach ukazały się obie córki.

— Nie, teraz wyjdźcie z pokoju — rzekł dość przykro pan Burba. — Chcę porozmawiać z panem Iwańskim sam na sam. Oprawcie dwie świece w lichtarzach, w tych większych, co stoją na półce, i zamknijcie drzwi. Głupstwo panie Iwański. Potrzeba mi... — zaczął pan Burba, gdy dziewczęta zamykały drzwi za sobą. — Będziesz moim pisarzem — rzekł po chwili pan Burba innym tonem.

— Co mam pisać, panie Janie... — jęknął stary buchalter, pocierając nerwowo łysinę.

— No, wie pan, jak to się nazywa. To i owo. Tak. Jak to się mówi — ostatnią wolę.

— Och, panie Janie, cóż znowu!

Nastała chwila kłopotliwego milczenia.

— No więc, widzi pan — odezwał się wreszcie pan Burba — trzeba kończyć rachunki z życiem. Umówmy się, każdego z nas to czeka. Ale przedtem niech pan powie dziewczętom, żeby posłały po księdza.

Pan Iwański bez słowa zniknął za drzwiami, ale zaraz wrócił.

— No, teraz dobrze. Mam nadzieję wytrzymać, zanim ksiądz przyjedzie. Zawsze człowiek wierzy, że ma duszę nieśmiertelną. Że tutaj się wszystko nie kończy.

— Święta prawda, panie Janie. I ja wierzę, że się nie kończy.

— Mam kilkaset rubli, schowanych na czarną godzinę, wie pan — mówił pan Burba rzeczowo. — Ale cóż to jest? Ręce te dosyć się napracowały, a tak nało z tego pożytku... — otarł nieznacznie ręką pot z czoła.

Stary buchalter siedział skulony przed stołem, z nogami zaplecionymi gdzieś głęboko pod krzesłem.

— Bóg mi świadkiem, że tyle tylko po mnie zostaje.

— Uczciwe imię — skarb nieoceniony — wtrącił bez przekonania pan wański.

— Te, te, te. Tym dużo nie zwojujesz, panie Karolu, wiemy o tym obaj bardzo dobrze. Dajmy spokój pocieszeniom dla głupich. Mówimy teraz najpoważniej. Pieniądz jest wszystkim na tym świecie. Zaraz, zaraz, niech pan poszuka tych pieniędzy. Klucz od szafy znajduje się w biurku. Klucz od skrzyni znajduje się w szafie. Nie, tu, w szufladzie drugiej od okna. Tak, z dołu szafy. Teraz tym kluczem proszę otworzyć skrzynię. Ale przedtem musi pan zdjąć z niej wszystkie książki. Przepraszam pana, panie Karolu, że tak trudzę.

— Ale cóż znowu, zaraz poszukam, zaraz zdejmę, zaraz poszukam — jęczał zgięty we dwoje, cienki, stary buchalter.

Przez chwilę zdawało się, że zniknął pod stołem na zawsze. Zdejmował ze skrzyni książki i układał je na podłodze. W końcu otworzył skrzynię i podał panu Burbie kopertę z pieniędzmi. Koperta była ukryta w dużym papierowym pudełku, pełnym błahych gratów: dwa grzebienie kobiece, jeden z nich balowy z imitacją diamentów, mała lornetka teatralna w skórzanej pochewce, kilka kawałków nadpalonego laku do pieczętowania listów, wreszcie parę zeszytów, różowych, wyblakłych, zapisanych drobnym pismem kobiecym, przeważnie wiersze wypisywane z książek czy tygodników.

— Która godzina? — zapytał nagle pan Burba.

Pan Iwański wyjął z kamizelki zegarek:

— Ósma — powiedział — minut dziesięć...

— Niech się pan pośpieszy z pisaniem — rzekł pan Burba, poprawiając się na poduszkach. — Niedużo tego będzie.

I zaczął dyktować testament.

— No, dobrze, teraz wszystko w porządku. Dziękuję ci, panie Iwański. Teraz tylko sprawa z duszą.

W milczeniu wszedł ksiądz do pokoju. Jego wysokie buty były zabłocone. Przychodził z Jezusem Chrystusem do pana Burby. Było coś niebieskiego w jego postaci. Jego brzydka, mongolska twarz wydała się panu Burbie nieziemsko piękna. Pan Burba słyszał wyraźnie, jak na podwórzu ciągniono wiadrami wodę ze studni. Znał dobrze te studzienne dźwięki. Pan Burba patrzył na złoty kielich, nakryty wzorzystym fioletem. Myślał zawsze, że to najboleśniejsza chwila. Młody ksiądz otworzył książkę w miejscu, założonym fioletową zakładką.

— Czy trzeba się bać? — zapytał nieoczekiwanie pan Burba.

— Oprócz bojaźni bożej nie ma bojaźni innej — rzekł młody ksiądz i usiadł na krześle obok chorego, zamykając oczy.

— Czy trzeba Boga się bać? — pytał uparcie pan Burba.

— Trzeba — powtórzył jak echo młody ksiądz. — Ale miłosierdzie boskie...
Po chwili otworzył oczy:
— Dlaczego pytasz o to? — W głosie jego dźwięczało jakby zdziwienie.
Przy łóżku pana Burby wszystko było w porządku. Na szafce nocnej paliły się dwie świece. Krucyfiks zdjęty ze ściany stał oparty o Biblię w postrzępionej skórzanej okładce. Młody ksiądz wyspowiadał pana Burbę, rozgrzeszył, obdarzył komunią świętą, olejem świętym namaścił i wyszedł z jego domu na deszcz — poprzedzany dzwonkiem kościelnego.

Około północy przyjechał lekarz, jak obiecał. Pod wieczór rzeczka Jaroszynka wylała. Powódź nagła ogarnęła przerażeniem wszystkie nadbrzeżne chaty. Wiatr wiosenny, marcowy, wył tej nocy z niepowstrzymaną siłą. Zrywał słomiane strzechy z chat, łamał wysokie gałęzie na starych drzewach.
— Że też pan doktor w taką pogodę przyjechał — dziękowały słowami i oczami obie piękne córki pana Burby.
Ale młody lekarz nie zwracał na nie tym razem najmniejszej uwagi. Traktował je jak jakieś szarytki czy posługaczki w szpitalu. Jego ptasi profil zdawał się chwilami tak drapieżny, że bały się przemówić. Wycie wiatru drażniło młodego lekarza, czy co innego? Sam nie wiedział.
— Kto tam? — krzyknął nagle, gdy drzwi same się otworzyły i same zamknęły.
Czuł, że jest bez sensu przestraszony nie wiadomo czym. Dziewczęta przyniosły mu herbatę o drugiej po północy i wyszły na palcach z pokoju. Zdawało się młodemu lekarzowi, że słyszy za oknami jakieś krzyki, płacz dziecinny w kominie. Płomień świecy chwiał się, z okna wiało widocznie. Wosk topniał, oblepiając lichtarz dziwacznymi floresami.
„Co się tu stało? — myślał lekarz. — Kto przepędził tę śmierć?" Nie mógł dać sobie odpowiedzi. Są pewne objawy, które nie zawodzą. Jeżeli one zawodzą, to wszystko może zawieść. Nic przecie nie uczynił dla chorego. Te krople — to był raczej symbol pomocy, gest, że nauka czuwa. Atak sercowy, na który nie było ratunku.
Lekarz zajrzał do pokoju chorego. Pana Burba spał najspokojniej.
„Cud prawdziwy!" — Lekarz wrócił do jadalnego pokoju i położył się na otomanie. Okrył się kocem i zasnął.

Nad ranem zbudziło go gwałtowne szarpnięcie za ramię. Stały nad nim dwie piękne córki pana Burby z oszalałymi oczami.
— Ojca nie ma! — wołała jedna.
— Nie ma ojca! — wołała druga.
W pierwszej chwili nie mógł sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Zerwał się na równe nogi. Zrozumiał. To go uspokoiło.
— To było do przewidzenia — rzekł po chwili. — Robiłem co mogłem. Same panie wiedzą. Przyjechałem specjalnie, aby...
— Co?! Co było do przewidzenia?! — krzyknęły obie dziewczęta, chwytając się za głowy.
— Że ojciec... że ojciec tej nocy nie przeżyje — odrzekł już spokojnie młody lekarz.
— Och, panie doktorze, panie doktorze! Gdzież on jest?

— Panie wybaczą. Nie jestem księdzem.
— Pan myśli, że pojechał do księdza?
— Co takiego? Czy panie mówią przytomnie?
— Nie ma także pana Iwańskiego.
— Nic nie rozumiem.
— My także nie możemy pojąć.
Wtedy dało się słyszeć gwałtowne pociągnięcie za sznurek od dzwonka. Na anek wniesiono ciało pana Burby.
— Utonął, ratując powodzian — rzekł pan Iwański, zmoknięty, drżąc na ałym ciele.
Pierwiosnki, które pan Burba zerwał wczoraj w lesie, zaledwie w pączach, rozwinęły się przez noc w wodzie, w glinianym garnuszku, i wyglądały pysznie u głów łóżka.

Na trzeci dzień most kolejowy nad rzeczką Jaroszynką był uszkodzony rzez powódź i stary maszynista pociągu towarowego przyszedł odwiedzić ana Burbę w domu, zatrzymawszy pociąg na szynach, zanim most naprawią. Wtedy jechał z Odessy do Kijowa, dzisiaj wracał z Kijowa do Odessy. Mimo wczesnej godziny był już pod dobrą datą, nie to, co wtedy, zaledwie arę kieliszków w towarzystwie pana Burby.
— A co, nie mówiłem, że będzie powódź? — szepnął do nieboszczyka. — Ta mała rzeczka zawsze wylewa.
— *„Pater noster, qui es in coelis; sancceficaetur Nomen tuum; adveniat egnum tuum...”* — śpiewał młody ksiądz mszę świętą w kaplicy pałacowej v Jaroszynce, ofiarując ją na intencję powodzian i za duszę pana Jana Burby. „To jest prawdziwa bojaźń boża” — pomyślał potem w roztargnieniu, rzechodząc od jednej strony ołtarza ku drugiej. A przed Podniesieniem rzyszło mu prywatnie do głowy, gdzie się może znajdować dusza człowieka, który, oczyszczony z grzechów, nakarmiony Ciałem i napojony Krwią Pana aszego Jezusa Chrystusa, ostatnim olejem świętym namaszczony na dalszą rogę, odrzuca w agonii „wieczny odpoczynek — amen” i śpieszy ratować liźnich? „Gdybym opowiedział o tym dzieciom w szkółce na lekcji religii, ytując niby ustęp z żywotów świętych, może by mi uwierzyły. Ale ja sam iałbym co do tego pewne wątpliwości...”
Młody lekarz podzielał całkowicie zdanie młodego księdza, że takiego przeiegu agonii nie spotyka się w praktyce medycznej i tym tylko różnił się od wego rówieśnika, a poniekąd antagonisty, że wstydził się użyć nieprecyzyjego słowa „cud“, gdy ksiądz beztrosko powtórzył to krótkie słówko kilka azy.
Obie piękne córki pana Burby szły w ciężkiej żałobie za trumną ojca, prowadząc pod rękę pana Iwańskiego, cienkiego, starego buchaltera, świecącego daleka księżycową łysiną w wiosennym słońcu. Pan Iwański, zgodnie ostatnią wolą śp. Jana Burby, podzielił między nie, na dwie równe części, te ilkaset rubli ze skrzyni. Obie córki były równie piękne, równie bogate, równie biedne i równie nieświadome tego, co dziedziczyły po ojcu.
Młody lekarz, wróciwszy do swego mieszkania w Żmerynce, zdjął ze ściany obrazek przedstawiający dno morza. Dotąd uważał ten obrazek za nie-

winną kolorową litografię. Od tej chwili nie lubił żadnych analogij z „dnem", żadnych aluzyj do „dna". Odtąd powtarzał stale, do późnej starości — zdobywszy pieniądze i sławę za granicą: „Wszystko da się zbadać, oprócz pobudek". Z żadną z pięknych córek pana Jana Burby się nie ożenił. Umarł zresztą w Konstantynopolu, uciekłszy z Rosji w 1919 roku. Tam prawie się sturczył.

P. S. Najnieprawdopodobniej wyglądają historie autentyczne. Dlatego pisarz powinien wszystko zmyślać, jeżeli zależy mu na wierze czytelnika. Lecz czy naprawdę powinno mu na tym zależeć?

Warszawa — 1951

Julian Wołoszynowski

Z cyklu *Opowiadania podolskie.*

Henryk Grunwald

MARTWA NATURA

Otchłań cieni
i stół —
zmarszczony serwetą.
Wśród łez stearynowych
cynowy śledź
z okiem zapadłym,
błyszczy, wśród
skamieniałego chleba.

PEJZAŻ MAZOWIECKI

Topola liśćmi brzęczy
i siwiutka — w polu stoi.
Za wzgórzem — grusza —
ulęgałki chowa do siennika.

Daleko — daleko —
dąb pielgrzym mruczy —
i żołędzie zrzuca.
A potem głogi, ciernie
i berberysy spłowiałe od kurzu.
A jeszcze potem — kamienie bezdomne,
— wygony pastusze.

Przy rowie wierzby — proszalne
patrzą na pijawki,
a bocian gospodarz obchodzi obejście
w białych gaciach i czarnym żakiecie.
Dziewanny bigotki różańcami złocą,
przebudzony skowronek nakręca zegarek.

Na niebie turkusowym
baraszkują — chmury koźlęta,
na uciechę —
na plony.

WSPOMNIENIE Z KAZIMIERZA

Józefowi Brodzkiemu

Fioletowe orzechy dojrzewają na wzgórzach.
W łachach — straszy płocie — szczupak młody.
Słońce za wieżą — ociera pot chmurami,
i spóźniona pszczoła kończy swoją dniówkę.

Szkielety reformatów — oparte o cegły,
piołunem myśli — straszą — młodych mnichów.
W papierowych kwiatach — rosną krucyfiksy
na ołtarzach z czarno malowanej dykty.

Sennie — żaby — zawodzą podzwonne,
i koza uwiązana — beczy — z dzbanem mleka.
Łozą opleciona — Wisła — srebrem błyska,
w Puławach się świeci — pies — w Janowcu szczeka.

Stoją zalęknione — stare kamieniczki,
na rynku czerpią wodę — krzyczy pijak w szynku,
niebo — seledynem — zawisło z Orionem,
i różowe jabłka — cicho — śpią na trawie.

PEJZAŻ SENTYMENTALNY

Słońce zachodzi.
Poszarpana chmura
pasmem — kończy swój ślad.

Ziemia wzdycha ziołami
i cytrynowa folia
okrywa — opalone wzgórza.

Na rzece cicho... leszcz pluśnie
i ciemna gałąź — płynie zabłąkana.

Przewoźnik
baby z tobołami wiezie.

Pod lasem,
czarny kowal
różę w ogniu
kuje.

RACHEL

Lejb—wołyńskim oficerom
Abram czapki zdobi.

Na Zakroczymskiej
dziś stoją żandarmi.

Na Tłomackim Haim z żoną
frak błękitny szyją.

Graf Potocki koczem jedzie,
na złość biedzie.

Po Krochmalnej — Rachel chodzi
nocą — domu szuka.
Cegły różą martwą kwitną,
w piwnicy — ktoś stuka.

Szapiro gra w domino.
Na Bagnie szajbki,
na Miodowej — karakuły,
fein-gold? — idź na Stawki.

Na Bielańskiej — jest razura,
bindy — fiksatuar.
W szklanym barze — gęsi pipek,
piperment — kontuar.

Rachel płacze... dzieci szuka,
w piwnicy — ktoś jęczy.

Na Grzybowskiej — dykta, fornir,
i „Meble" — na Zielnej.

Rachel krzyczy — łzy ociera,
w piwnicy — ktoś szlocha.

Na Granicznej — syfon z wodą,
makagigi w bramie,
chałwa, pestki, maca, imbir,
na Orlej karmelki.

Gdzie jesteście moi drodzy?
Bogactwo dzieciństwa.

Rachel znika .....
— w piwnicy — ktoś klęczy.

Henryk Grunwald

Zbigniew Grabowski

KARTKI Z NOTATNIKA

ODBICIA W WODZIE

1

Wczoraj w porcie na pudle rufy statku grało od spodu odbicie załamanych al; wyglądało to jak oszalała żonglerka światłem — zamęt świetlistych kul, odbijanych szybko, nierówno; potem jakby kłębki bawełny; później nerwy zy włókna świetliste; a wreszcie w uspokojeniu rozchybotanej wody zarys rzecinających się stożków fal: geometria świetlista.

Przypomniało mi to odbicia światła i kształtów, oglądane w tak licznych vodach: refleksje domów, statków, jachtów — woda wachlująca się tymi odbiciami, kolorowe „katarynki", składanki, niby jakieś „chińskie latarnie" czy vachlarze ustawicznie rozwijane; woda oddychająca miarowo odbiciami jak senne skrzela ryb.

2

Te myśli przyszły mi do głowy w czasie oglądania niedawno w Londynie ilmu o Bruges, mieście, które, po krótkiej wizycie w nim po wojnie, uważaem za przereklamowane pod względem urody (może i tu działała reklama tak potężnego narodu, jak Anglicy, albowiem upodobali oni sobie Bruges, przypuszczalnie ze względu na melancholijny spokój; Anglicy „zrobili" w dużej mierze sławę Heidelbergowi, który przecież, jeśli chodzi o piękno, nie umywał się do Norymbergi). Ale film o Bruges, operujący gęsto odbiciami domów w wodzie kanałów, „harmonijkami" kolorów ciągle zwijających się i rozwijających, pokazał istotne piękno miasta: piękno odbicia, senne, niemal martwe piękno wspomnienia, narcyzowskiego zapatrzenia się w siebie.

3

W zatoce wieczorem dwa światła latarń morskich przecinają się uporczywie — jedno w trzechsekundowych odstępach, jak pchnięcia świetlnego sztyletu w ciemny połysk morza. Chmura zakotwiczona nisko nad pagórem po

drugiej stronie zatoki czuwa rozcapierzona jak nietoperz; w pasach świat cieknącego od nadbrzeżnej kawiarni morze jest zielonkawe i czarne. Prac jący w Anglii malarz polski, Ruszkowski, miał takie barwy w swoich wi jach Wenecji, wystawionych w Londynie (jedne z najbardziej zastanawiaj cych, jakie widziałem). Ale kto potrafi namalować ten nokturn nocnej wod Chagall (takie skrawki wizji są u Chagalla, ale tylko skrawki)? Tę czarn zieloną, ciekłą, połyskliwą falę, wypukłą i zgiętą w jednorazowym załam niu — pod nieco jaśniejszą czernią nieba? I tę chmurę, która rozciągnęła s nietoperzem?

A przecież to wszystko należy do misterium światła, tego elementu, w kt rym żyjemy jak najbardziej intymnie, który tak bardzo wpływa na nas i n nasze losy, nastroje, nastawienia, a któremu tak niewiele poświęcamy uwag I dopiero obrazy niektórych zniewalających malarzy każą nam pomyśleć o t tajemnicy światła — jak obrazy malarzy Toskanii. Obrazy i nagłe rewelac tego światła w przyrodzie.

Tajemnica światła prześladuje mnie coraz mocniej od chwili pobytu w Na viku, gdzie zetknąłem się ze światłem Północy (albo jego brakiem); od czas oglądania niesamowitej radiacji malachitowo-różowej koło Törneträsk pr Abisko w Szwecji, daleko za Kołem Polarnym, w r. 1949; po poznaniu świat Grecji, jedynego w swej klarowności; po nocy w Braunschweiger Hütte p Wildspitze w Alpach Oetztalskich, gdzie światło księżyca odrealniło dookoln świat i kazało przenieść się na inny plan (podobne nawiedzenie miałem w Mü ren w r. 1935 przy wjeździe kolejką z Lauterbrunnen w noc księżycową).

4

Tajemnica światła; a dzisiaj pogoń chmur i mgieł; podobnych zamrozov na szybach, piórkom, owym „strzałkom" przy kulkach czy piłeczkach, któryn bawiliśmy się jako dzieci — strzępiaste kulki; to znowu podobnych do skrzyd mewich; albo do paproci. Niewyczerpana fantazja przestrzeni.

Dlatego nie rozumiem, jak podróż lotnicza może być nudna: przecież to je dyna rewia, defilada chmur, dostępna dawniej tylko alpinistom: podłogi pu chu, pola śnieżne, torty z bitą śmietaną, lukry i cukry, szklane góry; most rzucone między zwałami chmur (widziałem je kilka lat temu w locie Cor vairem nad Niemcami z Frankfurtu do Norymbergi). Te mosty i przęsła, po dobne białej tęczy, są rzadkie.

Każdy lot to wyprawa w kraj chmur; niebywała orgia form, stopnia spo istości, odblasku, refleksów, kolorów, nacieków barw. Może dlatego ten świa jest mi tak bliski, bo przypomina żywo śnieg, pola śnieżne?

5

Ileż wrażeń Południa obraca się w granicach intensywnej zmysłowości i dla tego są one tak pamiętne: zapach, wrażenie gorąca i chłodu, spieki i cieni smaku — dotkliwego, przejmującego. Cóż może się równać z wrażeniem przej ścia z upału w chłodny korytarz domu; albo do zaciemnionego okiennicam

pokoju? Jest to kontrast nie do powtórzenia w innym klimacie: przejście z zimna, mrozu do ciepłej izby na Północy pozostaje w całkowicie odmiennym wymiarze, gdyż udział tu bierze tylko niewielka powierzchnia ciała — podczas gdy na Południu chodzimy nago albo półnago: pijemy wrażenia całą powierzchnią ciała. Podobnie woda, wszelki płyn, smakuje inaczej na Południu — pełniej.

Te wrażenia pozostają na lata, zdumiewająco długie lata: pamiętam pokój w Pirano na Istrii nad Adriatykiem w r. 1911, kiedy czekałem u drzwi zaciemnionego żaluzjami pokoju na ofiarowaną mi łódkę żaglową; pokój w Taorminie w r. 1933 z widokiem na Castello Mola — biały kwiat w szklance nad umywalnią i poczucie wielkiego szczęścia, szczęścia w samotności; pokój w Hvarze na wyspie Hvar w starym pałacu wenecjańskim w porze sjesty; pokój w zacisznej *cala* na Majorce; pokój w Camp de Mar na Majorce — wszystko to ma swoje ostre, odrębne miejsca w pamięci.

6

Oddać kiedyś, opisać te dotknięcia chłodu i gorąca; sjestę, która jest toniętciem w cieple powietrza — to byłoby nie lada zadanie. Może mi się to kiedyś uda?

A obok tego — kolory. Kolory wody morskiej — od Rodos aż po Aigua Blava, na brzegu katalońskim, Costa Brava, po Adriatyk, Korczulę: tyle ch zanotowały źrenice. Ale czy potrafię oddać je wiernie? Dawniej mogłem odtworzyć je z pamięci; dzisiaj uciekam się do notatek.

Ale istnieje przecież jakiś rytm pamięci — rykoszety, bumerangi, nawroty pamięci. Po jakimś czasie tajemniczej gestacji czy inkubacji — wraca dopiero film przeszłości. Czasami w słońcu Południa rozwija się wspomnienie wiosny górskiej i *vice versa*. Czasem w plusze miejskiej Londynu, w oćmie *fog*'u *smog*'u nawinie się szpula wspomnień Południa — cała, dorodna. Nieznane są te czasy dojrzewania wspomnień — kiedy pojawiają się one gotowe, obryzgowane jakby ołówkiem *silver point*; przypuszczam, że malarze muszą mieć takie okresy wyczekiwania na wizję; kiedy dany obiekt pojawi się w polu widzenia z całkowitą, ostateczną wyrazistością.

To czekanie na przyjście obrazu, sytuacji, postaci — to jedna z tajemnic twórczości; nie wiem, czy ten proces da się sforsować. Ale jeżeli jest forsowany codziennym ślęczeniem nad pustą kartką papieru, to czy wynik jest zadowalający? Wątpię. W każdym razie nie dla pewnych natur, które spisują tylko właściwie to, co stoi już gotowe przed oczyma w nagłym olśnieniu; spisują w pośpiechu — a nie potrafią wymusić wizji pisaniem „na siłę".

7

„Jeżeli nie będziecie jako dzieci..." — powiada Ewangelia. Te słowa często wracają. Ale właśnie czy nie jesteśmy jako dzieci przez zadawanie Bogu natrętnych pytań: dlaczego, po co, skąd? Pytań, przeciwko którym Bóg broni się milczeniem.

Te pytania sprawiają, że nie wchodzimy do raju — przeciwnie, opuszczamy go. Opuszczamy go nieraz sami, ten raj nieświadomości. Opuścić go z własnej woli, nie wygnany mieczem Anioła — oto szczyt odwagi. I początek świadomego życia.

8

Rozróżnienie na *caritas* i *amor*, jako dwa skrzydła miłości, istniało we wczesnym chrześcijaństwie. Potem dopiero *caritas* spadła do roli *charité*, litości prawie, albowiem zatraciliśmy sens słowa miłosierdzie — korzeń słowny miłości. Dzisiaj nie bardzo rozumiemy już, jak można zrobić coś dla kogoś niezmiernie bliskiego właśnie przez *caritas*, wznioślejszą może formę miłości aniżeli drapieżny *amor*. *Caritas* poniża; ale wymaga ona nie tylko nie-egoistycznego odzewu serca, ale i wyobraźni; trzeba zrozumieć innego, wyobrazić sobie jego dolę, jego mękę. *Amor* może istnieć bez takiego zrozumienia.

9

Najwyższym wyrazem miłości pozostaje wyrzeczenie, *renunciation*. Dopiero wtedy, gdy postawieni wobec tej próby potrafimy się wyrzec przedmiotu naszej miłości dla czyjegoś dobra — wtedy wiadomo, że kochamy. Jeżeli potrafimy życzyć szczerze szczęścia tym, co nas skrzywdzili (przeważnie nie doceniając siły naszego uczucia: istotny i bodaj jedyny grzech w dziedzinie miłości), wtedy wiadomo, że kochamy.

W tych chwilach wszystko, cała nasza struktura trzeszczy; to chwila śmierci. Ale czy nie wtedy wysiewają się w nas, w przeraźliwej ciszy, jakieś ziarna, które wzejdą później? Musimy wierzyć w te ziarna, inaczej cała ta śmierć nasza traci swój sens.

Ale czy człowiek, artysta potrafi dokonać takiego aktu wyrzeczenia? Czy ten, co kochał życie ponad wszelką miarę, potrafi się go wyrzec w chwili, kiedy spostrzeże się, że przestał być twórczy w samym materiale tego życia? Że grozi mu jałowość? Czy artysta, czy pisarz, który dostrzega, że nie jest już twórczy, potrafi dokonać aktu wyrzeczenia się swej sztuki?

Świecie, cudowny, nieogarniony — zawsze zaskakujący niespodzianką odrodzenia, nowych narodzin, leczący rany zadane przez siebie samego (najcięższe rany: samo-okaleczenie, chińskie krępowanie stóp) — czy potrafię wyrzec się ciebie w najwyższym geście miłości?

Mistycy powiadają, że tylko przez ten ostateczny akt miłości dla świata: wyrzeczenie się jego, a zatem i siebie, swoich ambicji, całego przekleństwa i przymusu *self-expression*, dopiero wtedy zdobywamy spokój.

10

Malarstwo i literatura są pokrewne w zasadniczej swej woli — zatrzymania czasu. Dlatego Proust sięgnął do jądra rzeczy w tytule swojej powieści; przed kilku laty w jednym z muzeów londyńskich uderzyła mnie wizja — bodaj Vermeera — dziewczyna w zielonej sukni u okna mansardy, w skosie popo-

udniowego słońca (obraz ten pochodzi z Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, ale daremnie szukałem go w czasie pobytu w Wiedniu w r. 1955). Była to ama istota malarstwa — czas zatrzymany, *le temps arrêté.*

Ale muzyka jest z innej kategorii — jest czasem płynnym, który się nie zarzymuje, którego zatrzymywać nie trzeba, bo ustawicznie się odnawia, odradza, ystaje na nowo. Tym wieczystym odradzaniem się muzyka zwycięża czas — lbowiem tak tylko można go zwyciężyć: wieczystą regeneracją, wieczystym awrotem.

11

Aktorstwo: chęć bycia wielością osób; dlatego dzieci, jeszcze nie uformoyane, jeszcze płynne, są nieświadomie tak dobrymi aktorami. Bo dzieci chcą yć raz tym, raz tym: chcą realizować rozmaite „kariery", zawody, wcielenia. Kiedy pojawia się konieczność wyboru „kariery", jednego wcielenia, kończy się łodość. A męka ludzi wyobraźni, skrojonych na wiele miar, na wiele osób, olega na tym, że nie potrafią zrealizować tych potencjalnych innych „siebie".

Większość ludzi jest jedną osobą: albo, narzuciwszy sobie fasadę, staje się edną osobą. Mały tylko odsetek chce być wielością; i ma szanse na to. Mało to chciałby przeżyć wiele wcieleń i mało kto myśli, że tylko reinkarnacja, ylko kołowrót odnawiania się miałby dla nich sens. Aktor jest najpospolitzym katalizatorem tej woli odnawiania się, wielości, zasypywanej w nas każym dniem.

I pisarz chce być wielością — stąd jego wcielenia w rozmaitych bohaterów, różne postacie przez siebie powołane. Dlatego pisarstwo jest przede wszystim samo-wyrażeniem, *self-expression* — to chyba jego zasada. Ale druga faza isarstwa to chyba *self-realization,* zatem wola wpływania na innych, urabiaia innych swoją wizją. W zasadzie artysta jest człowiekiem czynu: chce on mienić innych (skoro nie może często zmienić siebie); narzucić innym swój izerunek świata, swoje myśli, swój wzór odczuwania. Podobnie poczyna obie malarz — on także chce narzucić swoją wizję. Muzyka chce wprowazić nas w swój trans.

W zasadzie możliwe jest pisanie w próżnię: na pustyni, dla siebie, ale tylko zasadzie, w teorii. W istocie artysta chce reakcji, a zatem wpływania na myi, uczucia, losy innych, szuka zawsze kogoś, idealnego widza, czytelnika, słuhacza. Jego sztuka jest krzykiem samotności — ale chce być podzielona, musi yć zwielokrotniona reakcją widza, słuchacza. Jest w tym sensie nienasycoym inkubem, strzygą, pragnącą żywej krwi.

Self-expression to jedno skrzydło sztuki; *self-realization* to drugie.

12

Czy świat i my wszyscy jesteśmy tylko tworem sztuki Boga, Jego kapryśnej oli *self-expression?*

biza, Baleary, jesień 1956

Zbigniew Grabowski

Krystyna Nepomucka-Dworakowska

WOJNA

Samoloty brzęczały napastliwie, wyczyniając przedziwne harce po błęki nym, bezchmurnym niebie.

Siedziałam na krześle z nogami umieszczonymi wysoko na parapecie okn żeby wypoczywały przed nocną premierą. Obserwowałam z zaciekawienie srebrne punkciki.

— Co oni teraz tak ciągle z tymi ćwiczeniami? — zastanawiała się matk zagniatając na stolnicy ciasto na makaron.

— Pewnie będzie wojna — powiedziałam bez przekonania. — Podobn Niemcy mają pretensje do naszego korytarza — przypomniałam sobie urywk zasłyszanych rozmów i jakieś fragmenty artykułów wyczytanych na skraw kach gazet w klozecie.

— Czekałam dziś z pół godziny po mięso. Kobiety kupowały po kilka ki słoniny, całe boczki wędzone, suchą kiełbasę...

— Będziemy jedli dziś rosół... — wyszeptałam w rozmarzeniu, wdychaja luby zapach bulgocących pod pokrywą jarzyn i mięsa.

— Trzeba przecież jakoś uczcić ten twój pierwszy występ i posadę ojca — zaśmiała się matka wałkując energicznie żółte ciasto. — Masz dziś jeszcz próbę? — spytała po chwili.

— Mam. O piątej muszę być na Pańskiej i pewnie wrócę już po występi nad ranem...

Matka westchnęła.

— Nie bardzo mi się podoba ta twoja nocna praca.

— Niedługo jej będzie... — ugryzłam się w język, bo o mało nie wygadała się o Busiu i moich projektach na przyszłość.

Zaterkotał gdzieś niedaleko karabin maszynowy, a później odezwały si jakieś stłumione wybuchy i pojedyncze suche trzaski, jakby ktoś walił w de ski.

— Daliby spokój z tymi ćwiczeniami, bo jeszcze szyby wylecą... — dene wowała się matka podchodząc do okna. — Na naszym podwórku znów kopi rowy przeciwlotnicze, a jak wracałam ze sklepu od Walusiowej, to widziałam że u sąsiadów w ogrodzie całą rabatkę z kwiatami zniszczyli. Poszaleli czy co. Ojciec wczoraj wieczór też kopał, bo on to zawsze do wszystkiego pier wszy.

— Wiem... — burknęłam zajęta swoimi myślami o Busiu i mojej ewen-alnej karierze. Coraz mniej podobał mi się zawód tancerki i ciągłe prze-wanie z wykolejonymi dziewczętami, za którymi oglądano się na uli-.

Do kuchni wpadł zdyszany ojciec z dużą paczką.

— No, już się stało. Wojna!

— Czyś zwariował? — matka pokiwała z ubolewaniem głową.

— Kto zwariował? — Mrugał nerwowo okiem. — To ty chyba jesteś ślepa głucha! Przecież bombardują Okęcie, a te samoloty to przecież niemieckie. ie słyszałaś dwa razy alarmu?

— To przecież ćwiczenia — upierała się matka patrząc niepewnie na ojca. — szyscy mówią, że ćwiczenia...

Rozwiązał sznurek z paczki.

— Wziąłem zaliczkę i od razu za wszystkie pieniądze kupiłem zapasów, by jakoś te parę tygodni przetrwać.

Wykładał na krzesło drżącymi ze zdenerwowania rękami torebki z grochem, ąką i cukrem.

— Parę tygodni? — dziwiła się matka. — Chyba parę dni? Gdzieżby się lokło tak długo?... W parę dni rozbiją nasi Niemców i będzie spokój!

— Ja tam obliczam na jakieś dwa albo i trzy miesiące... Trzeba będzie szcze kupić słoniny i przetopić na smalec. Zaraz lecę do sklepu, bo wszę-ie kolejki...

— Nie zapomnij o mydle i soli — upominała matka kończąc pośpiesznie rajać makaron, przypominający cienkością nitki.

Pod wieczór wróciłam z Pańskiej ulicy przeczekując w bramach trzy kolej-e naloty. Byłam rozgoryczona i zniechęcona. Premiera została chwilowo lwołana i kazano nam przyjść dopiero za tydzień. Nikt już nie miał wątpli-ości, że kończyła się bajka z ćwiczeniami i zaczęła się najprawdziwsza ojna. Tylko jeszcze nie wiedziano, czy się z tego cieszyć, czy smucić.

Grupki lokatorów stały na podwórku pod zaciemnionymi oknami, wpatrując ę w niebo i nasłuchując dalekich wybuchów. Ojciec z żółtą opaską OPL ręcił się między nimi, zasłaniając dłonią żarzący się czerwono koniuszek ipierosa. Nawet matka, stroniąca od ludzi i nieśmiała, uszczelniała wraz sąsiadką z przeciwka okienka od piwnic. Ciągnąc worek z piaskiem śmiała ę beztrosko, jakby chodziło o jakąś zabawę, a zauważywszy mnie, powie-iała uradowanym głosem:

— Od jutra umówiłyśmy się z panią, że będziemy chodziły szyć maski zeciwgazowe w punktach Czerwonego Krzyża. Może i ty masz ochotę?

Ojciec wrócił wcześniej z pracy niż zwykle, przynosząc hiobowe wieści zbliżających się wojskach niemieckich, o wywózce mężczyzn, o trujących azach, które rzekomo puszczono wczoraj pod Częstochową.

— Nie ma co, tylko trzeba zapakować walizki z żywnością i być w pogoto-iu... — komenderował otwierając szafkę, w której matka pochowała zapa-. — Nie wiadomo, czy nie trzeba będzie uciekać...

— Jezus, co za nieszczęście! — biadoliła matka. — Dookoła słyszy się takie raszne rzeczy... Podobno już na Okęciu są Niemcy... Dobrze chociaż, że Mo-ka wyniosła się z mężem do Krakowa. Podobno Andrzej wystarał się dla ego o dobrą posadę w Archiwum. Niepokoję się tylko o Agnisię. Mieli

ich w razie wojny ewakuować, ale to tak wszystko prędko poszło... Teraz znów słyszałam, że kilkanaście pociągów z ludnością cywilną zbombardowano...

W dwa dni później wpadła zdyszana Kostyrówna w jesiennym, najmodniejszym kostiumie z zamszowym kołnierzykiem.

— Domy się palą! — krzyknęła. — Taka łuna nad Pragą, że aż z daleka gorąco! Podobno mają całe miasto zbombardować i puścić gazy, jak się nie poddamy! Przesiedziałam dwa naloty w schronie i widziałam na Marszałkowskiej trzy zabite kobiety przed sklepem Wedla. Stały w kolejce po czekoladę. Podobno dwóch szpiegów złapali na Placu Narutowicza! Mój mąż zabrany do wojska, ale nigdzie nie poszedł z pułkiem, bo będzie w obronie Warszawy... Ojciec wyszedł dziś rano z całą Komendą Policji... — wyrzucała z siebie chaotycznie i krzykliwie, poprawiając włosy upierścienionymi palcami — Matka z Elektoralnej przeniosła się do nas... Niech państwo też przyjdą, bo tu ma być gorąco, a zawsze w śródmieściu bezpieczniej. Może Niemcy nie dojdą do środka miasta. Podobno Anglicy już idą z pomocą... — zwróciła się do rodziców. — Ja dlatego przybiegłam...

Matka wzruszona pocałowała Kostyrównę w falujące, krótko przycięte włosy.

— Dobre z ciebie dziecko, ale my się chyba nigdzie nie ruszymy... Jak człowiekowi sądzona śmierć, to od niej nigdzie nie ucieknie, a jak ma żyć, to się na niego dom zawali i też nic mu się nie stanie...

Znów zawyły syreny alarmowe, a na schodach zatupotały nogi zbiegających do piwnic lokatorów.

My nie schodziliśmy nigdy.

Matka bała się w mrocznej piwnicy szczurów, bardziej jak bomb lecących z góry, a ojciec twierdził, że dziwnie jakoś nie lubi leżeć we wspólnej mogile. Wymykał się cichaczem na podwórko i tam, ukryty za drzewem jesionu, obserwował nadlatujące samoloty z czarnymi krzyżami.

Zamknęłyśmy się w malutkim przedpokoju, chroniącym od ewentualnych odłamków.

— I co z twoimi tańcami? — dopytywała się Kostyrówna, żegnając się strachliwie przy każdej detonacji.

— Premiera ma być zaraz po wojnie. Na razie trzeba było przerwać nawet próby...

— Zapomnisz przez ten miesiąc całkiem tańczyć — roześmiała się nie wiadomo dlaczego i znów ponowiła swoje zaproszenie.

— Boimy się tak z matką same... Mieszkamy na czwartym piętrze, a na dachu ustawili trzy karabiny maszynowe. Jak zobaczą, że w trzech pokojach nikt nie mieszka, to mogą napchać żołnierzy. Poniszczą meble... Akurat kupiliśmy na parę dni przed wojną komplet z kaukaskiego orzecha... — westchnęła Kostyrówna.

Po nalocie odprowadził ją ojciec do przystanku tramwajowego i wróci dopiero po kilku godzinach z bardzo kwaśną miną.

— Zaczyna być gorąco! Co te sukinsyny myślą?...

Nie wiadomo było, czy ten epitet odnosił się do Niemców, czy do naszych władz wydających sprzeczne, ogłupiające zarządzenia i komunikaty przez uliczne megafony.

W nocy postawiło nas na nogi raptowne walenie pięścią do drzwi. Matka zerwała się pierwsza i tupiąc głośno bosymi stopami pobiegła otworzyć.

Na mrocznych schodach z latarką w ręce stała lokatorka z parteru, właścicielka ogromnego wilczura.

— Proszę państwa, wszyscy mężczyźni wychodzą z Warszawy! Mój mąż też idzie. Wszyscy czekają na dole z plecakami. Niech się pani mąż prędko ubiera... — zawodziła głośno, łapiąc moją matkę za ręce. — Niech pani ratuje męża! Niech prędzej wychodzi z miasta, bo Niemcy go zamordują... Właśnie podawali przez radio, żeby mężczyźni wychodzili z miasta...

Ojciec ubrał się pośpiesznie i zaraz zbiegł na dół. Matka stała jeszcze w nocnej koszuli na schodach, uspokajając łkającą kobietę w kąpielowym szlafroku i z głową w papilotach wyłażących spod różowej siatki.

Szukałam w szafce kropli walerianowych, jak przystało na przyszłą lekarkę.

Ojciec wrócił po długiej chwili i najspokojniej zaczął się układać do spania.

— Nigdzie nie idę! Trzeba mieć źle w głowie, żeby teraz uciekać. Ulicami ciągną tłumy mężczyzn, a rano samoloty zrobią z nich sieczkę. Niech lecą, jak na głowy poupadali, ja tam wolę ciepłe łóżko... Nie zostawię was na łasce losu! — dokończył ze złością i nakrył się kołdrą na ucho. Po chwili już spał.

Matka ułożyła się z westchnieniem ulgi obok ojca.

Wróciłam na twarde podłogowe posłanie. Noc była niespokojna, przestrzelana bliskimi wybuchami, wypełniona dziwnym szumem, podobnym do przetaczającej się wody. Niepokoiły mnie te nieznane, ocierające się o nasz dom odgłosy wojennej nocy. Naciągnęłam sukienkę i wyszłam cicho na ulicę.

Od Alei Niepodległości i ulicy Wawelskiej szedł w zupełnych ciemnościach i ciszy zwarty tłum. Czasem tylko błysnęło gdzieś niebieskie światełko latarki, czasem ktoś odezwał się głośniej lub zakaszlał. Stukały i szurały buty na asfalcie. Wiało od tego niemego pochodu grozą i czymś, co dławiło w gardle, i miało się ochotę płakać albo krzyczeć.

„Okręt tonie, szczury uciekają" — nasunęło mi się porównanie i z lękiem wróciłam do domu, żeby do rana majaczyć złe sny.

Raniutko, gdy błękit nieba wynurzył się z lotnych mgiełek, zaczął wyć pies lokatorki z parteru. Ogromny wilczur siedział na schodach z podniesionym wysoko pyskiem i wył. Był coś tak przejmującego w tym żałosnym, beznajdziejnym zawodzeniu psiej duszy, że nogi się pode mną ugięły i nagle poczułam zwierzęcy, nieopanowany strach.

— Mamo, pies wyje! — wpadłam do pokoju cała roztrzęsiona.

— No, to co, że wyje? — ojciec podniósł głowę znad poduszki, mrugając sennie oczami. — Takie już jego przyrodzenie...

Matka ubierała się w popłochu.

— Boję się strasznie! Ja nie chcę, ja nie będę w tym domu siedzieć! Pies przeczuwa nieszczęście! — powtarzałam w kółko.

— Psy wyją na śmierć! — przeżegnała się matka z zabobonnym lękiem spoglądając niepewnie w stronę ojca.

— Mamo, ja idę do Kostyrówny! Ja ani chwili tu nie zostanę! Ja czuję,

że zaraz stanie się coś okropnego! — krzyczałam trzęsąc się ze strachu jakiego nigdy jeszcze nie doznałam.

— Samej cię nie puszczę! Jak ginąć, to razem! — krzyknęła matka, już ubrana, malując usta w kawałku lusterka.

Złapałam jedną z walizek, spakowanych już od kilku dni. Matka chwyciła drugą.

— Histeryczki! Idiotki! — krzyczał ojciec wciągając pośpiesznie spodnie. — Gdzie lecicie same? Głupiego wycia się boją!

— My idziemy, a ty rób jak chcesz — odpowiedziała z nieoczekiwaną energią matka już w drzwiach. Było widoczne, że mój strach także i jej się udzielił, bo nie mogła spokojnie ustać na miejscu i ręce jej się trzęsły.

Pies zawodził coraz głośniej i smutniej. To już nie było wycie, a prawie ludzki płacz i skarga.

— Przepędzę zaraz bydlaka ze schodów, to się skończy! — odgrażał się ojciec, zawiązując pośpiesznie sznurowadła.

Ojciec znalazł się przy nas za drzwiami także z walizką i historyczną jesionką, przerzuconą przez rękę.

— Poczekajcie, niech porządnie chociaż drzwi zamknę...

Mijaliśmy pośpiesznie psa. Żółtawe ślepia miał utkwione w zalepione białymi krzyżakami papieru okna i wył na wpół uchylonym pyskiem.

Ojciec kopnął go lekko w bok, ale pies ani się ruszył.

— Pódziesz ty, bydlaku, do domu! — wrzasnął nad nim, poszturchując go końcem buta po ogonie. Bardzo kochał zwierzęta i nie miał serca mocniej uderzyć.

Pies wył dalej, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

— Rzeczywiście, że, cholera, nieprzyjemnie... — mruknął pod wielkim nosem ojciec i wyszliśmy chyłkiem z uśpionego jeszcze domu pod jesienne czyste niebo.

Miastem ciągnęły w różne strony tłumy ludzi obarczonych walizkami, z futrami na rękach, z psami na smyczach, z dziecinnymi wózkami przed sobą.

— I gdzie to wszystko lezie? — zastanawiał się ojciec.

Minął nas oddział sztubaków w niebieskich czapkach gimnazjum Zamoyskiego. Niektórzy z nich dźwigali karabiny. Matka niespodziewanie zaczęła płakać, oglądając się za nimi i potykając o własną walizkę.

— Takie dzieci, takie dzieci... — szlochała. — Wszystko to na śmierć idzie...

Zaryczały przeciągle syreny.

— Akurat na sam nalot wyszło się z domu... — narzekał ojciec, przyśpieszając kroku i rozglądając się za bezpiecznym schronieniem.

Tłum rozproszył się po domach. Wcisnęliśmy się do upchanej wystraszonymi ludźmi bramy niedaleko naszej ulicy. Słychać było buczący, ciężki, napastliwy warkot motorów. Kojarzył się w myślach z uprzykrzonym „lotem trzmiela" uwięzionym w małym pokoiku u ciotki Heleny.

Ojciec wychylił głowę z bramy, ale matka wciągnęła go z powrotem, trzymając za kieszeń marynarki. Drugą ręką przygarnęła mnie do siebie i tak staliśmy zbici w gromadkę, trzymając między nogami walizki z grochem i kaszą.

— Jak umierać, to razem... — powtórzyła szeptem matka takim głosem

: modlitwę i z kamiennym wyrazem twarzy, zapatrzona przed siebie, czeła na wyrok przeznaczenia, przed którym, jak twierdziła, nie można nigdzie iec ani się schować.

Straszliwy huk wstrząsnął powietrzem. Ludzie w bramie zafalowali, poleło trochę tynku na głowy i poprzewracały się walizki na ziemię.

— Ale blisko rąbnęło! — zrobił ktoś niby beztroskim głosem uwagę, a kilka ob zaczęło odmawiać półgłosem modlitwę za konających.

Zapłakało jakieś dziecko, ktoś zaklął, ktoś kogoś uspokajał szybkim, nerwym szeptem.

Świst tnącej powietrze bomby długo i przeraźliwie wkręcał się w uszy, mo woli przywołując na wargi imię Boskie. Druga detonacja była dalsza akby cichsza.

— Kot! — krzyknęłam. — Kot został zamknięty w mieszkaniu!

Ojciec zrobił taki ruch, jakby od razu chciał biec do domu, ale matka trzyła go mocno za rękę.

— Biedne stworzenie, zaraz po niego wracam, niech się tylko nalot skończ — zdecydował półgłosem ojciec.

— Nasza Kacunia... — dodała pieszczotliwie, z rozrzewnieniem matka, która tej pory nigdy nie okazywała specjalnych względów naszej znajdce.

— To wszystko przez was, bo śpieszyłyście się jak wariatki! — denerwował się ojciec mrugając lewym okiem i przestępując z nogi na nogę, jakby ciał tym ruchem przyśpieszyć powrót po kota.

Stojący obok ludzie patrzyli na nas niechętnym, prawie oburzonym wzrem. Jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce i z olbrzymim plecakiem odezwał niby to bezosobowo, ale wyraźnie pod naszym adresem:

— Ludzie w tej chwili giną, a głupich zwierząt się żałuje...

Ojciec łypnął w jego stronę czarnym, drgającym okiem.

— Kocina też żywe stworzenie. Głodową śmiercią nie dam zdychać!!!

Wśród dalszych, głuchych detonacji rozpoczęła się w bramie ogólna zażarta skusja na temat pozostawionych na łasce losu zwierząt. Utworzyły się razu dwa przeciwne obozy i doszłoby nawet do poważniejszej awantury, yby nie rozległy się radosne, krótkie sygnały odwołanego alarmu.

Ludzie od razu zaczęli inaczej na siebie patrzeć, uśmiechać się jeden do ugiego, życzyć szczęśliwej drogi i rozchodzić się pośpiesznie w różne erunki miasta.

Ojciec zadecydował:

— Nigdzie się stąd nie ruszajcie same. Ja tylko skoczę po kota i za piętnaś minut będę z powrotem.

— Tylko uważaj na siebie, Stasiu!

Wypadł biegiem z bramy nie słysząc już zapewne matczynego upomnienia. Siedziałyśmy na walizkach, oparte plecami o zielono malowane ściany ugiej bramy. W złotawej od słońca czeluści podwórka stał wielki kasztan biący kolczaste owoce. Był w tym obrazku ujętym w ciemną koronkową nkę bramy jakiś idylliczny spokój, całkowite zaprzeczenie tego, co działo w ramce po przeciwnej stronie.

Ulicą szli i szli wciąż ludzie obarczeni tobołami, zdyszani, wystraszeni, zeganiani bombami i lękiem z jednej dzielnicy miasta do drugiej w poszuwaniu bezpiecznego miejsca.

— Może niepotrzebnie ruszyliśmy z domu? Tak się tułać po obcych, kiedy ma się swój własny kąt?... — rozważała matka wodząc wzrokiem po umęczonych przechodniach. — A pogoda jak rybie oko... — dodała trochę bez związku, widocznie do swoich myśli, i wreszcie zaczęła się niepokoić o ojca.

Pomyślałam o Piotrusiu. Gdzieś tam daleko w powietrzu powinien teraz bronić dostępu niemieckim samolotom, które coraz bardziej czuły się na naszym niebie jak u siebie w domu. Poczułam do niego żal o te ciągłe naloty i strach, w jakim się nieustannie żyło.

Zjawił się wreszcie ojciec. Miał zaczerwienione oczy i jakąś uroczystą powagę w twarzy.

— Nie ma już domu.

Matka wpatrywała się niemo w ojca i łzy jej kapały na czarną „okryjbidę". Nie miała odwagi spytać o kota.

— Zginęło ponad sto osób... Dozorca z sąsiedniej kamienicy opowiadał, że jak się zaczął nalot, to wszyscy ludzie wpadali do naszego domu, bo akurat tak po drodze...

— Bóg nas miał w swojej opiece... — przeżegnała się matka, a ojciec uchylił kapelusza.

— Biedna Kacunia... — szepnęłam cicho przez łzy, przypominając sobie jej czarne, cieplutkie futerko.

— Ludzie giną, a ty nad głupim kotem się litujesz! — huknął na mnie ojciec, ale po chwili dodał: — Siedzi bydlę na gruzach i wrzeszczy! Wołałem ją nawet, ale nie chciała zejść. Zdziczała od huku albo ogłuchła... Mam puszkę skondensowanego mleka, to się rozcieńczy wodą i jutro jej zaniosę.

Bezdomni i cudem uratowani, ruszyliśmy z walizkami w stronę ulicy Żurawiej.

*

Wrzesień dobiegał końca.

Alarmy trwały po dwadzieścia cztery godziny. Nikt ich już nawet nie ogłaszał ani nie odwoływał. Artyleria waliła w bezbronne miasto, bomby sypano z samolotów. Warszawa płonęła, rozpadała się w gruzy, pokrywała mogiłami jak ulice rozbitym szkłem.

Nie było chleba, nie było wody, nie było światła. Walające się na ulicach trupy ludzkie i końskie nie sprawiały już na nikim większego wrażenia. Pożary obserwowało się obojętnym okiem, zapatrzonym tylko w błękitne pogodne niebo, zsyłające śmierć ludziom i zagładę miastu.

W oficynie domu Kostyrówny na parterze mieściły się jakieś biura. Wkrótce zamieniły się w zbiorowy schron dla wszystkich wysoko mieszkających lokatorów kamienicy. W ogromnych pokojach, wysłanych materacami, gnieździły się rodziny z całym dobytkiem w walizkach, od których nie chciano na krok odstąpić.

Kostyrówna ze swoją matką zajmowała nazjaciszniejszy, najlepszy kąt, wyłożony grubo dywanami i pościelą. My „mieszkałyśmy" obok, na wąskim materacyku, który pożyczyłyśmy od Kostyrówny. Kostyrowa patrząc na niego ciągle wzdychała, że się „wysiedzi" i do reszty zmarnuje.

Gdy bardzo dokuczyło nam koczowanie w smrodzie, strachu i brudach

ymykałyśmy się na czwarte piętro do czystego mieszkania. Nie zważając a gwizd bomb i głuche detonacje myłyśmy się w odrobinie wody i wysypia- y na wygodnych tapczanach. Ojca z nami ciągle nie było. Znikał pod pre- ekstem, że musi nakarmić kota, i wracał po kilku dniach z wypchanymi valizkami.

— Udało się wyciągnąć z gruzów dwie nasze walizki — mawiał spokojnie rzy rodzinie Kostyrówny. — Macie tam trochę żywności i ubranie.

Udawałyśmy zupełną obojętność, żeby nie dać poznać po sobie, że walizki ą dla nas zupełną niespodzianką, i dopiero po jakimś czasie wynosiłyśmy je a górę, zaglądając do środka. Była w nich piękna bielizna, słodycze, sukienki, antofle, srebrne sztućce.

Matka denerwowała się robiąc ojcu półgłosem wyrzuty, chociaż nikt nas ie mógł słyszeć na czwartym piętrze wyludnionego domu.

— I po co to wszystko? Na cudzej krzywdzie nikt się jeszcze nie wzbogacił. a nie chcę widzieć u siebie kradzionych rzeczy! Zawsze byliśmy w biedzie, le przynajmniej człowiek mógł ludziom patrzeć w oczy... Nie przynoś nic więcej, bo wyrzucę oknem...

Ojciec wzruszał ramionami, nazywając matkę „histeryczką nie z tej ziemi".

— Jedyna okazja, żeby się z bidy wygrzebać. Nie wezmę ja, to zabierze nny. Całe procesje chodzą po mieszkaniach i rabują. Ja nie szukam ani uter, ani maszyn do pisania. Biorę tylko to, co najkonieczniejsze... Nasze esztki łachów zostały przecież pod gruzami — rozgrzeszał się ojciec. — Myślisz, że ja się nie narażam dla ludzi?! Stworzyłem straż obywatelską pilnujemy w kilku całej dzielnicy, żeby wszystkiego nie rozkradli. Wczoraj lobraliśmy się do piwnic pod sklepem kolonialnym. Od razu na rogach ulic kazałem rozstawić otwarte skrzynki i pod kulami rozdzielałem biedocie ywność. Trochę i wam przyniosłem...

Zaczął wyciągać z plecaka łomy czekolady i puszki z parówkami.

Matka trochę się udobruchała i nawet przebrała w czysty komplet jedwab- nej bielizny. Tłumaczyła się przede mną, że robi to tylko dlatego, że jeśli darzyłoby się z nią jakieś nieszczęście, to nie chce, żeby widzieli ludzie, jakie na pod spodem biedne i brudne łachy.

Zachłanność, z jaką rzucałam się na ubrania, była silniejsza od strachu. Nie zważając na wpadające przez okno odłamki, w popłochu przymierzałam przed lustrem przyniesione sukienki. Były to francuskie jedwabie, mięciuśkie wełenki, pastelowe w kolorach, i prawie wszystkie pasowały na mnie bez przeróbek.

— Ach, żeby tylko przeżyć... — wzdychałam pobożnie, nie mogąc się już doczekać dnia, kiedy będę mogła paradować w tych cudownościach po mieście kiedy się skończy wojna, żeby mógł mnie zobaczyć w nich Busio.

— Tatusiu, może tam się gdzieś znajdzie jakiś płaszczyk albo ciepły żakiecik?... — prosiłam nieśmiało.

— Poszukam.

Matka usiłowała ojca zatrzymać.

— Nie chodź już nigdzie. Przecież na ulicach piekło i znów będę drżała o ciebie... Zostań.

— Nic mi się nie stanie, Tećka! Mam swój system chodzenia pod bombami... Widać sądzone mi spróbować lepszego życia... Jak się tylko skończy oblęże-

nie, to wrócicie od razu na Kolonię. Mam tam już upatrzone mieszkanie. Właściciele podobno uciekli za granicę. Dwa pokoje z tarasem i ogródkiem. Mebli jest też trochę, garnki, skorupy i jakieś łachy w szafie wiszą. Lecę pilnować, żeby kto nie rozkradł. Już na drzwiach przybiłem naszą wizytówkę i z dozorcą jestem blat.

Słuchałyśmy tego jak bajki, ale matka ciągle nie mogła uwierzyć w szczęście posiadania przyzwoitego mieszkania. Pewnie dlatego, żeby nie zapeszyć szczęścia, powtarzała za każdym razem:

— Jeszcze nie wiadomo, czy przeżyjemy, a ty już robisz plany na przyszłość...

Ojciec któregoś dnia wraz z wypchanym plecakiem przyniósł kilkanaście jesiennych, ostatnich róż z naszego nowego ogródka. Szedł z nimi dziewięć godzin przemykając się pod obstrzałem artylerii, żeby zrobić matce przyjemną niespodziankę. Matka natomiast spojrzała na niego jak na człowieka pomylonego, a ja zaniosłam je na grób pochowanego przed naszą bramą żołnierza. Przedwczoraj wyrwaliśmy kilka płyt z chodnika, a szewc z lewej oficyny zrobił drewniany krzyżyk nad tym jego ostatnim miejscem spoczynku. Wprawdzie buty zabrał dla siebie, ale i tak nie były potrzebne nieboszczykowi, a nawet zawadzały w zbyt płytkim grobie.

Naprzeciwko sterczały dwa wypalone budynki kryjące w swoich piwnicach zbiorowe groby. Śmierdziało spalenizną, a w gęstym szarawym powietrzu unosił się popiół i sadze.

— Mam dla was wiadomość! — przypomniał sobie ojciec.

Korzystając ze względnej ciszy odprowadzałyśmy go z matką parę kroków do rogu najbliższej ulicy Kruczej.

— Kacunia już się trochę oswoiła i przychodzi do ręki, ale nie da się złapać. Mieszka dalej w gruzach. Codziennie latam blisko kilometr, żeby jej żarcie donieść...

Stosunki z Kostyrówną, a zwłaszcza jej matką nie układały się najlepiej i postanowiłam po wojnie nie podtrzymywać tej znajomości. Starą Kostyrową denerwował nasz spokój, z jakim znosiłyśmy naloty i artyleryjskie pociski dziurawiące naszą kamienicę. Denerwowały ją także wypchane walizy, które ojciec znosił, i wciąż wzdychała, że jej mieszkanie już na pewno rozbite, a różni złodzieje wynoszą dobro, na które całe lata ciężko pracowała nie mając się czasu nawet leczyć.

— Niektóre ludzie, co to przed wojną nic nie mieli, to chyba teraz bogaczami zostaną... — chrypiała zaflegmionym głosem, siedząc na stercie poduszek i plując w chusteczkę. — Ja na ten przykład nie chcę się bogacić na cudzej krzywdzie... Żebym się o sztabkę złota potknęła, to nie ruszę, palcem nie dotknę, bo nie moje... — spoglądała zjadliwie w matki stronę i na moje nogi w zamszowych pantoflach.

Kostyrówna prawie codziennie wymykała się do swego mieszkania i głośno odmawiając ze strachu *Pod Twoją Obronę* przeliczała w szafie sukienki, czy przypadkiem coś nie zginęło.

Miałyśmy z matką zupełnie dosyć tego wspólnego mieszkania, ale pocieszałyśmy się, że nie jesteśmy jedynymi lokatorami wielkiego pokoju, w którym rozłożyło się obozem dziewięć rodzin z walizami i dziećmi.

Mąż Kostyrówny zjawiał się prawie codziennie, wyrywając się jakimś

obie tylko wiadomym sposobem ze swojej jednostki stacjonującej w podzie-niach „Imki". Miał nieskazitelnie czysty mundur podchorążego, buty lśniły akby nie deptały po gruzach i kurzu, a pod pachą zawsze coś do domu rzynosił. Raz była to mała palemka z rozbitej kwiaciarni na Placu Trzech Krzyży, raz jakiś ładny wazon, przybory toaletowe, a nawet kiedyś przy-źwigał z żołnierzem skrzynię z piękną ćmielowską porcelaną na 24 osoby.

Stara pani Kostyrowa obrzucała zięcia niechętnym wzrokiem.

— Że też Tadzik to takie byle co do domu znosi... Inni z walizami przy-hodzą.

— A mamusia wie, ile taka palemka przed wojną kosztowała? A taki erwisik? Niech mamusia tylko popatrzy na pieczątkę pod spodem... Już ja yle czego nie wezmę.

Rzeczywiście nie brał byle czego. Na palcach Kostyrówny pojawił się ierścionek ze szmaragdem, a w trzy dni później dwie grube bransolety a ręce.

Noce były trochę spokojniejsze od dni, ale może nam się tylko zdawało, dyż tak przyzwyczajono się do huków, że wreszcie przestały razić. Raczej iepokoiły zbyt długie chwile ciszy i wtedy czegoś zaczynało brakować... udzie spoglądali po sobie, uśmiechali się niepewnie i dziwili, dlaczego jest aka cisza. Bano się jej na odmianę.

Mąż Kostyrówny znosił także gorące, złotawe bochenki chleba, które ukry-vali pod poduszkami, a zjadali cichcem w nocy, żeby się z nikim nie dzielić. Wszystkie niemal posiłki spożywali po ciemku, głośno narzekając na kończące ię zapasy, wróżąc sobie i innym śmierć głodową. Może właśnie i dlatego tara Kostyra tak niechętnie odnosiła się do mojej matki, która żywiła naszych zapasów nie tylko rodziny z naszego pokoju, ale nawet nosiła nleko w puszkach i herbatniki dla dzieci z sąsiedniego pomieszczenia.

— Dawaj tak pani wszystkiem, a jak pani zbraknie, to nikt się nie podzieli. udzie są takie...

— Póki mam, to niech wszyscy jedzą... — uśmiechała się spokojnie matka, ozdzielając hojną ręką zapasy znoszone przez ojca, dziwiącego się, że tak zybko znikają. Wynalazła nawet jakąś rodzinę pogorzelców. Uciekli z pło-ącego domu na Marszałkowskiej tylko w nocnej bieliźnie z dwojgiem małych dzieci i trojgiem kociąt w koszyczku. Mieszkali w schronie o dwa domy dalej nosiłam im codziennie coś z pożywienia, a nawet poszła do nich wełniana ukienka i sweterek w paseczki, a matka zamówiła u ojca z bardzo nieśmiałą niną jakiekolwiek dziecięce ubranka.

Mimo woli podpatrywałam małżeńskie życie Kostyrówny i doszłam do vniosku, że daleko mu było do szczęśliwego, a i ona sama zmieniła się ardzo od szkolnych czasów i coraz trudniej było nam znaleźć wspólny język.

W naszym pokoju mieszkała bezdzietna, zupełnie samotna para głuchonie-nych. Nie odstępowali siebie na krok, wciąż trzymając się pod ręce i po-ozumiewając na migi. Wiedli ze sobą jakieś niekończące się rozmowy pal-cami, skuleni na przykrótkim materacu. Wodzili przy tym czujnym, wyczeku-ącym wzrokiem po naszych twarzach, jakby z nich czytali, co się w danej hwili dzieje. Czy trzeba uciekać do piwnicy, czy należy położyć się plackiem od ścianami, czy można spokojnie wyjść na małe podwórko, żeby napom-ować trochę wody ze studzienki. W chwilach największych nalotów, gdy

prawie wszyscy modlili się głośno lub śpiewali pobożne pieśni, gdy c
chodził, jakby za chwilę miał się przewrócić, gdy ziemia drżała i łos
walących się w pobliżu domów ogłuszał, para niemych siedziała bez ru
Tylko ich przerażone, wychodzące prawie z orbit oczy mówiły o grozie, j
przeżywali na cicho w milczeniu. Ona przytulała tylko wtedy głowę męża
siebie, jakby mu chciała zasłonić uszy przed hukiem, którego nie mógł
szeć. Niemowa dostawał w takich razach rozstroju żołądka i małe, osza
strachem stworzenie prowadziło go do ubikacji, nie chcąc ani na chwilę p
stawiać go samego. Po każdym nalocie coś jej długo i zawile pokazy
nerwowymi ruchami na palcach. Wyglądało na to, że się z nią o coś sprze
ale ona łagodnie perswadowała powolnymi, statecznymi ruchami giętk
palców.

Kiedy na nasze podwórko spadły dwie zapalające bomby, niema kob
razem ze wszystkimi rzuciła się z kubłem piasku do zasypywania płonąc
puszek. Był to pierwszy chyba wypadek, że pozostawiła męża samego w
koju.

Pożar został ugaszony i wpadłyśmy z matką na chwilę do bramy, będą
czymś w rodzaju klubu. Tutaj spotykano się na pogaduszki i wymianę no
z naszej i następnych trzech kamienic, ponieważ brama była wyjątko
obszerna i na żelaznych podciągach.

Kostyrówna, otrzepując dłonie z piasku, zaśmiewała się głośno opowiada
coś stojącym wokół niej lokatorom ze wspólnego mieszkania.

— Z czego tak ryczysz? — spytałam podchodząc bliżej.

— A z tej głupiej niemowy... — odpowiedziała zataczając się ze śmie
i przedrzeźniając ją ruchami palców. — Rzuciła kubeł z piachem prosto p
Seweryniakowej pod nogi i wskoczyła jak oparzona do sieni... Ja się pat
a na trzecim piętrze w otwartym oknie stoi ten jej głuchy mąż i chce
skoczyć. Wymachuje przy tym rękami, a ona go siłą odciąga i tak się woc
że już myślałam, że razem z tego okna wypadną... Mało nie pękłam
śmiechu! On jej za każdym nalotem chce z okna się rzucić i dlatego tak
ciągle trzyma przy sobie... — zakończyła, głośno chichocząc.

Po krótkiej przerwie zaczęła znów walić artyleria, zawarczały na pogodn
niebie samoloty. Towarzystwo rozbiegło się po swoich kryjówkach. P
niemych biedaków kuliła się w kącie, objęta czułym uściskiem, małżeńst
z dziećmi odmawiało półgłosem pacierz, pani Kostyra żegnała się co chw
kryjąc w ramionach rozczochraną głowę, a reszta sublokatorów zeszła z
bytkiem do piwnicy.

Mąż Kostyrówny wracał prawie codziennie na noc do domu i wtedy
było mowy, żeby wolno jej było sypiać w ubraniu, a chociażby w bieliźn
Zmuszał ją, żeby się rozbierała do naga i tak oboje wsuwali się pod ogrom
puchowe kołdry, nie zwracając uwagi na czuwającą obok teściową ani
nas, ani na dalszych i bliższych sąsiadów tego małżeńskiego łoża.

Kostyrówna próbowała się tylko raz zbuntować, ale dostała po twarzy
oczach świadków i zaraz spokorniała.

Pani Kostyra wzięła w obronę zięcia.

— Jak mąż chce, tak musi być, a ty nic tu nie masz do gadania. On
teraz żywi...

Rano musiała mu czyścić buty i szczotkować mundur. Nie buntowała

więcej, ale za to do mieszkania na czwartym piętrze przybywały coraz to sze i cięższe paki. Stara pani Kostyra patrzyła w zięcia jak w obraz.

ostatnich dniach oblężenia wpakował się oddział wojska z końmi, który ganiano z podwórka na podwórko, i kilka nowych rodzin. Jedna z nich a rudego czau-czau. Rozlokowali się w przedpokoju. Odtąd czujnie na-iwałam, czy przypadkiem rudzielec nie wyje, i z czułością głaskałam vsty łeb tego cichego, potulnego bydlaka, który swoim milczeniem antował bezpieczeństwo.

wi lokatorzy opowiadali tak straszne rzeczy, że uznano ich za dywer-w i mało brakowało, żeby nie zostali rozstrzelani przez jednego ze stacjo-cych z wojskiem oficerów.

wili, że nasza armia rozbita, że rząd i wszyscy dostojnicy uciekli za icę, że sprzedano naród, że tylko teraz cała pociecha w Anglikach, którzy dzień przyjdą z odsieczą. Byli nawet tacy, którzy uwierzyli w pogłoski, a Pradze stoją pierwsze oddziały angielskich wojsk spadochronowych, edzierali się w stronę mostu Poniatowskiego z doniczkowymi kwiatami niach, ginąc przeważnie od kól z działek samolotowych.

Krystyna Nepomucka-Dworakowska

Andrzej Stawar

BOY W CZASACH MŁODEJ POLSKI

Biografia Boya narusza uznaną niejako kolejność w działalności każde pisarza: młodość — debiut nie zawsze pewny, często burzliwy, wiek dojr ły — największa intensywność twórcza, potem pewne osłabienie tem zbieranie owoców poprzedniej działalności, urozmaicone niekiedy wal z młodymi. U Boya — nie jedyny to wypadek w literaturze — tę kolejn trudno by odnaleźć. Najburzliwszy a zarazem najintensywniejszy był osta okres działalności pisarza. Nie wszyscy późniejsi czytelnicy Boya zdaw sobie sprawę, że jego debiut przypadł jeszcze na początki Młodej Polski.

Syn wybitnego kompozytora, Władysława Żeleńskiego, od dzieciństwa pr bywał w środowisku intelektualno-artystycznym. Był świadkiem „burzy i r poru" krakowskiej Młodej Polski. Z tych czasów pochodzą wczesne próby po tyckie, kilka sonetów drukowanych jeszcze w roku 1895. Wykazują one wp wy kultury poetyckiej parnasistów i... świeże ślady lektury *Quo vadis,* nast trochę pietystyczny, trochę fin de siecle'owy w stylu epoki. Jako debiutant Boy nie poszedł drogą cyganerii artystycznej. Skończył studia medyczne sp cjalizując się jako lekarz chorób dziecięcych — napisał kilka prac naukowy drukowanych w pismach specjalnych, i wszczął nawet kroki, by habilitow się na uniwersytecie krakowskim.

Widoki kariery naukowej odsunęło zajęcie się kabaretem literackim.

Środowisko, w którym rozwijał się autor *Słówek,* miało w nim później zr leźć swego dziejopisa. Jego prace późniejsze rzucają światło na skomplikowa wpływy intelektualne, wśród których się rozwijał.

Boy później nader sugestywnie opisywał kontrasty krakowskiej wsp czesności. „Pański Kraków" — podupadłe, pięćdziesięciotysięczne mias z ogromną przeszłością i pretensjami stolicy — średniowieczne mury ciąż nad żywymi ludźmi i ich sprawami. Zastój gospodarczy, brak przemys przeludnienie, bieda. Jedna z programowych książek współczesności, Stanis wa Szczepanowskiego *Nędza Galicji w cyfrach i faktach* — ową nędzę wp wadziła wprost w przysłowie. Pod koniec stulecia ożywienie powodowała a tacja socjalistyczna — mimo że słabość proletariatu przemysłowego pozos wiała socjalizm galicyjski daleko w tyle za rozwojem ruchu rewolucyjne w sąsiedniej Kongresówce.

W tym ciężkim klimacie fizycznym i moralnym miasta panowała atmosfera gasającej pańskości dawnej Rzeczypospolitej. Gronostaje wyliniały, mole oczyły karmazyny magnaterii, która z królewiąt zeszła na przysłowiowych licyjskich hrabiów. Polski Rzym — tak zwano wówczas Kraków — raj klekalny, gniazdo bigoterii z Puzyną na stolcu Oleśnickich — równie lojalnym stosunku do Wiednia jak nieprzejednanym wobec radykalizmu polskiego. łucczyzna ospałego, ledwie wegetującego przy zastoju ogólnym mieszczańwa starła się ze zjawiskiem Młodej Polski, z jej przerostami intelektualnotystycznymi, tym silniejszymi, że był to przeważnie intelektualizm ludzi, azanych przez warunki na częściową nieproduktywność, wyładowujących się gadaniu. Na tym tle następowały fajerwerkowe wybuchy talentów, zarówno ejscowych — Wyspiański, Tetmajer — jak i przybyszów z innych zaborów — zybyszewski, Kasprowicz. „Coś z partykularza i coś z renesansu" — jak sał później Boy.

Mimo zmian, które zachodziły, klimat krakowski pozostał niekorzystny dla zwoju możliwości pisarskich młodego Żeleńskiego. Chodziło tu nie tyle zresz- o klimat miasta, ile o klimat intelektualny okresu.

Wiele pisano na temat zwrotu antyracjonalistycznego w umysłowości eurojskiej, który zarysował się w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku na przełomie dwóch stuleci przejściowo odnosi sukcesy w literaturze i sztu- Jest to sprawa nader istotna dla charakterystyki atmosfery, w której dojewał przyszły autor *Ludzi żywych*.

Niektórzy autorzy katoliccy próbowali wspomniany zwrot w kierunku irracnalizmu dyskontować na rzecz religii. Ich zdaniem rozczarowana suchością ałowością racjonalizmu i jego materialistycznymi konsekwencjami — banuctwem wiedzy, jej nieudolnością w rozwiązywaniu problemów czasu (o tym ankructwie" pisali też niektórzy uznani przedstawiciele wiedzy doświadalnej) — ludzkość zwracała się do wypróbowanego tradycyjnie przewodniwa Kościoła.

Nie odpowiadało to jednak rzeczywistości. Mimo iż nie brakło w tym okre- efektownych nawróceń w środowisku uznanych firm intelektualnych, to dnak w zwrocie antyracjonalistycznym profitowała nie tylko religia, ale wszelkiego rodzaju kierunki spirytualistyczne, skądinąd Kościołowi niezbyt zyjazne. Zrażeni do suchości i jałowości rozumu, intelektualiści kokietowali oczenie nie tylko uczęszczaniem na msze kościelne, ale satanizmem i czarmi mszami, magią oraz innymi elementami średniowiecznej opozycji antyścielnej.

Rozwój więc nie przedstawiał się tak prosto, jakby to chcieli widzieć apogeci i nawróceńcy. Późniejsze, czysto polityczne konsekwencje triumfu wrow materializmu okazały się znowu dla religii mniej korzystne, niż tego zekiwano na początku. Widzieliśmy w ostatnich dziesięcioleciach, że Kośł niewiele miał pociechy z niektórych pupilów, owszem, spotkał się poważnymi zawodami. Bo też zwrot omawiany mało miał wspólnego z czym pociągiem do ożywczych krynic religii i wiary.

Kredyt racjonalistycznych prądów u mieszczaństwa europejskiego w wieku X opierał się na wierze w regularny, nieprzerwany przebieg ewolucji spoznej. Wzrost nauki miał iść na równi z przyrostem dóbr materialnych, zdoczami konstytucyjnymi, rozwojem interesów materialnych klasy panującej.

Tę wiarę złamał rozwój klasowego ruchu rewolucyjnego, połączony z postępami socjalizmu naukowego. Okazało się, że wzgardzony motłoch, który dawniej potrafił w momencie podniecenia niszczyć dobra kulturalne i palić księgozbiory, teraz wykorzystuje postęp wiedzy we własnym interesie, ku szkodzie swoich patronów.

Marksistowskiej krytyce kapitalizmu można było przeciwstawić adwokackie wywody urzędowych chwalców, które obalała rzeczywistość. Prognozy społeczne twórców marksizmu potwierdzały się w praktyce. Równocześnie okazało się, iż możliwości postępu gospodarczego w ramach istniejącego ustroju są na wyczerpaniu. Tym samym otwarta została sprawa kryzysu ustrojowego, a nie tylko politycznego, jak bywało dotychczas w związku ze zmianą ministrów czy konstytucji. Kryzys miał naruszyć wszelkie interesy życiowe klas panujących i ich satelitów społecznych — od majątku, trybu życia, przyzwyczajeń do zasad moralności mieszczańskiej.

Podczas ubiegłej wojny nieraz można było dostrzec, jak dalece przywiązanie do ustalonego trybu życia, ustalonej sytuacji przeważało u ludzi nad instynktem samozachowawczym, jak ludzie ginęli, tracili życie często dlatego, że nie potrafili w porę rozstać się z meblami, mieszkaniem, urojeniami dawnej pozycji socjalnej. Zrozumiałe są też efekty moralne pierwszego poważniejszego zachwiania wiary w te odwieczne podstawy społeczeństwa, w ich trwałość, skoro następowało to przecież nie w jednym kraju, lecz nosiło charakter powszechny.

Ujrzeć po wyjściu z domu, iż życie w mieście zostało zahamowane przez strajk, zobaczyć demonstrujące tłumy i wstrzymującą je lub szarżującą policję — było dla mieszczanina rzeczą straszną. To nie była tylko sprawa doraźnego niepokoju — całe życie wewnętrzne mieszczanina zostało porażone w sposób trwały, w swej istocie nigdy nie miało wrócić do dawnej równowagi.

Dotychczas społeczeństwo mieszczańskie znało napady paniki wojennej, paniki w obliczu konfliktów zewnętrznych, paniki giełdowej, poprzedzającej tajfunowy przelot kryzysu przez świat interesów, wieszczący ruinę i krach. Ale to były przecież niebezpieczeństwa przemijające, dotykające wiele jednostek, przedsięwzięć, ale nie zagrażające wszystkim. Teraz społeczeństwo zaznało napadów paniki socjalnej, która wydać się musiała stokroć gorsza niż tamte. Tu już groził jakiś koniec mieszczańskiego świata — kres wszystkich podstaw, norm, przywiązań życiowych, kataklizm, którego przewidywanie dla wielu wydawało się gorsze od śmierci.

Mieszczaństwo traci dawną wiarę w postęp, odwraca się od jego ideologów, przestaje szukać oparcia w trzeźwym rozumie, w nauce, jak chory, który wie, że mu medycyna nie pomoże, i zwraca się o pomoc do znachorów, udaje się do cudownych miejsc, zgorzkniały i zrozpaczony szuka ratunku, w który w gruncie rzeczy sam nie wierzy. Te nastroje oddawały społeczeństwo mieszczańskie w ręce wszelkiego rodzaju katastrofistów i szarlatanów politycznych, którzy później umieli wyeksploatować w bezwzględny sposób energię i możliwości społeczeństw w najbardziej niszczącym, najbardziej jałowym kierunku, zagrażającym krachem całej cywilizacji europejskiej.

To poczucie kataklizmu, te rozpaczliwe przewidywania zostały rozwinięte przez ideologów, teoretyzujących naukowców, literatów. Rozpraszali oni „złudzenia postępu", urządzali wędrówki i pielgrzymki do świątyń wszelkich wiar,

rowadzili istną rewię, zdawałoby się, zamarłych przesądów staroświecczyzny, ynieśli na nowo twórczą moc mitu, legendy ponad prozaiczne, nie pocieszające prawdy rozumu. Pod znakiem takich nastrojów przechodził „fin de siècle", koniec wielkiego wieku, który później ideologowie reakcji określili jako głupi wiek XIX".

Pozytywizm wywołał niechęć i rozczarowanie. Postawa irracjonalna wyawała się szczególnie efektywna dla artysty. Nawrót do romantyzmu oznazał nie tylko obfitujące w odkrycia wędrówki po lamusach dawnej literaıry. Rozstanie się z normami realizmu, wejście w świat baśni, urojeń, muyki, nastrojów, dawało stylowi ówczesnemu niezaprzeczoną sugestywność. iperbolizowanie negacji, malkontentyzm wieloznaczny, w istocie mało obowiązujący, ale zwrócony przeciwko rządom mieszczaństwa, nihilizm ideowy, owizdrzalska gra ironii — wszystko to pomieszane dawało obraz nader efekowny, swoistej fascynacji towarzyszyło poczucie, że to nie będzie długo trwao, że to przecież „fin de siècle", koniec w najdoskonalszym znaczeniu.

I

Sukcesy prądu antyracjonalistycznego w poezji otwierały drogę dla mistyki szelkich odmian i nabożeństw — fideiści i diaboliści, dewoci i okultyści, franszkańscy prostaczkowie i magowie, korne dzieci Boże i ziejące pychą plemię ucyfera. A za nimi całe hordy ubożąt i niebożąt intelektualnych, głoszących łatwo nabytym przekonaniem upadek rozumu. Brało się do ręki z równym rzekonaniem Ewangelię, Kabałę, horoskopy astrologiczne proroka Nostradausa, uczone dzieła mistyczne i stare pisma potępionych przez Kościół hereków i magów. Podobne upodobania znajdziemy u wielkich artystów i u ich ielbicieli, u wielkich awanturników politycznych tej epoki i u wyborcy, tóry otwierał drogę do władzy.

Manichejskie tendencje towarzyszące myśleniu epoki romantycznej zostały opopularyzowane, często rozdrobnione — jeśli chodzi o spirytualistyczny poąd na świat. W literaturze ówczesnej uderza raczej wykorzystanie wszystich efektów, wszystkich powabów dualizmu religijnego. W tym samym tomie oezji trudno odróżniłbyś, co przeważa — czyste kwilenie chórów anielskich y szyderczo-sprośny rechot Zwodziciela. W tytanicznych zmaganiach, toczoych w duszach poetów wedle nieśmiertelnych wzorów romantyzmu, co najdowało melodyjny epilog na arkuszach poetyckich.

Ogólnie biorąc przeważało estetyczne wędrownictwo poetyckie, próbowanie óżnych smaczków — przesyceni anielskim chlebem mistyki, artyści chętnie dychają ostrzejszy zapach smoły diabelskiej. Uniesienia mistyczne spajały ę z nie kontrolowanym poddaniem się zewowi chuci i z predylekcją do ynaturzeń wszelkiego rodzaju.

Prototypem tych miotań, estetyczno-religijnych wędrówek był u nas Przyyszewski, ten — wedle określenia Boya — „smutny szatan", który dzwonił końcu ogonem na wszelkie możliwe msze, oddawał się wszelkim kultom, szelkim magiom, wyczerpał wszystkie formy ekscytacji duchowej. Modlono ę i błogosławiono pięknie, bluźniono i przeklinano jeszcze ładniej. Modlitwy oiły się od paradoksów, bluźnierstwa zaczynały już trącić jakowymś trady-

cjonalizmem, bodaj urzędowością, ostatecznie słyszano podobne rzeczy ju nieraz i od osób z murowanymi pozycjami w dziejach literatury. Z innej stro ny rzecz biorąc jedno i drugie nie kosztowało wiele. Szczerym uniesienion religijnym nie brakło ziemskiej nagrody i poparcia — za chełpienie się prak tykami czarnej magii oraz bliskimi stosunkami z książęciem piekieł nikog nie powleczono na stos.

Te różnorodne pierwiastki spajał estetyzm. Ale trawił on i rozkładał sfer przeżyć emocjonalnych, nadawał wielu sprawom piętno sztuczności, wtórnośc Te ulubione dualizmy i kontrasty czasu — spirytualizm, chutliwa metafizyka poszukiwanie żywiołowości — wszystko to było nieco wysilone. Pozorny roz kwit zawierał coś spóźnionego, pierwiastek jakiejś bezsilności, jałowości. Prz kulcie wartości irracjonalnych znajdował tu niejednokrotnie przytułek grub konformizm społeczny.

Na tym tle dopiero występuje istotny sens zaczadzenia przybyszewszczyzna któremu podlegał Boy w studenckim okresie. Boy przebywał w świecie cy gańskim Przybyszewskiego, był jednym z wielu niezliczonych jego przyjaciół i wielbicieli — adorował zresztą jego żonę, Dagny. W późniejszym czasie, pi sząc o tym środowisku, Boy podkreślał, że niewiele tam było oddziaływani koncepcji literacko-artystycznych Przybyszewskiego. Autora *Dzieci szatan* otaczała swego rodzaju sekta.

„Kiedy sobie przypominam jego ówczesną gminę krakowską, zdaje mi sie że dosyć niewiele troszczono się tam o »Życie«, o manifesty, głoszące sztuk przez wielkie S: wszystko to zdawało się dość blade w stosunku do tego nie samowitego, narkotycznego życia, jakie Przybyszewski sam stwarzał dokoł siebie." (*Ludzie żywi*)

Ludzie serio myślący o pracy literackiej odpadali szybko z towarzystw Przybyszewskiego.

„Dobór otoczenia odbywał się wedle całkiem innych kategorii: to były, jeżel wolno tak powiedzieć, dzieci Szatana. Takie sobie niewinne dzieci, dzieciątka.

„Książę ciemności!... Alkohol wypity z nim miał tajemniczy smak: ni darmo wypisywaliśmy wówczas na flaszkach wiśniówki: *„Eritis sicut Deos scientes bonum et malum."**

Stare zawołanie Szatana z Genezis padało tu nieprzypadkowo. Poza stron skandaliczną, gorszącą i epatującą zarazem „mydlarza" — mieszczanina, w od działywaniu Przybyszewskiego odbijały się sprawy arcyważne pod względem kulturalno-literackim. Boy w szkicach o Przybyszewskim kładzie nacisk n odrabianie zaległości historycznych, wynikłych z sarmackiej powściągliwośc seksualnej w naszej dawnej literaturze.

Ale chodziło nie tylko o to. Nasz romantyzm miał — niezależnie od wszyst kiego — w zasadzie piętno katolickie. Sekciarskie odchylenie od ortodoksj w towiańszczyźnie niewiele tu zmieniało. „Satanizm" Przybyszewskiego wpro wadzał nutę buntu światopoglądowego — rozszerzał ten bunt na ogół spraw starej moralności. Uderzało, rzecz jasna, w pierwszym rzędzie nicowanie pa nującej moralności seksualnej. Ale sprawy seksualne są ściśle związane z

* Przybyszewski poddawał swoje szatanięta próbom osobliwszym i nie zawsze niewinnym Jeden ze współczesnych opisywał scenę, jaka nastąpiła zimową nocą na plantach krakow skich. Tadeusz Żeleński leżał na ławce z grudą śniegu pod głową niby poduszką, Przybyszewsk (obaj byli mocno wstawieni) troskliwie okrywał go kołderką z puszystego śniegu. Przyszł autor *Słówek* opłacił ten eksperyment poważną chorobą.

rukturą rodziny jako „podstawowej komórki społecznej", a przez to i ze rukturą całego społeczeństwa.

To bardzo ważna okoliczność, jeśli chodzi o wychowawczo-światopoglą-owe oddziaływanie Przybyszewskiego na Boya.

Tu powstały zarodki późniejszego rewizjonizmu Boyowskiego. Młody student edycyny, pochodzący ze środowiska konserwatywnego, przez obcowanie krakowskim Księciem Ciemności przechodził w nowy świat emocji i odczu-ań, czego nie dają i dać nie mogą przeczytane książki. W sensie duchowym astępowało tu jakby przecięcie pępowiny, łączącej jednostkę ze starymi wie-eniami.

Rozdarcie głębokie i trwałe określiło już wówczas wspomniany rewizjonizm oyowski.

Często spotykamy powierzchowne traktowanie tych spraw, sprowadzanie h do igraszek rozbrykanych intelektualistów, do fanaberii dekadenckich. Ro-otnicy łódzcy tego czasu z pewnością nie wiedzieli i nie interesowali się tym, robiła i co myślała drużyna Przybyszewskiego. A przecie zrywanie z tradycjo-alnym myśleniem religijnym wyrażało się często w symbolice podobnej, lecz formie twardszej i bardziej naiwnej, bo ludzie ci przeżywali swe wierzenia raz ich krach w sposób bardziej pierwotny. Weźmy następujący fragment ze *arego i nowego* Lucjana Rudnickiego, opisujący kryzys myślowy autora:

„Miałem do wyboru: albo idąc drogą wskazaną przez spowiednika — zasłu-ć na niebo, albo ucząc się i walcząc razem z towarzyszami — iść do piekła. od wpływem przywiązania, szacunku, a nawet miłości do towarzyszy... wy-rałem piekło. Jeżeli oni, mówiłem sobie, skazani są już na potępienie, to i ja ójdę tam z nimi. Wierzyłem żywo w istnienie piekła, choć nie wiedziałem, dzie ono jest, ale jednocześnie zacząłem powątpiewać w bezmyślne okrucień-wo Boże. Buntowałem się na myśl o tym: Jeżeli rzeczywiście taki jesteś, anie Boże, to bierz mnie między diabły.

Ta zupełnie świadoma decyzja głęboko wpłynęła na całą moją osobowość. ostałem pełnoprawnym gospodarzem ziemi. Zwaliłem jarzmo i całe brzemię ebieskie, choć mocno odczuwałem lęk, że Bóg się może zemścić."

Postawienie sprawy u Rudnickiego jest prostsze, rzec można brutalniej-e, bo fideizm ludzi prostych wyglądał inaczej niż cyganerii, która przeszła zez wszystkie wyrafinowania myślowe czasu. Ale w gruncie rzeczy sformu-wanie o dzieciach szatana pokrewne jest owemu „wejściu między diabły" udnickiego, bowiem tło psychologiczne przemian jest podobne w środowi-kach nawet bardzo dalekich od siebie pochodzeniem i kulturą. I tu, i tam odziło o przecięcie pępowiny łączącej ze starymi wierzeniami, starym ukła-em myślowym, co zdarzało się na różnych poziomach społecznych i — znana sprawa — nawet zerwanie niekiedy układało się w pojęciach quasiteolo-cznych.

Przesłanki myślowe oddziaływania Przybyszewskiego były więc bardziej ożone, niż się pospolicie mniema. Krakowski „smutny szatan" do końca za-nował swoistą fascynację. Szkice Boya pisane już wówczas, gdy sława pi-arska Przybyszewskiego zmierzchła, to są w ogóle najlepsze rzeczy, jakie na-isano o Przybyszewskim.

Rzecz jasna egzystencja młodego Żeleńskiego w owym czasie miała rysy ardziej prozaiczne, nie odbiegała od trybu życia mieszczańskiej studenterii

owych czasów. „Za mało pieniędzy a za dużo namiętności" — to formuła, któ rej używa później. Życie prowadził niezbyt uporządkowane, co skłonny by przypisać m. in. niefortunnemu wyborowi zawodu lekarskiego.

„Dość szybko zorientowałem się w omyłce, mimo to ukończyłem ten wy dział, z pewnym wysiłkiem woli co prawda, gdyż myśl uciekała mi ciągl w inne strony. Przyznam się zresztą, że w tej rozterce ducha przeważnie gra łem w karty. Niejeden z państwa zauważył, że nic tak nie nastraja do filozoficznych dumań, jak zerżnąć się w baka, ale tak na goło!" (*Jak zostałem lite ratem*).

W innym miejscu znowu przedstawia rzecz w aspekcie na poły metafizycz nym:

„Otóż kiedy się przekraczało próg spelunki, znikał na jej progu mały, śmiesz ny Kraków; wchodziło się w wielkie, zaklęte królestwo gry. Bo namiętność jest jedna, czy jej terenem Paryż, Londyn, wielkie miasto portowe, czy nad wiślański gródek, talia kart wszędzie jest jednaka, stawka wysoka czy nisk dla tego, co ciągnie kartę, to w danej chwili wszystko jedno. Karciarnia był w maleńkim Krakowie niby eksterytorialna ambasada potężnego szatana. Trud no o silniejszy kontrast niż ten, jaki był między martwą i pustą ulicą ówczes nego Krakowa a wnętrzem jaskini gry. Miało się uczucie, jakby za obrócenien pierścienia w bajce lub wymówieniem zaklętego słowa otwierał się sezan wzruszeń, przeżyć, nadziei."... (*Czysta poezja*)

Młody Żeleński wprawdzie nie sprzedał szatanowi duszy, jak to bywał w szatańskich opowieściach, ale ten tryb życia doprowadził go podczas stu diów do prozaicznej afery „sprzedania się" armii austriackiej za cenę stypen dium. Boy wykręcił się z tych zobowiązań symulując obłęd, co szczegółow później opisał w felietonie *Mój debiut w psychiatrii*.

Mamy tu do czynienia ze sprawą dziejów literackiego powołania pisarza Boy sam pisał o tym sporo — nie zawsze można się zadowolić jego wyjaśnie niami, brać je w sensie literalnym. Doświadczony praktyk-psycholog, Boy w swych studiach i komentarzach radził, aby wyznań osobistych pisarzy ni brać zbyt dosłownie. Wypadnie iść śladem Boya w oświetleniu i jego własnych wyznań autobiograficznych. Weźmy np. sprawę jego wybrzydzania się na zawód lekarski:

„Miałem już trzydziestkę, kiedy zabłąkałem się do »Balonika«, byłem od lat kilku lekarzem, asystentem kliniki, mordowałem się nad pracą habilita cyjną, jako że szanujący się człowiek nie mógł zostać w Krakowie czym innym jak profesorem uniwersytetu. Gdyby nie »Balonik« męczyłbym się z pewnoś cią całe życie w fałszywie obranym zawodzie, nigdy nie dowiedziałbym si o swym istotnym powołaniu." (Wstęp do *Słówek*)

Katedra profesora uniwersytetu jako minimalny postulat życiowy wygląda dziwnie. Może były z tym łączone jakieś sprawy głębsze niż kariera „szanują cego się człowieka", a więc obliczenia natury raczej filisterskiej. Boy sam do puszcza wpływy okresu pozytywistycznego. (Później doszły związki rodzin ne: małżeństwo z córką dra Pareńskiego — Zofią.)

Warto zauważyć, iż Boy, który — jak mówi — wstrzymywał w sobie żądze pisania, miał tutaj od młodości warunki wyjątkowo korzystne. Dla debiutanta rzecz najtrudniejszą stanowi wprowadzenie się na rynek, znajomości, kon takty z ludźmi. Te przeszkody, które młodym autorom zatruwają życie przez

ta całe, dla Boya nie istniały. Przyjaźnił się z kilkoma pośród najgłośniej-ych pisarzy ówczesnych. Miał rozgałęzione znajomości i stosunki w sferach tystycznych i dziennikarskich. Działał tu opór na pokusy czynnego zajęcia ę literaturą. Okazji w zasadzie mu nie brakło, talentu też. Brakowało chyba lnego przekonania, potrzeby wewnętrznej, głównego impulsu, który by mu azał wziąć pióro do ręki.

I mimo całego wybrzydzania, owa hematologia stanowiła chyba jakieś ujście a daru twórczego przyszłego pisarza.

Gdy z tego punktu widzenia spojrzymy na szkice o Przybyszewskim, kto ie, czy w obrazie owych faustowskich miotań się Przybyszewskiego między iedzą a sztuką Boy nie zamknął również cząstki własnych dążeń i własnych zemyśleń. Pierwiastek wiedzy ścisłej, który błąkał się w szaleństwach, fan-smagoriach i butadach Przybyszewskiego, był nie obcy i samemu Boyowi.

Ostatnia faza działalności Boya sprzyjała ustaleniu się jego obrazu jako sarza rozsądku, w potocznym rozumieniu, antyromantycznego. W zasadzie uszne to, ale bardzo jednostronne — jeśli chodzi o przebyte oddziaływania Boy zeszedł epidemię neoromantyczną bardzo silnie, co pozostawiło skutki się-ające głęboko.

Jak już wspomniałem — wpływy czysto literackie „mistrza" Boy raczej ba-atelizował. Musiało go razić niechlujstwo i niedbalstwo w pracy, czego owody później przytaczał, jednostronność i prymitywizm założeń, wszystko , co przesądziło o dalszych losach pisarskich autora *Dzieci szatana*.

Z późniejszych wyznań wynika, iż Boy zapamiętał mocno pierwsze wystą-enia Żeromskiego.*

Nekrolog Boya o Żeleńskim przypomina te stare sprawy. Jeszcze intensyw-ej oddziaływał na Boya Wyspiański.

Warto może wspomnieć o powiązaniach z Dostojewskim, które rzucają na cie myślowe Boya we wczesnym okresie światło szczególne, zwłaszcza jeśli względnimy renomę zachodowca, która Boyowi towarzyszyła. Boy wspomniał óźniej o zafascynowaniu autorem *Biesów*.**

Wystarczy to, aby uchronić się od zbyt pozytywistycznej interpretacji umy-owości Boya. Wpływy i oddziaływania były różnostronne i sprzeczne, co mia- w interesujący sposób odbić się na metodyce późniejszej jego pracy literac-ej, ocenianej często w sposób zbyt jednostronny.

Nie tyle dla charakterystyki Przybyszewskiego, ile dla nastawienia samego oya miarodajne są słowa ze szkicu zamieszczonego w jednym z tomów re-enzji teatralnych:

„Rolę, jaką Przybyszewski odegrał w swoim czasie jako w y c h o w a w c a, ważam za niezmiernie zbawienną i płodną: Pobyt jego w Krakowie i codzien-e nasze obcowanie wspominam z najwyższą wdzięcznością i entuzjazmem, ale, k każda potężna indywidualność, był on niezmiernie wyłączny. Nietzsche

* „Pamiętam dreszcz, który przebiegł młodych, gdy pojawili się *Ludzie bezdomni*. Ten wal-nrodyzm, który »szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie«, ten sam, który dziele Mickiewicza — obkuwanym, komentowanym przez zapleśniałych belfrów — dawno ał się martwą literą, tu nagle powstał żywy, spęczniały krwią serdeczną. Można rzec, iż zstanie Judyma z Joasią sprowadziło cały polski romantyzm między codziennych ludzi, zyniło go każdemu dotykalnym..." *(Stefan Żeromski nie żyje)*

** „Czuję potrzebę wywnętrzenia się, że Dostojewski był przez wiele lat moim najuko-ańszym i najbliższym pisarzem, że go znam od deski do deski, samych *Biesów* czytałem całości z osiem albo dziesięć razy" *(Flirt z Melpomeną*, W. II).

w bardzo szczęśliwej definicji dzieli sztukę na dwie zasadnicze grupy: *Rausch* i *Traum* (Szał i Sen). Przybyszewski znał tylko *Rausch:* sztukę jako konwulsyjne napięcie bólu, żądzy, tęsknoty, przerażenia. *Traum,* sztuka jako sen w którym jak w tafli zaczarowanego jakiegoś jeziora odbija się obiektywnie a syntetycznie zarazem Złuda życia — ten odłam sztuki zupełnie dla niego nie istniał." *(Kłopoty polskiego teatru)*

To rzuca światło nie tylko na złożoną dialektykę oddziaływania Przybyszewskiego i przybyszewszczyzny na Boya, ale i na formowanie się poglądów estetycznych autora *Ludzi żywych.*

Związki indywidualności bardzo niepodobnych do siebie, skrzyżowanie kontrastów, które z tego wynika, nieraz okazują się w literaturze niezmiernie płodne.

II

Spośród pisarzy Młodej Polski Przybyszewski ucierpiał najwięcej wskutek rewolucji 1905 r. Można to poznać po jego dramatach. Wystąpienie literackie Boya miało mu zadać cios decydujący. Zaznaczyło ono zarazem pewien etap literatury.

Karol Irzykowski w swej książce-pamflecie o Boyu pt. *Beniaminek* zżyma się na przecenianie przezeń wagi historycznej „Zielonego Balonika". Boy był tu niewątpliwie stronniczy — sam pisał o tym, że kabaret ukazał mu nowe powołanie życiowe.

Z rokiem 1905 burza rewolucyjna w Królestwie wyrzucała na teren krakowski znaczną ilość emigrantów politycznych z Kongresówki. Echa przewrotów zachodzących w dawnym państwie carów uaktywniają miejscowe fermenty społeczne. (Kampania o powszechne prawo wyborcze w monarchii austriackiej — uwieńczona sukcesem.)

„Zielony Balonik" wystąpił po przejściu głównej fali naporu moderny literackiej. Styl młodopolski triumfował i w tym triumfie dojrzał do parodii.

Różne, ba, sprzeczne elementy doszły do głosu w satyrze „Zielonego Balonika". W tej atmosferze powstały *Słówka,* jedna z najbardziej czytanych książek polskich. Pisane wierszem niewymyślnym, z ostentacyjnymi prozaizmami *Słówka* satyrycznie przenicowują młodopolski styl literacki — w ostrym, brutalnym kontraście z tłem obyczajowo-środowiskowym.

Dla uwydatnienia siły tych kontrastów warto zacytować opinię Wilhelma Feldmana — który zresztą z Boyem miał na pieńku — w książce *Współczesna literatura polska.*

„Z końcem 1905 r. rozeszła się po Krakowie wieść, że największy z żyjących Polaków niepowrotnie dla życia stracony: tragiczna omyłka sześciu lekarzy zamknęła go na 24 godziny w zakładzie dla chorób umysłowych. Z jakimi uczuciami przyjęli tę wieść ci, dla których surowa, nie znająca kompromisu z ideałem i sztuką wielkość tego artysty była ciężarem nie do zniesienia? Jakaż to niewygoda — taki żywy Skarga, taki natężony patos sumienia, taki ton zawsze świąteczny, czuwający i bezwzględny: bez niego — hulaj dusza. Na drugi dzień, gdy żałoba powinna była panować w sercach, odbyła się pierwsza w Polsce heca, kabaretowa inauguracja »Zielonego Balonika«. Powstała — szkoła. Powstała moda, mania, ekstaza kabaretowa. Powstała cała

teratura piosenkarska i o nim. Pisarze poważni, szanujący sztukę zaczęli rukować rozprawy, analogie z Francją, sprawozdania z hec. Darmo Miriam ołał, że właśnie Francja odróżnia ściśle kabarety od teatrzyków sztuki *héâtres d'art)*, że właśnie we Francji piosenkarstwo kabaretowe do sztuki e należy: »aczkolwiek ma już dość bogate dzieje«, szukać wszakże tych statnich należy w osobnych książkach: w historii literatury czy poezji fran-uskiej XIX wieku. Ostatnim wzmiankowanym piosenkarzem jest Beranger. Piotrach Dupont, Gustawach Nadaux, a tym bardziej o jeszcze późniejszych ony'ych, Mac-Nabach, Arystydach Bruant, * mimo znacznego częstokroć ich ozgłosu, nie wspomina się już zupełnie, jako nie mających nic wspólnego poezją. Wśród polskich wysunęło się na czoło nazwisko Boya (Tadeusz eleński), o którym nie można powiedzieć, jakoby z poezją nie miał nic spólnego."

Warto o tym wspomnieć, bo w gruncie rzeczy sąd Feldmana zaważył długo a ocenie pisarstwa Boya. Feldman kwestionował m. in. francuską genezę oyowskiego kabaretu i wyprowadzał ją raczej z nadscenek niemieckich.

Czytając ten urywek z Feldmana lepiej rozumiemy szok, jaki wywołać usiał taki dwuwiersz, osłuchany już, brzmiący dziś raczej niewinnie:

bo paraliż postępowy
najzacniejsze trafia głowy.

Po dwudziestu latach Boy, oddając atmosferę tej dziwnej szkoły, jaką lbył u Przybyszewskiego, z niejakim szyderstwem kwituje konformizm óźniejszy eksmistrza, jego sarmacką słabowitość duchową — obce koncep-i pisarstwa Boya-Żeleńskiego. Rodziły się one właśnie w *Słówkach*, książce czególnie interesującej jako zasadnicze stadium rozwoju autora.

Trwałość tych utworów wynikała z ich filozofii w traktowaniu i doborze ateriału literackiego i obyczajowego. Dezawuowanie ideału poetyckiego derzało na dwie strony, zaczepiając konwenansowe myślenie ówczesnej nie tylko ówczesnej opinii.

Programowy upór w zaczepianiu ustalonych wielkości: Mickiewicza, So-eskiego czy królowej Jadwigi, ma na celu maksymalne podrażnienie, pod-kscytowanie opinii. Sposób podania otrzymuje przez aluzje historyczne arakter po trosze cytatowy.

Niemniej uderzała brutalność w stosunku do uznanych tradycji literackich: Tom *Słówek* zawiera utwory o różnym wyrazie, pisane na przestrzeni lat ziesięciu. Od pierwszych beztroskich parodii wyróżniają się partie liryczne, czej melancholijne. Nie przypadkiem wiersze *Tryptyku* mają jako motto ytaty z Eklezjasty.

W niewinności szukał chluby,
Mleczkiem pijał zdrowie „lubej"
Ballad płodził całe łokcie
Z sercem czystszym niż paznokcie.

(Replika kobiety polskiej)

* Ulubieńcy, częściowo mistrzowie Boya-Żeleńskiego, ciepło przezeń wspominani.

Satyra ujmuje w sposób drapieżny zarówno rysy obyczajowe świata miesz czańskiego, „mydlarzy" — jak mówiono w owych czasach — ale wykryw też nieuchronne, ścisłe, tym konieczniejsze związki intelektualistów z owyr światem. Parodystyczne było zamknięcie Młodej Polski — z jej dynamiz mem, nie ujętymi fermentami, neoromantyczną pozą.

Dla Boya *Słówka* stanowią prolog przyszłej działalności literackiej. Za wierają one w postaci zarodkowej elementy jego sławnych kampanii publi cystycznych dwudziestolecia.

Moment znamienny stanowi pojmowanie sztuki. Autor uświadamia sobi iż znajduje się na pewnym rozdrożu, ale nie całkiem rozumie, raczej prze czuwa dalszy rozwój *(Spowiedź poety).*

Charakterystyczne, jak autor *Słówek* interpretował zjawienie się i zani motywów liryki w ściślejszym znaczeniu.

„Z drugiej strony zaczęły się we mnie lęgnąć wiersze jakieś inne, bardzie osobiste, których wydawanie połączone było z pogwałceniem wrodzonej m wstydliwości ducha. To są te inne słówka, nie kabaretowe, zabłąkane t między innymi, zahukane i cokolwiek onieśmielone tym towarzystwem. Mał też kto je zauważył... Ale to uczucie zawstydzenia stawało mi się cora bardziej przykre, tak że w końcu zacząłem się bronić tym napadom. Nie bawem przemiana warunków naszego życia otwarła nowe możliwości i dał mi możność wypowiadania się w sposób nie tak upokarzający jak pisani wierszy. Słówka się skończyły" (Wstęp).

To ciekawe wyznanie pozwala zrozumieć istotne mankamenty liryki Boya Grzeszy ona brakiem pełni wyrazu, ba, pewną nieśmiałością. Autor chwiej się między naporem żywiołu lirycznego a własną autoironią czy autokryty cyzmem, które mu nie pozwalają poddać się temu żywiołowi w pełni, be ograniczeń, jak to czynili wielcy lirycy, u których pewien ekshibicjonizm by czymś naturalnym. Boy odsłaniając się, robi to z wyraźnym skrępowanien czasem przebiera miarę brutalności, ale i często nie dopowiada.

Boy nie posiadał tej agresywnej, wprost opętańczej pewności liryka, któr czasem na granicy komizmu wytwarza własny świat wartości i potrafi prze konać nas, choćby tylko na okres czytania lub słuchania wiersza, że to s właśnie sprawy najważniejsze. Przyjmujemy taką spowiedź zasugestionowar siłą obrazu, mimo że zauważymy tu i ówdzie nieszczerość, błahostki czy nie rozsądek.

Boy spowiada się z jakimś grymasem przykrości wewnętrznej, co tej spo wiedzi odbiera bezpośredniość, sugestię szczerości. Toteż poetyczna jes u niego karykatura, parodia — tam gdzie wchodzi w grę element czysto li ryczny, wyraz poetycki staje się niepewny. Odbija się to na stronie for malnej.

W części satyrycznej brutalizowanie wypowiedzi, cynizm, zmysł karyka tury wypowiadają się w sposób dobitny, wynalazczy — pełno tam zwrotów śmiałych, zestawień nowych, zaskakujących. Natomiast wiersze liryczne by wają zamłodopolszczone pod względem wyrazu. Rewizjonista w stosunku d treści poetyckich Młodej Polski, Boy znajduje się często w niewoli jej kon wencji formalnych, samego pojmowania poetyki. Przejawia niekiedy ow nieco dekoracyjne w wyrazie mistrzostwo formy, które w tym czasie obo wiązywało epigonów wiersza Słowackiego, udoskonalonego przez symbolistów

arnasistów. Boy nie znał Norwida, w każdym razie nie widać tego w jego zji.
razeologia też bywa młodopolska: byty, wszechbyty, szały, chramy, przelenia itd. Boy uśmiechał się na to czasem szyderczo, czasem bezradnie st prywatny do Kornela Makuszyńskiego).

Tam pójdziemy razem na gwiazd naszych połów,
Aż nas prześwietlą w dwu ziemskich aniołów.

Można by się dopatrzeć sięgających głębiej zestawień z Makuszyńskim. Ten letny humorysta, o dużym zmyśle komicznym, gdy wchodził na grunt swym pojęciu „prawdziwej poetyczności" opływał sentymentalizmem, stał się banalny, fałszywy, wpadał w czczą frazeologię poetyzującą. Zmysł rodii chronił Boya przed takimi konsekwencjami. Uwydatnia to tym silj kryzys myślenia poetyckiego epoki, kryzys poetyki Słowackiego.
Boy uświadamiał sobie swoje mankamenty aż nazbyt mocno, mówił o nich wuznaczną, żałosną bodaj żartobliwością:

Po głowie mi się coś roi,
W sercu coś kwili, coś gęga
I śnię już w tęsknocie mojej,
Że się coś „serio" wylęga.

Ale na próżno się silę,
Czas trawię na wzlotów próbę,
Na papier płyną co chwilę
Słowa niechlujne i grube.

Legalizacja literacka słownictwa „brukowego" stanowiła ważny moment działywania *Słówek*. Boy miał ironiczną uciechę pisząc:

Archanioł, co z mieczem stoi,
Przy świętym poezji chramie,
Nie wpuszcza piosenki mojej
I mówi: „Pódziesz ty chamie!!"

Bo wiedział, że był to miecz papierowy...
Charakteryzując czasy „Zielonego Balonika" podnieść warto, że w pracotym życiu Boya-Żeleńskiego był to jedyny bodaj okres, gdy pisarz dzia- — mówiąc po dzisiejszemu — w kolektywie. W „Zielonym Baloniku" e było właściwie ścisłego rozdziału między estradą a salą, między dostawni a odbiorcami zabawy: piosenkarz bywał nieraz redaktorem intencji ej grupy.
Wierszopisarska twórczość Boya trwała lat dziesięć. Ostatnie wiersze mają ę 1916 r. Wtedy nastąpiła rekapitulacja szyderstwa lirycznego, niezbyt chlebna dla współczesności.
Boyowi zadawano, a i on sam chyba zadawał sobie pytanie — czemu zachał działalności satyrycznej. (*Pytają się mnie ludzie!!...*)

Udzielił odpowiedzi wzgardliwej pod adresem pytających:

W iskier krzesaniu żywem
Materiał to rzecz główna.
Trudno najtęższym krzesiwem
Iskry wydobyć z substancji miękkiej i podatnej...

Wydaje się, iż wchodziły tu w grę sprawy bardziej skomplikowane, powst łe na tle kolizji myślowej Boya z epoką — dwoistość jego reakcji na ot czenie, z którym młody autor spotkał się w pierwszych latach świadome życia. Konkluzje Boya z przedmowy do *Słówek* lepiej tłumaczą jego ówcz sną abstynencję literacką.

Cytowałem wyżej oświadczenie Boya, iż wiersze liryczne przestał pisać względu na „wstydliwość ducha". Ale pisarzowi w czasach późniejszych w tykano też często skłonność do ekshibicjonizmu. W późniejszych felietona spotykamy wyznania o charakterze bardzo intymnym. Obfituje w te rzec tom pt. *Brewerie*.

„Bardziej leży mi na sercu pewne fachowe zwierzenie wobec kolegów l karzy. Cierpię mianowicie na okresową bradykordię, to znaczy zwolnien tętna. Kiedy puls spada do 48 na minutę, doznaję dziwnego uczucia, j gdyby życie zastygło we mnie w jakiś letarg i wtedy instynkt samozach wawczy pcha mnie w kierunku pobudzenia go za wszelką cenę. W taki chwili czuję się zdolny do wszelkiej perwersji, do zbrodni niemal, byle s wyrwać z niemiłego stanu. Często wyładowuje się to jakimś zaczepny felietonem... robi się mała awantura; po czym puls osiąga swoje prawidł we 72."

Opis takiego napadu bradykordii można było zrobić wierszem — daw poeci umieli opisywać takie efektowne stany psychofizjologiczne.

Wspomniana „wstydliwość duchowa" wynikała z odmiennych motywó Boya wiersz krępował m.in. dlatego, że nie czując się dobrze w obcej ko wencji lirycznej nie potrafił stworzyć własnej.

Jak wspomniałem — oryginalna twórczość wierszopisarska Boya urwa się w okresie 1916—17, w dobie pierwszej wojny światowej. Później używ formy wierszowanej tylko w przekładach. Kwestia stanowiska Boya-poet a co ważniejsze wpływu jego na poezję współczesną — pozostaje w zasadz otwarta.

Kariera poetycka Boya ułożyła się dość dziwacznie, aczkolwiek w zgodz z ogólnym przebiegiem ocen i sądów, które dotyczyły tego pisarza. *Słówk* należały do najbardziej poczytnych zbiorów wierszy, ciesząc się niezmienny powodzeniem u publiczności. Natomiast krytyka zachowała się wobec ni dość obojętnie. Wilhelm Feldman, który nawet trzeciorzędnym matadoro poetyckim swego czasu poświęcał entuzjastyczne stronice, wykrztusił z sieb tylko, że Boy-Żeleński był nie całkiem obcy poezji. A przecie autor, które wiersze cieszyły się taką poczytnością, musiał wywierać znaczny wpływ n młodszą generację poetów choćby dlatego, że poeci bywali również czyteln kami i wychowywali się w tej samej aurze wpływów literackich, co intel gencja ówczesna.

Istotnie Boy wpłynął przede wszystkim na praktykę, co jakoś nie dosz

krytyków i teoretyków literatury. Jako mistrz karykatury poetyckiej się klasykiem, jest też mistrzem niezaprzeczonym późniejszych satyry-. Karykatura w poezji, podobnie jak w malarstwie, operowała uprosz-ą techniką, posługiwała się na pozór bardzo prostymi środkami. Mówię pozór, bo w gruncie rzeczy środki te bynajmniej proste nie są — muszą o z konieczności być przystępne dla odbiorcy — karykatura nie może hermetyczna.

u tkwi bodaj główna przyczyna niedoceniania Boya jako poety, podobnie przez długi czas nie doceniany był jako pisarz. Wiązało się to bodaj endencjami elitarnymi w sztuce i literaturze, mającymi obieg i walor de wszystkim u krytyków i teoretyków.

resztą przy pewnym uproszczeniu środków Boy wykazywał opanowanie niosła poetyckiego w stopniu, jaki był do osiągnięcia w jego czasach. resujący remanent, by tak rzec, poetyki Boyowskiej stanowi jego wstęp własnej antologii poezji Młodej Polski. Znalazły tam wyraz doświadczenia sne, przekazane jak zwykle u Boya w sposób skromny i bez pretensji zerokich uogólnień, niemniej bardzo ciekawe.

istorycznie biorąc znaczenie Boya w liryce polskiej było duże. Brak i wyrazu lirycznego nie przeszkadza w uznaniu faktu, że w okresie ejściowym negatywizm Boyowski przewartościował cały okres. Bez Boya lno by wyobrazić sobie np. poezję Gałczyńskiego.

*

iorąc rzecz ogólnie ta młodość dziecięcia swego wieku nasuwa wnioski zawsze zgodne z sobą. Boy opisał te sprawy w późniejszym okresie — relacji nie można brać dosłownie, zresztą nie brak w nich sprzeczności. Vyznania Boya na temat własnej młodości są szczególnie pouczające, bo my tu unaoczniony proces tworzenia owej sławnej typowości literackiej — zimy, jak otrzymują swój charakter zjawiska typowe.

ić wiśniówkę do zamroczenia, bywać w szynkach, spelunkach karcia-n itp., prowadząc przy tym rozmowy intelektualne i „libertyńskie" — należało zarówno do cygańskiego jak i burszowskiego stylu życia.

le to jeszcze nie sprowadza sprawy do rzędu tych, które w literaturze owią wydarzenie. Chodzi więc o wnioski moralne, charakter uogólnień — e zawierają one głębsze założenia. Wydaje mi się paradoksem, ale tak jest. dy Żeleński wyróżniał się spośród tego środowiska elewów przyby-vszczyzny tym, że mógł się stać jego dziejopisem, poniekąd sędzią. Roz-ygała tu postawa moralna, jakkolwiek autorowi *Brewerii* zarzucano nie-alność. I to jest w pewnym sensie w porządku. Moralna postawa — est w gruncie rzeczy próba wprowadzania ładu w swe nie zawsze mo-e postępowanie (Człowiek jest ułomny). Boy kładł nacisk na rozróżnie-dwóch postaw: moralisty i moralizatora.

łożoną grę moralizmu i immoralizmu wydobył później w szkicu o Przy-zewskim pt. *Smutny szatan*. „Demoralizator! Weźmy rzecz filozoficznie: li słowo »moralizator« jest w literaturze pojęciem najbardziej okrzycza-n, w takim razie przeciwieństwo jego — de-moralizator — musi być

pojęciem zaszczytnym. Coś tak jak infekcja i dezynfekc
maskować i demaskować."

Tu odnajdujemy ową dialektykę oddziaływania przybyszewszczyzny
tylko na młodego Boya. Wysuwa się na czoło sprawa dezynfekcji moralno
w sensie wytrawiania, niszczenia pozostałości tradycyjnej etyki, które ut
ciły siłę żywotną.

Boy pisząc te słowa o Przybyszewskim, myślał w pewnej mierze i o sob
Moralizatorstwo w jego pojęciu towarzyszy obłudzie — moralizator nie r
trząsa zagadnień moralnych, nie roztrząsa, nie bada istotnych motywów
własnego postępowania, ani postępowania innych ludzi, działa w myśl t
dycyjnych zasad, nie zastanawiając się, czy nie utraciły one wartości. A pra
dziwa moralność powstaje tylko w wyniku takiego przebadania.

Jeśli chodzi o charakterystykę epoki — nader pouczające jest zestawie
późniejszych szkiców Boya np. z *Próchnem* Berenta. Berent opisuje te sa
sprawy, opisuje inaczej, ale to, co daje grunt jego uogólnieniom, to zno
osąd moralny. Jeśli znajdziemy u Berenta moralizowanie, potępienia,
wynika raczej z bliskości dzieła wobec opisywanej epoki. Boy o niej pi
z dystansu nie tylko czasowego, ale i z dystansu wielkich przemian.

Andrzej Stawa

Zygmunt Bauman

TRAKTAT O BIUROKRACJI

Będzie tu mowa o Biurokracji jako warstwie społecznej; o Biurokracji ko o grupie ludzi, trudniącej się zawodowo zarządzaniem, administrowa- em, organizowaniem pracy innych ludzi i instytucji.

Będzie tu mowa o Biurokracji jako o warstwie, o której Mao Tse-tung ówił, że i w socjalizmie między nią a masami istnieją sprzeczności, o któ- j Czou En-lai dyskutował z Raszydowem i Judinem.

Będzie tu mowa o Biurokracji w tym właśnie sensie, w odróżnieniu od nego, potocznego znaczenia słowa „biurokracja", pokrewnego rosyjskiemu rminowi *wołokita,* angielskiemu *red tape,* niemieckiemu *Amtschimmel.* rzeto wszelkie a bogate emocjonalne skojarzenia, związane z tym drugim aczeniem słowa, będą tu nie na miejscu. Czytelnik dobrze zrobi, jeśli się l nich uwolni przed czytaniem niniejszego Traktatu. Aby to ułatwić, będę sał słowo „Biurokracja", ilekroć występować ono będzie w znaczeniu war- wy społecznej, z dużej litery.

Nie od dziś wiadomo, że bogactwo emocji nie zawsze idzie w parze z trze- vością intelektu. A już bardzo rzadko ową trzeźwość wzmaga. Tymczasem ciekły spór o B(b)iurokrację, jaki toczy się u nas już nie pierwszy miesiąc, nocjami wypełniony jest po brzegi. Dyskutanci kłócą się o pojęcia, których eścią są nie zjawiska materialne, lecz kompleksy uczuć, i usiłują dowodzić vej racji argumentami racjonalnymi. Próżny trud! Logika jest bezsilna wo- c emocji. Pragniemy więc nie wkraczać do królestwa emocji. Bardzo chce- y pozostać w sferze, w której obowiązują logiczno-eksperymentalne zasa- rozumowania.

W naszej tradycji termin „Biurokracja" używany jest zwykle dla oznaczania arstwy urzędniczej oderwanej od mas, wymykającej się spod ich kontroli, ocej ich interesom; ale Biurokracja, pojmowana jako zespół ludzi trudniących ę administracją i zarządzaniem, pracą „biurową" w odróżnieniu od pracy w produkcji" — istnieje nadal również i wtedy, gdy przestaje być oddzielona l mas przegrodą sprzecznych interesów klasowych. Jest zjawiskiem bardziej ugotrwałym niż rządy klas eksploatatorskich. Dotychczasowy rozwój państw cjalistycznych nie tylko nie zlikwidował tego zespołu, ale z powodów cał- em naturalnych i nie dających się uniknąć przyniósł jego wzrost liczebny.

Warto więc zastanowić się nad tym:

— Czy bez Biurokracji istotnie można się obejść? Czy związek między Biurokracją a biurokracją jest przypadkowy czy konieczny? Czy ów związek można przeciąć, a jeśli tak, to jak?

Pytania niebłahe. Bo jeśli buduje się socjalizm, rozumiany m.in. jako ustrój bez biurokracji, to trzeba wiedzieć, dokładnie wiedzieć, czy w tym celu trzeba walczyć z biurokracją, czy z Biurokracją, lub też wreszcie z takim ustawieniem Biurokracji, które powoduje, że owa Biurokracja rodzi biurokrację.

Tym pytaniom chciałbym przyporządkować swój Traktat.

SKĄD BIUROKRACJA RODEM?

Biurokracja jest warstwą starą i nową zarazem.

Starą, bo warstwa urzędników-administratorów istnieje tak długo, jak długi istnieje państwo, wojsko i wszelkie inne złożone i zhierarchizowane zarządy dużych zespołów ludzkich.

Nową, bo dopiero wiek dwudziesty stworzył nowoczesną Biurokrację — rozgałęzioną, autonomiczną warstwę specjalistów od administrowania, monopolistów kwalifikacji i władzy.

Jeszcze w dziewiętnastym stuleciu Gladstone, Lord John Russell czy Disraeli mogli wnikać w najdrobniejsze szczegóły prowadzonych przez siebie spraw. Gladstone sam pisał projekty ustaw, wnoszonych pod obrady parlamentu, a Palmerston zyskał sobie miano jednoosobowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i słynął z tego, że korespondencję dyplomatyczną prowadził własnoręcznie. Czy jest dziś na świecie taki minister?

Nie ma. Za to jest Biurokracja.

Dziecię jest już pełnoletnie i posiada pełnię praw obywatelskich. Magiczne zaklęcia „zgiń, przepadnij!", jak i przymykanie oczu: „ja cię nie widzę, więc ciebie nie ma" — nic tu nie pomogą.

Ojcem dziecięcia był Szczegół, matką — Kompetencja. Splot przemian, składających się na historię najnowszą — potężny rozwój i koncentracja dyspozycji ekonomicznej oraz instytucjonalizacja konfliktów klasowych epoki — powołały do życia nowy zupełnie rodzaj funkcji politycznych — skomplikowanych, wielostronnych, najeżonych bogactwem szczegółów, wymagających kompetencji fachowych o stale zwężającej się specjalizacji. Ta skomplikowana sieć funkcji społecznych zakrzepła w postaci warstwy Biurokracji. Bez niej nie do pomyślenia jest funkcjonowanie dzisiejszego państwa, armii, partii politycznej, sprawującej lub ubiegającej się o władzę. Likwidacja Biurokracji, nawet gdyby była możliwa, pociągnęłaby za sobą całkowitą dezorganizację życia społecznego. Biurokracja ma więc monopol władzy. Sprawując zaś swe funkcje, nabywa ona niezbędne dla zarządzania umiejętności, wnika w szczegóły machiny politycznej, widzi ją od środka, tłumaczy sobie jej zachwycający jednych, a przerażający drugich imponujący obraz ogólny na prosty, lecz zrozumiały tylko dla Biurokraty, język pojedynczych, maleńkich trybików i śrubek. Ma więc również monopol kompetencji. Może się odnawiać drogą metabolizmu, może pączkować, lecz nie może być po prostu zastąpiona.

Im większa ilość funkcji w jakimś organizmie politycznym zawiadywana est centralnie, tym rozleglejsza być musi warstwa Biurokracji, tym większe ej kompetencje formalne i faktyczne. Konsekwencją — zamierzoną czy nie amierzoną — każdego rozszerzenia sfery zainteresowań państwa — włączeia do jego funkcji ingerencji ekonomicznej, polityki socjalnej, zawiadywaia środkami komunikacji masowej itp. — jest zawsze i natychmiast powonie do życia nowego oddziału Biurokracji.

Miejsce społeczne Biurokracji wyznaczają jej cechy następujące:

— umiejscowienie funkcjonalne pomiędzy dysponentami życia społecznego a tymi, którzy owe dyspozycje realizują w sferze bytu materialnego;
— przewaga wykonawstwa nad inicjatywą;
— hierarchiczna struktura wewnętrzna;
— własna więź społeczna oparta na ścisłej dyscyplinie.

Taka Biurokracja rodzi się w każdym dużym organizmie politycznym i jej owstanie jest zawsze oznaką stabilizacji owego Organizmu. Nawet ruchy ewolucyjne, stawiające sobie za cel likwidację istniejącego systemu polityznego, prędzej czy później, raczej prędzej niż później, gdy staną wobec koieczności praktycznego zawiadywania wielkimi problemami społecznymi, powołają do życia własną Biurokrację, jeśli już nie próbują posłużyć się Biuokracją istniejącą. Podobno zimą 1944/45 r. nowomianowany Minister Przeysłu i Handlu pojechał do Katowic, aby zorganizować osobiście dostawę ilkunastu wagonów węgla dla marznącej Warszawy. Któryż to referat, w jaim Wydziale, jakiego Departamentu PKPG, za iloma podpisami załatwiał odobne sprawy w r. 1953? Nie idzie mi tu o rozmiary nie istniejącej już nstytucji. Można się sprzeczać co do ilości etatów. Można zastąpić PKPG rzez KKP. Ale Biurokracja pozostaje i pozostać musi: Jeśli ministrowie jeźzić będą po każdy wagon węgla do Katowic, z ministrów owych powstanie hyłkiem nowa warstwa Biurokracji. A potem się okaże, że dla sprawności racy trzeba ją rozdzielić na departamenty, wydziały i referaty.

Powstanie i różnicowanie się wewnętrzne Biurokracji jest wynikiem spoecznie niezbędnego procesu podziału pracy.

Z tym wszakże, że konieczność istnienia Biurokracji w społeczeństwie zoranizowanym nic jeszcze nie mówi o jej społecznej doniosłości i faktycznie dgrywanej roli. A tu dopiero tkwi cały problem. Problem ten brzmi:

ZLECENIODAWCA CZY ZLECENIOBIORCA?

Czy Biurokracja państwowa w kapitalizmie przejmuje władzę z rąk kapialistów? Czy Biurokracja państwowa w socjalizmie staje się klasą rządzącą? Czy owa warstwa wykonawców jest jako całość również wykonawcą czy też ysponentem społecznego życia?

Socjologów nie-marksistów, którzy w dwudziestym stuleciu podejmowali nalizę zjawiska Biurokracji, można podzielić z grubsza na dwie grupy:

Jedni, jak Max Weber czy Thorstein Veblen, uznali rozwój Biurokracji jako rzejaw racjonalizacji społeczeństwa, wnoszonej przez rozwój nowoczesnej echniki, a będącej przeciwieństwem irracjonalnej „charyzmy" wodza i tłuu. Klasa rządząca ekonomicznie zleca pewne funkcje Biurokracji, ceduje

na nią cząstkę swej władzy w rozmiarach, jakie uzna za stosowne w wyni
analizy potrzeb nowoczesnej ekonomiki.

Drudzy, jak Friedrich von Hayek, Lionel Robbins, Ludwig von Mises, tr
ktują Biurokrację jako pogwałcenie naturalnego systemu wolnokonkurency
nego liberalizmu, narzucone społeczeństwu przez określone grupy politycz
podejrzanego autoramentu, sadowiące się w poprzek normalnej drogi spo
cznego rozwoju. Koncentracja ekonomiki jest nie matką, lecz córką Biur
kracji.

Jedni sądzą, że Biurokracja jest narzędziem w rękach klasy rządzącej, dr
dzy, że w rękach polityków; jedni, że sposób rekrutowania do Biurokra
jest determinowany przez ekonomikę, drudzy — że przez walkę politycz
jedni, że umocnienie lub osłabienie Biurokracji zależne jest od losów syster
ekonomiczno-politycznego, drudzy zaś — że od przekonania tego lub inne
polityka, opętanego przez socjalistów, intelektualistów etc. (Że też jedn
w naszych krajowych dyskusjach tak trudno cokolwiek nowego wymyśl
Człowiek się wysila, twierdzi, że rozwija marksizm, a potem się okazuje,
powtarza Hayeka!)

Wszelako jedni i drudzy, wbrew jakże ostrym różnicom poglądów, niesp
dziewanie zgodni są co do tego, że Biurokracja jest zawsze narzędziem w r
kach władzy, a nie jej źródłem, i że władza przez nią bezpośrednio spraw
wana ma zawsze źródło na zewnątrz niej. Dla jednych i drugich Biurokrac
jest automatem, przewodzącym w możliwie dokładny sposób wolę Góry
wykonujących ją Dołów. Innego zdania jest tylko James Burnham i bur
hamiści, upatrujący w Biurokracji dla odmiany nową klasę panów, będa
i źródłem, i egzekutorem władzy jednocześnie.

Prawda, jak to się zwykle dzieje, ulokowała się pośrodku. Biurokracja n
jest klasą rządzącą, ale nie jest też bezwolnym narzędziem w rękach tej kl
sy. Będąc jedynym stałym elementem Administracji w powodzi zmieniaj
cych się premierów i ministrów, Biurokracja staje się instytucjonalną gw
rancją ciągłości władzy, przekaźnikiem i kapłanem jej tradycji i rutyn
twierdzą konserwatyzmu i poskromicielem nieobliczalnych zapałów now
kreowanych polityków. Zastygła w swej hierarchicznej strukturze, Biurokr
cja szybko wytwarza własne, wewnętrzne więzy społeczne, związki lojalnos
i zależności wzajemnej, wytwarza wspólne interesy, oparte o wspólnie wyk
nywaną funkcję społeczną, zyskuje wspólne cechy świadomości. Wobec wła
ców kas pancernych występuje ona jako gwarancja spokoju publiczne
i solidności władzy; wobec polityków — jako monopolistyczny władca taj
mnicy administrowania, jako ekspert techniczny od spraw, w których polit
jest dyletantem. Biurokracja ma więc uzasadnione pretensje do wpływu
przebieg politycznej procedury. Biurokracja, co więcej, wyznacza dopuszcza
ne ramy fluktuacji politycznych programów. Przekroczenie tych ram wym
ga radykalnej zmiany Biurokracji; wymaga rewolucyjnego obalenia państw

Nie władca więc współczesnego kapitalizmu, lecz i nie narzędzie. Coś p
średniego.

Biurokrata, w odróżnieniu od polityka, nie poddaje — nawet formalnie
swych czynów pod sąd wyborcy czy opinii publicznej; czuje się więc od ni
całkowicie niezależny i nie podziela obaw polityka przed zmiennością nastr
ju mas. Biurokracja nie ubiega się o względy publiki, jest bowiem od ni

awet formalnie niezależna. Masy są dla niej przedmiotem, nie podmiotem ziałania. Jeśli użyć arystotelesowskiej terminologii — masy są dla niej ubstancją, gdy administracja jest formą. Nie rozumie ona zapału tłumów ni nie uznaje charyzmy ludowych przywódców. Uważa się za ostoję społeznego rozsądku i trzeźwości. Jak rafa przybrzeżna rozbija potężny grzebień rzypływu na miriady mikroskopijnych kropelek, tak ona kruszy fale zapału nas na miriady mikroskopijnych paragrafów.

Wola Rządzących, przedzierając się przez kolejne pokłady Biurokracji, rzechodzi proces określonych przeobrażeń. Biurokracja rodzi się z potrzeby niesienia elementu racjonalizmu do anarchii społecznych spraw; lecz z chwi-ą, gdy powstała, produkuje nowe wymogi i potrzeby społeczne, wynikające faktu jej istnienia. Powstaje nowy interes społeczny — interes utrzymania umacniania Biurokracji. Warstwa, która powstała jako wyraz racjonalisty-znych tendencji społecznych, staje się sama źródłem zjawisk i tendencji racjonalnych, nie podyktowanych potrzebami społecznej techniki lub z tymi otrzebami wręcz sprzecznych. To, co „wychodzi" z Biurokracji do mas, jest uż amalgamatem woli Rządzących i woli Biurokracji.

WOLA BIUROKRACJI

Co określa ową wolę Biurokracji? Od czego zależy światopogląd Biurokraty? Zdaniem wspomnianych uprzednio socjologów, światopogląd ten zależy nie lko od światopoglądu klasy, z której Biurokrata wyszedł. W dziewiętnastym uleciu pozycja w Biurokracji była pokwitowaniem wysokiego statusu spo-ecznego, wysokiego niezależnie od Biurokracji i poza nią. Rozbudowane sze-egi Biurokratów dwudziestego wieku rekrutują się spośród wszystkich arstw społecznych, m.in., jeśli nie głównie, z takich, dla których dostęp do iurokracji jest niewątpliwym awansem społecznym. Wychodźcy z tych klas awdzięczają swą pozycję społeczną wyłącznie swej przynależności do Biuro-racji, a nie swej byłej przynależności klasowej. Dygnitarz Biurokracji, wczo-ajszy drobnomieszczanin, jest dygnitarzem nie dlatego, że wczoraj był drob-omieszczaninem, lecz dlatego, że dzisiaj jest Biurokratą. To, czym jest i czym a nadzieję stać się jeszcze, zawdzięcza aparatowi Biurokracji. Jego interes sobisty wymaga lojalności wobec instytucji Biurokracji i działania na rzecz ej umocnienia.

Jego interes wymaga również lojalności wobec Wyższego Biurokraty i w ogó-e wobec tych, co losy Biurokratów trzymają w swych rękach. Biurokrata ie jest wybierany. Nie wybory, lecz nominacja znaczy ślad jego życiowej ariery. Wybór — przynajmniej formalnie — zawdzięcza się wyborcom. No-inację — formalnie i faktycznie — zawdzięcza się tym, co władni są miano-ać na stanowiska. Ci zaś tworzą kryteria selekcji na miarę swych potrzeb horyzontów. Kryteria kwalifikacji i biegłości nierzadko ustąpić mu-ą miejsca kryteriom lojalności, posłuszeństwa, bezosobowości, umiejętności strzymywania się przed inicjatywą własną; w pierwszym zaś rzędzie — ryteriom gotowości do realizowania polityki nie dlatego, że jest ona zgodna własnymi przekonaniami, lecz dlatego, że jest ona zlecona przez Górę. Gło-nymi szczeblami w drabinie kariery stają się więc nie te kwalifikacje, któ-

re umożliwiają zaspokojenie potrzeb społecznych, lecz te, które odpowiadają wewnętrznym wymogom Biurokracji.

Między politykami a masami staje więc zespolona ściśle wewnętrznymi więzami lojalności i zależności wzajemnej, najeżona kolcami kompetencji i tajemnej wiedzy o Rządzeniu — Biurokracja. Politycy są słowem, ona zaś czynem. Politycy są teorią, ona praktyką.

Faszyści, którzy pretendowali do totalnego panowania nad społeczeństwem, do objęcia swą dyspozycją wszystkich dziedzin społecznego życia, upatrywali więc w Biurokracji konkurenta; na czoło swych zadań wysuwali jej okiełznanie i podporządkowanie. Hitler pisał w *Mein Kampf:* „Państwo nie jest naszym panem, my jesteśmy panami państwa". Doktryna hitlerowska podkreślała starannie różnicę między *Fuehrung* a *Verwaltung,* zawarowując *Fuehrung* dla ruchu faszystowskiego (dokładniej: dla jego elity), Biurokracji państwowej pozostawiając *Verwaltung.* „Zadanie kierowania i, w rezultacie, ustawodawstwa znajduje się w rękach partii. Państwo jest administracją, jego funkcją jest wykonawstwo", mówił Hitler. Rezultatem tej koncepcji było powstanie nowej Biurokracji, zwierzchniej wobec Biurokracji starej, a zawdzięczającej swe istnienie i swą władzę wyłącznie i osobiście Fuehrerowi, związanej z nim personalnymi więzami lojalności. Ta nowa Biurokracja, którą nazwać możemy, w odróżnieniu od państwowej, ideologiczną, przypuściła z kolei szturm do murów fortecznych starej Biurokracji, opanowując jej kluczowe umocnienia. Wniosła ona ze sobą wierność Fuehrerowi, wiarę w jego ponadludzkie możliwości i historyczne powołanie, zyskała zaś w zamian tradycyjną dla Biurokracji skalę wartości, nawyki i ideały życiowe. W wyniku szturmu powstała znów jednolita lub względnie jednolita warstwa Biurokracji, tym razem o zdecydowanym prymacie czynników irracjonalnych nad racjonalnymi. Biurokracja faszystowska stała się przykładem pełnego opanowania Biurokracji przez Polityków; wszakże to opanowanie dokonało się kosztem utworzenia Biurokracji ideologicznej, która wypełniła miejsce opróżnione przez tradycyjną Biurokrację kapitalistyczną.

PSYCHOLOGIA BIUROKRACJI

Polityka dla Biurokracji znaczy administracja.

Politycy myślą historycznie. Widzą oni w polityce stosunki między klasami. Wielkie zamierzenia społeczne, kształtowanie biegu historii. Biurokrata myśli praktycznie. Widzi on w polityce potrzebę napisania określonego zarządzenia i osiągnięcia wykonania zawartych w nim poleceń. Myślenie historyczne jest mu obce, jest dlań zbędnym a uciążliwym balastem, daniną spłacaną fantazji nierobów i dyletantów.

Biurokrata znosi jedno tylko uogólnienie: uogólnienie jego własnej codziennej praktyki administrowania. Gładko i płynnie funkcjonująca administracja jest dlań całością politycznej rzeczywistości. Nauka o polityce? Być może jest to coś pożytecznego, lecz tylko jako nauka o administrowaniu. Dobra administracja jest lepsza od najlepszej teorii. Dajcie mi spokój z teorią; jeśli już koniecznie chcecie mnie pouczać, dajcie mi receptę, jak najsprawniej i najmniejszym wysiłkiem wykonywać przepisane zadania. Życie składa się

z detali i szczegółów. Życie składa się tylko z detali i szczegółów. Poza nimi nie ma nic, co dla trzeźwego umysłu zasługiwałoby na uwagę.

„Porzućcie wszelką ideologię, którzy tu wchodzicie" — taki napis wyryła Biurokracja nad wrotami swej twierdzy. Ludzie myśli i idei, którzy weszli do Biurokracji traktując ją jako środek dla realizacji swej ideologii, w miarę tego, jak stają się jej cząstką, jak poddawani są działaniu jej niemiłosiernych praw, mają coraz mniej czasu i ochoty na oddawanie się rozmyślaniom nad filozofią historii. Biurokracja środka staje się dla nich zwolna celem. Wspomnienie o filozofii dziejów powraca z początku jako bolesny wyrzut sumienia, jako tęsknota za górną i chmurną młodością; potem, gdy mowa o ideologii, pojawia się na ustach ironiczny uśmiech, wreszcie każdy, kto patrzy na rzeczy nie z czysto technicznego punktu widzenia, który rozprawia o jakichś tam horyzontach historycznych, staje się intruzem, dyletantem, uosobieniem braku kompetencji, przeciwstawieniem fachowca. Biurokrata Całkowity skłonny jest uważać za wroga Sprawy, której służy, każdego, kto chciałby realizować cele, o które sam niegdyś walczył, środkami innymi niż te, które mieszczą się w jego sposobie myślenia i w zasięgu środków, które znajdują się w jego dyspozycji.

Biurokracja, rzecz jasna, nie jest pozbawiona wszelkiej filozofii. Ma ona własną filozofię. W tej filozofii ludzie są bądź administratorami, bądź obiektami działania administracji. Wszelkie ich cechy, jak i ocena ich zalet i wad, wywodzą się z tej właśnie relacji. Człowiek jest sumą tych spraw, które wchodzą w zakres zainteresowań Biurokracji. Inne jego powiązania są rzeczą złą, jako że utrudniają administrowanie i pozostawiają sferę rzeczywistości administrowaniem nie objętą. Można tej ludzkiej słabości pobłażać, lecz nie można nadać jej obywatelstwa. Pozostanie ona zawsze marginesem prawdziwego życia.

Biurokracja ma swoją skalę wartościowania. Jest ona filozoficzną odbitką Biurokratycznej Hierarchii. Przeto wartości są w światopoglądzie Biurokracji zhierarchizowane, jak w filozofii Platona. Osiąganie wyższych wartości jest równoznaczne z osiąganiem wyższych szczebli służbowych. Człowiek jest wart tyle, ile władzy powierza mu zajmowane przezeń stanowisko. Możliwość konfliktu między wartością człowieka a powierzoną mu funkcją nie może być zapisana w języku zrozumiałym dla Biurokracji. Bowiem nie istnieją inne źródła wartości ludzkiej poza tymi, które zawarte są w samej Biurokracji.

Biurokracja ma swój system moralności. System ten wyłącza kategorie solidarności, wierności kolektywowi, konfliktów różnych lojalności. Posłuszeństwo przełożonym zastępuje solidarność i wierność kolektywowi, a konflikty moralne są wyłączone ze względu na jednokierunkowość lojalności i jednopłaszczyznowość międzyludzkich relacji. Etyka Biurokracji jest prosta i jednoznaczna, jak mechanizm administrowania. Przeżycia moralne ludzi o lirycznej naturze, skłonnych do emocji, są w ramach tego systemu etycznego nie do uzasadnienia. Premiowana jest równowaga ducha i nieszafowanie ocenami etycznymi, gdy idzie o zadania służbowe.

Biurokracja ma dwa języki. Jednym porozumiewa się między sobą, drugim posługuje się na zewnątrz. Pierwszy jest suchy i racjonalny, wyprany z emocjonalnych zabarwień, rzeczowy, bezosobowy, wyzbyty wszelkiego piętna

indywidualności. Wtręty z dziedziny mitów i symboli społecznych, pojęci o ideologicznych skojarzeniach dźwięczą w nim jak przykry zgrzyt, wywołu jąc kwaśny uśmiech w kącikach warg lub porozumiewawcze mrugnięci okiem. Formuły polityczne czy ideologiczne brzmią w tym języku jak hot-jaz w murach średniowiecznej katedry.

Drugi język istnieje dla porozumiewania się z masami. Jest on obficie wy posażony we wszystko to, co zostało usunięte z języka wewnętrznego; składa się on z symboli, z pojęć, których treścią są nie rzeczy, lecz emocje, z hase i stereotypów. Potrzeby administrowania określane są w nim jako potrzeby społeczeństwa, a najbardziej przyziemne posunięcia wyprowadzane są wpros z najszczytniejszych ideałów. Język ten nie posiada określeń wystarczających dla odsłonięcia całokształtu działania i zamierzeń Biurokracji; większość spraw, którymi Biurokracja się trudni, nie jest wszakże dostępna umysłom nie wtajemniczonym w technikę zarządzania. Ich publiczna znajomość nie tyl ko w niczym nie ułatwi administrowania, lecz przeciwnie: zakłócić może je wartki bieg natrętnym spoglądaniem na palce. Biurokracja ma więc natu ralne inklinacje do cedowania na rzecz umysłów nie wtajemniczonych tylk tej cząstki wiedzy, która niezbędna im jest do działania w zgodzie z wymo gami administracji. Wszelki nadmiar wiedzy jest zbytkiem, a w języku sym boli — zdradą tajemnicy służbowej. Ta część wiedzy, która jest udostępniana przywdziewa się w barwną szatę stereotypów-błyskotek, bo tylko w tej po staci, w podświadomym przekonaniu Biurokracji, może być ona zasymilowa na przez pre-logiczną psychikę obiektów administracji.

Biurokracja z istoty swej jest bezpartyjna. To znaczy, że służy panujące doktrynie politycznej i panującej partii. Biurokracja jest niejako zawodow lojalna wobec władzy; sprzyja jednak najgorliwiej i najchętniej tej władzy która w największym stopniu zdolna jest zrealizować jej najwyższy Idea Społeczny: Porządek. Władza, która ustalony porządek narusza, która rewo lucjonizuje zastarzałe pojęcia, wymaga zmiany wyuczonego sposobu działa nia, a już tym bardziej taka władza, która podważa przekonanie o wszech potędze administracji — natrafia na nieufność i niechęć Biurokracji. Bo za chwiała Porządkiem, co jest zdradą główną i grzechem niedopuszczalnym Wszelka zmiana, a już tym bardziej zmiana o rewolucyjnej głębi, jest zł nie ze względu na swój kierunek czy treść klasową, lecz z tej prostej przy czyny, że wchodzi w kolizję z Porządkiem. A tego właśnie Biurokracja z isto ty swej nie znosi. Anglicy używają dla oznaczenia porządku i rozkazu teg samego słowa.

Uważny czytelnik spostrzeże zapewne, że w skreślonym wyżej por trecie zabrakło wielu cech, które skłonniśmy uważać za najważniejsze skła dniki pojęcia biurokracja... Otóż to właśnie; idzie o biurokrację z małej litery Bo też Biurokracja moim zdaniem nie musi popełniać pełnej listy grzechów biurokracji, nie przestając być ani na chwilę Biurokracją. Istnieją, o dziwo Biurokracje sprawnie i szybko pracujące, pracujące wydajnie i skuteczni nie cierpiące na opuchliznę etatową, załatwiające petentów biegle, dokładni i ku ogólnemu zadowoleniu. Taka Biurokracja, której żadnemu petentowi ni wpadnie na myśl nazwać biurokracją, a którą nasi dzielni globtretterzy epok koegzystencji, zaprawieni w sztuce życia od okienka do okienka, wynosz w swych psalmach (przepraszam, w reportażach) pod niebiosy, taka biurokra

ja w oczach socjologa, nie powleczonych bielmem emocji, nie przestaje być Biurokracją.

W naszej ojczyźnie słowo biurokrata jest obelgą, biurokracja — nazwą ednego z grzechów głównych, występującą tylko w tych transparentach ierwszomajowych, które rozpoczynają się od wykrzyknika „precz". Ten nie-wuznaczny, a mało zaszczytny sens społeczny wspomniane słowa zawdzięcza-ą faktowi, że spory oddział naszej Biurokracji posiada cechy, które obywate-owi, spędzającemu dużą część życia w roli petenta, nie pozwalają mówić niej z sympatią. Mam na myśli takie przykre właściwości, jak przysłowio-va impotencja w załatwianiu najprostszych nawet spraw, minimalna wydaj-ość pracy, niechęć do wysiłku, nikłe kompetencje, nieterminowość, brak dpowiedzialności za słowo, strach przed decyzją, wreszcie korupcja i łapo-vnictwo. Za te cechy głównie obywatel nie lubi biurokracji. Tymczasem te właśnie cechy nie muszą bynajmniej towarzyszyć wszelkiej Biurokracji we vszelkich warunkach. W omawianym wypadku część tych cech zrodzona est przez wadliwą metodę rekrutowania Biurokracji czy po prostu spowodo-vana nikłością kwalifikacji fachowych Biurokratów; inna część — niską topą życiową kraju; jeszcze inna — atmosferą strachu i niepewności, panu-ącą do niedawna w szeregach Biurokratów. Cechy te więc, jak widać, można sunąć, gdy usunie się ich przyczyny. Być może biurokracja prędzej czy óźniej zniknie, Biurokracja jednak pozostanie.

Bowiem Biurokracja socjalizmowi jest potrzebna. W każdym razie na obec-ym etapie jego budownictwa.

Mam nadzieję, że jeśli umowa o separacji socjologii i wzruszeń emocjo-alnych została dotrzymana, stwierdzenie to nie spowoduje u czytelnika szo-u nerwowego. Biurokracja potrzebna jest socjalizmowi, skoro socjalizm ma yć takim ustrojem, w którym liczne sprawy społeczne kształtują się w myśl acjonalnych, naukowych zasad, a nie w myśl swawolnych kontredansów ży-iołu. Socjalizm potrzebuje Biurokracji, jeśli ma on przeciwstawić zasadę łózgu społecznego zasadzie chałupnictwa, prymitywu i grajdołkowania, je-i ma on być afirmacją zasady dobierania najskuteczniejszych środków do ealizacji najszlachetniejszych celów. Utarło się — słusznie czy niesłusznie — ıówić, że celem socjalizmu jest m.in. zastąpienie zarządzania ludźmi zarzą-zaniem rzeczami. Ale nikomu nie wpadnie do głowy twierdzić, że socjalizm krótkim czasie doprowadzi do takiego stanu, w którym zarządzać będą ie ludzie, lecz rzeczy. Nie obejdziemy się bez Biurokracji. Co więcej, prag-ącym socjalizmu zależeć powinno na tym, by mieć dobrą i sprawnie działa-ącą Biurokrację.

Ale skąd czerpać pewność, że Biurokracja socjalistyczna będzie wol-a od tych tendencji? Że zachowując funkcję społeczną, która upoważnia do azywania jej Biurokracją, będzie ona jednak cudownym jakimś sposobem czyszczona od piętna grzechu pierworodnego, ciążącego na wszelkiej Biuro-racji? Socjalizm, ów największy cud wszystkich czasów, zasadza się m.in. a tym, że wyklucza wszelką wiarę w cuda. Czy fakt rekrutowania Biurokra-i z nowych, pracujących klas społecznych jest wystarczającym lekarstwem a jej dolegliwości?

W kołach intelektualistów, związanych z Labour Party, toczy się od pe-

wnego czasu żywa dyskusja, mająca za przedmiot ocenę rezultatów nacjon lizacji pewnych gałęzi gospodarki brytyjskiej w latach 1945—1950. Rze w tym, że spora część postępowej, lewicowej dawniej inteligencji z rezerw odnosi się dziś do idei socjalistycznego przeobrażenia społeczeństwa. Liczy ona niegdyś na to, że społeczne zarządzanie gospodarką zlikwiduje doleg wości socjalne, jakie niósł z sobą zdecentralizowany kapitalizm. Ta nadzie czyniła z niej zwolennika, a często i gorącego orędownika ideału socjalist cznego. Tymczasem doświadczenie lat powojennych kazało jej wysnuć dw wnioski: że, zachowując typowe dla kapitalizmu stosunki w przemyśle, moż dzięki zabiegom Keynesowskim usunąć (w każdym razie na szereg lat) cz najdotkliwszych ekonomicznych i materialnych dolegliwości społeczeństw jak bezrobocie i najjaskrawsze odmiany nędzy; że, z drugiej strony, zmia charakteru własności w przemyśle nie pociąga za sobą przeobrażenia typ wych dla kapitalizmu stosunków psycho-socjologicznych i nie likwiduje d formującego, paczącego wpływu społecznych przedziałów na ludzką świad mość i *morale*. W szczególności doświadczenie znacjonalizowanych gałęzi br tyjskiej gospodarki dowiodło, że akt upaństwowienia ani na jotę nie zwi kszył kontroli społecznej nad poddanym temu zabiegowi przemysłem i ani jotę nie zwiększył udziału robotników w zarządzaniu nim. Powołał natomia do życia nową Biurokrację zarządzającą, która podobnie jak Biurokrac wielkich korporacji prywatnych czuje się wszechwładnym gospodarzem Co Board czy innych Boardów i administruje nimi lepiej lub gorzej, lecz zaws samowładnie. Nie trzeba chyba wyjaśniać dodatkowo, jak mało ta sytuac sprzyja przezwyciężaniu u robotników poczucia, że znajduje się „po tam stronie", poczucia obcości wobec warsztatu, w którym pracują, oraz rodzen się świadomości współgospodarzenia i współodpowiedzialności.

Z tych dwóch wniosków niektórzy intelektualiści socjalistyczni w Wielki Brytanii wyprowadzają wniosek trzeci: że linia podziału przebiega nie pomi dzy przemysłem upaństwowionym i prywatnym, lecz pomiędzy Biurokrac (zarówno tą z Boardów, jak i tą z prywatnych korporacji) kontrolowa i z robotnikami współrządzącą a Biurokracją (ditto) nie kontrolowaną i r botnikami rządzącą; że droga postępu wiedzie przez rozszerzanie kontr społecznej nad biurokracją i rozbudową udziału robotników w rządzen przemysłem, co niekoniecznie związane jest ze zmianą form własności; racz przeciwnie, pełna centralizacja dyspozycji ekonomicznej mogłaby, ich zd niem, osłabić, a nie wzmóc szanse tych postępowych przemian.

Można dowieść, że rozumowanie to opiera się na fałszywej przesłance; z kłada ono mianowicie, że socjalistyczne stosunki winny kształtować się w k żdej gałęzi gospodarki z osobna po jej nacjonalizacji, nawet jeśli tkwi o w systemie, w którym nadal dominuje własność prywatna; gubi ona ty samym z pola widzenia wpływ całokształtu stosunków ustrojowych na t własności w znacjonalizowanych przedsiębiorstwach. Skutki własności kol ktywno-kapitalistycznej przypisuje się więc socjalizmowi.

Równie łatwo można wszakże dowieść, że obawy wspomnianych kół int lektualnych, jak również niektóre snute przez nie wnioski, nie są nieuzas dnione, choćby nie wiem jak fałszywa była przesłanka, na której się zas dzają. Nawet bez pogłębionych badań socjologicznych możemy przecież stwie

tzić, że u nas, gdzie państwowy typ własności bezwzględnie dominuje w ciągu zeregu lat, stosunki międzyludzkie w przemyśle dalekie są od socjalistycznego ideału; że bardzo mało zrobiono zarówno w kierunku wydatnego zwiększenia kontroli społecznej nad gospodarką państwową, jak i w kierunku wzmożenia poczucia gospodarskiej współodpowiedzialności u robotników. Nie nam potrzeby tłumaczyć, że intronizacja własności państwowej i detronizacja prywatnej to jeszcze nie socjalistyczne stosunki społeczne. W polemice z socjalistami brytyjskimi stwierdzamy, że własność publiczna jest przedwstępnym warunkiem całego splotu socjalistycznych przeobrażeń socjo-psychologicznych. Ale to twierdzenie nie zdejmuje z porządku dziennego skomplikowanego problemu pomostu między własnością państwową a społeczeństwem socjalistycznym. Przeciwnie — właśnie ono uwydatnia ów problem w całej jego, niczym nie osłoniętej, ostrości.

I tu napotykamy sprzeczność wewnętrzną budownictwa socjalistycznego. Racjonalne zawiadywanie postępem społecznym wymaga Biurokracji. A Biurokracja, jeśli jej wrodzone tendencje zahamowane nie będą, może znaleźć się w sprzeczności z zadaniami socjalistycznego postępu. Używając języka chińskiego możemy powiedzieć, że jest to sprzeczność nie typu „naród-wróg", lecz sprzeczność nieantagonistyczna. Stwierdzenie to wskazuje z grubsza metodę rozwiązywania owej sprzeczności, lecz nie zmienia faktu jej istnienia.

PRO DOMO SUA

Gdy na porządku dziennym jest rewolucja, punktem pierwszym tego porządku jest zdobycie mas dla tej rewolucji. O skuteczności działań rewolucjonisty decyduje wówczas jego siła przekonywania, agitacji, osobistego przykładu, osobistego czaru, potęga i żarliwość jego wiary i umiejętnoćć dzielenia się nią z otoczeniem. Zarządzać, organizować, administrować trzeba również; lecz zadania te ustępują zdecydowanie zadaniom agitacji. Wiec ma primat przed naradą, idea przed instrukcją, płomień zapału przed chłodnymi spekulacjami intelektu. Rewolucjonista jest przede wszystkim Agitatorem. Myślicielem, Prorokiem, Wodzem.

Gdy rewolucja zwycięża, rewolucjonista z oponenta przekształca się w zarządcę społeczeństwa. Przeskok jest gwałtowny i jego konsekwencje psychiczne przychodzą nie od razu. Nie wszyscy rewolucjoniści znoszą ów przeskok bezboleśnie. Część się wykrusza lub schodzi na plan dalszy. Na pierwsze miejsca wychodzą stopniowo ludzie znajdujący się przed rewolucją w drugim lub trzecim rzucie. Nowe czasy forytują Administratora, czyniąc Agitatora jego pomocnikiem; stare podporządkowywały bezbarwne, powszednie czynności Administratora przywódcy-Agitatorowi.

Echa surm i wystrzałów nikną w oddali lat, a dzień dzisiejszy żąda załatwiania, załatwiania i załatwiania tysięcy spraw, sprawek i sprawiątek. Zadania są coraz bardziej praktyczne, materialne i złożone. Im lepszy Agitator, tym lepiej służy sprawie rewolucji; im lepszy Administrator, tym lepiej służy sprawie jej umocnienia. Zmienia się stopniowo hierarchia wartości społecznych, a wraz z nimi hierarchia ludzi rewolucji. „Gdy już dana jest słuszna linia polityczna, praca organizacyjna decyduje o wszystkim..." Żeby krzepła

rewolucja, trzeba krzepić mechanizm organizacji. Krzepka organizacja t
krzepka rewolucja. Organizacja to rewolucja. Organizacja!

Zmiana hierarchii subiektywnej przychodzi później niż zmiana hierarch
obiektywnej. Przychodzi niepostrzeżenie. Dojrzewa ona w łonie niezmienio
nych idei i haseł rewolucji, a przy tym wyrasta z potrzeb praktycznych; jedn
i drugie daje jej walor moralny i siłę argumentacji. Dlatego może się ona d
konać w umysłach ludzi wiernych rewolucji, z niej wyrosłych, jej, w swy
głębokim i szczerym przekonaniu, służących niezachwianie.

Rewolucja czerpała swą legalność ze swej zgodności z postępem, z potrze
mas, może nawet nieuświadomionych, lecz realnych, namacalnych, drążącyc
od wewnątrz stare społeczeństwa. Rewolucja nie potrzebowała legalności typ
parlamentarnego. Rewolucjoniści przyjęli na siebie brzemię hegemonii narod
nałożone na nich przez Historię, lecz nie przez naród. Teraz, po rewolucji, sta
się nie tylko hegemonami rewindykacji narodu, lecz hegemonami jego dz
i jego jutra, jego codziennych bolączek i spraw. Cierpienia narodu były dav
niej źródłem ich siły i ich hegemonii; dziś obciążają one ich konto i są prz
czyną ich słabości. Agitatorom wystarczy legalizacja przez historię. Admin
stratorzy potrzebują legalizacji przez naród. Mijają jednak lata, zanim
prawda staje się oczywista i zanim decydować ona zaczyna o stosunkach adm
nistracja—naród. Agitator i administrator są jednakowo ludźmi rewoluc
i ciągłość tradycji przesłania zmianę sytuacji historycznej i jej wymogów.

Dla rewolucjonisty administracja i obsługująca ją warstwa Biurokracji je
narzędziem w rękach rewolucji. On ją sam przecież tworzył, by ułatwiła z
wiadywanie sprawami rewolucji. Stał u jej kołyski; wie, że była niemowl
ciem, gdy sprawa rewolucji była już potęgą i panowała nad umysłami. Wie,
przedtem były strzały, ofiara krwi, poświęcenie, gorycz porażek i słodycz zw
cięstwa. Biurokracja przyszła potem. Zawdzięcza swe istnienie rewolucji, wi
na jej więc służyć. Jest jej tworem i narzędziem. Rewolucja jest historyczn
i logicznie wcześniejsza.

Dla człowieka, który wchodzi w skład Biurokracji kilka lat po rewoluc
Biurokracja istniała, zanim on rozpoczął swój żywot Biurokraty. Ona jest hi
torycznie i logicznie wcześniejsza. On zaś jest tworem jej rąk i jej dzieckie
Był niemowlęciem, gdy ona była już potęgą i panowała nad umysłami. Strza
i temu podobne — to to, o czym mówi się na ogół na akademiach. Biurokrac
jest wcieleniem rewolucji. Jest czymś zastanym, stałym, jest punktem wyjśc
jest tradycją, jest realnością. Relacje międzyludzkie, miękkie i podatne j
wosk w rękach pokolenia rewolucjonistów, stają się wobec następnego pok
lenia twarde i nieelastyczne jak granit. Człowiek nie wybiera warunków, w j
kich funkcjonuje. Biurokracja staje się dla Biurokraty młodego pokolen
warunkiem obiektywnym, zewnętrznym. Jej zawdzięcza swe istnien
jej winien wdzięczność i lojalność*. To, co dla pokolenia rewolucjonistó
było narzędziem dla realizacji wartości społecznych, pokolenie następ
skłonne jest traktować jako wartość samą. Siła Administracji ma skłonno
do wysuwania się na szczyty hierarchicznej drabiny wartości.

Wszystko to odwraca głowę Biurokraty w górę, a nie w dół. Masy zaś, j

---

* Miłośników socjologii odsyłam tu do wprowadzonego przez Tonniesa rozróżnienia m
dzy *Gesellschaft* i *Gemeinschaft*.

i przed rewolucją, spoglądają głównie wokół siebie. Różne kierunki spojrzeń określają różnicę oglądanych krajobrazów i gry światłocieni. Może się więc stać, że oczy Biurokraty będą widziały coś innego niż oczy mas.

Jest to socjologiczny szkielet procesu. Zawiły splot stosunków klasowych w epoce tworzenia socjalizmu pokrywa ów szkielet mięsem. Ostateczny kształt postaci jest wypadkową obydwu czynników.

A więc nowa Biurokracja rekrutuje się z warstw dawniej upośledzonych i uciskanych. Napływa do niej wielu wczorajszych robotników i chłopów. To daje jej w państwie robotniczo-chłopskim poczucie swej historycznej słuszności i więzi z narodem i jego drogą. Lubi ona powoływać się przy każdej okazji na swe pochodzenie socjalne i nie znosi statystyk, prowadzonych wedle kryteriów położenia, a nie pochodzenia socjalnego. Nie uznaje faktu, że jej położenie socjalne jest inne niż jej pochodzenie. Skłonna jest natomiast upatrywać w swym pochodzeniu robotniczym lub chłopskim glejtu na zgodność z linią mas i indulgencji za grzechy już popełnione i mające był popełnione. „Już ja wiem, co myśli robotnik! Sam jestem robociarzem". Ponieważ jednak Biurokrata wie faktycznie coraz mniej, co myśli robotnik, więc skłonny jest coraz bardziej uważać swoje myśli za myśli robotników. Jego myślenie staje się dlań wzorcem robotniczego rozumowania; rozumowania odbiegające od tego wzorca stają się tym samym nierobotniczymi, jeśli wręcz nie antyrobotniczymi. Pochodzenie robotnicze Biurokraty w połączeniu z mechanizmem wewnętrznym Biurokracji może więc mu ułatwić jeszcze oderwanie się od spraw i bolączek mas. Przy tym zaś w sposób bezbolesny, bez podważenia w nim poczucia klasowej lojalności. Biurokrata z innych klas łatwo poprowadzi antynarodową nawet politykę, lecz rzadko kiedy uzna swe pomysły za wolę klasy robotniczej.

Wejście w skład Biurokracji jest dla byłego robotnika czy chłopa życiowym awansem. Zyskuje on sytuację materialno-bytową, status społeczny i prestiż, jakiego nie dawało mu poprzednie położenie socjalne. Swą pozycję społeczną zawdzięcza funkcji, jaką pełni, aparatowi, w którego ramach funkcja ta jest sprawowana. W trudnych warunkach ekonomicznych kraju technicznie zacofanego powstają warunki do przypuszczeń, że do socjalizmu można dochodzić pojedynczo lub grupami. Często Biurokrata, już wyniesiony na wyżyny społecznego prestiżu, gdy nie stać jeszcze na awansowanie narodu jako całości, skłonny jest wcześniej niż masy konstatować osiągnięcie celów socjalistycznych. Gdy ma ponadto tendencje do mylenia własnych poglądów z poglądami proletariatu, może powstać szczerba między wyobrażanym modelem idealnym klasy robotniczej a rzeczywistością.

Wreszcie — kwestia wzajemnego oddziaływania różnych klas, współistniejących na drodze do socjalizmu. Wspomniana wyżej nierównomierność tempa wspinaczki po statusowo-prestiżowej drabinie sprawia, że nie jeden Biurokrata w pewnym momencie dostaje się do rejonów kulturowo i obyczajowo odbiegających od jej pierwotnego środowiska. Stać go na szersze niż dawniej korzystanie ze zdobyczy kultury; nie umie jednak jeszcze wyzyskać swych nowych możliwości. Chwyta on wtedy to, co schwytać najłatwiej, co najbardziej lekkostrawne. Wchłania więc brudną piankę mieszczańskiej kultury, to, co najbardziej wyślizgane, gładkie, co wygodne jak mieszczańska kanapa, jak ona nie wymagające intelektualnego wysiłku i jak ona brzydkie. Wyobrażenia

o społecznych szczytach są przecież jeszcze wcale nie socjalistyczne, wię w pełni mieszczańskie. Sztuka jest jeszcze nie sztuką, lecz miernikiem społecz nego znaczenia; malarstwo i rzeźba — dekoratorstwem, muzyka — rozrywką Wszystko zaś razem ilustrować winno równowagę ducha i bezkonfliktowoś Biurokracji. Nie trzeba dodawać, że i swoje poglądy na sztukę Biurokracj skłonna jest uważać za wolę proletariatu.

Podobnie, jak w wypadku sztuki, czyha na Biurokrację groźba wrastani w zastany system wartości kulturowych w ogóle, w mieszczańską hierarchi ideałów życiowych, w styl bycia, stosunków rodzinnych i wszystko to, co łącz nie stwarza klimat klasowej kultury.

Nie bez wpływu na wszystkie te procesy jest w naszym wypadku okolicz ność, że należymy w pewnym stopniu do liczby tych krajów, które według obrazowego wyrażenia Mao Tse-tunga „otrzymały wolność na tacy" i w któ rych tradycje prymatu rewolucji nad Administracją były od początku nikłe

Wielką zasługą komunistów chińskich jest i pozostanie, że zaostrzyli on uwagę ruchu robotniczego i jego czujność na wspomniany problem, że wska zali na niebezpieczeństwo przerodzenia się sprzeczności Biurokracja—na ród w konflikt jako na jedną z głównych gróźb czyhających na szerokim trak cie, wiodącym do socjalizmu. O ich wielkiej zasłudze stanowi również pilność z jaką przystąpili do przeciwdziałania tej groźbie.

Istotnym wkładem do doświadczeń ruchu robotniczego w tej dziedzinie jes również i nasze VIII i IX Plenum, co jest uzasadnionym powodem do dumy.

WRÓG CZY SPRZYMIERZENIEC

Jest to po wywodach powyższych pytanie w pełni uzasadnione.

Bo przecież, gdy się zerwie jedną łuskę abstrakcji po drugiej, koniec koń ców na dnie pojęcia „Biurokrata" odnajdzie się zastępy urzędników, instruk torów, referentów, tysiące znanych nam osobiście, z nazwiska i z widzenia X-ów, Y-ów i Z-ów, blondynów i brunetów, grubych i chudych, wesołych i ponurych, wylewnych i zamkniętych, zapalonych filatelistów i zaciekłych wędkarzy, zawodowych kawalerów i kochających ojców. Gdy się tendencj rozłoży na czynniki proste, czyli ludzi, stanie się jasne, że w gruncie rzeczy idzie o tysiące konkretnych jednostek, z których każda stanowi własny świat ma swoje problemy i jest do drugich niepodobna. Jest wśród nich zapewn nieco takich, których zwykliśmy nazywać biurokratami. Ale także wiele ludz ofiarnych, pełnych poświęcenia, oddających całego siebie sprawie, której służą składających w ofierze sprawie swój czas, siły, młodość, szanse wzrostu. To oni wychodzili ze swych biur wieczorami słaniając się ze zmęczenia, rezygnu jąc z czasu przeznaczonego rodzinie. To oni tłukli się nocami po wiejskich dro gach na furach, rowerach czy piechotą, by zębami wyrwać dla państwa kilogramy żyta czy litry mleka. To oni...

Można by ułożyć długą listę ludzkich wyrzeczeń, zasług, bohaterstwa nie mal i zawsze znajdzie się nie jeden Biurokrata, którego nazwisko mogłoby figu rować na tej liście zasług i zasłużonych. Ludzie są różni i do siebie nawzajem niepodobni. Gdy docieka się tendencji, łatwo można zgubić człowieka.

Nie, ci ludzie nie są wrogami klasy budującej socjalizm. Socjalizm będzie

zbudowany nie w walce z nimi, nie wbrew nim. Są oni dla socjalizmu niezbędni; mało tego, oni subiektywnie i pod wieloma względami obiektywnie służą socjalizmowi. Obarczać ich odpowiedzialnością za tendencje nurtujące warstwę Biurokracji byłoby niesprawiedliwością. Tendencje są od nich niezależne i znakomita większość tych ludzi nie zdaje sobie z nich sprawy. Cały problem nie może być rozpatrywany w kategoriach odpowiedzialności, winy i ocen moralnych. W życiu społeczeństw częste są sytuacje, które nie trafiają się w zasadzie w życiu jednostki: jest zło, lecz nie ma złych; jest wina, choć brak winnych.

Więc nie wrogowie. Czy przyjaciele?

Tak, przyjaciele i sojusznicy. Ze wszystkimi swoimi zaletami osobistymi i wadami ogólnymi. Są oni częścią narodu budującego socjalizm, są przy tym częścią aktywną i ważną. Tej części wyeliminować nie można.

I właśnie dlatego, że ma się do czynienia z przyjaciółmi i sojusznikami, trzeba dokładnie znać ich dolegliwości i skłonności do zachorowań, alergie i niedowłady organów, żeby w porę zapobiegać chorobom, żeby zagwarantować sto lat fizycznego zdrowia. Sprzeczność „Burokracja—masy" trwać będzie przez całą epokę budownictwa socjalizmu — i stąd obowiązek stałej czujności, ciągłych zabiegów kuracyjnych. Żeby nie przerodziła się niespodzianie w konflikt.

Jest diagnoza. Lecz trzeba ustalić środki lecznicze.

Klucz do ich wykrycia tkwi w następującej prawidłowości: tendencje Biurokracji do wyobcowania się ze społeczeństwa, z szerokich mas, do zamknięcia się w kręgu wąskich interesów, rosną i krzepną, gdy maleje polityczna aktywność i polityczne kwalifikacje mas; zmniejszają się natomiast, gdy ta aktywność i kwalifikacje rosną. Żeby ograniczyć ujemne tendencje rozwojowe Biurokracji, żeby nieustannie przywracać zgodność między realizowaną przez nią polityką a linią mas, potrzebna jest stała kontrola mas nad Biurokracją, ta zaś kontrola pozostaje pustym dźwiękiem lub zbożnym życzeniem, dopóki masy są mało aktywne politycznie, dopóki nie posiadają kwalifikacji niezbędnych do politycznego myślenia, do rozumowania kategoriami państwowymi, ogólnospołecznymi. Jednym słowem: klasa robotnicza będzie miała takiego sojusznika i przyjaciela, jakiego sama sobie zdoła wychować, wychowując w tym celu siebie.

To założenie ogólne tłumaczy się w języku praktyki na szereg spraw konkretnych. Polityczna aktywizacja fabrycznych i terenowych organizacji partyjnych. Realizacja zasady samorządu robotniczego w związkach zawodowych. Wreszcie — rady robotnicze, ów klucz do przekształcenia robotników we współgospodarzy swych zakładów, droga do wzrostu poczucia odpowiedzialności za fabrykę, za kraj i za państwo, droga do politycznego myślenia mas. Poza tym — pewne stałe zasady politycznego życia, jak jawność i szeroki zakres politycznych dyskusji, wciągających i hartujących masy. Dużo, dużo zaufania do politycznej mądrości mas: jeśli jej nawet nie ma dziś, nie urodzi się ona jutro bez tego właśnie zaufania.

Sprawy te były wielokrotnie dyskutowane w naszej prasie i nie sądzę, bym mógł wnieść coś nowego do wielu wypowiedzianych już mądrych zasad. Środki lecznicze są więc również znane. Rzecz w tym jedynie, by je realizować. I żeby pamiętać, że w budownictwie socjalizmu nie idzie o to, by znieść Biu-

rokrację, ani o to, by zastąpić złego Biurokratę dobrym, lecz o to, by mieć na oku problem warstwy Biurokracji i jej wewnętrznych tendencji i ustalić takie stosunki między nią a masami, które wykluczałyby możliwość przekształcenia sprzeczności w konflikt.

Sumując doświadczenia Komuny Paryskiej, Marks pisał niegdyś, że zwycięska rewolucja zacznie przeobrażanie społeczeństwa od zniesienia zawodowych urzędników. Rotacja co lepszych i aktywniejszych obywateli na stanowiskach kierowniczych, regulowana gładkim mechanizmem wyborczym i stałą aktywnością mas, zastąpi urzędników-fachowców-speców.

Nie wydaje się jednak, by ta perspektywa miała być zrealizowana w tej fazie budowy socjalizmu, w której wypadło nam żyć i współdziałać. Społeczny podział pracy, wyodrębniający specjalistów od zarządzania i administracji chyba nieprędko jeszcze zostanie zniesiony. Ale aktywność polityczna mas, ich kompetencje prawno-polityczne, ich mądrość państwowa muszą rosnąć od zaraz i nieustannie. Kierunek wzrostu — społeczeństwo socjalistyczne; społeczeństwo mądrych i trzeźwych, racjonalnie myślących gospodarzy własnego życia.

Maj, 1957

Zygmunt Bauman

Andrzej Kijowski

TACYT KRZESZOWICKIEGO POWIATU

Ostatnio mówi się u nas często o tym, że powieść przestała być interesująca. Pisał niedawno Paweł Hertz przy jakiejś okazji, że żadna z tzw. „grubych powieści" ostatnich czasów nie zdołała na dłużej zdobyć jego pamięci i wdzięczności. Pisał dawniej Jan Kott, że powieść artystyczna przestała być źródłem wiedzy o świecie i podręcznikiem moralności i że funkcję tę spełnia jeszcze co najwyżej powieść drugiego rzędu. Mówi się równocześnie o atrakcyjności pamiętników, książek naukowych i popularno-naukowych, esejów, biografii, publicystyki, relacji autentycznych oraz wszelkiego rodzaju dokumentów. Wypowiadający się na ten temat autorzy powołują się na ogół na przykład zagranicy, Francji głównie, gdzie — jak twierdzą — beletrystyka przestała już panować nad rynkiem czytelniczym. Nie znam na tyle produkcji wydawniczej na Zachodzie, aby móc na ten temat zabierać głos. Jeśli jednak chodzi o sytuację polską, to można powiedzieć, że nie ma żadnych faktów wskazujących na to, iż w upodobaniach czytelników, w ambicjach pisarzy, w kryteriach estetycznych, jakimi posługuje się opinia literacka, miejsce powieści, miejsce beletrystyki, miejsce *fiction* zajmują inne gałęzie piśmiennictwa. Nie ma takich faktów, tzn. nie ma rozwoju pamiętnikarstwa (pomimo istnienia wspaniałych po temu warunków: żaden naród nie dysponuje chyba takim potencjałem biograficznym, jak nasz), nie ma rozwoju eseju (czemu nie należy się chyba dziwić, ponieważ gatunek ten nigdy się u nas nie zadomowił), nie ma rozwoju publicystyki na większą skalę (tom zbiorowy artykułów i reportaży *„Po prostu"*, wydany na wiosnę, już zdaje się wszystkim, co można było wydobyć z okresu, o którym mówiło się, że jest okresem wielkiej publicystyki), nie ma wreszcie u nas zupełnie twórczości popularno-naukowej, która by miała szanse zdobycia tak szerokich kręgów czytelniczych, jak kiedyś zdobyły sobie książki historyków „szkoły krakowskiej", później zaś książki Boya.

Nie należy zresztą sądzić, że przyjęcie się powieści jako ulubionego gatunku literackiego dokonało się dla formalnych zalet powieści, dla uroków fabuły, dla łatwości, z jaką czyta się tekst rozbity na dialogi, dla przyjemności, jaką sprawia rodzenie się uczuć ku nie istniejącym ludziom. Myślę, że pod tymi fasadowymi urokami powieści kryją się inne. Mianowicie ten fałsz, jakiego na właściwościach życia i na naturze człowieka trzeba dokonać, aby powieść mogła powstać. Stworzenie działającego lub myślącego bohatera, bohatera w działaniu i w swym życiu wewnętrznym podporządkowanego idei, odpowiedzialnego, świadomego, konsekwentnego (a wszystkie te cechy w mniejszym lub większym stopniu musi mieć bohater, aby powieść mogła powstać), wszystko to jest komplementem dla istoty dzisiejszej, ciemnej i ślepej, jaką jest człowiek poznający siebie drogą bezlitosnej introspekcji. Podobnie komplementem dla życia i przebiegu jego wydarzeń, dla chaosu i jego codziennej bezbarwności, dla jego monotonii i powszedniości jest fabuła, gdzie wydarzenia mają swoją hierarchię, swój wymiar, początek i koniec, kulminację, katastrofę, pointę — kształt. Oczywiście można powiedzieć, że jest to w ogóle urok sztuki, urok literatury, która — jak mówi Julian Przyboś — „jest udawaniem słowami życia mocniejszego". Jest to więc urok i zasada wszelkiej sztuki, ale powieściowe komplementy są — że się tak wy-

rażę — najłatwiejsze do przełknięcia i najbliższe sercu, ponieważ podnoszą na wyższy stopień to wszystko, co jest doświadczeniem najpowszedniejszym i najcodzienniejszym: materię życia, sam przebieg przeżywania. Poezja jest luksusem, polerowaniem klejnotów, powieść chleb zamienia w złoto. Naturalnie, do czasu utrzymuje się powieść w ramach komplementacyjnych konwencji. Chwieją się jej proporcje; oto człowiek otwiera się w niej coraz bezlitośniej, nie zważając na dobro konstrukcji otwiera się aż do tajnych komórek poezji. Oto dążność do jak najpełniejszej prawdy społecznej zagraża urokom fabuły. Oto refleksja sypie piasek w tryby akcji. Powieść rozkłada się: pochłania ją poezja, filozofia, polityka. I to jest ważne: nie rozwój innych, pozabeletrystycznych gatunków pisarstwa, bo takiego rozwoju (przynajmniej u nas) nie ma, ale rozwój tych elementów powieści, które jej przeczą. Jest ważne to, że powieść w stanie rozkładu, w jakim się znajduje, w stanie skłócenia jej elementów, jest niezdolna do syntezy.

A zamówienie społeczne opiewa na syntezę. Dlaczego? Nie tylko z powodu zachwiania się porządków myślowych, co jest oczywiste. Także dlatego, że wyspecjalizowały się niezmiernie nauki szczegółowe, tworzą się fachy, tworzy się fachowy język, niedostępny ogółowi. Odnosi się to zwłaszcza do filozofii, która staje się dziś uogólnieniem nauk szczegółowych, wychodzi z przesłanek, niełatwych do poznania dla laika. Współczesna filozofia mówi językiem fizyki, chemii, matematyki, biologii, ekonomii, zoologii. Whiteheada, Pareta czy Carnapa nikt dziś nie będzie czytał tak, jak Tomasz Buddenbrook czytał Schopenhauera, jak kilkunastoletni bohaterowie *Syzyfowych prac* pochłaniali Spencera, jak następne pokolenie — Nietzschego.

Jest więc zapotrzebowanie na syntezę, ale o takich pozorach naukowości, na jakie nie stać powieści, i z uniknięciem kłopotów, jakie nastręcza rzeczywista naukowość, czego nie może znów ofiarować współczesna filozofia. Sukces Sartre'a jako pisarza i filozofa polega trochę na umiejętności zdobycia pogranicza. Na tym polegały także w dwudziestoleciu sukcesy Bertranda Russella, jako moralisty i obserwatora obyczajów.

*

Charakterystyczne pomieszanie postaw i metod stanowi książka Kazimierza Wyki pt. *Życie na niby* — zbiór szkiców o okupacji. Jest w tej książce pewien — że się tak wyrażę — paradoks metodologiczny. Polega on na tym, że autor przeprowadza postępowanie typu naukowego, opierając się na doświadczeniu typu literackiego. Postępowanie typu naukowego: precyzyjna klasyfikacja i systematyka zjawisk, skrupulatna prezentacja materiału dowodowego, staranne sprawdzanie założeń, powolne i jawne wypracowywanie wniosku — wszystkie nawyki uczonego, wszystkie pozory roboty bibliotecznej. Tylko biblioteki ani śladu. Ani jednej fiszki, ani jednego pudełka z kartoteczką. Wszystko w powietrzu, dokoła, na rynku, na szosie, na kolei, w sklepiku, czasem w gazecie, czasem w tajnym komunikacie, dużo w plotce, w tym, co „ludzie gadają". Nie inaczej przecież mógł się człowiek podczas okupacji zorientować w sytuacji, tylko tak rozchodziły się wiadomości wśród społeczeństwa, które, pozbawione drukowanej i radiowej informacji oraz wymiany myśli, było jak samolot we mgle z uszkodzoną anteną. Plotki i drobne spostrzeżenia, intuicja i trochę wnioskowania *per analogiam*, wrażliwość moralna, umiejętność uogólniania obserwacji szczegółowych — to cały materiał, którym dysponuje Wyka. Na podstawie takiego materiału pisze się powieści. Wyka zaś pisze rozprawy, buduje hipotezy, układa prawidła, zachowuje cały warsztat i wszystkie ambicje uczonego, tyle tylko, że zamiast „czytałem", pisze „widziałem". Zamiast na dzieło źródłowe, powołuje się na sąsiada. Jest w Wyce jakaś osobliwa mieszanina uczonego humanisty i miejscowego statysty. Kapitalna to mieszanina: miejscowy statysta wyjdzie z domu do ogródka, popatrzy, kto jedzie szosą, popatrzy, co wiozą koleją, pogada z chłopami na targu i z gońcem gminy, i wie, już wie, co w trawie piszczy. Po czym humanista badający dzieje świadomości społecznej utrwalonej w literackich tekstach, rozbiera to, co na targu i przy wódce posłyszał, analizuje, konfrontuje z historycznym doświadczeniem — rozbiera i analizuje tak, jakby dysponował solidną bibliografią. To jest właśnie osobliwość książki Wyki i zarazem osobliwość

sytuacji, w jakiej znalazło się nasze społeczeństwo. Żadnych sposobów badania i wymiany opinii, żadnych możliwości zbierania źródeł, sparaliżowany cały aparat naukowy i prasowy, który normalnie służy do utrwalania przemijających zdarzeń i zmieniającej się sytuacji. Wszystko zawisło od oka, ucha, czujności, instynktu — i pracowitości, dobrej woli, poczucia odpowiedzialności nielicznych. Myślę, że Kazimierz Wyka dobrze pojął rolę, jaką los wojenny mu przeznaczył do spełnienia w podkrakowskich Krzeszowicach. Chciałbym także na tym miejscu wyrazić podziw dla innego człowieka, który przyjął na siebie rolę dziejopisa dni umykających tak szybko, że — zdawało się — śladu po sobie nie pozostawią. Mam na myśli Władysława Bartoszewskiego, który dziś ma możność prezentować społeczeństwu owoce swego imponującego trudu: kronikę ruchu podziemnego i powstania, archiwum prasy, dokumentów i fotografii — bezcenny wprost materiał, który stanie się kiedyś podstawą do opracowania historii okupacji hitlerowskiej w Polsce, który jest dokumentacją dla literatury i filmu.

Wyka nie ma ambicji kronikarza i archiwisty. Nie mógłby zresztą wykonać tej roli, oddalony od centrów ruchu oporu, ukryty na bokówce dziejów. Wyka ma ambicję uchwycenia istoty zjawisk, głównego wątku tragedii rozgrywającej się nad Wisłą. Wyka pisze z troską o to, aby historycy i pisarze — a przede wszystkim pisarze — tej istoty nie zakłamali i głównego wątku nie przeoczyli. „...Kto by skutki gospodarki okupacyjnej na wsi — pisze Wyka w *Gospodarce wyłączonej* — pragnął prześledzić w jej przykładzie najbardziej jaskrawym, niechaj akcję swojego utworu umieści w młynie pod olchami na ustronnym krańcu wsi, w błotnistym krajobrazie listopadowym. Powinien panować zmrok, a zalani policjanci i Sonderdienst mają się sadowić na bryczce. Pod siedzeniem boczek i wódka."

Pisząc te słowa, Wyka zdaje się przeczuwać niebezpieczeństwo, jakie doświadczeniom okupacyjnym grozi ze strony pamięci społecznej, działającej tyle samo pod ciśnieniem faktów, co pod ciśnieniem tradycji uczuciowej, pod ciśnieniem schematów myślowych, pod ciśnieniem jakiejś estetyki historycznej, która po prostu nie pozwoli szmuglowanego boczku uczynić symbolem okupacji równorzędnym do brzozowego krzyża na bezimiennej mogile partyzanta. Dla historyka literatury jest jasne, że okupacja w pamięci zbiorowej ułoży się w schemat martyrologii i bohaterstwa. Że literatura pójdzie śladem schematów utrwalonych od stu lat w naszej wrażliwości patriotycznej — śladem schematów rozbiorowych, które przyniosły nam przecież wspaniałą poezję. O tych schematach właśnie, o tym, jak utrudniały one zwłaszcza inteligencji polskiej orientację w sytuacji politycznej wojny i okupacji, o tym, jak schematom myślowym odpowiadały schematyczne odruchy, o tym, jak nazwy faktów politycznych, same tylko nazwy, takie jak „emigracja i powstanie", wywoływały reakcję uczuciową, która wystarczała za analizę, o tym całym dziedzictwie historii i literatury, ciążącym na świadomości zbiorowej, pisze Wyka w szkicu pt. *Dwie jesienie*. Szkic *Gospodarka wyłączona* podsuwa w miejsce tamtych, fałszywych schematów nowy klucz do rozumienia okupacji, jej przebiegu i — co najważniejsze dla Wyki — jej skutków. Ten klucz to analiza gospodarcza okupacji oraz analiza gospodarczej moralności i gospodarczej psychologii okupacyjnego społeczeństwa. Ten klucz, to ta znakomita, choć zrazu niejasna, metafora „gospodarki wyłączonej".

„...W psychologii społeczeństwa powstał konglomerat, który uważamy za centralne zjawisko psychosocjalne lat okupacji. Gospodarka wyłączona moralnie, wyłączona ze wspólnoty społeczno-państwowej." Metafora, na pozór niejasna, może się także wydać banalna: wiemy przecież, że kradzież mienia publicznego, hasło żółwiego tempa, obowiązek sabotażu i dezorganizacji, będące prawami moralnymi okupacji, że to odwrócenie normalnych imperatywów społecznych wywiera zły wpływ. Tak, wszyscy to wiedzą. Ale zjawiskom tym wolimy przypisać wagę zgodną z rozbiorowymi i niepodległościowymi schematami. Wolimy ponad to zjawisko wynieść ruch podziemny, powstanie, obozy koncentracyjne. Straszność terroru, straszność okupacyjnego dnia. Jesteśmy skłonni uważać naród polski za najbardziej doświadczony moralnie przez hitleryzm. Fakt, że nie wydaliśmy Quislinga, jest dla nas najważniejszy. W analizie okupacji, jaką daje Wyka, owa „gospodarka wyłączona" nie jest

jednak tylko ubocznym produktem moralnym okupacji. Jest zjawiskiem specyficznie polskim, zjawiskiem, które społeczeństwo polskie dotknęło szczególnie boleśnie i które historię moralną tego społeczeństwa skrzywiło w stopniu daleko większym, niż się to przyjmuje na ogół — jest owo moralne wyłączenie ze wspólnoty zjawiskiem, które nas postawiło poza obrębem zysków moralnych i ideowych, jakie rzeczywiście stały się udziałem innych narodów:

„Wszystko to nastąpiło w latach wojny, którą wygrała nie tylko dzielność żołnierzy, ale w większym jeszcze stopniu krzywe produkcji i kryjący się za nimi codzienny, pełen ofiar i poświęcenia, uparty wysiłek pracy. Wygrywają tę wojnę narody, które wyrobiły w sobie wysoką moralność gospodarczą, moralność pracy, a u przegrywających jedynie zdolność do takiego wysiłku jest czymś cenniejszym od bzdurnych ideologii. Społeczeństwo polskie tylko czytało o fabrykach rosyjskich ewakuujących się wraz z załogami tysiące kilometrów, wyładowywanych w pustkowiach i w kilka tygodni rozpoczynających normalną produkcję. Tylko słyszało o stoczniach w tydzień wypuszczających nowy okręt. Słyszało o drogach przecinających całe kontynenty od Senegalu po Abisynię. Słyszało i czytało, ale w żadnym podobnym procesie nie uczestniczyło jako aktor świadomy. Nie zna i przeczuć nie może sumy poświęcenia, wysiłku, głodu i zapobiegliwości myśli, kryjących się w faktach, których ostatnie i olśniewające wyniki otrzymywało. Odebrana mu została, wymazana z zasobu doświadczeń kto wie czy nie najważniejsza nauka wojny: procesy gospodarcze wprzęgnięte moralnie w życie narodu. Nie jakąś heteronomiczną czy idealistyczną moralnością, ale moralnością, która się rodzi z celu i świadomości tego celu, z rozeznania w rzeczywistym porządku świata. Tego wielkiego zysku dziejowego społeczeństwo polskie nie poznało“ (str. 151—152).

To są straszne i ciężkie słowa, i potwornie prawdziwe. Mamy się za Winkelridów, dumni jesteśmy z naszych ruin i grobów, lubimy zestawiać nasze losy z losami innych narodów, które okupację czy protektorat hitlerowski przetrwały inaczej, lubimy nawet wyrzucać sobie tę ofiarność nierozsądną, a przecież prawda jest gdzie indziej. Bo nie bierzemy pod uwagę ilościowych proporcji. W świadomości zwyciężają zdarzenia efektowne, świadomość nie troszczy się o statystykę. A statystyka wykazałaby, że więcej u nas wypito litrów bimbru przy kanciarskich transakcjach, niż kul wystrzelono w nierównej walce, że więcej Niemców przekupiono, niż zabito, i że chociaż wczorajszy handlarz jutro poszedł na barykadę, jeśli z niej żywcem uszedł, już gotów pojutrze bardziej do handlu niż do walki.

Wyka obok straszności okupacji dostrzegł jej zły urok. Ten urok polegał na owym wyłączeniu moralnym z rygorów społecznych, na tym, że „wszystko wolno“, że przestępstwo stało się bohaterstwem. Urok okupacji — kto ją przeżył, ten nie zaprzeczy. Podsłuchajcie dziś po biurach, fabrykach i chałupach wiejskich okupacyjnych wspominków — nie zaprzeczycie. Podsłuchajcie, jak pracownik zarabiający ledwo-ledwo na życie i kontrolowany na każdym kroku, hamowany moralno-społecznymi skrupułami, wspomina ten czas, kiedy mógł i powinien był kraść, kiedy mógł i powinien był bumelować, kiedy nie istniały słowa „lenistwo“ i „nieuczciwość“. Podsłuchajcie chłopów, pędzonych do oddawania „dostaw obowiązkowych“, jak sobie wspominają czasy, kiedy z kontyngentem trzeba było umykać, kiedy wszyscy wokół o tym wiedzieli i za osełkę masła, za „górala“, za poczęstunek godzili się wziąć udział w „łudzeniu despoty“. Podsłuchajcie rozmów i... przejrzyjcie protokoły remanentów w sklepach — ach, urok, zły urok okupacji rzuca długi, długi cień. Przechował się ten cień — niestety — pod skrzydłami centralistyczej biurokracji, pod skrzydłami gospodarczego absurdu, który spowodował dalsze „wyłączenie“ moralne. „Miliony złotych przepadają przez głupotę, błędy, ignorancję, przez sztywne założenia — rozumuje obywatel. — Ja się w tym nie liczę, ja nie uratuję, mogę ratować tylko siebie — jeśli tego nie uczynię, maszyna mnie zdusi.“ Bezduszność i niemoralność systemu centralistycznej gospodarki spowodowały, że gospodarka wyłączona trwa. Tak jest, trwa — sprawdziło się najgorsze z przeczuć wyrażone w książce Wyki.

Były i inne złe uroki okupacji. Na przykład: zatarcie wartości społecznych. Wyka wspomina o demokracji okupa-

cyjnej, o tych inteligentach wmieszanych między robotników (sam zresztą jest tego przykładem). Dopatruje się tutaj jedynego pozytywnego faktu w dziejach okupacyjnych społeczeństwa. Ma ten fakt i swoją drugą stronę. Mianowicie wszyscy naraz poczuli się na pozycjach wyjściowych. Dam przykład: chodziłem do szkoły zawodowej, gdzie uczono mnie arytmetyki handlowej, towaroznawstwa, sztuki obsługiwania klientów, techniki reklamy etc. Uczyli mnie różni ludzie: arytmetyki handlowej jeden z najwybitniejszych matematyków i astronomów polskich, specjalista od badania promieni kosmicznych, a sztuki obsługiwania klientów (tzw. „sprzedażoznawstwa") taki pan, który się do tego akurat nadawał. Ów matematyk miał prawo czuć się w nierzeczywistej, wyjściowej sytuacji — czekał aż się wojna skończy, aby rozpocząć od nowa to, co zaczął. Ale ten pan od „sprzedażoznawstwa", który zasiadał w jednym ciele pedagogicznym obok profesora uniwersytetu, także sądził, że pozycja jego jest tymczasowa, i oczekiwał dnia, w którym rozpocznie nowe życie, na nowej pozycji, rzekomo lepiej odpowiadającej jego uzdolnieniom. Rozumowanie takie przeprowadzał każdy półinteligent zrównany w demokracji okupacyjnej z ludźmi ukrywającymi przed okupantem swą prawdziwą wartość. Każde półtalencie, każda miernota, każde niedokształcenie znajdowało rekompensatę w zahamowanym życiu społecznym i w zniekształconych hierarchiach. Każde niezadowolenie z siebie odpoczywało w tym „życiu na niby", w tym życiu tymczasowym, które miało swój wymiar określony — kiedyś musiało się skończyć, jak film, który wiadomo, że trwa tylko na długość taśmy. Oto zły urok okupacji: nagromadzenie olbrzymich potencji, olbrzymich nadziei, olbrzymiej wiary w siebie. Było też wielkie trzaskanie balonów pychy i głupoty po wyzwoleniu. Byłoby większe, gdyby w sukurs nie przyszła nadzieja na trzecią wojnę, gdyby psychoza tymczasowości, miernota, niedojrzałość i niezadowolenie z siebie nie nałożyły sobie na trzecią niepodległość okupacyjno-rozbiorowego schematu... Gdyby obłąkana polityka kadrowa znów nie przemieszała wartości ludzkich, gdyby miernota nie uzyskała przesłanek do tego, aby mówić o sobie, że jest niedoceniona, tak jak ten i ów, który rzeczywiście był niedoceniony i skrzywdzony. Okoliczności pomogły podtrzymać złudną wiarę w siebie i tak trwają, względnie do niedawna trwały, złe uroki „życia na niby", złe uroki gospodarki wyłączonej z rzeczywistych odpowiedzialności, z rzeczywistego wysiłku. Sprawdzały się i sprawdzają złe, najgorsze przeczucia książki Kazimierza Wyki, który wprawdzie ograniczył się do klucza gospodarczego, ale klucz ten otwiera coraz dalsze i dalsze drzwi.

Książka Wyki pozostała samotna w tej analizie okupacji. Schemat rozbiorowo-niepodległościowy, względnie później schemat rewolucyjny (okupacja sprzyjała rozwojowi sił i tendencji rewolucyjnych — głosiła oficjalna wersja okupacji), wreszcie schemat moralizatorski (okupacja jako *katharsis* — p. Andrzejewski, Filipowicz, w karykaturalnej formie Kossak-Szczucka *) — oto gotowe rozwiązania, w jakie ułożyła się okupacja pisarzom. Tu i ówdzie tułają się strzępy ponurej prawdy, błyski rozpaczliwej przytomności. Przede wszystkim opowiadania Borowskiego, który zanim w *Dniu na Harmenzach* i *Proszę państwa do gazu* pojmie system okupacji upotworniony za drutami obozu, u progu zagłady, już w *Pożegnaniu z Marią* dostrzeże podwójne dno okupacyjnej rzeczywistości: konspiracyjny uniwersytet i dyskusja na najwyższym piętrze humanistycznego napięcia — po jednej stronie ściany. Po drugiej stronie ściany — handel deskami i cementem, równie na serio. W Oświęcimiu na serio będzie męczeństwo i mecze piłkarskie pod murami krematorium.

Jerzy Andrzejewski obok opowiadań z moralizatorskiego kruszcu tworzy groteski (*Kukułka, Paszportowa żona*), w których łapie to świetne samopoczucie ludzi, co zginąć mogą lada chwila, ale zatracili zmysł rzeczywistości — są jak pijani. Jest znakomite opowiadanie Adolfa Rudnickiego *Autoportret z dwoma kilogramami złota*, które może najlepiej ilustruje okupacyjne odrodzenie,

* „Kiedy zaczną piać, że wyszliśmy oczyszczeni i poprawieni, kłamstwo — pisze Wyka w szkicu z roku 1942 — kiedy z koturnu jękną, że przeorane dusze wydadzą inny plon, kłamstwo. Kiedy powołają się patetycznym tonem, że byli uczestnikami, kłamstwo. Widzieli tylko, nic więcej" (str. 20).

jakiemu podlegali niezadowoleni z siebie, którzy w fikcyjnych miarach zniekształconego społeczeństwa znajdowali się niespodziewanie dla siebie o kilka pięter wyżej i to w zupełnie innym „pionie": kiepski poeta robi karierę jako waluciarz — co za sukces, co za wyzwolenie!

Jest w jednym z opowiadań Wojciecha Żukrowskiego — pisarza, który w największej mierze uległ schematom komplementującym — jest jeden fragment, który po latach lektury najlepiej zapamiętałem: uciekający z obozu więzień marzy o życiu, do którego powraca — a to właśnie szmugler, król szmuglerów, a przed wojną — urzędnik pocztowy:

„Dzwoni szkło kieliszków. Szeleszczą banknoty. Przez dym świecą spocone, zaczerwienione czoła. Wykłócają się radośnie, podpici, rozgrzani, klnąc pieszczotliwie, trącając się z figlów w podbrzusza, nim dłonie z klaśnięciem dobiją targu.

A potem noc smolista i ciepła, ciężka od gwiazd. Przemykają się gęsiego, odwalają kilometry, aż do białego dnia. Idą znajomymi skrótami, omijając kontrolę na drogach. O świcie sen po stodołach. Aż dyszy... Czoło łaskocze mu kosmyk włosów. Woń bimbru, fermentujących tytoniowych liści i odór chłopskich ciał. Leży na cudzej babie wgniatając ją każdym opadnięciem głębiej w siano. Czuje jej wargę klejącą się do nieogolonej grdyki. Parzy go oddechem pełnym wódki, wymawia jego imię prawie jęcząc. To się nazywa życie! Wyiskrzona noc, na plecach towar, który przyniesie tysiące, i papieros ostry, drapiący, w kącie warg. Za nim gromada dziewuch, mocnych, ciętych w pysku. Stoi oparty o pień sosny. Daje im wytchnąć. Nie chce się babom zdejmować z pleców brzemiączek, oddają mocz na stojąco, rozkraczone, chichoczące, rozzuchwalone swobodą i zarobkami" *(Przebieg)*.

Nieźle jak na urzędnika pocztowego. To znakomity fragment, to właśnie ów młyn Wyki, ten błotnisty krajobraz lipcowy, zmrok, w którym majaczyć ma bryczka z zalanymi policjantami, kryjącymi pod siedzeniem boczek i wódkę. To właśnie życie na niby, wielkie, straszne „wyłączenie".

Pusta ćwiartka zakopana
W gorący piasek,
Kropla deszczu zakurzyła
Gorący piasek.
Janek bank trzyma, Janek nam daje.
Gramy; lecą lipce, i maje,
Gramy rok drugi, gramy i czwarty.
I blask przez czarne sypie się karty
W gorący piasek.
Dalej miasto otworzone krwawą cegłą,
Jedna sosna za żydowskim domem,
Sypkie ślady i równina aż do końca,
Pył wapienny, toczą się wagony
A w wagonach czyjaś skarga skamlająca.

To Czesław Miłosz — *Przedmieście*. To „wszystkie lata okupacji" — tego straszliwego fenomenu w dziejach narodu polskiego, którego dziedzictwo rozkłada się na wiele pokoleń, którego prawdę w całej naszej literaturze współczesnej najlepiej i najgłębiej schwycił Kazimierz Wyka. „Życie na niby" mieści w sobie kilka znaczeń: jest samoistną wypowiedzią historyka i moralisty, jest potencjalną krytyką literatury, która — prócz wyjątków sporadycznych — poszła za echami starych, zasymilowanych prawd historycznych, jest wreszcie wspaniałym źródłem literackiej inspiracji — uczy patrzeć, analizować, tworzyć z chwili kształt epicki, uczy składać do kupy to, co sąsiad powiedział, i to, co na szosie się dzieje, i to, co w księgach, i to, co w powietrzu uczy sondować społeczeństwo do dna, do samego dna, z zimnym okrucieństwem, które częściej od humanistów mają właśnie powiatowi, ludowi statyści.

Andrzej Kijowski

POŻEGNANIE KRAJU ŁAGODNOŚCI

Jerzy Harasymowicz: *Powrót do Kraju Łagodności.* Kraków 1957, Wydawnictwo Literackie; str. 40.

Napisano o autorze *Powrotu do Kraju Łagodności:* „Harasymowicz nie ma jeszcze poetyki — tylko poezję, zdaną na niepewne wiatry".

Nie wiem, czy istnieje poeta, który zmartwiłby się takim zarzutem. Rozwój prawdziwego liryka, to przecież nic innego, jak ciągła dialektyka poetyk, stałe ich tworzenie i przezwyciężanie — po to, by ocalić właśnie — poezję. Tak, „zdaną na niepewne wiatry". Bogowie bowiem nie skazują na poezję dożywotnio i żaden poeta nie wie, czy wiersz napisany przezeń przed chwilą nie jest ostatnim z tych, które nadają mu miano poety. Od ustabilizowanej, wiernej poecie poetyki niedaleko zaś do maniery. I jeśli co mogło Harasymowiczowi grozić — to właśnie niebezpieczeństwo maniery. Szczęśliwie zresztą zażegnane.

O cóż chodzi w *Powrocie*? Pierwszy tom Harasymowicza był rewelacją poetyckiej osobowości, krzykiem nowonarodzonego, który spadł z nieba. Pisaliśmy wszyscy o Harasymowiczu *in statu nascendi.* Jego istnienie stanowiło sprawę najważniejszą. Najwytrawniejszemu z pediatrów, Kazimierzowi Wyce, udało się dostrzec właściwości tej poezji ukryte, potencjalne. Większość — poprzestawała na opisie i klasyfikacji zjawisk widocznych, osiągnięć i możliwości leżących na dłoni.

Poeta spadł z nieba, rozejrzał się i ruszył w świat. Wybrał jedną z możliwych dróg. Jako drogowskaz posłużyły mu takie wiersze *Cudów,* jak *Przedwiośnie* czy *Pejzaż zimowy.* Wybrał poezję maksymalnie zmetaforyzowanego, zanimizowanego czy upersonifikowanego pejzażu. Jednocześnie: wybrał ścieżkę franciszkańską.

Ten tom to poezja bardzo tradycyjna w swej uczuciowej bezpośredniości, w formie środków wyrazu, jakimi się posługuje. Jednocześnie zaś — w wysokim stopniu oryginalna.

Począwszy od melodii. Bardzo rzadkie w liryce polskiej wielozgłoskowe (przeciętnie ok. 20), nieregularne sylabicznie wersety (nieco przypominające pewne wiersze Claudela) są tu ze sobą powiązane wielorako. Na pierwszy plan wysuwa się jednak więź intonacyjno-składniowa, rytmika akcentu znaczeniowego. Metrum, pozwalające na maksymalną swobodę w akcentacyjnej interpretacji języka, uwalniające tok wiersza od tonicznych automatyzmów, najbardziej podatne ekspresyjnym dążeniom poety. Jest to rytm, w którym immanentnie — tkwią wskazówki dla deklamatora. Oto przykład:

Cóż, zwierzęta są jak dzieci, i tyle jeszcze [muszą spać,
Więc trzeba ich pilnować i na tyczkę jak [w serso łapać,
i bawić się jastrzębim kółkiem.

Wiersz dwudziestopięciozgłoskowy następuje tu po szesnastozgłoskowym. Obydwa są — pod względem intonacyjno-składniowym — trójczłonowe. Regularność ta wybija się na pierwszy plan i zmusza do równorzędnego w pewien sposób traktowania wszystkich sześciu członów. Z czego wynika wzbogacająca ekspresję zmienność tempa lektury cytowanego dwuwiersza, a także: mocne wypunktowanie akcentowanego w każdym członie jednego słowa, zwłaszcza zaś owego „cóż" („odpowiadającego" np. dziewięciozgłoskowemu członowi ostatniemu) — wykrzyknika,

który nadaje intonację całemu zdaniu. Podobnie mocno akcentowane jest w trzecim członie słowo „tyle". Harasymowicz osiąga więc dzięki swej wersyfikacji efekt zbliżenia poezji do języka mówionego — jego naturalności i bezpośredniości.

Nie tylko. Jednocześnie bowiem tok tej poezji, nierównomierne odstępy, na które poeta tnie strumień językowy — korespondują z warstwą wyobrażeń, stanowią formę adekwatną i sugestywną dla pejzażowych treści. Tak na przykład werset:

Obłoki jak anioły pochyliły się nad ziemią,
[skrzydła ich się zetknęły — cisza

znakomicie oddaje długotrwały, powolny ruch ogromnych obłoków, które w pewnym momencie, na czas bardzo krótki, tworzą nową sytuację, zastygając w bezruchu lub wywołując jego złudzenie.

Sama zaś długość wersetów, długość poszczególnych zestrojów akcentacyjnych nadaje poetyckiej frazie Harasymowicza charakter pewnego *continuum*, pewnej rozległości — oddając — dosłowne — szerokie perspektywy pejzażu. Tworząc jednocześnie pewien styl wersyfikacyjny, łatwy do odróżnienia, stanowiący fundament oryginalnej poetyki.

*

Jeśli zasadą metryczną *Powrotu* jest jednostka intonacyjno-składniowa, traktowana przez Harasymowicza ze swobodą i barokową pasją ekspresji* — to zasadę wyobrażeniową tego tomu nie trudno odkryć w gęstej tkance obrazowania poetyckiego — również nasuwającej myśl o baroku. Czyniono z tego Harasymowiczowi zarzuty. Niesłusznie. Nie docenia się współcześnie intelektualnej i estetycznej satysfakcji, jaką daje metafora — mikrokosmos poezji; nie docenia się roli, jaką metaforyzacja potrafi odegrać w wierszu: stanowiąc jego trzeci wymiar, pozwalając — jak do płócien impresjonistów — wielokrotnie powracać do tego samego utworu — po nowe spostrzeżenia.

Komunikatywność poezji Harasymowicza, zapewniająca jej powodzenie wśród szerokich kół czytelniczych, wywodzi się w dużej mierze ze zwolni nego tempa, w jakim poeta wyświet przed widzem swoją wyobraźnię (zj wisko — rzecz jasna — paralelne, c nawet implikujące jego wersyfikacj Podstawowymi elementami obrazow nia Harasymowicza są porównan i pełna metafora, nie — elipsa. Je wyobraźnia nie niszczy społeczn sprawdzalnego obrazu świata; są pejzaże dwuwarstwowe, w których w lor realistycznego opisu, pełnego tra nych obserwacji, wyrażonych w spos porównawczy — łączy się z fantastyk a obrazowanie spełnia dwie funkcj malarską i fantazjotwórczą; impresj nistyczną i ekspresjonistyczną. Haras mowicz niejednokrotnie już dał dow dużego poczucia malarskiej form w tym też kierunku idą zwłaszcza je metafory i porównania przeciwstaw tendencjom animizacyjnym, takie przykład, jak te, które zawiera pierw sza strofa *Jastrzębika:*

Jastrzębik leży u stóp Jaworzyny, ta
[gdzie wil
Swe trójkątne pyski do góry unoszą ni
[płot
Niżej, z żółtego otwartego strąka wąwo
[owce sypią się w dół jak małe fasol
i strachów na wróble pochyłe masz
[z resztką żagli, pędzą bite przez słot

Owo poczucie formy, które świę triumfy w wierszu o obrazie Zygmun Waliszewskiego, wierszu kontynuujący rodzaj „Sztuki Makowskiego" i „Ma larskiej wystawy dziecięcej" — nasy poezję Harasymowicza konkretem, baś jego nadaje łudzący pozór realne życia.

Jesienny krajobraz Muszyny je bowiem — nadal — krajobrazem baś Stanowi ona naturalny sposób wyp wiedzi, naturalny sposób patrzenia świat tego poety. Wyznacza nie tyl akcję jego wierszy, lecz także drugi ważniejsze skrzydło ich metaforyk Owa baśniowa animizacja pozwala w dzieć w poezji Harasymowicza zjawisk o pewnych cechach pierwotności, pr mitywu. Myślę, że przede wszystki jednak pozwala widzieć w niej jede z rodzajów liryki najprościej dążący do celu zaspokojenia poetyckich potrze odbiorcy. A zatem — pozwala w ro ważaniach nad tymi wierszami szuka podstawowych zasad poezji, wolny jeszcze od kulturowych komplikacy

* inwersje!

które są nieodłączne od rozwoju literatury i jej konwencyj.

Jeśli założymy *, że poezja zrodziła się z tęsknoty za tym, co niemożliwe, z tęsknoty, będącej przejawem ogólnoludzkiej potrzeby negacji metafizycznego tragizmu — stanie się jasna doniosłość roli, jaką w poezji odgrywa każda metafora, zwłaszcza zaś metafora animizacyjna i baśń. Nie są już one bowiem tylko niezwykłością czy udziwnieniem; są — skierowaną w stronę życia — realizacją niemożliwości, intencjonalnym spełnieniem pragnień przełamania granic istnienia. Animizacyjna baśń Harasymowicza realizuje jedno z podstawowych, odwiecznych zadań poezji — czyniąc to w sposób zgodny z tradycją, prosty, niemal naiwny. I oto jeden z głównych powodów zarówno popularności tego poety w szerokich kołach czytelniczych, jak intuicyjnego przeświadczenia o jego Midasowej władzy zamiany czego tknie — w poezję.

W wierszach Harasymowicza wszystko żyje i działa — otrzymując awans gatunkowy. Chmury są tu wiewiórkami, zające zaś tańczą poloneza. Triumfy święci antropomorfizacja — jedna ze szlachetniejszych, jeśli można tak powiedzieć, form poetyckiego zrealizowania niemożliwości. U Harasymowicza ma ona w sobie bardzo wiele wdzięku: są w niej jeszcze pozostałości dziecinnej zabawy, jakże charakterystycznej dla *Cudów*. Tak na przykład nieodparty jest urok obrazu:

Obok malutką furką pijane lisy wracają
[z miasteczka Kokoszego
i na organkach grają i pod księżyc
[oglądają czapki z pióropuszami kogucich
[piór.

Ale nad *Powrotem do Kraju Łagodności* zdecydowanie panuje już ktoś dorosły, choć prosty jak dziecko: święty Franciszek z Asyżu. Przewijał się on i przez *Cuda* — teraz bierze duszę poety w niepodzielne panowanie.

U źródeł baśni Harasymowicza leży bowiem miłość. Oto — nowa — autocharakterystyka poety:

Tam jestem, cugle strachy na wróble
[trzymają, ja, władca
Łagodności, chrzciciel drobnych muszek —

Oto manifest wyraźniejszy jeszcze:

Rozjaśniam się, polowanie się udało,
[znaleziono chorego zajączka,
on płynie w powietrzu za orszakiem, przez
[kruka w węzełku niesiony z miłością.

Miłość do człowieka jest tu przetłumaczona na miłość do zwierząt. Nie tylko jednak. Miłość do zwierząt to naprawdę miłość do zwierząt. Antropomorfizacja to coś w rodzaju nobilitacji. Przejawia się tu franciszkańska postawa pochwały świata, w którym nie brak miejsca na smutek, ale w którym wszystko, co jest — jest dobre i godne miłości. U Harasymowicza: z diabełkami włącznie. Zło jest gdzieś z zewnątrz — objawia się tylko śladami swej działalności, jest anonimowe. To jakiś fantastyczny smok, z którym należy walczyć za wzorem świętego Jerzego.

Harasymowicza baśń o świecie jest zatem pięknym marzeniem, piękną niemożliwością. Przepojona uczuciem tkliwości, uwrażliwiona na cierpienie — umie zwykle znaleźć słowo jedyne, jedyny obraz, który najpewniej wzbudzi w czytelniku te same uczucia.

Nie trudno jednak dostrzec, jak niebezpieczna to artystycznie droga. Łatwość, z jaką poeta tkliwy i nieopancerzony zmienia się w poetę sentymentalnego, a poeta afirmacji w poetę naiwności — to sprawy dostatecznie znane.

Baśniotwórcza wyobraźnia, malarskie widzenie świata skutecznie na ogół bronią Harasymowicza przed łzami. Nie zawsze jednak. Obrazy w rodzaju:

Pod lasem owsy w łodyżkach, jak
[w cieniutkich rączkach sierot,
swe wielkie srebrne łzy nad ziemię wnoszą,
[w błękit tkliwy nad polem

— przekonują, że Harasymowiczowi, jak niemal całemu jego pokoleniu, nie jest obca pokusa sentymentalizmu. Przy lekturze *Powrotu do Kraju Łagodności* odnosi się wrażenie, że jeszcze chwila, jeszcze jeden wiersz, jeszcze je-

* Niedaleko odbiegając np. od formuły Juliusza Kleinera, głoszącej, że literatura, cała literatura „zaspokoić ma postulaty uczucia i fantazji, którym życie nie odpowiada".

den obraz — a Harasymowicz pokusie tej ulegnie. Wrażenie paralelne do obawy przed monotonią, przed manierą: ulubionej wersyfikacji, ulubionych motywów, ulubionych pejzaży. Lecz w tym właśnie momencie Harasymowicz pisze:

Chodźmy, o chodźmy stąd, księżyc jak [kogut czerwony
pod granatowym skrzydłem jodełki jest [już niesiony na sprzedaż.
Patrzcie, zarządziłem nawet powrót do [Kraju Łagodności,
ale i tu i nigdzie spokoju już nie mam.

■

Powrót jest zamknięciem baśni Harasymowicza o świecie dobrym i tkliwym — mimo wszystko. Pozostaje w Muszynie święty Franciszek. Nowe wiersze poety otwierają przed czytelnikiem inny, zdumiewający świat tej wyobraźni, zapowiedziany — tylko — w dwóch pierwszych tomikach. Wiersze te mogą sprawić, że — razem ze świętym Franciszkiem — odejdzie od Harasymowicza wielu prostych czytelników. Tych, którym obydwa pierwsze tomy dawały prostotę pozytywnego uczucia i fantastykę poetyckiej, w poezji zakochanej przygody — jak dawała im je twórczość Gałczyńskiego. To już jednak sprawa przyszłości nadzwyczaj szybko rozwijającego się poety.

Tymczasem — *Powrót do Kraju Łagodności* pozostaje w zasadzie wierny rodzajowi poezji *Cudów*. Tam — była to poezja cygańska. Tu — jest to poezja franciszkańska. Ale święty Franciszek to przecież nikt inny jak Cygan w zakonnym kapturze. I Harasymowicz — spoważniał, lecz habit nie odmienił go wiele. Otwierają mu się dopiero oczy na tragizm świata. Na swym fantastycznym zwierzęciu zmierza ku granicom Kraju Łagodności, kraju, który musi opuścić. Już je przekroczył.

Jerzy Kwiatkowski

STUDIUM O EPICE MARII DĄBROWSKIEJ

Ewa Korzeniewska: *O Marii Dąbrowskiej i inne szkice*. PAN, IBL, Studia Historyczno-Literackie pod red. Jana Kotta. Wrocław 1956. Zakład im. Ossolińskich; str. 179, 1 nlb.

Książka Ewy Korzeniewskiej składa się z czterech prac historyczno-literackich tematycznie bardzo różnorodnych i odległych od siebie. Ich tytuły: *Cztery szkice o „Nocach i dniach", Z badań nad ideologią Gabrieli Zapolskiej, O „Dziennikach" Stefana Żeromskiego, Zapomniany nowelista (Zygmunt Niedźwiecki)*. Wspólną właściwością wszystkich tych studiów jest niewątpliwie to, że w sposób konsekwentny realizują one w praktyce badawczej postulaty ogólnoteoretyczne zrodzone w kuźni Instytutu Badań Literackich. W tym też zakresie dałyby się ująć w ramy jednolitej interpretacji. Jednakże od strony przedmiotowej każda z tych prac wymaga odrębnego omówienia. Poniższe uwagi pozwolę sobie ograniczyć wyłącznie do szkiców o pisarstwie Marii Dąbrowskiej. Są one niezaprzeczalnie pozycją zasadniczą w książce Korzeniewskiej, już choćby dlatego, że składają się na pełny zarys monograficzny *Nocy i dni*, w odróżnieniu od pozostałych studiów mających ambicje znacznie skromniejsze.

Korzeniewska dokonuje opisu i historyczno-literackiej interpretacji dzieła Dąbrowskiej posługując się instrumentami badawczymi, które nieuchronnie muszą prowadzić — przy konsekwentnym ich zastosowaniu — do swoistej deformacji badanego przedmiotu. Nie ma narzędzi całkowicie neutralnych, każde bowiem w zetknięciu z badaną materią wprowadza w niej pewne odkształcenia. Jednakże można mówić o dwojakich odkształceniach. Pierwsze są niezależne od świadomości badacza, powstają na przekór jego dążeniom jako nieuchronny i nie dający się przezwyciężyć — w ramach danej metodologii — wynik obiektywnej ograniczoności stosowanych pojęć. Drugie przeciwnie — są przez badacza subiektyw-

nie założone, stanowią cel, do którego zmierza. Deformacje pierwszego rodzaju są koniecznością każdego postępowania naukowego, natomiast drugie można określić jako następstwo zabiegów ideologicznych. W obu wypadkach odmienny jest stosunek poznającego umysłu do poznawanego przedmiotu. Celem działalności naukowej jest odsłonięcie obiektywnej natury zjawiska, a wszelka jednostronność ujęcia i wynikająca stąd deformacja stanowią niezamierzony — choć nie dający się uniknąć — „produkt uboczny". Nauka dąży do tego, aby maksymalnie ograniczyć możliwość takiej deformacji. Natomiast w działaniu ideologicznym wyłania się niebezpieczeństwo jednostronnego ujęcia, albowiem celem tego działania jest „przyrównać" zjawisko do określonego systemu pojęć i zapatrywań, „odkształcić" je tak, aby mogło być sklasyfikowane w ramach tego systemu. Marksistowska wiedza o literaturze w dotychczasowym — schematycznym — wydaniu zademonstrowała w pełni owo niebezpieczeństwo.

W praktyce oznacza to całkowitą zbieżność dróg historii literatury i pewnego typu krytyki literackiej („postulującej"). W ogóle wydaje mi się, iż z metodologicznego punktu widzenia marksistowska historia literatury była dotychczas po prostu krytyką literacką skierowaną w przeszłość. U podstaw jej znajdowała się ta sama poetyka normatywna, którą w postaci postulatów wobec literatury współczesnej propagowała krytyka. Zasady historyczno-literackiego porządkowania zjawisk utożsamiały się z normatywnymi poglądami krytyki literackiej. Obie te dyscypliny wyrastały z jednakich impulsów ideologicznych. Obie w równym stopniu cechował brak poszanowania dla obiektywnych procesów historycznych. Dla krytyki jest to sytuacja naturalna, ona na ogół zawsze próbuje narzucać współczesności jakieś ideały w opozycji do istniejącego stanu rzeczy; w historii literatury prowadzi to do postawy określanej mianem prezentyzmu, do oceny minionych epok z punktu widzenia pragnień dzisiejszych. Badacz dziejów literatury poczyna „planować" przeszłość (tak jak krytyk projektuje przyszłość), „ustawiać" pisarzy, wprowadzać do przebiegu historycznego subiektywny porządek, zgodny z dyrektywami własnej ideologii. Posługuje się w tym celu specjalnymi instrumentami, które mogą zapewnić właściwe — tzn. zamierzone — odkształcenie zjawiska.

Praca Ewy Korzeniewskiej jest pod tym względem bardzo typowa dla kierunku do niedawna dominującego w poszukiwaniach marksistowskich historyków literatury. Autorka studium o *Nocach i dniach* wysuwa na czoło swoich rozważań problem realizmu. Najogólniej rzecz biorąc realizm to w jej ujęciu „prawidłowe" odtworzenie procesu dziejowego, który określa losy występujących w utworze postaci. W wywodach Korzeniewskiej pojęcie to ulega rozdwojeniu. Chodzi bowiem zarówno o realistyczne zobrazowanie owego procesu dziejowego, a więc o epickie jego ukazanie przy pomocy środków fabularnych, jak też o „właściwą" — realistyczną — jego ocenę. Co znaczą tutaj określenia „właściwy", „prawidłowy", „zgodny z prawdą" itp., równoznaczne z przymiotnikiem „realistyczny"? Znaczą one tyle, co zgodny z poglądami materializmu historycznego lub do tych poglądów zbliżony. A więc realistyczne jest to, że Dąbrowska w dziejach Niechciców ukazała „typową" drogę zdeklasowanych ziemian, natomiast nierealistyczne jest to, że nie pokazała „złowrogiej dla demokracji i postępu roli właścicieli ziemskich na przełomie XIX i XX wieku"*; realistyczne jest wprowadzenie na karty powieści wydarzeń 1905 roku, ale nierealistyczne są złudzenia pisarki, które dzieli ze swymi bohaterami traktując wojnę światową jako ważne ogniwo w dziejach walk narodowo-wyzwoleńczych; zgodne z realizmem jest ukazanie społecznych warunków egzystencji bohaterów, ale ograniczeniem tego realizmu jest stosunek Dąbrowskiej do kreowanych postaci, który „czasem wykraczał poza granice usprawiedliwione istotną wartością i rolą społeczną bohaterów".**

Bilans owych „ma" i „winien" można by zestawiać bardzo długo. Należy jednak przyznać, iż w ostatecznym rozrachunku jest to bilans dodatni — świadectwo uznania dla epiki Dąbrowskiej. Pisarka została „ustawiona" pozytywnie.

W czasie lektury studiów Korze-

---

* E. Korzeniewska: *O Marii Dąbrowskiej i inne szkice*, str. 36.

** Ibid. str. 63, autorce chodzi tu o postacie Bogumiła i Agnisi.

niewskiej odnoszę wrażenie, iż w świadomości badaczki znajduje się jakaś ogólna idea powieści realistycznej, całkowicie zgodnej z dyrektywami materializmu historycznego i wymogami ideologii marksistowskiej (autorka używa nawet określenia „realizm ideologii"), wedle której wymierza wartość badanego dzieła. Przyrównanie utworu do tego fikcyjnego bytu stwarza pozorną interpretację historyczno-literacką. Bo przecież w rozważaniach Korzeniewskiej realizm nie jest ani poetyką, ani metodą twórczą, ani kategorią opisową, ale pojęciem wartościującym.* Jest *sui generis* normą skierowaną w przeszłość. A z zabiegów normatywnych nie może przecież powstać problem historyczno-literacki. Pozostaje na uboczu zagadnienie najbardziej kapitalne dla dzieła Dąbrowskiej, mianowicie jego związki z tradycją realistycznej epiki dziewiętnastowiecznej. Korzeniewska zbywa to kilkoma niewiele mówiącymi ogólnikami. W istocie zaś problem rzeczywistego realizmu *Nocy i dni* w tych właśnie związkach zarysowuje się szczególnie wyraziście. Równocześnie zaś poprzez stosunek do tradycji dojrzałej powieści zeszłowiecznej można określić swoisty wygląd dzieła Dąbrowskiej na tle prozy międzywojennej.

Pełna analiza historyczno-literacka powinna obejmować dwojakie przyrównania. Należy bowiem zobaczyć utwór w opozycji do minionej — genetycznie z nim związanej — fazy rozwoju literatury (w danym wypadku chodzi o rozwój prozy powieściowej), a po wtóre należy ten utwór umiejscowić pośród innych, występujących z nim współcześnie. Raz więc traktujemy go jako pewne ogniwo szeregu historycznego, a drugi raz jako element danego okresu, w ramach którego współistnieje on z innymi. W analizie *Nocy i dni* oba te przyrównania sprowadzają się w istocie do jednego. Albowiem dzieło to wyróżnia się spośród innych typów prozy powieściowej dwudziestolecia na tej przede wszystkim zasadzie, że w sposób bezpośredni nawiązuje do dziedzictwa Prusa i Orzeszkowej. Dąbrowska z zadziwiającą obojętnością przechodzi obok zarówno doświadczeń postrealistycznych (naturalizm), jak i antyrealistycznych (ekspresjonizm). Jej epika podlega tym samym prawom, które określały poetykę powieści twórców dziewiętnastowiecznych, będąc równocześnie w swej dociekliwości poznawczej o niebo nowocześniejszą od najbardziej „eksperymentalnych" doświadczeń prozatorskich lat międzywojennych. Związki z tradycją realistyczną ujawniają się nie tylko w strukturze epickiej *Nocy i dni*, znajdują również wyraźne odbicie w pracach teoretyczno-literackich pisarki. Dąbrowska należy do twórców mających pełną świadomość założeń własnej metody artystycznej. Jej eseje o sztuce pisarskiej (szczególnie o utworach Conrada, a także szkic o Orzeszkowej i z powojennych prac o Prusie) i wypowiedzi o własnym dziele, publikowane w formie wywiadów prasowych jeszcze w trakcie pracy nad powieścią i w formie komentarza już po jej wydaniu i ocenach krytycznych, są doskonałym przewodnikiem po *Nocach i dniach*. Pozostają one w takim samym stosunku do obrazu powieściowego, w jakim pozostawały rozprawy teoretyczne dziewiętnastowiecznych realistów (np. recenzja Prusa o *Ogniem i mieczem*) do ich artystycznych dokonań. Formułuje w nich Dąbrowska swoje poglądy na możliwości poznawcze powieści epickiej, określa filozoficzne i strukturalne warunki epiki (głównie w artykułach o Conradzie), uogólniając w teoretycznym ujęciu doświadczenia własnego warsztatu pisarskiego i budując poetykę realistycznego gatunku powieściowego. Są to problemy, których żadna interpretacja *Nocy i dni* wyminąć nie może, tym bardziej jeśli ma to być wyczerpująca interpretacja historyczno-literacka. Korzeniewska potrójnie wywikłała dzieło Dąbrowskiej z zależności zewnętrznych. Raz — bo nie wprowadziła w krąg uwagi związków *Nocy i dni* z prozą dojrzałego realizmu dziewiętnastowiecznego, dwa — bo nie próbowała określić miejsca utworu wśród innych —

* Zdania tego niesposób na tym miejscu szerzej rozwijać. Wydaje mi się, iż wieloznaczność terminu „realizm" sprowadza się w istocie do tych czterech możliwości. Dwie pierwsze odnoszą się do pewnych zjawisk określonych jako realistyczne, trzecia ma charakter metodologiczny (służy badaczowi jako narzędzie porządkującego opisu), natomiast czwarte użycie tego terminu (realizm jako postulat ideowo-artystyczny) jest „prawomocne" wyłącznie w krytyce literackiej.

odmiennych od niego — typów powieści dwudziestolecia, i wreszcie trzy — bo unieżależniła ten utwór od teoretyczno-literackich założeń pisarki.

Została w ten sposób zlikwidowana rzeczywista problematyka badawcza. Jej miejsce zajęły zagadnienia pozorne, urojone domysły i nie pasujące do rzeczy samej koncepcje. System podejrzeń — jak to kiedyś nazwał Irzykowski. Tylko że jest to — rzecz zabawna — system podejrzeń *à rebours*. Korzeniewska bowiem — odzwierciedla się to nawet w stylu jej wykładu — nie tyle „atakuje" pisarkę za „odchylenie" od norm realizmu (m.in. „realizmu ideologii"), ile raczej „broni" jej przed możliwością takich ataków. Niektóre części studium budzą wprost podziw dla akrobatycznych nieomal wysiłków autorki, która pragnie być konsekwentna w stosowaniu przyjętych kryteriów wartościowania, a równocześnie nie chce „skrzywdzić" pisarza. Dlatego „na nie" ocenia wyłącznie te składniki utworu i te elementy ideologii Dąbrowskiej, które nie mogą podważyć pozytywnej oceny globalnej. Ta szlachetna intencja w niczym, oczywiście, nie wzbogaca poznawczej zawartości pracy. Bo przecież i tak w centrum uwagi pozostaje nie samo dzieło, lecz fikcyjne relacje pomiędzy tym dziełem a uznanym przez badacza za „słuszny" systemem zapatrywań.

W wyniku tego ujęcie Korzeniewskiej przynosi dosyć zasadnicze przesunięcie faktycznych proporcji powieści. Autorka szkicu o Dąbrowskiej traktuje *Noce i dnie* jako rozrachunek pisarki ze szlachecką przeszłością. Dostrzega wyłącznie epickie zobrazowanie procesu deklasacji ziemiaństwa i twierdzi, że w sposobie ukazania tego procesu kryją się podstawowe wiązania ideowe utworu. W takim sformułowaniu dochodzi do istotnego ograniczenia pojemności poznawczej *Nocy i dni*. Epika Dąbrowskiej nie tylko obrazuje, poprzez indywidualne koleje życia bohaterów, zmierzch szlacheckiej warstwy i rozpad związanego z nią systemu wartości moralnych, ale także — a chyba nawet przede wszystkim — ukazuje przechodzenie „wysadzonych z siodła" do nowych kręgów społecznych, w których krystalizują się wartości moralne, oparte na zupełnie odmiennych zasadach, na stosunku człowieka do pracy. Człowieka, który, pozbawiony swego, pracuje przy cudzym warsztacie. A zatem nowoczesnego pracownika. Narodziny nowej postawy wobec życia, nowej etyki ukształtowanej w zmienionych stosunkach międzyludzkich — oto istotne problemy ideowe epickiego obrazu *Nocy i dni*. Aprobata pisarki — tak niepokojąca Korzeniewską — dla kierunku przeobrażeń historycznych rodzi się stąd, że przeobrażenia te pociągają za sobą powstanie takiego modelu moralnego, jaki uznaje ona — zgodnie ze swą ideologią — za najbardziej społecznie przydatny. Podstawowym kryterium oceny człowieka staje się jego stosunek do pracy. Dąbrowska podnosi te same wartości, które stały w centrum socjologii Jerzego Sorela. Analiza Korzeniewskiej w tym zakresie jest bardzo ułomna. Autorka zestawia zupełnie dowolnie pewne problemy rozwijane przez Edwarda Abramowskiego, szczególnie kwestię kooperacji, z tekstem powieściowym i zastanawia się, gdzie pisarka „ulega", a gdzie „przezwycięża" inspiracje syndykalistyczne. Podnosi zagadnienia trzeciorzędne do rangi pierwszoplanowych. Idee społeczne i etyczne, które Dąbrowska wtopiła w materiał powieściowy, należy zbadać w znacznie szerszym, niż to uczyniła Korzeniewska, kontekście. Wyrastają one niewątpliwie z ducha Sorela. Ale trzeba pamiętać, że idee jego miały w Polsce bardzo liczne rozgałęzienia. Rozwijają je zarówno Brzozowski i Abramowski, jak i Adam Skwarczyński (*Myśli o Nowej Polsce*). I przecież nie wystarczy ustalić — choć i to jest ważne — której z tych postaw jest Dąbrowska najbliższa, bo to stanowiłoby klucz wyłącznie do jej publicystyki. Trzeba zobaczyć, jak ta określona ideologia przeobraża się w składnik materii epickiej, w jakiej mierze wyznacza wewnętrzny porządek utworu. Problem ideologii staje się wtedy problemem struktury powieściowej, szczególnie w zakresie kompozycji losów bohatera. W żadnym wypadku nie można traktować zawartości ideowej dzieła — czyni to Korzeniewska — jako surowej rudy publicystycznej. Autorka podporządkowała jednolitej problematyce wyłącznie to, co dało się przełożyć na język publicystyki, natomiast wszystko, co się na ów język przełożyć nie dało, potraktowała zupełnie luźno, bez żadnych powiązań z trzonem rozważań. Uwagi o psychologii bohaterów, o stylu narracji, o kom-

pozycji, skąpe zresztą i dość powierzchowne, są po prostu mechanicznie doczepione do właściwego tekstu rozprawy, na prawach ubogiego krewnego, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić, choć przyzwoitość nakazuje go podjąć i ugościć. Nie wiem, co było przyczyną: czy niedomogi warsztatu polonistycznego, czy też rzeczywista niemożność organicznego połączenia zagadnień wysuniętych przez Korzeniewską z wyczerpującym opisem historyczno-literackim utworu. Skłonny byłbym raczej przypuszczać możliwość drugiej.

P. S. W książce Korzeniewskiej znajduje się kilka zasadniczych i szereg pomniejszych błędów rzeczowych. Dadzą się one podzielić z grubsza na dwie kategorie. Do pierwszej należą uogólnienia nie odpowiadające rzeczywistości, do drugiej — błędy faktyczne. Znamiennym przykładem pierwszego rodzaju jest twierdzenie ze str. 79, że „wszelkie odmiany eposu mogą powstać tylko na podstawie racjonalistycznego stosunku do życia", co jest, oczywiście, niezgodne z prawdą, bo epos antyczny wyrósł ze świadomości mitologicznej. Z drugiej grupy błędów charakterystyczny przykład znajduje się na str. 104, gdzie autorka omawia *W sieci* J.A. Kisielewskiego jako... powieść!

Janusz Sławiński

OPOWIADANIA KONSEKWENTNE

Henryk Vogler: *Ocalony z otchłani*, Katowice 1957, Wydawnictwo „Śląsk"; str. 144.

W Polsce nie powstała epopeja na tematy okupacyjne: wszelkie próby czynione w tym kierunku kończyły się z reguły artystycznym fiaskiem. Fakt ten wydaje się wielce znamienny. Lata ostatniej wojny nie ułożyły się bowiem jeszcze w świadomości narodowej jako zjawisko historyczne zakończone. W dziejach naszego pokolenia wszystko w jakiś sposób jest konsekwencją tego, co się wtedy działo. Taka zaś ciągłość nie sprzyja twórczości, która wymaga najdalej posuniętej obiektywizacji i dalekosiężnej perspektywy, pozwalającej ogarnąć rzeczywistość możliwie całościowo, a przy tym jest — w pewnej przynajmniej mierze — beletryzowaną historią. Istnieje inny jeszcze zespół przyczyn, sprawiający, że wielka powieść epicka jako forma przedstawienia okresu ostatniej wojny okazała się nieprzydatna. Dynamika wydarzeń była inna niż we wszystkich dotychczasowych zjawiskach dziejowych tego typu; przede wszystkim zaś każde niemal posunięcie człowieka miało aspekt tragiczny. Tragizm zespalał się z absurdem, niejako zstępował z koturnu, wchodził w zadziwiające związki z błahymi (lub jedynie pozornie błahymi) zdarzeniami życia „powszedniego". Bohaterem tragicznym mógł stać się człowiek nie tylko kroju Fidiasza, ale również krawca, nie tylko Antygona, ale także przeciętna gąska z prowincjonalnego miasteczka. Człowieka tragicznego bowiem tworzy w większym stopniu sytuacja, w jakiej się znalazł, a następnie intelektualnie uświadomił i emocjonalnie przeżył, niż jego własne predyspozycje wewnętrzne. Współczesne ewolucje tragiczności, jej realna symbioza z elementami, które tradycyjnie uchodziły jako z nią sprzeczne, były przyczyną tego, że pisarskie realizacje obrazu lat wojny mogły być tak odmienne, że ich wachlarz był tak rozległy: od wielkiego requiem *Epoki pieców* Adolfa Rudnickiego po kapryśną groteskę *Jeziora Bodeńskiego* Dygata.

Tragizm nie jest jednak sam w sobie stylem: może tylko styl warunkować. Istnieją konwencje stylistyczne, które mogą mu bądź sprzyjać, bądź nie sprzyjać. W prozie okupacyjnej wytworzyły się — najogólniej rzecz biorąc — dwa specyficzne style: wzajem krańcowo sprzeczne. Zróżnicowanie to wypływa z kierunku zainteresowań pisarskich, z tego, czy centrum ich stanowi samo zdarzenie, czy przede wszystkim przeżycie uczestniczącego w nim bohatera. W przypadku pierwszym powstaje proza fabularna o zakroju bar-

dzo tradycyjnym, której język kształtowany jest na użytek odtworzenia zmysłowej niemal namacalności faktów. Jest to kontynuacja dawnej powieści batalistycznej w wielu jej przejawach (wraz z charakterystycznym dla niej brakiem wszelkich uproszczeń intelektualnych). Może najbardziej wyrazisty jej przykład (czasami zresztą doprowadzający te tendencje do karyktury) stanowi twórczość Żukrowskiego (o „sarmackości" jego nowelistyki pisał już przed dziesięciu laty Ryszard Matuszewski). Wobec wielkiego kataklizmu dziejowego literatura historycznej anegdoty i jedynie opisu wątku zdarzeń staje zupełnie bezradna — może dotykać tylko naskórka zjawisk. Tego typu beletrystyka nastawiona jedynie na przedstawianie biegu wypadków nie ma żadnych danych, aby stać się nosicielką i wyrazicielką tragizmu dziejów. Na placu zaczyna więc panowanie literatura „przeżycia", w której celem staje się pokazanie człowieka w nowej zupełnie sytuacji, sytuacji zakreślanej w miarę mało szczegółowo — sytuacji, sprowadzanych do wspólnego mianownika: historii. Fotografię zastępuje analiza. Jest to z pewnością analiza psychologiczna—jej kształt jest jednak odmienny od tego, jaki wypracował klasyczny psychologizm, powiedzmy, typu Prousta. Odrębność ta sprowadza się do tego, że wyznacznikiem i jednocześnie sprawdzianem staje się bieżąca historia. Taki wydaje mi się sens nadrzędny całego *Żywego i martwego morza* Rudnickiego, *Nocy* Andrzejewskiego — a także i opowiadań Voglera, aczkolwiek skalą artyzmu z pewnością nie zawsze dorównują utworom wymienionym poprzednio.

Nie przypadkiem książki, które w tak wysokim stopniu realizują zasadę analizy przeżywania i zachowania się człowieka w sytuacji niezwykłej, niejako z reguły „nienormalnej", dotyczą wojennej gehenny Żydów. Losem przeciętnego Polaka w okupacyjnych czasach była bezustanna oscylacja między „życiem na niby" (formuła tytułowa znakomitej książki Wyki wydaje mi się niezwykle trafna) a perspektywą łapanki, obozu koncentracyjnego czy rozstrzelania pod ścianą. Perspektywa przeciętnego Żyda — wszystko jedno, po której stronie murów — była jedna: śmierć. Model przeżywania człowieka, który na każdym kroku spotkać może śmierć — i to nie tylko własną, jako jednostki, ale również jako reprezentanta określonej grupy społecznej — jest całkowicie odrębny od tego, jaki kształtuje się w sytuacji pokojowej czy „normalnej" sytuacji wojennej, stanowi zupełnie — by tak rzec — nową jakość. W tym samym zresztą stopniu, jak czymś nowym w dziejach jest całkowite nakładanie się losu indywiduum i losu narodu, do którego należy — nakładanie się nie tylko, jak zazwyczaj dotąd bywało, w formach i trybach życia bądź zawisłego od cudzej przemocy, bądź niepodległego, ale w najistotniejszych elementach biologicznej egzystencji człowieka: samego życia i samej śmierci.

Opowiadania Voglera dzieją się w obliczu okupacyjnej śmierci (poza zamykającą tom *Pajęczyną*, która dotyczy już okresu powojennego). Każdy krok ich bohaterów mierzony jest racją najwyższą: uniknięciem śmierci. Stanowi to jednocześnie motor ich działania czy raczej wewnętrznego „przystosowywania się" do sytuacji, w jakiej się bezwłasnowolnie znaleźli — i reagowania na nią. Fabuły w tradycyjnym tego słowa znaczeniu — nie ma. Ciąg zdarzeń to ucieczka przed śmiercią niechybną, poszukiwanie ocalenia. Poszukiwanie — w sensie dwojakim. W znaczeniu pierwszym sprowadza się do zachowania „bezpieczeństwa" (oczywiście bardzo względnego), w drugim zaś — to budowanie racji wewnętrznych, które by tę walkę o życie wspierały. Przy skoncentrowaniu uwagi na sensie pierwszym powstać może proza o bogatej fabule; gdy zaś zainteresowanie skupia się na drugiej interpretacji, kształtuje się proza psychologiczna. Autor ciekawej powieści *Niepospolici* wybiera tę ostatnią ewentualność. Techniką pisarską, która służy tak zamierzonemu celowi, jest psychologizowany opis. Opis jakby dwuwymiarowy. Warstwa pierwsza obejmuje wewnętrzne życie bohatera-narratora, warstwa druga odnosi się do świata zewnętrznego. Swoistość tego opisu sprowadza się do tego, że jego część ogarniająca sytuacje stanowi tylko wyznacznik dla części analitycznej i jest jej w istocie rzeczy podporządkowana. Wypływa to z nieanegdotyczności prozy Voglera, z tego właśnie, że tragedię ludzi, których jedynym przeznaczeniem jest śmierć, odtwarza pisarz nie przez relacjonowanie zdarzeń, ale przede wszystkim poprzez analizę toku

przeżywania człowieka, który w nich biernie lub czynnie uczestniczy. Stąd specyficzna koncepcja języka. Vogler nie dąży do stworzenia maksymalnej adekwatności stylu i nowej niejako sytuacji, którą ma on przedstawić. Nie tworzy nowych konwencji językowych — tak jak to czynią inni pisarze „zarażeni śmiercią": Borowski w *Pożegnaniu z Marią* czy Leopold Buczkowski w *Czarnym potoku* (styl prozy krańcowo „czarnej", „brutalnej"). Styl *Ocalonego z otchłani* jest statyczny — pisarz rozwija wątki jakby w zwolnionym tempie, stara się o jak najdokładniejsze określenie każdego szczegółu. Konsekwencją tego jest szerokie rozbudowywanie fraz, posługiwanie się rozległymi porównaniami: „Przywarty do szyby wpół otwartego okna patrzyłem ślepy na migające przede mną jaskrawe plamy pól, koła, prostokąty, krzyżujące się w linie, w kieszeni nakrywałem wciąż jeszcze dłonią opaskę, jak pocisk grożący w każdym momencie wybuchem" (przytoczone zdanie stanowi przykład owej dwuwymiarowości czy dwufunkcyjności opisu). Styl ten zmierza nie ku dramatyzowaniu, ale ku precyzji, dokładności. Pozostaje to w związku z kręgiem oddziaływań genialnego pisarza, w jakim się Vogler znajduje. Chodzi tu o inspiracje twórczości Tomasza Manna, której reperkusje w prozie *Ocalonego z otchłani* są łatwo uchwytne. Od autora *Mario i czarodzieja* pochodzi przecież ta swoista kontemplacja szczegółu — nie dla niego samego jednak, ale dla racji wyższych, którym jest on podporządkowany — tworzy je bądź psychologia bohatera, bądź zamierzenie kompozycyjne. W nowelistyce Voglera taka koncepcja języka wspierana jest konwencją swoistej „naukowości", jakby specyficzną stylizacją naukową. Wyraża się to nawet w tytule jednego z opowiadań: *Wstęp do fizjologii strachu.* (Zjawisko „naukowości" pojawia się również w *Niepospolitych* — częściowo w odmiennej funkcji: konwencja „traktatu", w którym narrator niejako „zbiera materiały" dotyczące dziejów swojej rodziny, służy zastąpieniu tradycyjnej i umownej postaci „wszechwiedzącego autora)." Dyskursywność jest cechą nie tylko stylistyki, ale również i kompozycji.

Warunkiem kompozycji dyskursywnej jest budowanie utworu nie na podstawach epickich (tu nawet szerzej: fabularnych); tworzy go zaś przyjęcie jednolitych założeń myślowych. Nie musi to być teza ideologiczna. U Voglera składa się na nie stosunek człowieka do historii, wydarzeń wojennych — a zatem śmierci. Bohater i śmierć — jest to motyw nadrzędny wszystkich okupacyjnych nowel tomu. Leitmotivowi temu podporządkowane jest wszystko — zwłaszcza zaś ukazywanie przeżyć, które są jakby jego funkcją: strachu i oczekiwania na ocalenie. Strach i ocalenie — w tym kręgu obraca się życie kreowanych przez pisarza postaci. Stosunek do nich jest stosunkiem do życia i śmierci, jak w opowiadaniu *Ucieczka Martina Schellera*, którego bohater popada w całkowity nihilizm, narrator zaś — przeciwnie — zachowuje pełną wiarę w możliwości ocalenia, reprezentuje postawę optymistyczną. (Słusznie zwrócił uwagę Julian Przyboś w *„Przeglądzie Kulturalnym"*, że optymizm, decydujący zresztą o niejednolitości opowiadania — jedyny to w tomie wypadek sprzeczności wewnętrznej w utworze — stanowi spadek po socralizmie. Optymizm ów nie zyskał sobie umotywowania kompozycyjnego, fragmenty nim przesycone składają się właściwie na moralizatorski dodatek, sztucznie dołączony do „opowiadania właściwego" o obozowych dziejach Schellera, zakończonych niefortunną ucieczką — literacko bardzo interesującego. Podobnie optymistyczne nastawienie w utworze tytułowym stało się już podstawą konsekwentnej kompozycji noweli, jego zetknięcia z potworną rzeczywistością zadecydowało o *sui generis* dramatyzacji — nie wydarzeń, ale postaw intelektualnych.)

Jednym z elementów owych jednolitych założeń myślowych jest wprowadzenie perspektywy tragicznej. Dla konstrukcji prozy „zintelektualizowanej" sprawa to niezwykłej wagi. Sprowadza się do ukazywania zdarzeń i postaci w pewnym, ściśle określonym świetle, jakby rzutowania wszystkiego na jedną płaszczyznę, sprecyzowaną w swym zakresie. W nowelistyce Voglera perspektywę tragiczną tworzy śmierć narodu, śmierć składających się nań jednostek. Ten swoisty „wspólny mianownik" nazwałem perspektywą z tego względu, że rzadko o zagładzie społeczeństwa mówi się bezpośrednio — istnieje ona jakby pod powierzchnią zdarzeń, w świadomości narratora i bo-

haterów, wyznaczając tym samym swoisty tok tej prozy. Przez ujmowanie świata w perspektywie totalnej śmierci ludzi niewinnych uzyskują opowiadania Voglera piętno tragizmu; w zakresie kompozycji zaś — jednolitość. Są one tragiczne jako całość. Ryzykowne zaś byłoby mówienie o bohaterze tragicznym w klasycznym sensie tego wyrazu. Postać tragiczna bowiem musi być psychologicznie pełna; sytuacje zaś, w jakich umieściła bohaterów *Ocalonego z otchłani* historia nie pozwalają na ujawnienie tej pełności. Toteż Vogler konstruuje postać jakby pod jednym kątem, analizuje te tylko przeżycia i zachowania człowieka, które powstają w momencie jego spotkania ze śmiercią (w opowiadaniu *Czary w miasteczku*, w którym bohaterów nic poza zagładą nie oczekuje) lub w czasie ucieczek przed nią. Osiągnięciem *Ocalonego z otchłani* jest właśnie całkowita zgodność między konstrukcją bohatera a sytuacją, w jakiej się znajduje. Nie powiedziano tu nic, co by tę zgodność łamało — i burzyło jednolitość przyjętej formy: precyzyjnej, pozornie beznamiętnej, niejako „naukowej" narracji — monologu analizującego. Te opowiadania są konsekwentne.

Michał Głowiński

MICKIEWICZ NA SCENIE

Tadeusz Sivert: *Mickiewicz na scenie*. Z prac dyskusyjnych Komisji Naukowej Obchodu Roku Mickiewiczowskiego Polskiej Akademii Nauk. Warszawa, 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 193.

W przedmowie czytamy informację, że „materiały do referatu *Mickiewicz na scenie* zebrali: prof. Stanisław Dąbrowski, mgr Bożena Frankowska, mgr Ryszard Górski, mgr Jacek Lipiński, mgr Tadeusz Pacewicz, mgr Jerzy Timoszewicz, mgr Zbigniew Wilski oraz autor referatu. Wykorzystano również prace, dostarczone przez dr Wandę Lipiec, oraz mgr Zdzisława Kwiecińskiego". Można sobie wyobrazić mozolne poszukiwania, długie godziny szperań po starych czasopismach, po archiwach, by uzyskać jedną czy kilka informacji. Wysiłki te zostały uwieńczone częściowym przynajmniej rezultatem. Zaczyna się nam ujawniać historia oddziaływania twórczości Mickiewicza poprzez scenę. Jest to z jednej strony historia recepcji tej twórczości przez widzów; z drugiej — dzieje oddziaływania dramaturgii Mickiewiczowskiej na wyobraźnię i wolę twórczą ludzi teatru: aktorów, scenografów, a przede wszystkim inscenizatorów.

Tylko marginesowo wspominają autorzy o scenicznych adaptacjach niedramatycznych utworów Mickiewiczowskich. Jak stwierdza przedmowa: „przedmiot ten jest problemem trudnym do ujęcia w konkretne ramy ze względu na bardzo wielką rozpiętość celów, dla których adaptacje te były dokonywane". Zapewne. Można tu było jednak zrobić pewien wyjątek. Istnieje młodzieńczy utwór Mickiewicza, zarysowujący się już wyraźnie jako potencjalny dramat. Sam poeta nakreślił wskazówki inscenizacyjne: małe miasteczko, plac publiczny, „dzień biały" — zapewne południe, w pogodny i piękny dzień — grupa osób otaczająca dziewczynę, doznającą halucynacji, widzącą zmarłego kochanka... Chodzi oczywiście o *Romantyczność*. Byłoby na pewno rzeczą interesującą — zbadać, czy i gdzie próbowano inscenizować to arcydzieło, będące zarazem manifestem młodego romantyzmu europejskiego...

Pozostają *Dziady* i *Konfederaci barscy*. Autorzy notują pracowicie wszystkie próby inscenizowania *Dziadów*, od 1824, gdy na kontraktach w Nowogródku został odegrany w jakimś teatrze amatorskim fragment IV części *Dziadów*. „Najwcześniejsza realizacja dramatu Mickiewicza na publicznej scenie była dokonana w Krakowie i przypada na dzień 3 września 1848 roku." Dzięki zabiegom Aleksandra Semkowicza afisz tego przedstawienia został odnaleziony i znajduje się obecnie w warszawskim Muzeum Adama Mickiewicza. Zdaniem

autorów pracy *Mickiewicz na scenie* afisz ten „stanowi jedyny dokument, świadczący o wykonaniu widowiska". Jedyny? Przecież w tym czasie wychodziły w Krakowie dzienniki, próbą inscenizowania *Dziadów* mogli się zainteresować korespondenci polskich pism emigracyjnych. Czy nigdzie nie było o tym ani słowa? Jakiegoś — jeśli nie artykułu, to komunikatu? W Bibliotece Krakowskiej (wydawanej przez Towarzystwo Miłośników Krakowa) Klemens Bąkowski zamieszczał krótkie streszczenia ciekawych artykulików i wiadomości z badanej przez siebie dawnej prasy krakowskiej. Znalazła się tam m.in. ciekawa (wyraźnie negatywna!) recenzja *Hamleta* w *„Gazecie Krakowskiej"* z 3.XII.1817. Czy zbadano pod kątem szukania wzmianek o próbie inscenizacji *Dziadów* prasę krakowską i niekrakowską z jesieni 1848 roku? Jeżeli tak — i jeżeli nie znaleziono niczego — należało o tym wyraźnie napisać w omawianej pracy. Milczenie prasy miałoby bowiem swoją „wymowę" — być może cenzuralną, polityczną. Wdzięcznym kierunkiem badań byłoby również poszukanie wzmianek o tym przedstawieniu w pamiętnikach dotyczących tej epoki — oraz w korespondencji. Analiza znalezionego afisza daje w pracy prof. Siverta ciekawe wyniki, przeważnie jednak hipoteczne. Np.: „nie ulega wątpliwości, że oprócz licznych drobnych skrótów usunięto (w inscenizacji) całą scenę Balu, wymagającą bogatej scenerii. Prawdopodobnie na to miejsce wprowadził inscenizator Śpiewaka, postać nie istniejącą w tekście Mickiewicza, wymienioną zaś na afiszu. Po arii lub może w czasie jej wykonywania następowała scena z Panią Rollison, która wpada na salę z wieścią o śmierci syna. Uderzenie piorunu, dialog Senatora z Pelikanem, a może nawet przypowieść Księdza Piotra kończyły tę scenę, albowiem Konrad w inscenizacji tej nie występuje, a więc jego dialog z Księdzem Piotrem został usunięty... Być może ograniczone możliwości obsady wpłynęły na skreślenie niektórych ważnych postaci bądź na przydzielenie ich tekstów innym osobom dramatu".

Słynna inscenizacja *Dziadów*, opracowana przez Wyspiańskiego dla sceny krakowskiej w roku 1901, odegrała ogromną rolę; prof. Sivert stwierdza, że otwarta została „nowa era w dziejach scenicznych wielkiego dramatu Mickiewicza". Omawia ją na początku rozdziału drugiego swej pracy. Można jednak podnieść wątpliwości, czy słuszne jest zdanie, że w inscenizacji Wyspiańskiego „sprawą generalną staje się konflikt osobisty Gustawa-Kondrada, który jest odbiciem postaci samego poety". Już choćby potraktowanie przez inscenizatora Części Drugiej przeczy temu twierdzeniu; ludowość tej sceny nadawała jej u Wyspiańskiego charakter o wiele mniej osobisty niż w innych inscenizacjach (np. Aleksandra Bardiniego w r. 1955). Poświadcza to głos prof. Tretiaka, który w recenzji przedstawienia skarżył się, że „świat duchów za mało miał odpowiedniej eteryczności i gnuśności, grupa duchów ze złym panem zanadto się wysuwała na przód sceny i nie miała w sobie nic z ptasiego charakteru". A przecież o to właśnie Wyspiańskiemu chodziło: duchy to były sprawy ludzkie, fantasmagorie to żywe zagadnienia obiektywne i realne, zbiorowe. Konflikt osobisty bohatera łączył się w tej inscenizacji jak najsilniej ze sprawą narodową. Opowiadanie Sobolewskiego, Widzenie Księdza Piotra, Sen Senatora, Bal u Senatora, brzmiały akcentami ostrej walki politycznej i narodowej. Pamiętam przedstawienie *Dziadów* na scenie krakowskiej z r. 1919, opracowane w 18 lat po prapremierze, ale ściśle według zasad inscenizacji Wyspiańskiego, przez Józefa Sosnowskiego. Oglądałem ten spektakl jako uczniak gimnazjalny, oczyma dziecka; mimo to pozostał mi w pamięci, tak silne wywarł wrażenie, tak ściśle wiązał się z ówczesnymi nastrojami, właśnie dzięki radykalnemu i patriotycznemu tonowi inscenizacji. Szkoda, że prof. Sivert i jego współpracownicy nie sięgnęli po ówczesne krakowskie recenzje; niektóre z nich są łatwo dostępne, np. Boya, drukowana w pierwszym tomie *Flirtu z Melpomeną*. To, co Boy pisze o nastroju widowni i jej rezonansie patriotycznym, wyraźnie przeczy tezie o „konflikcie osobistym Gustawa-Konrada" jako „sprawie generalnej" w tej inscenizacji. Subiektywistyczny i indywidualistyczno-biograficzny charakter dał inscenizacji *Dziadów* dopiero Bardini, w roku 1955. Pisałem o tym w moim eseju *„Dziady" jako dramat biograficzny*, zamieszczonym w *„Teatrze"* w roku 1956; autorzy pracy *Mickiewicz na scenie* nie dostrzegli tego eseju (podobnie jak i zamieszczonej również w *„Teatrze"* nie-

zmiernie interesującej rozprawy Stanisława Furmanika, zajmującej się głównie plastyczną stroną przedstawienia). W ogóle sprawa cytowania różnych głosów krytyki i wyciąganie z nich wniosków budzi przy lekturze tej pracy — dość duże wątpliwości.

Parę słów w sprawie *Konfederatów barskich*. Historia *Dziadów* w latach 1901 — 1937 to rozrost znaczenia utworu teatralnego: punktem szczytowym jest inscenizacja Schillera oraz jej przeniknięcie na scenę zagraniczną (do Bułgarii). Odwrotnie wygląda problem *Konfederatów*. Znaczenie utworu raczej malało; było poważne w drugiej połowie XIX wieku, tj. po prapremierze w Krakowie, u Koźmiana; trwało mniej więcej do lat trzydziestych obecnego stulecia. Później *Konfederaci* zeszli ze sceny. Reprezentuję pogląd, że stało się to niesłusznie, że mamy do czynienia z charakterystycznym dla nas objawem niedoceniania własnego dorobku kulturalnego. Anglicy grają całego Szekspira: widzieliśmy przedstawienie teatru stratfordzkiego, ukazującego z wielkim talentem rzeczywiście słabą i nawet niezupełnie pewną co do autorstwa sztukę Szekspira *Tytus Andronikus*. Najwięksi aktorzy Anglii współczesnej — Laurence Olivier, Vivien Leigh, Anthony Quayle — oddali tej sztuce swą wiedzę, wysiłek, talent i zasoby wyobraźni. Francuzi grają nawet takie sztuki Moliera, jak *Les Amants Magnifiques*. My natomiast nie umiemy się zdobyć na oddanie sprawiedliwości takiemu geniuszowi, jak Adam Mickiewicz. Teatr im. Mickiewicza w Częstochowie wystawił *Konfederatów* na wiosnę 1957 roku w inscenizacji dyr. Krona. Ale nie doceniono wysiłku tego śmiałego zespołu i jego ambitnego kierownictwa.

Niesłuszny wydaje mi się ustęp książki prof. Siwerta i jego współpracowników poświęcony inscenizacji *Konfederatów* w teatrze krakowskim 1 stycznia 1872. Twierdzą oni, że „wystawienie *Konfederatów barskich* w r. 1872 było w pewnym sensie aktem politycznym, stanowiącym „wyraz poglądów stańczykowskich na sprawę narodową". Argumentacja mająca stwierdzać tę tezę — jest bardzo dziwna: „Nie darmo data przedstawienia łączyła się z setną rocznicą opanowania zamku krakowskiego przez konfederatów barskich, data zaś 1 stycznia wiązała się z zapoczątkowaniem setnego roku niewoli narodu polskiego. Utwór dramatyczny Mickiewicza, a także wystawiane dramaty Słowackiego miały służyć poparciu tez politycznych stańczyków. Antypowstaniowe, serwilistyczne tendencje stańczykowskie oddziaływały na sposób inscenizacji dramatu, nad którą czuwał Koźmian". Jeśli data premiery łączyła się z setną rocznicą opanowania zamku krakowskiego przez konfederatów — trudno wystawienie sztuki Mickiewicza (o tendencji rewolucyjno-wyzwoleńczej!) uznać za polityczny akt propagandy antypowstańczej (nie „antypowstaniowej", jak czytamy w rozprawie). Zdrowy rozsądek sprzeciwia się rozumowaniu autorów. Sprzeciwiają mu się też powszechnie znane fakty. Wiadomo że Koźmian jako dyrektor teatru nie służył bynajmniej interesom swego stronnictwa; dbał on o powodzenie tego teatru, a wiedział, że inteligencja, mieszczaństwo i młodzież są nastrojone patriotycznie i radykalnie; jednym z pierwszych autorów, do których się Koźmian zwrócił z prośbą o sztuki, był wróg stańczyków, przez nich bardzo krytycznie oceniany, radykał i demokrata, wyrażający zainteresowanie nawet dla Komuny paryskiej (w powieści *Szalona*), Kraszewski; pisarzem, z którym Koźmian jako dyrektor chętnie współdziałał, był Adam Asnyk, stary demokrata i redaktor zwalczającej stańczyków *„Nowej Reformy"*; pod opieką Koźmiana wyrastały talenty Blizińskiego, Bałuckiego, Narzymskiego. Wystawianie Słowackiego (jak wiadomo dość krytycznie traktowanego przez St. Tarnowskiego) też byłoby dość osobliwym „poparciem" tez stańczykowskich. Można sięgnąć po ocenę polityki repertuarowej Koźmiana, jaką dał Leon Schiller. W pracy *Krakowskie rocznice teatralne (Kartki z raptularza)*, zamieszczonej w *„Pamiętniku Teatralnym"* rok 1953, zeszyt 4/8, pisał Leon Schiller: „Ślady owych zmagań ze wstecznictwem i staroświeczczyzną uroczego partykularza z całą wyrazistością zaznaczały się w działalności sceny krakowskiej, zarówno starej budy na dawnym Placu Gwardii Narodowej, którą Koźmian szkołą Prawdy, rzetelnego kunsztu i dobrego smaku uczynił, jak i nowej, wznoszonej na placu o symbolicznej nazwie św. Ducha, gdzie za dyrekcji Pawlikowskiego duch rewolucyjnej wówczas dramaturgii modernistycznej, za czasów zaś Wyspiańskiego duch drama-

tu narodowego znalazł swe pierwsze i doskonałe w formie wcielenie".

Warto sobie przypomnieć, że dr Adam Bar podkreśla bezstronność i śmiałość Koźmiana. Pisząc w *„Scenie Polskiej"* o teatrze Koźmiana był tak zdumiony różnicą stanowisk politycznych tego człowieka w teatrze i w publicystyce — że sformułował paradoksalną tezę o „dwóch Koźmianach", zupełnie odmiennych i nawet sobie przeciwstawnych. Co do mnie, myślę — że Koźmian był przede wszystkim człowiekiem teatru i to wielkiej miary. Szekspir, którego propagował — był jego wielkim nauczycielem. Zresztą bez wulgaryzacji i i uproszczeń trudno przyjąć ścisłość terminu „serwilistyczne tendencje", jakie autorzy omawianej tu broszury przypisują stańczykom. Ludzie tacy, jak Józef Szujski (a po nim Michał Bobrzyński czy Wł. L. Jaworski), stwierdzali „spóźnienie cywilizacyjne" Polski, marzyli o jej rozwoju, o „dogonieniu Zachodu". Nie pragnęli powstań, uważając je za czynnik hamujący biologiczne i gospodarcze odrodzenie skrwawionego narodu. Zasadniczo różnili się od naprawdę reakcyjnych „Podolaków". Zresztą także i między nimi bywały poważne różnice; Szujski jako autor śmiałej komedii, wykpiwającej także stronnictwo zachowawcze *(Jasełek galicyjskich)* był bardziej zbliżony do pozytywistów warszawskich niż np. Tarnowski czy właśnie Koźmian.

Zastosowanie zwulgaryzowanych tez i uproszczonej argumentacji doprowadziło w omawianej rozprawie do dość osobliwych rezultatów. Za „klucz do właściwego zrozumienia intencji inscenizatorskich *Konfederatów barskich*" uznana tu została recenzja Tarnowskiego w *„Przeglądzie Polskim"*. Od jakiego to czasu recenzja może służyć za „klucz" do zrozumienia zamysłów twórcy? Choćby to była nawet recenzja przyjaciela! Gdybym kiedykolwiek współdziałał w inscenizowaniu jakiegokolwiek utworu, nigdy bym się nie zgodził, by ocenę zawartą w recenzji największego przyjaciela uznawano za „klucz" do wyjaśnienia moich myśli i planów! Boy był przyjacielem Zelwerowicza, ich poglądy polityczne nie odbiegały tak bardzo od siebie — a jakiś fałszywe byłyby wnioski, które jakiś badacz chciałby wyciągnąć z recenzji Boya o inscenizacjach Zelwerowiczowskich w Teatrze im. Bogusławskiego! Poglądy wypowiadane przez krytyka wyrażają jego własny pogląd, jego własną myśl, jego odczucie; byłoby źle, gdyby krytyk nie wypowiadał się z całą, jak najbardziej subiektywną szczerością. Krytyk jako „tuba" cudzych myśli przestaje być krytykiem; racją bytu krytyki wydaje mi się absolutna wierność własnemu sercu, smakowi i myśli, tym właśnie *ex definitione* różni się krytyk np. od dyplomaty.

Gdy chodzi o sprawy konkretne — autorzy rozprawy zaczynają przeczyć sami sobie. Twierdzą oni, że w przedstawieniu na pierwszy plan miał się wedle intencji inscenizatora wysuwać Ksiądz Marek — natomiast Kazimierz Pułaski był „potraktowany z dużą rezerwą", gdyż „poetyczność, romansowość Pułaskiego miała wywołać sceptycyzm u widzów w stosunku do jego politycznych zamierzeń i przedsięwzięć". Na czym to polegało teatralnie, konkretnie — tego się z rozprawy nie dowiadujemy. Natomiast, czytamy, „taki cel nie został jednak w pełni osiągnięty, nie pozwoliła na to wymowa polityczna samej sztuki, w której bohater narodowy odgrywał przecież niedwuznaczną rolę". „Toteż publiczność bardzo żywo reagowała na słowa Pułaskiego, domagające się czynu i zapowiadające wymarsz na zdobycie Krakowa, a na premierze krakowskiej tylko jeden Feliks Benda, grający Pułaskiego otrzymał brawa przy otwartej kurtynie". Wiadomo, że Benda był ulubionym aktorem Koźmiana; poświęcił mu świetną rozprawkę, jeden z najlepszych esejów teatralnych tego czasu: *O sztuce aktorskiej Feliksa Bendy*. Takie posunięcie obsadowe ze strony Koźmiana jest faktem wyraźnie zaprzeczającym tezie o rzekomym pomniejszeniu roli Pułaskiego w tym przedstawieniu. Rolę Hrabiny grała Antonina Hoffman — to również argument wyraźny. *Konfederaci* Mickiewicza są utworem zdecydowanie (choć subtelnie i z pełnym zrozumieniem psychologii) potępiającym kolaborację; wystawienie takiego utworu — i obsadzenie roli Hrabiny przez Hoffmanową — to chyba wyraźny argument, przeczący tezie o „serwilistycznych" tendencjach, oddziaływujących na inscenizację *Konfederatów*. Gdyby bowiem przyjąć tok myślenia, przyjęty w rozprawce — trzeba by chyba uznać gromy spadające w *Dziadach* na Dr. Bécu i Pelikana — za wyraz „ugodowych" tendencji w insce-

izacji Wyspiańskiego, a wspaniały Sa-
n Warszawski u Schillera za objaw
ympatii reżysera dla Magrabiego Wie-
polskiego!

Na zakończenie omawianej rozprawy
mieszczono opracowane przez Tadeusza
acewicza *Obsady ważniejszych przed-
awień* Mickiewiczowskich w latach
348 — 1955. Zestawienie to stano-
i dokument cenny. Zastanawia tyl-
o jedno. Dlaczego w obsadzie *Dzia-
ów* w inscenizacji Schillerowskiej w
Varszawie (1934 rok) wymieniono
ylko 12 ról, dodając, że w „pozosta-
rch rolach" wystąpiło 29 dalszych osób, m.in. Hanna Daszyńska, która — jak pamiętamy — grała króciutką, ale tak ważną z punktu widzenia politycznej wymowy III Części *Dziadów* (a szczególnie inscenizacji Schillerowskiej) — rolę Młodej Damy! Jeśli nawet tak właśnie był ułożony afisz, wolno było uzupełniać dane na podstawie recenzji, jak również zachowanych w Teatrze Polskim dokumentów czy wspomnień aktorów. Razi to tym bardziej, że w spisie osób inscenizacji Schillera we Lwowie podano obsadę kompletną.

Wojciech Natanson

DIALOGI

Czy pamiętacie początkowe słowa przedmowy Immanuela Kanta do pierwszego wydania *Krytyki czystego rozumu*? Oto one:

„Rozum ludzki spotyka się w pewnym rodzaju swych poznań ze szczególnym losem: dręczą go pytania, których nie może uchylić; albowiem zadaje mu je własna jego natura, ale na które nie może również odpowiedzieć, albowiem przewyższają one wszelką jego możność."

Po czym Kant przez dwa grube tomy stara się odpowiedzieć na pytania, które przewyższają ludzką możność. Nie ma nic piękniejszego, jak ta wiara, która jest żywsza od wszelkich pesymistycznych konstatacji, wiara, że człowiek wielkim wysiłkiem myśli i czynu — odpowie wreszcie na pytania „przewyższające wszelką jego możność".

Oczywiście Kant miał na myśli pytania ontologiczne i metafizyczne. Formuła jego jednak da się zastosować do wszelkich ludzkich pytań — i nadzieja, że wreszcie zagadnienia te zostaną mimo wszystko rozwiązane, jest piękną wartością. W samej tej nadziei i wierze mieści się „zadatek ludzkiego zbawienia". W pobudzaniu tej zbawczej nadziei leży rola intelektu. Człowiek twórczy, pisarz, myśliciel, artysta ma coraz większe możliwości wpływania na owe rozstrzygnięcia, może wyznaczać kierunki drogom rozwiązywania zawiłych zagadnień — tym razem zagadnień praktycznych, zagadnień życia codziennego.

W każdej chwili codziennego życia kryje się zadatek przyszłości, kryje się tej przyszłości forma. W tych kształtach przyszłości zawierają się też odpowiedzi na nasze pytania. Przynajmniej pytania społeczne, polityczne, ekonomiczne. Be nadziei, że wreszcie znajdziemy te odpo wiedzi, trudno by było żyć. Nadziej ta jest podstawą dziesiejszego naszeg istnienia.

W podtrzymywaniu tej nadziei olbrzy mia jest rola intelektualisty. Musim skonstatować fakt niezaprzeczony, ż wpływ uczonego i artysty na tworzeni się opinii publicznej świata jest cora większy. Nastają czasy, w których zda nie „mądrych" może wywierać zasad niczy i ostateczny wpływ na dziej świata. Oczywiście do osiągnięcia naj dalszego celu „mądrych" droga daleka Tym niemniej kroczymy po tej dro dze.

Jednym ze środków oddziaływani na opinię publiczną są dyskusje po między przedstawicielami warstw inte lektualnych różnych narodów. Od pew nego czasu ustalił się obyczaj zwoły wania takich narad czy obrad prz jednym stole. Niesłusznie takie wymian opinii nazywają się czasem spotkaniam „Wschód — Zachód". Granica pomię dzy Wchodem a Zachodem w dziedzi nie twórczej przebiega zygzakowato...

Spotkania ostatniego roku (1956) ni wszędzie dawały pozytywne rezultaty Ale sama możność rozmowy otwierał już pewne perspektywy. Spotykanie si ludzi odmiennych światopoglądów, b odmiennych światów, przy jednym sto le wydobywało zadziwiające kontrasty Samo stwierdzenie przeciwieństw ju jest krokiem — drobnym krokiem przyznaję — ale krokiem naprzód.

I oto w tych dniach otrzymaliśmy z wiadomienie, że zapoczątkowane n wiosnę roku zeszłego rozmowy w We necji, gdzie spotkali się pisarze i ucze ni europejscy, będą kontynuowane

w końcu tego roku. Zaproszenie to zawiera *passus* bardzo znamienny:

„Muszę tu dodać — pisze sekretarz generalny Stowarzyszenia Kultury Europejskiej, prof. Umberto Campagnolo — że według zdania biorących udział w samym spotkaniu, jak i stosownie do życzenia wyrażonego przez Radę Wykonawczą (SKE) w czasie jej styczniowego zebrania w Paryżu, podjęcie rozmów nie może się rozpocząć, tak jak gdyby od czasu ich przerwania nie zaszły żadne wypadki. Na pewno jest konieczne pokazanie, w konfrontacji jak gdyby preliminaryjnej, że wola dialogu i współpracy, która leżała u podstaw spotkania, nie została zahamowana przez świeże wydarzenia, w szczególności wydarzenia węgierskie, jakkolwiek ich repercusje skądinąd były tak poważne i bolesne."

Wydaje mi się, że Campagnolo uderza tu w sedno sprawy. Rozmowy pomiędzy intelektualistami radzieckimi a przedstawicielami myśli Zachodu powinny być kontynuowane. Przede wszystkim może przyczyni się to do zrozumienia pozycji obu stron, a tym samym do ich przybliżenia.

Dialog, trudny dialog, jaki był rezultatem innego spotkania zeszłorocznego, dialog pomiędzy Ignazio Silone a Iwanem Anisimowem, stwierdzał kompletną wzajemną obcość tez założeniowych obu pisarzy. Rozmowa ta nie przyczyniła się do zbliżenia obu stanowisk — ale wyjaśniła pozycje wyjściowe ścierających się autorów. Niestety, wieloletnie odcięcie kultury radzieckiej od myśli zachodniej odbiło się w tej rozmowie z całą bolesną wyrazistością. Delegaci radzieccy używali języka dla Zachodu niezrozumiałego.

Z drugiej strony pomimo wysiłków Zachodu ignorancja dotycząca spraw Związku Radzieckiego jest tam duża. Ignorancja ta jest podszyta lekkim uczuciem pogardy. Drobny przykład: Ignazio Silone, który miał przecież szczere zamiary wyliczając Anisimowowi nazwiska pisarzy sowieckich zamordowanych lub zaginionych, powiada: nasi czytelnicy znudzą się listą tych umarłych o dziwnych nazwiskach, niemożliwych do wymówienia (*impronunciabili*). Że nie ja jeden jestem wrażliwy na taki stosunek do nazwisk słowiańskich, najlepszy dowód: angielski redaktor *„Encounter"*, widać lepiej wychowany od Włocha, skreślił ów wzgardliwy epitet przy nazwiskach ofiar stalinizmu.

Drobne szczegóły wskazują czasami na poważne rzeczy. W tych wielkich nieporozumieniach jakże często pokutują drobne niechęci, miałkie żale i odęta pycha („miełkij bies" Sołłogubo).

Jeden z moich przyjaciół pisarzy, gdy mu powiedziałem o rozmowach zwanych „Wschód — Zachód", skrzywił się z niesmakiem. „Ja zawsze zaliczam się do ludzi Zachodu — powiedzał — cóż bym ja tam więc robił? Po której stronie stołu siadłbym?"

„Ależ stół jest okrągły — powiedziałem — i to ma pewne znaczenie. Ja zresztą nie uważam się za człowieka Zachodu. Uważam się za człowieka Polski. To także ma pewne znaczenie."

Znając tak dobrze Rosję i demokracje ludowe, jak my je znamy, i mając to instynktowne przywiązanie do kultury Francji, Włoch czy Anglii, możemy w tych kontaktach odegrać dużą rolę. Rola ta oczywiście nie polega na niefortunnych występach gościnnych, połączonych ze sprzedażą czystej i praniem brudnej bielizny za granicą. Nie jest ona także rolą lorda Jima, skaczącego o kwadrans za wcześnie z burty okrętu, który nie zatonął (a ten typowo polski czyn popełnił wszakże „jeden z nas").

Rola nasza w tych rozmowach — to walka o rozszerzenie naszych dotychczasowych zdobyczy, to pokazanie na przykładzie polskim prawdziwych dróg postępu.

Nieprawdą jest, jak twierdził mi niedawno jeden z amerykańskich dziennikarzy, że Polacy nie orientują się w zagadnieniach Zachodu. Natomiast prawdą jest, że Zachód dopiero z trudnością zaznajamia się z naszymi zagadnieniami. Musimy więc sobie dużo rzeczy opowiedzieć.

Każda rozmowa „mądrych" — o ile jest połączona z dobrą wolą, co nie zawsze się zdarza — jest ważna. Trzeba ich organizować jak najwięcej. Zawsze mając urocze przekonanie Immanuela Kanta, że wreszcie przezwyciężymy naturę ludzką i wszystko, co „przewyższa wszelką naszą możność", stanie się wreszcie dostępne i proste dla człowieka jak spacer zieloną łąką w pogodny letni dzień.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Największym ewenementem literackim ubiegłego okresu był artykuł Artura Sandauera o twórczości Adolfa Rudnickiego pt. *Bez taryfy ulgowej,* wydrukowany w *„Kulturze“* paryskiej i przedrukowany w *„Życiu Literackim“*. Krakowski tygodnik zamieścił ten artykuł wraz z fragmentem listu Sandauera do Machejka, w którym ten pierwszy prosi tego ostatniego o opublikowanie swej pracy. Na ogół się takich listów nie ogłasza, ale redaktor *„Życia“* tak się widocznie wstydził „toto“ przyjmować, że postanowił się usprawiedliwić. Jeszcze w Krakowie opowiadano mi anegdotkę o pewnym bardzo szacownym obywatelu miejscowym, który podczas wakacji uwiódł poczciwą, przywiązaną do rodziny służącą. Kiedy zapłakana rodzina krzyczała potem na babinę, ta odpowiedziała przez łzy: „Cóżem miała zrobić, jak mnie tak prosił i prosił...“

Artykuł Sandauera... ale zanim o samym artykule, najpierw o jego dziejach, które mi się wydają niezmiernie typowe dla naszych obyczajów literackich. Otóż zasadniczą cechą tych obyczajów jest to, że nic nie bierze się na serio. Artukuły, które nie mówią nic takiego, co by nie było już powiedziane, przemilcza się po prostu. Artykuły, które mają ambicje powiedzenia czegoś nowego — wyśmiewa się. Mają z nich uciechę felietoniści, autorzy różnych przeglądów prasy. Zupełnie jak w szkole, w tak zwanych starszych klasach, gdzie biada temu, kto dobrowolnie zgłosi się do odpowiedzi albo zadeklaruje chęć napisania nadobowiązkowego wypracowania. „Oho, wyróżnia się“ — szepcą zawistni koledzy. U nas w porządku jest pisarz, który na początku artykułu zastrzeże się, że pisze tylko na prośbę redakcji. W porządku jest pisarz, którego praca związana jest z jakąś tam okazją. Ale takiego, który się sam wyrywa do pisania, traktuje się jak wariata. Jeżeli zaś przekroczy miarę, to znaczy wypowie opinię sprzeczną z opinią ogółu (jakiego ogółu? ogółu literatów i kibiców), wtedy ktoś, „ulegając prośbie redakcji“, przypomina mu surowo, że „obowiązują pewne obyczaje“. O sądy szczegółowe mniejsza, ton jest ważny, metoda, styl. Nikt się nie sprzecza o sądy szczegółowe, wszyscy mają dużo do powiedzenia w sprawac pisarskiej moralności.

Do obyczajowo-moralnych zastrzeże sprowadzają się artykuły Marcina Czer wińskiego w *„Świecie“* i Bohdana Czesz ki w *„Przeglądzie Kulturalnym“*. Te ostatni w ogóle rozumie w literaturz tylko jedno zagadnienie: staliniz i antystalinizm. Twórczość pisarza je dla niego czymś w rodzaju kartotek personalnej, w której utrwalone s wszystkie błędy i zasługi polityczn Czeszko rozważa sprawy literatur w kategoriach uczciwości i nieuczc wości, przy czym płącze pisarstwo z ży ciem, tekst literacki z wydarzenian środowiskowymi. Na „obronę“ Rudnic kiego przed zarzutem Sandauera, któr pomawia autora *Pałeczki* o ukryt oportunizm, przytacza Czeszko rozmow z jakimś politykiem; ponieważ polity ten był stalinowcem, a w rozmow wyraził swoją niechęć do „Adolfa wniosek jest prosty: „Adolf“ nie b oportunistą. Co prawda, Sandauer pr wokuje trochę do takiej dziecinn obrony, ponieważ nie ogranicza się c czystej krytyki tekstu. Uderza tak w sprawy środowiska, w sprawy poz literackie, w owe gry taktyczne, któr Rudnickiego wynosiły na piedestał lu też stamtąd strącały. Pisze np „Większość ustalonych po wojnie p zycji pisarskich ma swe historycz źródło w przynależności do grup „Kuźnicy“, której redakcja — do elastyczna w sprawach światopogląd wych, a nieustępliwa tylko w persona nych, organizowała dokoła swych wspó pracowników istne panegiryczne chóry I dalej: „O ileż wygodniej jest znale się w takiej pół-niełasce, niż być godzi kowym faworytem, który — w 1949 r. postawił krótkowzrocznie wszystko n jedną kartę, zadeklarował swą g towość na wszystko i — rzeczywiście! otrzymał ciepłą rączką pochwalne r cenzje, odznaczenia, stutysięczne n kłady — wszystko to jednak z doda kiem złośliwych półuśmieszków“. I ta dalej, i tak dalej...

Myślę, że wyjście od spraw środ wiska i rozgrywek personalnych n utrwalonych przecież w żadnym tekśc niejasnych, płaskich dosyć — jest pl mą na robocie Sandauera, plam

która — jak to zwykle bywa — ściąga powszechną uwagę. Co innego zanalizować na przykład recenzje, jakie o Rudnickim pisywano w *„Kuźnicy"*, charakteryzować rodzaj sądów, którym ego pisarza poddawano, a co innego puszczać zakulisowe aluzje. Nie chcę ja przyłączać się do tego chóru śpiewającego Sandauerowi „Ada, to nie vypada", chcę tylko zwrócić uwagę na o, że i sam Sandauer ulega duchowi środowiska, duchowi sitwy i rozróbki, walki o pozycję, a nie o idee. Małe jest założenie artykułu i mały jego wniosek. Założenie: terror kulturalny państwa stalinowskiego w ogóle a terror *„Kuźnicy"* w szczególe zniekształciły hierarchie literackie. Wniosek: Adolf Rudnicki jest gorszym pisarzem, niż się powszechnie sądzi. Przy tym założeniu udaje się Sandauerowi analiza tylko dwóch zjawisk twórczości Rudnickiego. Udaje mu się wyśledzić, w jakim stopniu pewne wątki ideowe socrealizmu natrafiły na podatny grunt u Adolfa Rudnickiego — na przykład kompleks antyzachodni łączy się z antyintelektualizmem tego pisarza, albo też (dopowiadam już trochę od siebie) jego tęsknoty do sielanki, do prostoty uczuć, jego sentymentalizm sprzyjały przyjmowaniu przezeń pewnych schematów fabularnych socrealizmu. (Podobne zjawisko można było zaobserwować u Różewicza — pisał o tym kiedyś Flaszen.) Myślę, że to jest cenne spostrzeżenie Sandauera, ponieważ wyjaśnia ono na pojedynczym przykładzie łatwość, z jaką wielu wybitnych pisarzy adoptowało oficjalną estetykę. Ten moment wewnętrznych dyspozycji jest chyba ważniejszy dla badania historii „minionego okresu" niż prosty oportunizm, do którego sprowadza Sandauer całą problematykę, umożliwiając tym samym płaską polemikę ze swoim szkicem.

Drugim cennym spostrzeżeniem szczegółowym Sandauera jest ów „narcyzm" Rudnickiego, o którym wprawdzie często się mówiło i pisało (por. opowiadanie Andrzejewskiego pt. *Narcyz*), ale którego nikt dotąd „na tekście" nie pokazał. Sandauer bardzo zabawnie wydobył ów wątek „tarzania się" gorszego pisarza przed lepszym pisarzem oraz środowiska przed mitycznym mistrzem. To ostatnie jest zresztą zupełną nieprawdą: o ile znam „środowisko", to jego najcharakterystyczniejszą i najobrzydliwszą cechą jest to właśnie, że wartości artystyczne nie rozstrzygają tam zupełnie o towarzyskiej pozycji, że hierarchia tam jest inna, odwrotna najczęściej, że pewne postacie, których pozycja w życiu literackim jest niezrozumiała dla badaczy tekstów, zawdzięczają swe wyniesienie wyłącznie jakimś tam sukcesom łóżkowo-stolikowym. Rudnicki jest bardzo złym obserwatorem obyczajowym, tworzy rzeczywiście mity — i brutalna metafora Sandauera, że Rudnicki stał się „Heleną Mniszek naszych czasów", jest bardzo celna.

Jednakże przy swoim bardzo ciasnym założeniu Sandauer nie mógł przeprowadzić dyskusji z Rudnickim na gruncie, na którym pisarz ten czuje się najsilniejszy — na gruncie „epoki pieców". Zawadził tylko łokciem o te sprawy pisząc bardzo niejasno o asymilatorstwie i nacjonalizmie Rudnickiego. Nie rozumiem tego miejsca w artykule Sandauera i czuję jednocześnie, że powinno ono być najważniejsze. Uważam bowiem, że o ile Rudnicki nie potrafił uczynić sztuki tematem swej twórczości, o tyle potrafił nim uczynić żydostwo. Ale i ten temat rozsypuje mu się w rękach, przemienia się w wąską obsesję bez perspektyw, obsesję, która przestaje być echem ogólnoludzkiego dramatu.

Usuwając Rudnickiego z jego dotąd zajmowanej pozycji, nie umiał Sandauer wyznaczyć mu nowej. Można to było uczynić tylko przez analizę opowiadań okupacyjnych. Sandauer uchylił się od najcięższego zadania, mówi półgębkiem o pewnych „udałych" utworach Rudnickiego, ale nie wiadomo bliżej, jakie to utwory i czemu zawdzięczają swą udałość. Doprawdy nie wiadomo, bo jeżeli *Niekochana* to „notatki z życia wykolejonej młodzieży artystycznej", *Lato* — to „szkice ze sfer chasydzkich" (to ostatnie stwierdzenie nie jest nawet niesprawiedliwe — jest po prostu nieprawdziwe), jeśli więc takie określenia spotkały powyższe utwory Rudnickiego, to *Wniebowstąpienie* jest zapewne trucicielską historią o wariatach.

Kwestionując tak wybitną i niewzruszoną pozycję, jaką w naszej literaturze zajmował Adolf Rudnicki, Sandauer podjął się bardzo odpowiedzialnego zadania. Szkoda, że nie wykonał go do końca. Hierarchia literacka ułożyła się rzeczywiście pod wpływem najbardziej fantastycznych czynników. Zniekształciła ją najpierw okupacja — im kto

głośniej mówił o cierpieniu, tym lepszym był pisarzem. Potem przyszedł okres „szczeciński" — wtedy wiadomo, co się działo: ten zostawał wielkim, bo był debiutantem, ów dlatego, że przed wojną był mały, ale uczciwy, inny dlatego, że był wielki, ale się ukorzył. I tak zostało. „Październik" postrącał tych i owych pisarzy z posad państwowych, ale nie z pozycji literackich — te są chronione przez interesy grup i koterii. Przeciwnie, „Październik" kanonizował jeszcze pewną ilość miernot za to, że przedtem byli biedni, ale uczciwi. Tak więc przy każdej okazji historycznej przybywa lokatorów Parnasu, ale jakoś nikogo nie ubywa.

Przykładem takiego chaosu w ocenach może być nr 29 *„Nowej Kultury"*, ozdobiony fryzem z głów pisarzy oraz krótkich informacji o książkach, jakie pisarze ci wydali w 1957 roku. Ten dziwaczny pomysł redakcji ma spłacić dług, jaki ma to pismo wobec nie recenzowanej zupełnie literatury współczesnej. Sama redakcja nazywa to we wstępie „marnotrawstwem w stosunku do twórczości literackiej" i stwierdza, że „zanim nie znajdziemy na to marnotrawstwo poważniejszych środków recenzyjnych... postanowiliśmy przedstawić czytelnikowi bezpretensjonalny wybór nowości wydawniczych pierwszego półrocza 1957. Nie jest to zestaw książek bezwzględnie pełny. Dokonywaliśmy jakościowego wyboru..."

W tym jakościowym a niepełnym wyborze „nowości wydawniczych" znalazły się także cztery książki nie istniejące: *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego, powieść drukowana tylko w *„Przeglądzie Kulturalnym"*, *Matka Królów* Kazimierza Brandysa, opowiadanie drukowane w *„Twórczości"*, *Morze Sargassa* Aleksanda Ścibora-Rylskiego — nowela drukowana w *„Nowej Kulturze"*, oraz Marka Hłaski *Głupcy wierzą w poranek* — powieść drukowana w *„Panoramie"*. Zadziwia szczególnie owo *Morze Sargassa* — jako nowość wydawnicza, gdyż utwór ten mieści się na dwóch kolumnach *„Nowej Kultury"*.

Ale mniejsza o to. Mniejsza także o „nowości" zeszłoroczne, jak np. *Bohater do wynajęcia* Kwiatkowskiego albo *Dobra nowina* Hołuja. Ważniejsze są oceny. Dowiadujemy się np., że cytowana powieść Tadeusza Kwiatkowskiego „wiąże w oryginalny sposób satyryczno-demaskatorskie studium psychologiczne z obrazem września 1939". Nieprawda: powieść jest żenująco słaba, infantylna, wtórna. Mogę dać słowo honoru, bom czytał. A kto czytał w redakcji? Nikt, boby nie napisał, boby nie zamieścił w tegorocznej czołówce zeszłorocznej słabizny. O Lemie: „Gdy ktoś mówi o »zastoju« w polskiej literaturze, należy mu przypomnieć Lema: oto pisarz, któremu dopiero »odwilż« pozwoliła w całej pełni rozwinąć skrzydła. Nie mówimy już nawet o tym, że dopiero teraz mógł wydać swój *Czas nieutracony* — jedną z najambitniejszych powieści współczesnych, jakie napisano po wojnie... W ciągu pierwszej połowy tego roku Lem zdążył już wydać dwie książki...". Po pierwsze *Czas nieutracony* ukazał się trzy lata temu i jest powieścią przeciętną, po drugie nowe utwory Lema niczym nie przewyższają poziomu średniego felietonu i nie są — jak mówi autor notatki — „filozofią prozą". O Wygodzkim: „Wygodzki-prozaik jest w tych opowiadaniach kontynuatorem Wygodzkiego-poety z najlepszych powojennych zbiorków, pisarzem poruszającym najczulsze struny psychiki czytelnika, pisarzem, który zmusza do angażowania się emocjonalnego, prowokuje oburzenie moralne, budzi podziw". Dodajmy do tego „poetycką wrażliwość na urodę »rzeczy widzianych«..." Przyznajcie się: czytaliście? Nie, bobyście wiedzieli, że *Przy szosie* to najsłabsza z dotychczasowych książek Wygodzkiego.

Może śmieszne jest to moje czepianie się konwencjonalnych notek. Może nieuczciwe jest apodyktyczne przeciwstawianie własnych nie udowodnionych opinii cudzym nie udowodnionym opiniom. Nie robię tego z pieniactwa. Chcę tylko złapać za rękę fałsz: pewnie, z takich niby to „bezpretensjonalnych", „dorywczych", „konwencjonalnych" opinii rodzą się trwałe sądy, tak się rodzi hierarchia literacka. Kumpel napisze o kumplu, przyjaciel o przyjacielu, w skrócie, bo mu się nie chce, ogólnikowo, bo nie czytał, nie podpisze, żeby się nikt nie czepiał — i już, gotowe. Już wiemy, jakie są wartościowe pozycje współczesnej literatury.

Podtrzymuję hasło Sandauera: „bez taryfy ulgowej". A tych taryf jest u nas mnóstwo.

Andrzej Kijowski

SPÓR O ARNOLDA TOYNBEE

Studia nad historią (A study of History, Oxford University Press) Arnolda Toynbee, których ostatnie tomy (VII—X) ukazały się parę lat temu, budzą ciągle żywe reperkusje. Dzieło to, prawdziwe *opus vitae* swego twórcy, niemal od razu zdobyło sobie entuzjastycznych czytelników, ostatnio zaś, w doskonałym skrócie D.C. Sommervilla, tłumaczone na wszystkie języki świata, stało się, zwłaszcza w Ameryce, swego rodzaju bestsellerem. Toynbee miał dwojaką prasę. Powitany przez entuzjastów jak coś w rodzaju współczesnego proroka, został ostro zaatakowany przez środowisko naukowe. Historyk duński, prof. Pieter Geyl, podsumował swoje zastrzeżenia jednym zdaniem: *„C'est magnifique, mais ce n'est pas l'histoire"*. A.J.P. Taylor z Oxfordu wyraził się bardziej dobitnie: „Metoda, jakiej używa Toynbee, nie jest metodą naukową, ale nurkowaniem w nieznane, na los szczęścia, przy czym główny nacisk należy położyć na los szczęścia". Prof. Morgenthau z Chicago wyraził przypuszczenie, że Toynbee może stać się „Billy Grahamem dla pięknoduchów".

Nie podobna ocenić tej monumentalnej pracy (6.290 stron, nie licząc indeksów i przypisów) bez postawienia pytania, jakie były jej założenia i co nowego wniosła. To, co robi Toynbee, pozostaje niewątpliwie w konflikcie z tym, co zwykliśmy uważać za historię. Jest to konflikt między różnymi koncepcjami historii i nie można go rozwiązać przy użyciu metodologicznych argumentów. Metoda jest bowiem tylko środkiem, a jedynym sprawdzianem metody jest rezultat.

Burkhard mówił, że celem historii nie jest „uczynienie nas mądrymi na jeden dzień, ale rozumnymi na zawsze". Historia użycza nam swojej mądrości, dając znaczeniowo bogatą relację z życia i czynów ludzi, którzy żyli przed nami. Znaczenie tej relacji polega na związku, jaki selekcjonujący i wartościujący umysł historyka ustala między danymi historii a sprawami ludzkimi.

Historia jest selekcją, na którą wpływają osobiste zainteresowania i gusty jej badaczy, ich poglądy, cele, jakie sobie wyznaczają, a bardzo często panująca moda. Historiografia również przeżywa swoje rewolucje, zarówno techniczne, jak ideologiczne. Rozwój studiów specjalistycznych odsłania możliwości nowych badań źródłowych (np. studia nad rysunkiem wazy greckiej), z drugiej zaś strony zespół niedostrzegalnych przedtem czynników może dać historykowi podstawę do nowej interpretacji historii.

Toynbee rozpoczął swoją karierę jako hellenista, obecnie jest specjalistą od spraw międzynarodowych (od 1925 r. jest dyrektorem Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i kierownikiem katedry historii międzynarodowej na uniwersytecie w Londynie). W okresie, kiedy formowała się jego koncepcja historii, a potem w trakcie powstawania poszczególnych tomów mapa polityczna świata zmieniła się nie do poznania. Generacja, która dorastała na Zachodzie przed pierwszą wojną światową, żyła wiarą w teorię postępu. Następna, która brała udział w wojnie i uczestniczyła w gwałtownych przemianach politycznych i kulturalnych, była już skażona poczuciem katastrofizmu. Toynbee pokazuje, że obie te postawy mają swój odpowiednik w powstawaniu i upadku cywilizacji, które mają swój czas życia i czas śmierci. Biorąc za punkt wyjścia ten wewnętrzny mechanizm cywilizacji, Toynbee pokusił się o swoistą koncepcję historii, o stworzenie własnego systemu. Odważył się na roztrząsanie najbardziej zasadniczych pytań, jakie można postawić historii, i nie wahał się dawać na nie własnych, nieraz szokujących odpowiedzi.

Podważanie utartych standartów zawsze budzi opór, w dodatku zaś dzieło Toynbee przez swój rozmiar i zasięg przerastało możliwości jednolitej oceny. Jednych oszałamiało, innych drażniło. Specjaliści w poszukiwaniu nieścisłości przykładali doń swe wąskie miary. Gromadzono dowody, że metoda, jaką posługuje się Toynbee, nie ma nic wspólnego z metodą naukową a z empiryzmem angielskim w szczególności. Zarzucano mu, że wybiera tylko fakty pasujące do ustalonego z góry schematu, odrzuca zaś i lekceważy te, które się z jego teorią nie zgadzają. Ponadto w samych wywodach często

brak konsekwencji. Np. z historii wyznań chrześcijańskich wynika, że doznały one decydującego załamania cztery wieki temu, potem jednak dowiadujemy się, że chrystianizm pozostał „spadkobiercą wszystkich filozofii... i wszystkich religii wyższego rzędu". Pewne stwierdzenia budzą sprzeciw zdrowego rozsądku. Wiktoriański racjonalista i humanista, James Frazer, z tytułu swego pogańskiego światopoglądu zestawiony jest z barbarzyńskim nazistą, Alfredem Rosenbergiem. Teza, że „duchowa schizma" stanowiła koniec rozwoju zachodnich religii chrześcijańskich, wpłynęła na uformowanie się poglądu Toynbee, że począwszy od XVI wieku rozpoczął się upadek Zachodu. Rozwój nowego kontynentu Ameryki, postęp wiedzy, materialny dobrobyt i zdobycze socjalne — wszystko to odrzuca dogmatycznie jako „próżne powtarzania nieoświeconych duchem". Posuwa się nawet do twierdzenia, że cała sztuka od XIV wieku uległa wyjałowieniu. Zarówno rzeźba, jak malarstwo, począwszy od Giotta aż po Cézanne'a, to „nawroty do helleńskiego naturalizmu".

Liberałowie zarzucali mu zupełny brak zrozumienia dla wolności w sensie świeckim, co sprawia, że w swojej ocenie zrównuje ustroje demokratyczne z totalitarnymi jako podobne odmiany zboczenia umysłowego. Czyni nawet zdumiewającą uwagę, że tendencja do koszarowości może okazać się zbawienna, gdyż ludzie, których pozbawi się prawa decydowania o sobie w dziedzinie polityki i gospodarki, będą mogli swoją energię psychiczną poświęcić sprawom ducha.

Jak solidni historycy mają ustosunkować się do tego „outsidera", jakim jest Toynbee, i tego kolosalnego kukułczego jaja, jakie im podrzuca? Niechby już *Studia nad historią* zostały zaprezentowane jako produkt wizji wewnętrznej, coś w rodzaju *Civitas Dei* św. Augustyna. Jednakże Toynbee nie zrezygnował z groteskowych — ich zdaniem — roszczeń do posługiwania się metodą naukową, nawet kiedy w t. VII pisze, że dla niego historia rozpoczęła się „wizją boskiego stworzenia w ruchu", objawieniem „tajemniczego duchowego wzlotu człowieka na skrzydłach materialnej katastrofy". Od tego momentu Toynbee bez żadnych zahamowań pogrąża się w rejony niedostępne „szkiełku i oku", sypiąc jeszcze obficiej mitami, alegorią i teologią. Na miejsce cywilizacji jako protagoniści historii zjawiają się kościoły. Według pierwotnej koncepcji miały być one źródłem energii duchowej, posuwającej naprzód wóz cywilizacji. Teraz cywilizacja sprowadzona jest do koła, którego „coraz wolniejsze obroty służą posuwaniu się naprzód rydwanu religii".

Cywilizacje bowiem, zdaniem Toynbee, z wyjątkiem roli, jaką spełniają w postępie religii (ich rozkład tworzy warunki dla powstania nowej, wyższej religii), „straciły swoje historyczne znaczenie". Stąd jedyny wniosek i zalecenie dla ginącego Zachodu. Rozporządzając uniwersalnymi środkami komunikacji, powinien doprowadzić do zetknięcia i zlania się czterech „wyższych" religii w jeden powszechny kościół.

Propozycje te, w swej oryginalnej postaci niewątpliwie działające na wyobraźnię, jako racjonalna interpretacja historii są nie do przyjęcia. Ale popularność *Studiów* u zwykłego czytelnika świadczy o tym, że autor w jakiś dziwny sposób utrafił w nastroje pewnych środowisk inteligenckich.

Złożoność problematyki utrudnia wymierzenie pełnej sprawiedliwości pracy Toynbee. Krytyka amerykańska podnosi jednak przede wszystkim zalety dzieła. Przyznaje, że autor nie jest może historykiem według przyjętych norm, niemniej jednak jest jednym z najciekawszych myślicieli naszych czasów. Po raz pierwszy potraktował historię jako całość i otworzył parafialne bariery, koncentrujące wszystko wokół człowieka Zachodu.

Hans J. Morgenthau, profesor nauk politycznych na uniwersytecie w Chicago, za największe osiągnięcia Toynbee jako historyka uważa jego subiektywizm, który jest postrachem oficjalnej historiografii. Odważając się na stawianie historii pytań, wzbranianych dotąd przez naukowy dogmat, obudził wyobraźnię historyczną z jej dogmatycznej drzemki, podsunął możliwość nowych interpretacji i zapłodnił nowymi hipotezami. To jest *novum*. Dla wiedzy historycznej bowiem to, co nie może być udokumentowane, jest nieprawdziwe i nie może być przedmiotem zainteresowania historyka.

Celem Toynbee jest nie tyle wiary-

godna relacja przeszłości, co wykrycie praw rządzących powstawaniem i upadkiem cywilizacji. W ramach terminów rożnicujących poszczególne kierunki badań historycznych Toynbee uchodzi za socjologa. Istotnie książkę czyta się jak wspaniały zbiór socjologicznych esejów i aforyzmów. Jednakże konstrukcja, na której się opiera, jest filozoficzna i trudno, aby było inaczej, przyjmując, że sprawy te są poza zasięgiem empirycznej sprawdzalności. Samemu pojęciu cywilizacji brak precyzji, nie mówiąc już o takich uogólnieniach, jak cywilizacje zachodnie czy wschodnie. Odnosi się to również do przypisywanego im okresu trwania. Jeśli cywilizacje zachodnie znikną jutro w radioaktywnym pyle, czy znaczy to, że umarły śmiercią „naturalną" z wewnętrznego wyczerpania, czy też zostały zabite przez atomowego mordercę? Odpowiedź na takie i podobne pytania zależy od tego, co rozumiemy przez pojęcie cywilizacja. Jeżeli zaś przeciwnie — zostanie jej to oszczędzone i nastąpi wiek materialnego dobrobytu, jak naukowo będzie można wymierzyć, czy jest to stadium niższe, czy wyższe od poprzednich?

Nie mogąc zbudować własnego systemu filozoficznego Toynbee zwraca się do religii.

Oświadczenie Toynbee, że tylko religia może ocalić zachodnią cywilizację, zbiega się z popularnym ruchem, szczególnie silnym w Stanach, który również w religii szuka zbawienia od zła i niebiezpieczeństw naszych czasów. Popularność Toynbee w dużej mierze na tym się opiera. Grozi mu niebezpieczeństwo zostania prorokiem nowego kultu. Popularność ta odsłania jego słabości naukowe.

„Sto lat temu — pisze Hans J. Morgenthau — Toynbee byłby ostatnim filozofem historii. Czterysta lat temu byłby ostatnim z wielkich scholastyków lub mistyków. W wieku, w którym prawda sprowadza się do naukowego pewnika, rzeczy te wydają się nie na miejscu. Jednak ikaryjskie wysiłki Toynbee uczyniły dla naszego wieku to, co najwybitniejsze dzieła umysłu uczyniły dla innych — wytyczyły szlaki dla poszukiwań prawd wiecznych."

Dalekimi od entuzjazmu okazali się natomiast jego brytyjscy koledzy. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Czerwcowy numer „*Encounter*" zamieszcza esej-pamflet oxfordzkiego profesora historii, H.R. Trevor Ropera, p.t. *Arnold Toynbee's Millenium*. Na wstępie Trevor-Roper oświadcza, że nie zamierza rozstrzygać historycznej prawdziwości czy fałszu, logicznego sensu czy bezsensu, empirycznej sprawdzalności czy metafizyki Biblii Arnolda Toynbee — tak bowiem określa 10-tomowe *Studia nad historią*. Zrobili to już inni, którzy prześledzili rozdział za rozdziałem, nie zostawiając suchej nitki na autorze. Jednak fakt, że — niezależnie od opinii ekspertów — książka zrobiła furorę i że w Ameryce okrzyknięto ją „największym dziełem naszych czasów", daje do myślenia.

Fenomen ten zasługuje na wyjaśnienie. Aby dotrzeć do sedna sprawy, Trevor-Roper ustawia zjawisko pod innym kątem widzenia niż dotychczasowi rejestratorzy historycznych potknięć proroka. Nie zajmując się prawdziwością czy sprawdzalnością argumentacji, stara się rozszyfrować jego znaczenie jako dokumentu naszych czasów. Najpierw przypomina sytuację, w jakiej powstawała ta nowa Biblia, nie jest ona bowiem bynajmniej tworem jednolitym. Ma swój Stary i Nowy Testament, które dzieli przerwa piętnastu lat, włączając w to wojnę 1939—45.

Stary Testament, który obejmuje tomy od 1—6, ukazał się między 1932—39, Nowy — został ogłoszony w 1954. Ostatni tom, 10 *(Book of Revelation)*, rzuca znamienne światło na zamierzenia i charakter całego przedsięwzięcia.

Trevor dowodzi, iż teoria, że bieg historii został z góry zdeterminowany i że poszczególne jej fazy są znaczone katastroficznymi wybuchami — a to jest ideą przewodnią Starego Testamentu Toynbee — jest produktem umysłowości germańskiej. Głoszona jeszcze przez Hegla, Marksa i Nietzschego w wieku XX, kiedy klęska dotknęła Niemcy, odżyła w zaktualizowanych wariantach. Oswald Spengler głosił, że godzina rozkładu naszej cywilizacji jest bliska.

Toynbee, angielski amator, idąc śladem niemieckich filozofów, powtórzył ogólną teorię Spenglera. Konserwatysta z przekonań i klasyk z wykształcenia, z jednej strony żywił kult dla przeszłości, z drugiej — powodowany pogardą dla osiągnięć ludzkiego umysłu —

odczuwał *Schadenfreude*, zestawiając upadek Zachodu z narodzinami racjonalizmu.

Trever-Roper mówi, że Stary Testament Toynbee, jako rozpaczliwy lament konserwatywnego defetyzmu, nie był zbyt serio brany w Anglii. Jednak właśnie w Niemczech, skłonnych po klęsce do katastroficznych nastrojów, znalazł się ktoś, kto potrafił wykorzystać dla swoich celów teorię o nieuniknionym upadku Zachodu. Adolf Hitler, podobnie jak Spengler i Toynbee, był studentem historii. Tak jak oni wędrował przez stulecia dobierając sobie fakty, na których miał oprzeć swój monstrualny system.

Kiedy niemieckie legiony maszerowały przez Europę, nie napotykając oporu, mogło się wydawać, że wiele z ponurych przepowiedni Toynbee spełniło się. Czy nie było to napisane w Piśmie Świętym? Skoro zatem porażka była nieunikniona, czy nie rozsądniej było przyjąć ją w najmniej dotkliwej formie, poddając się bez dłuższych ceregieli? I oto, na skutek takich refleksji, w Europie pojawiła się pewna warstwa ludzi, którzy nie będąc nazistami ani ich sympatykami przyjęli „Nowy ład" zagrażający z Berlina jako siłę wyższą. Patronem tego sposobu myślenia był marszałek Pétain. Był wyrazicielem tych, których wolę poraziły mesjanistyczne brednie Hitlera i defetystyczne pewniki profesora Toynbee. W ten sposób Toynbee był mimo woli intelektualnym sprzymierzeńcem Hitlera w świecie nie-nazistowskim, prorokiem europejskiego pétainizmu.

Toynbee do ostatniej chwili nie przewidywał, że rolę niszczyciela odegra Hitler. Po długiej rozmowie z Hitlerem w roku 1936 oświadczył, że jest przekonany „o jego szczerości w chęci zachowania pokoju w Europie". Jeszcze w 1939 był ślepy na zagrażające niebezpieczeństwo. Zawsze zresztą utrzymywał, że śmierć cywilizacji następuje na skutek jej wewnętrznej starości, nie zaś zewnętrznych kataklizmów, które raczej są pretekstem niż przyczyną ich rozkładu. Prawdziwą przyczyną zagłady Inkasów nie byli Hiszpanie; po prostu cywilizacja ich dobiegła swego logicznego kresu. Ci, których uważa się za burzycieli, odkrywają tylko stan wewnętrznego rozkładu.

Czy wobec utrzymania się przy życiu cywilizacji, której los z taką pewnością przepowiadał, stanowisko Toynbee uległo zmianie? Trudno oczekiwać tak wiele od proroka — można co najwyżej w granicach rozsądku spodziewać się pewnych modyfikacji w interpretacji. To też istotnie nastąpiło. Po 15 latach milczenia Toynbee ogłosił swój Nowy Testament, gdzie — nie wycofując się z uprzednich twierdzeń — zapowiedział jednak pewne rozwinięcie swoich poglądów.

Nie przyznając się do błędów, przyznaje się do „zmian wewnętrznych". Niektóre z nich zostały objawione w publicznej dyskusji, jaką Toynbee miał w 1948 ze swoim najgroźniejszym krytykiem, prof. Geyl, o którym już była mowa. W dyskusji tej prof. Geyl określił Toynbee na podstawie jego Starego Testamentu jako deterministę. Ku jego jednak zdumieniu Toynbee oświadczył: „Mając przed oczyma okropne ostrzeżenia w postaci dogmatycznego determinizmu Spenglera zawsze byłem i będę w najwyższym stopniu ostrożny w traktowaniu przyszłości naszej cywilizacji jako kwestii otwartej".

Jaką to furtkę odkrył Toynbee w 1948 roku w swoim deterministycznym systemie? — zapytuje Trevor-Roper. Odpowiedź na to pytanie można znaleźć w Nowym Testamencie, który w tym czasie dojrzewał w jego umyśle. Tomy od VII do X nie zwiastują już rozpaczy, ale nadzieję, oczywiście nadzieję w pewnym sensie. Nie znaczy to, że Toynbee widzi jakieś perspektywy przetrwania zachodniej cywilizacji. To, że wytrzymała impet Hitlera, nie świadczy o niczym, gdyż Hitler nie był żadną potęgą, a wojna 1939—45 w porównaniu do wojny światowej była „wojną drugorzędną".

Na czym zatem polega nowość Nowego Testamentu? Gdzie jest ta szczelina, przez którą wymknął się w dyskusji z prof. Geylem?

Tymczasem zaświtała mu nowa, pokrzepiająca prawda. Cywilizacje muszą zginąć, ale ponieważ nie są one organicznymi całościami, pewne ich żywotne elementy mogą przetrwać i stać się czynnikami składowymi nowego „uniwersalnego państwa", które po nich nastąpi. A więc nie powrót do ciepłego łona Matki Kościoła, ale wyjście naprzód od dawna wyznaczoną ścieżką. Nie ma co żałować cywili-

zacji. „Cywilizacje sprzeniewierzyły się swemu historycznemu posłannictwu wyjąwszy ich udział w postępie religii.“ Właśnie religia, a — ściślej powiedziawszy — pewne jej odmiany mają szanse przetrwania jako składniki religii wyższej, religii powszechnego państwa.

Tu następuje *clou* wywodów Trevor-Ropera: groteskowa wizja *Arnold Toynbee's Millenium*. Otóż dla tej nadreligii konieczny jest nowy Mesjasz, nad-Mesjasz, który przewyższając swych poprzedników znajomością techniki procesu, potrafi skrócić okres przemian, dając ich gotową receptę. Trevor-Roper jest bezlitosny: nie ma wątpliwości, że tym Mesjaszem ma być sam Toynbee; jego Biblia, zwłaszcza księga ostatnia, jest do tego przygotowaniem. Wyznaczywszy mu tak wysokie aspiracje, tym łatwiej ośmiesza go — systematycznie i zaciekle. Dowodzi, że wbrew temu, co sam Toynbee mówi o swojej skromności i pokorze, jest on megalomanem pozbawionym najmniejszej dozy samokrytycyzmu. Trevor-Roper tworzy majstersztyk pamfletu i drwiny, preparując postać Mesjasza-Toynbee. Wciąga do swego wywodu wszystko, nawet psychoanalizę.

Powołując się na Freuda, Trevor-Roper twierdzi, że Toynbee, jak wielu intelektualistów, jest pod urokiem brutalnej siły i pragnie się jej poddać. Jego filozofia to teoria mesjanistycznego defetyzmu. Toynbee nienawidzi zachodnich cywilizacji, ponieważ wyrastają z liberalizmu i racjonalizmu. Pragnąłby, aby na ich ruinach zapanowała tylko nadreligia, której on będzie prorokiem i Mesjaszem.

Esej Trevor-Ropera ma charakter pamfletu, pamflecista zaś wybiera sobie miejsca najdogodniejsze do ataku, wyolbrzymia przedmiot atakowany, często go w nadmiarze ferworu deformuje. Jak może pastwi się nad przeciwnikiem, chce go upamiętnić od najgorszej strony, wtłoczyć w pamięć odbiorcy; jest niejako jego negatywnym apologetą. Toteż pamflet odgrywa przysłowiową rolę kija w mrowisku. Wzbudza bojowego ducha w najbardziej opieszałych. Ponieważ z natury rzeczy jest jednostronny, wywołuje też naturalną reakcję wyrównania zachwianej równowagi. Zabawa się opłaca. Polemika jest najlepszą formą ćwiczenia umysłu, a Anglicy to naród sportowy. Przestrzegają też zasad gry. Kiedy Filip Toynbee, znany krytyk literacki, nie zdzierżył synowskich zranionych uczuć i w tonie na serio zapewniał, że jako syn proroka nic nie wie o takich zamiarach, pismo, które list zamieściło, nie omieszkało podkreślić niestosowności takich wystąpień *pro domo sua*. Posypały się jednak listy „obce“ z różnych krańców świata, wyrażające dezaprobatę pod adresem i formy, i autora. Jeden z nich, pisany wierszem, zaczyna się:

Nienawidzę twojej nudnej chłosty
[Trevor-Roper,
Duch chwalby w tobie obrał swe
[siedlisko na odmianę.
Niewierzący inkwizytor
Równie szpetny jak jego przeciwnik.

Odezwał się Wysoki Komisarz dla Australii z Kanady, W.R. Crocker, który pisze, że niezależnie od tego, czy teoria Toynbee o upadku cywilizacji jest słuszna, czy nie, artykuł Trevor-Ropera jest niewątpliwie dowodem upadku poziomu dyskusji naukowych. Wypowiedź profesora Oxfordu — a tytuł ten obowiązuje do czegoś — łączy słabiznę myśli ze złośliwą i nieokrzesaną impertynencją w sposób niespotykany, dając istny pokaz parweniuszostwa. Jest to tym większą niespodzianką, że pan Trevor-Roper, który sławę swą i fortunę zawdzięcza szczęśliwym latom wojennej inflacji, otrzymał katedrę profesora historii, należną ludziom o prawdziwym dorobku naukowym, jak Pawick i Galbraith. Co za degrengolada! Oxford jako trybuna dziennikarskich wyskoków!

Inny list ze środowiska naukowego mówi o ordynarnej i bluźnierczej parodii chrystianizmu, za pomocą której Trevor-Roper atakuje Arnolda Toynbee. Autor najwidoczniej nigdy nie czytał książki, którą atakuje, skoro zarzuca, że Toynbee nie interesował się sztuką, nauką, administracją i finansami.

Jakiś swojski powiew idzie od tej wymiany grzeczności.

Odrzucając jednak osobiste porachunki, które — jak widać — jednakowo się na całym świecie przy takich okazjach załatwia, trzeba stwierdzić, że dyskusja to rzecz dobra. Książka Toynbee (w dostępnej postaci skrótu

Sommervilla mogłaby chyba być i nam udostępniona) dostarcza bogatego materiału do przemyśleń, sprzeciwów, uzupełnień. O historii nigdy za wiele. A przewietrzanie, bronienie i uzasadnianie poglądów jest zawsze pocieszającym dowodem, że nauka nie zakrzepła w martwy i nienaruszalny dogmat.

Anna Bartling

W STULECIE „PANI BOVARY"

Polemizując z krytyką akademicką Albert Thibaudet w jednej ze swych świetnych prac teoretycznych przyrównał trzy (według Brunetière'a) zadania krytyka: „osądzać, klasyfikować, objaśniać", do trzech zadań Molierowskiego lekarza: saignare, purgare, clisterium dare. Żart ten przychodzi mi na myśl, ilekroć wspomnę „wytyczne" i „postulaty" naszej polityki kulturalnej w tzw. minionym okresie. Był on niestety aktualny i w odniesieniu do historii literatury. Aby krytyka stała się rzeczywiście żywa i twórcza, zauważył tenże Thibaudet, potrzebne jest jej prócz inteligencji poczucie smaku, owo szczególne uczulenie na dany walor ideowo-estetyczny. Gust jest tym trudno uchwytnym zjawiskiem z pogranicza wrażenia i intelektu, zależnym od formacji emocjonalno-umysłowej krytyka. Podobnie ma się chyba rzecz ze szkołami w krytyce. Kiedy po wojnie krytycy marksistowscy walczyli argumentacją racjonalistyczną o własną szkołę gustów i wartości, mieli wszelkie szanse na sukcesy i osiągnięcia. Kiedy natomiast uznano, że wystarczy w drodze dekretowania narzucić umysłom ową szkołę i podnieść ją do rangi jedynie słusznej doktryny estetycznej, wtedy nastąpił jej krach i upadek. Gdy bowiem do wyboru jest tylko jeden gust, nie ma w ogóle żadnego.

W historii literatury proces ten znalazł swój teoretyczny wyraz w Żdanowowskiej teorii „odbicia w sztuce", a w praktyce stał się nudnym socjologizowaniem o „odbitej rzeczywistości". Wskutek tego realizm Balzaka, niewątpliwie „odbijający" najbardziej bezpośrednio, uznano niemal za naczelne kryterium w badaniach tradycji literackiej do epoki socrealizmu. Pomyłka przykra, z gruntu ahistoryczna, zapomniano bowiem o najważniejszym: zadaniem badacza literatury jest nie tylko historyczne weryfikowanie opisywanych zdarzeń i ludzi i określania ich znaczeń ideowych, lecz t a k ż e odpowiedź na pytanie: jakimi środkami artystycznymi twórca osiąga swój cel poznawczo-emocjonalny, co wiąże go z tradycją literacką przeszłości i w czym jest nowatorem. Wtedy dopiero można uniknąć akademizmu Brunetière'a, osądzającego wbrew własnym gustom, i doktrynerstwa niedawnej krytyki, oceniającej według jedynego gustu — postulatu wąsko pojętej postępowości historycznej. Unikniemy też subiektywizmu współczesnej krytyki „filozoficznej", która odrzuca — jako nieistotne — wyniki nie potwierdzające sposobu rozumienia i odczuwania zjawisk zgodnego z przyjętym systemem ontologicznym (np.: w dzisiejszej Francji Poulet, Richard i in.).

W świetle tych paru uwag — wcale nie rewelacyjnych — wyłania się problem przewartościowania twórczości najwybitniejszych powieściopisarzy XIX wieku i określenia ich miejsca w tradycji literackiej. W odniesieniu do Flauberta problem wart jest całej książki.* Tymczasem jednak zaskoczyła nas nowa rocznica: *Pani Bovary* skończyła w tym roku lat sto. Wcale nie postarzała się od owego roku 1857, kiedy jej twórca zasiadł na ławie oskarżonych. Wiecznie żywa i młoda, jedna sobie stale czytelników tą młodością arcydzieł, którym czas przydaje blasku. Czy tylko dlatego, że jest doskonałym zwierciadłem mieszczańskich obyczajów z epoki Ludwika Filipa? Na pewno nie tylko.

---

* Próbą taką, na ogół udaną, jest praca B. G. Reizowa *Twórczość Flauberta*, 1955.

Pani Bovary jest pierwszą nowoczesną powieścią psychologiczną, jej autor dokonał przewrotu w technice tego gatunku. Warto by może przypomnieć o tym w paru słowach.

*

Wszyscy kochamy się po trosze w bohaterkach Stendhala, wzruszają nas losy ludzi z powieści Hugo, serdecznie lubimy znajomych z *Komedii ludzkiej*. Ale czy można polubić którąś z postaci Flauberta? A jednak... Tu budzą się sprzeczne uczucia i sądy. Kobiety-anioły Balzaka i Hugo, mądre i dumne heroiny Stendhala wydają się w zestawieniu z Emmą postaciami z innego świata. Przy całej wyższości zalet ich umysłu i serca są mniej skomplikowane. I chyba tylko niezwykła uroda jest im wspólna. Kiedy blada i drżąca, o oczach bardziej czarnych niż zwykle, Emma wraca ze schadzki z Rudolfem, przypomina mi czułą i zalęknioną panią de Rênal. Ale sposób przedstawiania kobiecego czaru w *Pani Bovary* bardziej już przypomina Prousta niż Stendhala.

Emmę spostrzegamy po raz pierwszy oczyma Karola w chwili, gdy, ubrana w niebieską wełnianą suknię, przybraną trzema falbankami, wyszła na próg domu, by powitać lekarza. Gdy później szyła, Karol zwrócił uwagę na połysk i kształt jej cieniutkich i błyszczących paznokci. Lecz nade wszystko olśniły go oczy: „piwne, wydawały się niemal czarne, tak były ocienione rzęsami, i rzucały wprost przed siebie śmiałe spojrzenia, pełne naiwnej zuchwałości". I jeszcze Karol o Emmie po ślubie: „Oczy jej widziane z tak bliska wydawały mu się większe, szczególnie kiedy budząc się raz po raz otwierała i zamykała je na przemian; w cieniu czarne, a szafirowe w świetle, zdawały się mieć warstwy rozmaitych kolorów; ciemne u spodu, barwy te, im bliżej powierzchni, tym stawały się jaśniejsze".

Drobiazgowy opis powierzchowności (u Balzaka np.) zastąpiony został rysem charakterystycznym, spostrzeganym nie przez autora, lecz przez drugiego bohatera. Ta metoda „głównego wrażenia" jest bardziej celna, sugestywna, wrażająca się w pamięć. Dzięki niej charakteryzowane są obie postacie, a czytelnik nie gubi się w nadmiarze cech opisywanych równorzędnie. Nie inaczej pojawiają się na powieściowej scenie *Straconego czasu* Odeta (widziana oczyma Swanna) czy Gilberta (widziana oczyma Marcela). Flaubertowski opis impresjonistyczny stał się regułą sztuki Prousta.

Ładna, zmysłowa, sentymentalna, jest pani Bovary kobietą niezaspokojoną w małżeństwie. Niejasno odczuła to już wkrótce po ślubie, zanim jeszcze pochłonęła ją nuda prowincjonalnej wegetacji. „Pomyliłam się więc — myślała — i starała się dociec słów: szczęście, namiętność, upojenie, słów, które tak pięknie brzmiały w książkach."

Fizjologia, prawie zupełnie niewidoczna u Stendhala, przeakcentowana u Zoli i Goncourtów, w powieści Flaubertowskiej zyskuje sobie należne miejsce. Ciekawe, że w początkowym zamyśle zmysłowość Emmy miała być głównym bodźcem jej postępowania. Wynika to wyraźnie z niedawno ogłoszonych scenariuszy i szkiców do powieści *. Według nich psychika Emmy jest dużo prostsza. Po ślubie „jej zmysły jeszcze się nie obudziły", Emma wkrótce uległa Leonowi, który też nie potrafił jej zadowolić; nowy kochanek, Rudolf, deprawuje ją, porzuca, i Emma znów wraca do Leona. Rozstrojona, bliska histerii, popełnia samobójstwo wskutek cierpień moralnych i nerwowego załamania.

W miarę jednak rozrastania się brulionów (w których pewne fragmenty dochodzą do 12 wersji) czynnik fizjologiczny wzbogacony zostaje charakterystyką psychologiczną i moralną. Wszystko zależy od planu, od koncepcji — pisał często Flaubert. Głębokie przemyślenie tematu każe autorowi zwykłą historię wiarołomstwa (temat wówczas pospolity) ukształtować na miarę wielkiego dramatu psychologicznego. Pisarz szczęśliwie uniknął fizjologizmu Goncourtów. Postać głównej bohaterki uczynił tym złożonym zespołem cech, który przeszedł do języka potocznego jako bovaryzm.

Bovaryzm to ujawnienie sprzeczności między brzydotą świata a fałszywym wyobrażeniem o tym świecie. Między rzeczywistą treścią zjawisk a ich słowną formą. Między tym, co jest, a tym, co wydaje się, że jest. Emma jest nie tylko kobietą zmysłową, lecz i uczuciową. Dlatego jest postacią tragiczną. Emma nie znajduje szczęścia ani w ramionach Rudolfa, ani Leona. Nie dlate-

* Jean Pommier et Gabrielle Leleu: *Gustave Flaubert — „Madame Bovary", nouvelle version précédée des scénarios inédits*, Paris, 1949.

go, że martwi ją rozkład małżeństwa. Emma jest wciąż nieszczęśliwa, ponieważ nie znajduje w otaczającym świecie mężczyzn zdolnych odpowiedzieć jej tą samą siłą uczuć. Nie jest jednak Emma postacią wielką, jak choćby Anna Karenina. Walczy bowiem tylko o własne szczęście, a przy tym jest naiwną, ograniczoną mieszczką, jej horyzont myślowy nie wykracza poza idee jej środowiska. Świat uczuć Emmy przybiera kształt wyobrażeń dziewczyny wiejskiej, która wychowała się w klasztorze razem z dziećmi bogaczy i dla której marzenie raz jeden stało się rzeczywistością: była na arystokratycznym balu w Vaubeyssard. Ten świat pozornej szczęśliwości stał się dla niej światem rzeczywistym. Tragedia pani Bovary polega na tym, że nadchodzi wreszce kres jej wyobrażeń o innym życiu: Emma uświadamia sobie (wciąż myśląc kategoriami pseudoromantycznymi), że jej pragnienie szczęścia nigdy nie może być zaspokojone.

„Ale cóż, nie jest szczęśliwa, nigdy nie była. Skąd ten niedosyt życia, to natychmiastowe rozsypywanie się w proch rzeczy, na których się opierała? Ale jeśli istnieje gdzieś człowiek piękny i mocny, natura wartościowa, pełna entuzjazmu, a zarazem subtelna, serce poety w postaci anioła, lira o spiżowych strunach, dzwoniąca ku niebu elegijne hymny, dlaczego przypadkiem nie miałaby go spotkać? Och, to niepodobieństwo! A zresztą nie warto niczego szukać, wszystko jest kłamstwem!"

Flaubert w słowach tych określił istotę tragizmu Emmy: pragnienie ideału, który gotowa jest pokochać z całej duszy, a jednocześnie znikomość tego ideału i niemożność jego realizacji. I tu także widać, jak dramat psychologiczny zamienia się w dramat społeczny.

„*L'état sentimental d'Emma* — czytamy w jednym z konspektów — *l'avait portée aux sens, les sens exaltés la poussent au sentiment.*" Owe potrzeby zmysłów i potrzeby serca Emmy spowite są szatą frazeologii romantycznej danej przez epokę. Ale przecież splatają się one ze sobą w pragnienie wielkich uczuć, którymi żyje literatura jej epoki. Świat uczuć jest dla Emmy jedynym światem, który może stać się ostoją w jej życiu — który przedstawia dla niej jakąś wartość. Emma wierzy tylko w miłość, w szczęście osobiste. I dlatego jej rozpaczliwe poszukiwanie, jej niepokój i utrata złudzeń wyrażają świadomość klasy, jaka ją wydała. Romantycy francuscy opiewali w poprzednim okresie wielkie uczucia jednostki, zawsze skazane na zły los i zagładę. Nie ma bowiem miejsca dla miłości w ich świecie. Konstrukcja miłosnego wątku stawała się w ten sposób wyrazem braku ideałów społecznych wśród mieszczaństwa porewolucyjnego. Flaubert pierwszy wypełnił tę romantyczną konwencję literacką treścią społeczną, ukazując ludzi we właściwych wymiarach przeciętności i typowości. Już pierwsza *Szkoła uczuć* z 1845 była próbą takiego ujęcia problemu. Lecz dopiero *Pani Bovary* ujawniła w pełni całą pozorność, fałsz i śmieszność ideologii mieszczańskiej (Homais) oraz całą pustkę i tragizm prywatnego życia mieszczańskiego (Emma). Powieść stała się w ten sposób sumą wiedzy nie tylko o francuskiej prowincji z połowy XIX wieku, ale i o mieszczaństwie jako takim.

Ta wielka siła społecznego uogólnienia w powieści przejawia się także — by pozostać tylko przy postaci Emmy — w obrazie burżuazyjnego małżeństwa. *Pani Bovary* jest dramatem o kobiecie, która nie kocha męża i pragnie wyzwolić się z więzów małżeńskich. Związek Emmy z Karolem nie jest charakterystyczny w sensie balzakowskim. Nierówność majątkową — źródło konfliktów w *Komedii ludzkiej* — zastępuje tu nierówność duchowa. Emma mimo wszystko przewyższa Karola nie tylko emocjonalnie, lecz i intelektualnie. Nie może znieść nicości męża. Sądzi nawet, że łatwo znalazłaby pocieszenie w jego wyższej pozycji społecznej. „Czemuż jej mąż nie był przynajmniej jednym z tych wytrwałych uczonych, cichych i pełnych zapału..." I tak jak w tamtej sferze działały na jej wyobraźnię romanse George Sand, tak tu dał znać o sobie wpływ Balzaka, tego piewcy ambicji. Lecz czymże można się stać we Francji Flauberta bez talentów i bez pieniędzy? Emma musi pozostać w swojej kondycji. Podwójnie poniżona, pozbawiona praw legalnego protestu, Emma uosabia typ kobiety udręczonej jarzmem mieszczańskiego małżeństwa. Posłuchajmy jej gorzkich rozmyślań:

„Pragnęła syna, mocnego chłopca o ciemnych włosach. Nazywałby się Jerzy. Myśl, że zostanie matką mężczyzny, była jakby wynagrodzeniem za wszystkie jej dotychczasowe zawody. Mężczyz-

na jest przynajmniej wolny, może przemierzać namiętności i kraje, przezwyciężać przeszkody, zakosztować najbardziej niedostępnych rozkoszy. A kobieta jest wiecznie skrępowana. Bierna i zarazem ulegająca wpływom, ma przeciw sobie wraz z pokusami ciała i zależność prawną. Drży za każdym powiewem, jak jej własna woalka, przypięta do kapelusza. Zawsze jakieś pragnienie ją pociąga, a powstrzymuje jakiś wzgląd na pozory."

Może dlatego niejeden pochyli się ze wzruszeniem nad losem pani Bovary — „wielkiej, jak mówi Baudelaire, a zwłaszcza godnej litości". A może dlatego, że jest człowiekiem skazanym przez świat na samotność i daremną pogoń za szczęściem? Że uosabia człowieczeństwo „cierpiące i zbuntowane"?

*

Uświadomienie sobie sensu ideowego *Pani Bovary* jest dopiero punktem wyjścia do odpowiedzi na dalsze pytania. O ile konflikty powieści wyrażają sprzeczności samego autora? Jaka jest według Flauberta rola artysty w społeczeństwie? W jakim stopniu rewolucja 1848—51 przyczyniła się do skrystalizowania poglądów pisarza. Jakiego odłamu drobnomieszczaństwa jest Flaubert wyrazicielem? Jak tworzył? Nauka nie dała jeszcze definitywnych odpowiedzi. Wprawdzie rozstrzygnięto już liczne „jak", ale wiele „dlaczego" pozostaje zagadką. Nowe światło na niejeden problem, w szczególności tyczący się artyzmu, mogą rzucić wydawane *inedita* materiałów pomocniczych. Filologia ma tu przed sobą wdzięczne zadanie.

Niech mi wolno będzie podać przykład ilustrujący metodę twórczą pisarza przy pracy nad zmieniającym się portretem wewnętrznym Emmy. Porzuciwszy pierwotny pomysł pożycia Emmy i Leona, Flaubert maluje subtelnymi barwami jej miłość do tego prowincjonalnego Romea. Emma przeżywa całe piekło wahań, wzruszeń i porywów kobiety uczuciowej i zmysłowej, a przy tym cnotliwej i wiernej. Oto jak brzmi ta wersja:

„Niekiedy zresztą sama już nie wiedziała, co się z nią dzieje, kocha czy nie kocha, w czym ma upodobanie, a do czego wstręt, i czy sam Leon nie wydaje się jej obojętny. Od rozmyślań i udręczeń wszystko plątało się w jej umyśle; niewola serca, wyrzeczenia, tyle dni minionych i tyle lat przed sobą, żale i nadzieje, potrzeby i pragnienia ciała, porywy serca i fantazje umysłu — wszystko to gmatwało się, a cały ów niedosyt i całe wrzenie obracało się w gorycz. Przez osobliwą potrzebę ascetyzmu Emma, zamiast odwrócić od tego swoje myśli, przywiązywała się do nich z całych sił i wzniecała w sobie nowe cierpienia, które — czerpane z otoczenia — wypełniały ją bez reszty. Pasjonowała się zarówno rzeczą ważną, jak błahą: przesuwała serce jak gąbkę po wszystkich zakamarkach swego życia, gniotła ją z zacietrzewieniem i wyciskała ustawiczną nudę" (itd., następują trzy inne metafory).

Redakcja ostateczna wygląda zupełnie inaczej:

„Pragnienia ciała, żądza pieniędzy i melancholijna namiętność, wszystko to splotło się w jedno cierpienie i zamiast odwrócić odeń myśli, przywiązywała się doń coraz bardziej, szukając wszędzie okazji, by rozjątrzyć swój ból. Irytowała ją źle podana potrawa i niedomknięte drzwi, wzdychała żałośnie do aksamitów, których nie miała, i do szczęścia, którego jej brakło, opłakiwała swoje marzenia zbyt górne i domek zbyt ciasny."

Poprawki Flauberta, jak widać, cechuje troska o konkretność i celność przy równoczesnej dbałości, by nie uronić nic z przeżyć bohaterki. Bo oto zbędne metafory znikają, a obraz, ułożony z owych jak z brązu odlanych fraz Flaubertowskich, nabiera niezwykłej precyzji. Jest zwięzły i sugestywny.

Oprócz przykładu słynnych „udręk stylu" nasuwa się tu jeszcze inne zagadnienie: opis wnętrza postaci. Dzisiaj, kiedy dziedzictwo Flauberta zostało wchłonięte przez tradycję literacką, kwestia ta nie budzi na pierwszy rzut oka refleksji. Porównajmy jednak technikę kompozycyjną autora *Eugenii Grandet* i autora *Pani Bovary*. Metoda Balzaka jest znana: ekspozycja zawierająca prezentację czasu i miejsca oraz drobiazgowy opis zewnętrznych i wewnętrznych rysów postaci z podkreśleniem zasadniczej cechy charakteru; dalej weryfikacja tej cechy w trakcie silnie spiętrzonego konfliktu. Grandet, Hulot, Vautrin są zawsze tacy sami. Zmieniają się tylko wydarzenia, które uwypuklają ich charaktery. Inaczej

u Flauberta. Aby oddać szarzyznę i zastój wegetowania na prowincji, musiał Flaubert sięgnąć do nowych środków artystycznych. Jego powieść to seria obrazów przemyślanych do najdrobniejszych szczegółów. Następuje w nich przesunięcie uwagi z wydarzeń na przeżycia bohaterów, na rysunek ich stanów psychicznych. „Faktów brak [w *Pani Bovary*] — pisał jej autor. — Uważam, że myśli są faktami. Trudniej jest nimi zainteresować [...] Gdybym chciał dorzucić do tego akcję... popsułbym wszystko." Tylko jeszcze opis miejsca i czasu jest niekiedy balzakowski. Charakterystyka stanowi wielkie *novum*. Każdy następny obraz pogłębia charakterystykę z obrazu poprzedniego, a dotyczy to rysów zewnętrznych i wewnętrznych. I główny bohater zmienia się. Obraz jego wnętrza ukazany jest w dwóch płaszczyznach: poprzez narrację odautorską i poprzez jej ilustrację w działaniu. Unika w ten sposób Flaubert rozwlekłych opisów Balzaka i stendhalowskiego monologizowania bohatera na temat własnych przeżyć. Doniosłą funkcję pełni tu stosowana na szeroką skalę mowa pozornie niezależna.

Nowatorski jest również sposób obrazowania postaci satyrycznych. Flaubert przypomina już w tej dziedzinie sztukę Prousta: kilka charakterystycznych kresek, a reszty dopełnia dialog.

Homais:

„Przy kominku, grzejąc sobie plecy, siedział jakiś człowiek w pantoflach z zielonej skórki, w aksamitnej czapce ze złotym chwastem. Na jego twarzy, z lekka poznaczonej przez ospę, nie malowało się nic, prócz zadowolenia z siebie. Zdawał się być równie pogodny, jak szczygieł w klatce, zawieszonej nad jego głową. Był to aptekarz."

Doktor Cottard:

„Doktor Cottard nigdy nie wiedział całkiem na pewno, z jakiego tonu ma komuś odpowiedzieć: czy partner żartuje, czy mówi serio. Na wszelki wypadek doktor okraszał stale twarz szkicem konwencjonalnego i prowizorycznego uśmiechu, którego wyczekująca domyślność miała go ratować od zarzutu naiwności, w razie gdyby czyjeś powiedzenie okazało się żartem. Że jednak na wypadek przeciwnej ewentualności doktor nie pozwalał temu uśmiechowi jawnie rozkwitnąć, na twarzy jego bujała ustawiczna niepewność; czytało się na niej pytanie, którego nie umiał zadać: »Czy pan to mówi serio?«."

O problemach stylu i kompozycji *Pani Bovary* pisano wiele. Okazuje się, że nie są one wyczerpane. Przyjrzenie się im z bliska pozwala lepiej ocenić sztukę Flauberta. O jej wielkości stanowi to doskonale warunkujące się zespolenie treści i formy. Ono też decyduje o nowatorstwie powieści. „Nie sądzę — pisał Flaubert do Luizy Colet w r. 1852 — aby nie można było analizie psychologicznej nadać tempa, celności i atrakcyjności właściwej opowieści czysto dramatycznej. Nikt jeszcze o to się nie pokusił, a byłoby to wspaniałe. Czy mi się powiodło choć trochę?"

Z dystansu stu lat odpowiedź czytelników *Pani Bovary* będzie jednoznaczna.

Jerzy Parvi

PRÓBA OKREŚLENIA CZŁOWIEKA

Książka Roberta Antêlme'a *L'Espèce humaine* dziesięć lat niemal przeleżała nie zauważona. Nie mogło być inaczej. Wydana w 1947 roku była przedwczesną próbą ukazania w świecie koncentracyjnym człowieka w ogóle, człowieka jako przedstawiciela rodzaju ludzkiego. Lata bezpośrednio powojenne, żyjące pamięcią zbrodni konkretnych oprawców i cierpień konkretnych ofiar, nie sprzyjały próbom wyjścia poza taką konkretność. Mówić o obozach koncentracyjnych nazajutrz po wyzwoleniu znaczyło własnym przeżyciem dokumentować powszechną zbrodnię, grozę, a przed wszystkim własnym przeżyciem wznosić powszechne oskarżenie. Antêlme tego celu nie unika. O życiu w obozie w Gandersheim (komando Buchenwaldu) mówi wszystko i tego starczy na oskarżenie olbrzymie. Ale Antêlme — i to tłumaczy niepopularność jego

książki przed dziesięciu laty — nie zatrzymuje się na tym. Można by powiedzieć, że to wszystko: obóz koncentracyjny, zbrodnie, własna męka, są tylko pretekstem, podstawą do odkrywania, do wypatrywania nowych, bo nie występujących tak intensywnie jeszcze nigdy i nigdzie, stron człowieczeństwa.

Książka Roberta Antêlme'a, wznowiona dzisiaj (Gallimard), jest po dziesięciu latach jednym z największych we Francji wydarzeń literackich. Czytana dzisiaj, oddziałuje nie tą pierwszą warstwą dokumentu obozowego — znamy dokumenty bardziej wstrząsające, bardziej pełne — ale tą zdobytą męką i cierpieniem, wyszarpaną z piekła grozy sumą wiedzy o człowieku, człowieku w ogóle. I właśnie te eseistyczne, filozoficzne stronice, i tylko one, dają książce Antêlme'a rangę arcydzieła.

Jakie są granice człowieczeństwa, co w człowieku jest niezniszczalne? Jakie są granice wytrzymałości ludzkiego ciała? — Antêlme stawia te same pytania, które stawiał — pamiętamy — pod niebem bohaterstwa Saint-Exupéry. Wieczne pytania rodzaju ludzkiego. Aż groza bierze, że Antêlme je stawia. Bo jego pytania brzmią całym tragizmem beznadziei. Zasadnicze pytania ludzkości, pytania o kierunek lotu natchnienia, Antêlme stawia na samym dnie poniżenia, w hańbie, w głodzie, w agonii — i jak sam powiada — po prostu w gównie. Tu, gdzie on żyje, nie ma miejsca na nic poza biologią, tu nawet słowo bohaterstwo umarło. Jakżeż tu czekać na odpowiedzi? Ale odpowiedzi przychodzą. Granice człowieczeństwa są tak samo bezgraniczne, jak granice wytrzymałości ludzkiego ciała. I tutaj, w gównie Gandersheimu, nie mniej dumnie niż w wiecznych śniegach Andów brzmią słowa Guillaumeta: „Tego, co ja zrobiłem, żadne zwierzę by nie zrobiło". Tutaj, w gównie Gandersheimu, człowiek także potrafi być niezniszczalny, nieśmiertelny.

Antêlme analizuje mękę obozową. Analizuje — to nie jest z pewnością słowo odpowiednie. W każdym razie jego metoda polega nie na gromadzeniu grozy (obóz Gandersheim nie posiadał zresztą tak precyzyjnej aparatury okrucieństwa jak inne obozy), lecz na badaniu wszystkich konsekwencji, biologicznych, psychologicznych, a także metafizycznych, udręczenia. Antêlme ukazuje największą grozę obozowego świata: metafizykę głodu, metafizykę zimna i metafizykę wysiłku. Nie wystarczy walczyć z głodem, zimnem i zmęczeniem jako takimi. Trzeba jeszcze walczyć z ich ostatecznością, z ich specyfiką śmierci, która spoza nich wyziera. Metafizyka udręki to ustawiczna, nieunikniona obecność spraw ostatecznych.

W normalnych warunkach sprawy ostateczne to rezerwa luksusowa — filozofia, literatura, poezja losu. O nich się myśli, rozważa się je, rozstrzyga jakby na marginesie życia, po uregulowaniu doraźnych spraw gatunku, po zaspokojeniu głodu, po wykonaniu pracy, jak gdyby nadobowiązkowo. Oczywiście choroba, niebezpieczeństwo, zachwycenie stawiają przed oczy ogrom losu, kataklizm śmierci czy miłości, ale wówczas świadomość jest już tylko świadkiem stawania się czegoś, w czym bierze udział, oczywiście, w czym jest jak najbardziej nawet zaangażowana, ale wobec czego jest bezradna. Jest więc szczęściem lub rozpaczą. Antêlme ukazuje natomiast po prostu biologiczną, nieuniknioną obecność spraw ostatecznych w każdej myśli, jakiejkolwiek. Żebyż tylko myśli! Od myśli można by się obronić. Na myśli są sposoby: nie myśleć. A więc gorzej, nie tylko w każdej myśli. W każdym geście, w każdym ruchu, w każdym poruszeniu ręki, nogi, języka, warg. Wszystko mówi o śmierci. Bo każda chwila obozu to nie tylko ogrom piekła realnego, to także piekło metafizyki.

„Jesteśmy tutaj wszyscy... po to, aby umrzeć. To jest cel, jaki nam esesi wyznaczyli. Ani nas nie rozstrzelali, ani nie powiesili, ale każdy z nas, pozbawiony niezbędnej ilości pożywienia, umrze w odpowiednim czasie. Jedynym więc celem każdego jest chronić się od śmierci. Chleb, który dają, jest dobry, bo chce się jeść, ale on nie tylko zaspokaja głód, dzięki niemu życie broni się w ciele. Zimno jest dokuczliwe, ale nie tylko jest dokuczliwe, esesi chcą nas zimnem na śmierć zamęczyć, więc trzeba się bronić przed zimnem, bo w nim jest śmierć. Praca jest wyczerpująca, bezsensowna, ale zużywa nas, a esesi chcą nas pracą zamęczyć; trzeba więc unikać pracy, bo w pracy jest śmierć. I jest czas także: esesi myślą, że w głodzie i wysiłku jest nasza śmierć, esesi myślą, że zmogą nas zmęczeniem, czyli czasem. W czasie jest śmierć."

Głód, zimno, wysiłek, choroba, dora-

żne okrucieństwo, razy, tortury, tysiące postaci śmierci. Ciało ludzkie, skurczone, zmarniałe do ostateczności, myśli o sytości, cieple, odpoczynku, i tą myślą ratuje się, jak może, przed ustawiczną, nachalną myślą o śmierci. Ale to nie jest jedyna walka człowieka koncentracyjnych obozów. Bo śmierć nie jest tam ostateczną klęską. Można umrzeć z poczuciem zwycięstwa, z całą nienaruszoną pomimo unurzania w gównie godnością człowieczeństwa. Byle tylko nie stoczyć się w anonimowy strach, anonimowe poniżenie, anonimowe błoto moralne, tam, gdzie się już nie jest sobą, a jedynie odbiciem powszechnej grozy.

Antêlme mówi, że walka o człowieczeństwo toczy się właśnie tutaj, walka o człowieczeństwo to walka z grożącą anonimowością. Cała nadzieja gatunku ludzkiego jest w obronie tych wartości, które wyodrębniają, uświęcają osobowość człowieka. Człowiek odarty z własnych, jedynych myśli, uczuć, ambicji, pragnień — to tylko tworzywo masy, materii do komenderowania. Wielkość człowieka jest tylko w jego niepodległości. Całkowitej i nienaruszalnej.

„Esesi, którzy mają nas za niezróżnicowaną masę, nie mogą nas doprowadzić do stanu masy... Człowiek koncentracyjnych obozów nie jest unicestwieniem indywidualności. Przeciwnie, on jest jej realizacją... Nikt z nas nigdy nie stanie się dla siebie swoim własnym esesem."

Antêlme ukazuje nie tylko granice, ale i olbrzymie perspektywy człowieczeństwa. Własnym cierpieniem, głodem, wycieńczeniem wydarł z piekła koncentracyjnego autentyczną nadzieję. Książka Roberta Antêlme'a jest nie tylko jednym z najpiękniejszych, ale także przekonywającym wyznaniem wiary w człowieka, w wielkość i niezniszczalność ludzkiej osobowości.

Zbigniew Bieńkowski

REPORTAŻE NADY MARINKOVIĆ *

Serbska literatura podróżnicza ma pewne cechy, które występują w niej od chwili jej powstania w wiekach średnich aż do dzisiaj. Twórczość ta reprezentowana jest właściwie małą ilością dzieł doskonałych i wiąże się ściśle z człowiekiem jako indywidualnością twórczą. Przeważnie były nimi centralne postaci życia literackiego w danej epoce. Zacznijmy od XV wieku i przypomnijmy sobie od dawna zapomnianego polsko-serbskiego autora opisów podróży i kronikarza, Michała Konstantynowicza z Ostrowicy, który w swoich pamiętnikach z podróży do Turcji stworzył obraz pierwszego janczara, obraz własny, obraz pierwszego serbskiego reportażysty, który swój jedyny utwór napisał po polsku. Warto wymienić tu Lubę Nenadovicia, którego opisy podróży stanowią klasyczny utwór jugosłowiańskiej literatury tego gatunku i równocześnie bogate źródło dla badań twórczości największego jugosłowiańskiego poety, Petra Petrovicia Njegosza.

Te charakterystyczne cechy serbskich opisów podróży odziedziczyła książka Nady Marinković — *Sens i miłość*, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich w Jugosławii. Opisy podróży N. Marinković dają świadectwo ludziom, którzy nadali piętno naszym czasom. Są to intymne, dobrane spotkania z ludźmi żyjącymi i już nieżyjącymi: z Czajkowskim, Erenburgiem, Sartrem, Camusem, Ludomirem Michałem Rogowskim (zamieszkującym od lat i niedawno zmarłym w Dubrowniku kompozytorze polskim — przyp. tłum.), Veljkiem Petroviciem i innymi... Są to cenne świadectwa spotkań, które są dzisiaj już niepowtarzalne lub takimi się staną. Postaci otoczone klimatem... Moskwy, Dubrownika, Gruzji, Paryża. Jest to książka, która mogła się stać dokumentem, reportażem, zbiorem audycji radiowych, ale nie stała się żadną z tych rzeczy. Stanowi ona doskonały opis podróży. Nie jest to tajemnicą: książka ta po zdobyciu powodzenia w Jugosławii tłumaczona

* Nada Marinković: *Smisao i Ljubav (Sens i miłość)*, Zagrzeb, Wyd. „Seljacka Sloga" (Chłopska Jedność), 1955.

już jest dzisiaj na język rosyjski i francuski.

Autorka wyróżniających się notatek z podróży do Włoch i obszernej książki o Chinach (w przygotowaniu), wieloletni współpracownik radia belgradzkiego, N. Marinkowić miała możność zetknięcia się z wieloma ludźmi i kilkoma kontynentami. Te spotkania, ciekawe same przez się, spełniałyby swe zadanie niezależnie od tego, w jakich występują szatach. N. Marinković nie unika kuriozów, jest to zresztą kanwą wszelkich dzienników podróży. Książkę jej jednak można by nazwać wszystkim innym, ale nie zbiorem ciekawostek. Głęboka i wszechstronna kultura autorki uszlachetniła te spotkania. Ale nie to jest podstawową cechą książki; jej szczególny urok leży w tym, że wrażenia zawarte w niej zostały przeżyte i oddane w specyficzny, kobiecy sposób. Może to w tym wypadku oznacza zwracanie się raczej do słuchu niż do wzroku czytelników, ale w każdym razie nie oznacza to jeszcze wszystkiego. Tu siła i efekt artystyczny osiągnięte zostały całą skalą specyficznie kobiecych środków, które niemal biologicznie różnią się od środków, do których przywykliśmy w (nazwijmy je tak) książkach męskich. Czytelnik tych słów winien mieć na uwadze, że serbska literatura posiada cenne, podobne precedensy w doskonałych dziełach literackich takich autorów, jak Desanka Maksimović (znana w Polsce) i Izydora Sekulić. W tym właśnie kryje się tajemnica powodzenia jeszcze jednego utworu: notatek z podróży N. Marinković.

Czy podróżujemy po to, aby znajdować t o s a m o, czy p r z e c i w i e ń s t w a? Czy w tym poszukiwaniu oczekujemy na spełnienie odwiecznego c u d u? To są pytania, które N. Marinković stawia na początku swojej książki. My zapytujemy: czy możliwość stawiania takich pytań nie jest odkrywaniem tych cudów? Czy literatura nie jest tym odwiecznym spełnianiem cudów? Czyż uwiecznienie przeszłości nie jest cudem? A książka Marinković pełna jest uwiecznionych doczesności. W pierwszej części utworu spotykamy Izydorę Sekulić * i niezapomniany ból, któremu na imię Skerlić *. Znajdujemy uwiecznionego dla przyszłych pokoleń Wiktora Car Emina, istryjskiego bojownika o wolność i pisarza. Jest tu zarówno France Bevk ** jak i Ivo Andrić ***. Poprzez panoramę Zagrzebia na stronice tej książki spływa czar nieżyjącego już dziś Vladimira Nazora, a w intymnej atmosferze jednej z belgradzkich ulic wita nas szerokim gestem Veljko Petrović ****. Prawie wszystko, co ma modernistyczna jugosłowiańska literatura do pokazania, znalazło pewne odbicie na stronicach tej książki. Ciekawy jest sam pomysł książki — jest to mała antologia niektórych spotkań, album szkiców, które pewnego dnia staną się historią literatury. Wszystko to sprawia, że utwór ten w przyszłości będzie stanowić poważną pozycję.

Ale książka N. Marinković może zainteresować nie tylko czytelników jugosłowiańskich i tych, którzy interesują się literaturą jugosłowiańską Zasięg jej jest o wiele szerszy. Ujmując czas i przestrzeń jako trójwymiarową całość, Marinković nie zadowala się jedynie podróżowaniem od Bałtyku do Kaukazu, lecz w poszukiwaniu minionego czasu odwiedza Tołstoja w domu, w którym niegdyś mieszkał, ukazuje muzyczny gobelin ciszy w domu Czajkowskiego, wyszukuje do swego opowiadania rzadkie szczegóły w domu, w którym mieszkał i umarł A. Puszkin, i zwiedza dziwne miejsce pobytu innego wielkiego pisarza — celę w twierdzy petropawłowskiej, w której siedział Gorki. Jednak w centrum jej zainteresowania znajduje się współczesna Rosja i jej życie artystyczne. Znakomite spotkanie z Erenburgiem, Ułanową, która „tego wieczora tańczyła Julię", teatr Puszkina, niezapomniane spotkanie z wielkim Czerkasowem... Ale to nie jedyny świat istniejący w książce N. Marinković. Jest tu również salon kosmetyczny w Kijowie i jego klienci, sobotnie popołudnie na Ukrainie, balet gruziński i powietrzny chrzest rodacz-

* I. Sekulić (ur. w 1877 r.) — jugosłowiańska autorka licznych nowel, reportaży i esejów.

* J. Skerlić (1877—1914) — wybitny krytyk serbski.

** France Bevk — pisarz słoweński.

*** I. Andrić — wybitny pisarz jugosłowiański, którego znamy w Polsce z wydanych niedawno u nas książek: *Most na Drinie* i *Pragnienie*.

**** Veljko Petrović — popularny pisarz serbski starszego pokolenia — (przyp. tł.).

ki Rustawelego... Cichy Don... Rosja widziana w sposób modernistyczny, spotkanie oko w oko z tym, o czym się czytało.

Raptem styl się zmienia. Galijska bystrość zastępuje słowiańską rozlewność i nagle Paryż odsłania przed nami swych bogów. Znowu szereg spotkań. Tym razem są to: Jean Cassou, Georges Duhamel, Mauriac, André Maurois, Sartre, Albert Camus. Ale ta podróż do Paryża nie jest dla autorki jakimś wyjazdem; to jest w pewnym sensie powrót do domu. Czytając te właśnie stronice może w najpełniejszym stopniu odczujecie dyskretny artyzm N. Marinković.

Milorad Pavić

(przeł. Zygmunt Stoberski)

O POTRZEBIE „ZŁYTOPTAKÓW"

Po odczycie Artura Sandauera o literaturze polskiej ostatniego dziesięciolecia, wygłoszonym w Paryżu pod egidą *„Lettres Nouvelles"*, odezwał się w prasie krajowej dobrze nam znany motyw „złytoptaka", co na obcym podwórku własną brudną bieliznę kala. Nie jest to odruch specyficznie polski: podobną metodę stosuje we Francji faszystowski *„Rivarol"* wobec francuskich pisarzy protestujących przeciw torturom w Algerii, podobnie reagują (rzadkie, trzeba przyznać) pisma niemieckie wobec pisarzy Niemców, którzy nie chcą zapomnieć hańby obozów koncentracyjnych i ludobójstwa. W dzisiejszej Polsce jednak, gdzie daleko posunięta jest swoboda krytyki wewnętrznej (cóż powiedział Francuzom Sandauer takiego, o czym by już wielokrotnie w Kraju nie był mówił i pisał?), ta zasada, że choćby cię smażono i palono w smółce, nie mów cudzoziemcom, co się dzieje w Polsce, stanowi przerażającą regresję do mentalności sanacyjnej i ozonowej, „propagandy" na poziomie Światpolu i Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Rzecz jasna, wystąpienia w rodzaju odczytu Sandauera nie tylko Polski nie „kompromitują", ale mają skutki wręcz przeciwne. „Cudzoziemcy" (czy w przedwojennej gwadze emeszetowej „etranżerowie") nie są jednolitą, zarazem złośliwą i naiwną szkolną dziatwą, którą trzeba karmić wyłącznie przeżutą papką o Naszych Wielkościach Narodowych. Paryscy słuchacze, od lat przyzwyczajeni do jednolitej polskiej propagandy (ton „radosnej twórczości" obowiązywał przynajmniej od r. 1935, a „Polska Ludowa" doprowadziła w latach 1949—56 ten właśnie ton do absurdalnej karykatury), byli niewątpliwie zaskoczeni, że Sandauer traktuje ich jak ludzi dojrzałych, obdarzonych zmysłem krytycznym. Wywnioskowali — nieco pochopnie — że dojrzałość i zmysł krytyczny są cechami dzisiejszej Polski.

Mam przed sobą list przyjaciela, jednego z przywódców szwajcarskiej partii socjalistycznej. Pisze mi ze smutkiem o „uprawnieniach specjalnych", zaaprobowanych przez francuski parlament, i niepokoi się, czy nie wyniknie z tego dalsze skrępowanie wolności francuskiej prasy. Nawiązuje przy tym do odczytu Sandauera (ogłoszonego przez socjalistyczny tygodnik *„Demain"*), pisząc, że cieszy się, iż dzisiaj Polska zaczyna dawać Europie lekcje socjalizmu i wolności. Daleki jestem od podzielania jego złudzeń. Ale z pewnością nic od kilkudziesięciu lat nie dało Polsce za granicą takiego prestiżu, jak opór postawiony stalinizmowi i dążenie do przywrócenia socjalizmowi jego realnej treści. Mój przyjaciel Szwajcar nie przyjmuje zresztą bez zastrzeżeń tez Sandauera: „Nic mnie nie przekona — pisze on — że poemat Ważyka nie był aktem wielkiej odwagi i nic mu nie odbierze historycznego znaczenia. Ale rozumiem, że ludzie, którzy w Polsce podobnie myśleli przez cały czas stalinowskiej tyranii, nie chcą dać robotnikom ostatniej godziny nagrody, którą dość niesprawiedliwie przepisuje Ewangelia. I cieszy mnie, że mogą to mówić otwarcie".

Obecnie dowiaduję się z listów z Pol-

ski, że artykuł Sandauera o Rudnickim został tam również „przyjęty z oburzeniem". Piszą mi to ludzie dalecy zresztą od tej pogardy dla zmysłu krytycznego emigracji, która była cechą biuletynu *„Kraj"*. Nie — tutaj działają bodaj nieco inne elementy: klasowej (tak!) solidarności. „Pisarz w ten sposób o pisarzu!" — naiwny odruch odsłaniający cały system przywilejów: podobnie mawiali hrabiowie, młode ziemianki, członkowie Resursy Kupieckiej... Czy nie przychodzi tym ludziom na myśl, że tylko zrywając całkowicie z tą „sztamą", nawet za cenę ryzyka niesprawiedliwości, można polską literaturę, sztucznie i katastroficznie hodowaną w socrealistycznej cieplarni, nauczyć odpowiedzialności?

Myślę, że nawet na emigracji stosowaliśmy wobec dzieł krajowych „taryfę ulgową". Przyznaję, że socrealistyczne elementy *Żywego i martwego morza* traktowałem jako zło konieczne, jako daninę tak oczywistą, że stała się niewidzialna. Zniechęciły mnie do Rudnickiego dopiero *Niebieskie kartki*, a zwłaszcza oburzająca wsteczność, ciemnota i mdły sentymentalizm jego reakcji na cenny artykuł Jacka Bocheńskiego w obronie środków antykoncepcyjnych, którą słusznie podkreśla Sandauer. Zdania Rudnickiego, że należy Polskę przekształcić w Spartę, przesuwając „punkt ciężkości z literatury i sztuki na pracę, na wojsko, na sport", nie znałem. To jedno zdanie zasługuje na artykuł taki, jak *Bez taryfy ulgowej*. Przed wojną mogło takie zdanie pojawić się chyba w gazetkach Falangi czy Oeneru, a co najwyżej w *„Polsce Zbrojnej"*. Stąd wniosek, jak jest konieczny dziś ostry ton inteligentnej krytyki.

K. A. Jeleński

Notę K. A. Jeleńskiego, która ukazuje się we wrześniowym numerze *„Kultury"*, publikujemy za zgodą redakcji paryskiego miesięcznika.

WITAMY

Nowe miesięczniki literackie są już podobno faktem. Za dwa—trzy miesiące ukażą się pierwsze numery.

A więc przede wszystkim *„Rzecz"*, pismo awangardy artystycznej, któremu patronuje Julian Przyboś, a w którym pierwsze skrzypce trzyma Artur Sandauer. *„Rzecz"* skupi zapewne rozproszone, nie posiadające jak dotąd żadnego wspólnego programu, działające po omacku, na wyczucie — młode, fermentujące grupy literackie i malarskie. Sądząc z samej aury otaczającej ten ośrodek, a więc sądząc trochę z powietrza, *„Rzecz"* bojowością przewyższy i *„Zwrotnicę"*, i *„Linię"*. Niebawem, bo wreszcie nadejdzie i ta chwila, zapytamy o program. Na razie, sądząc z nazwy pisma, punktem wyjścia ideologii awangardy jest poezja Mirona Białoszewskiego.

Drugim nowym miesięcznikiem literackim będzie *„Europa"*, skupiająca rozszerzony (nie odmłodzony jednak) zespół starej *„Kuźnicy"* z Andrzejewskim i Juliuszem Żuławskim na czele, a Ważykiem w zanadrzu. Odmiennie niż w wypadku *„Rzeczy"* o *„Europie"* dotychczas nic nawet domyślić się nie można. Tytuł sugeruje tak wiele, że chyba wszystko. Pierwszego numeru czekamy więc dosłownie jak objawienia.

Nowe miesięczniki literackie dokładnie określą się wreszcie same. Życzymy im tego gorąco.

Niezależnie od stylu, jaki sobie wyrobią, niezależnie od twarzy, jaką na siebie włożą, niezależnie od pozycji, jaką sobie nowe pisma zdobędą, sam fakt zogniskowania się ruchu literackiego w miesięcznikach uważamy za *novum*, za bardzo cenne *novum* w naszym życiu kulturalnym. Oczywiście miesięczniki były zawsze. Były, ale jakby na marginesie, nawet nie notowane na literackiej giełdzie. Odmiennie bowiem niż na całym świecie, odmiennie niż w całej Europie, gdzie ruch intelektualny skupia się w miesięcznikach, u nas od bardzo dawna rząd dusz sprawują tygodniki. Od czasów *„Wiadomości Literackich"* tygodnik jest nie tylko giełdą (co byłoby naturalne), ale także mózgiem literatury. Ten zwyczaj cotygodniowego, w strawnej, lekkiej postaci, efektownego i bezbolesnego zapładniania myślą i duchem czytającego społeczeństwa doprowadził w konsekwencji do zaniku pewnych cech umysłu, uzdolnień, może nawet narządów intelektualnych. Konieczność cotygodniowego, a więc w praktyce od ręki, załatwiania filozofii, teorii poznania, estetyki (bo ostatecznie kryty-

a literacka pojmowana serio jest tym szystkim) wyrobiła znów pewne ce- hy, uzdolnienia, może nawet narzą- y. Aż za dobrze wiemy jakie. To nas filozofia jest dowcipem, estety- a połyskiem stylu, to u nas felie- on jest królem literatury.

Felieton, jak wiemy, to urocza forma teracka. Bawi, wzrusza, wzburza, roz- zula, pouczy czasami. To arcyforma ublicystyki. Szanowana, piękna. Ale ipertrofia felietonu to doprawdy pie- ło. Kiedy wszystko ma postać fe- etonu, dłuższego czy krótszego, ale awsze felietonu, z pointą i dowci- em zamiast wniosku — to chyba prze- ada. Felietonem wstępniak, felietonem sej, felietonem reportaż, recenzja tea- alna, omówienie krytyczne, nawet iersze już umieją być felietonami... o właśnie tygodniowy tryb życia in- elektualnego tę hipertrofię felietonu twarza. Niechby felieton był nareszt- ie tylko felietonem. Błyskotliwość i owcip to są piękne rzeczy, ale jak one ą tylko? Dowcip i dowcip nieudany, łyskotliwość i błyskotliwość fałszy- ra — i nic więcej?

Ośrodki, grupy literackie, *„Rzecz“*, *Europa“*, *„Pewien kwiat“* (tytuł robo- zy), cokolwiek o nich sądzimy, decydu- ąc rozpoczęcie batalii literackiej z ła- ów miesięczników wystawiły sobie nakomite świadectwa. Walka literacka ędzie się więc nareszcie toczyła nie pozycje na giełdzie, ale o sprawy. odniesie to z pewnością poziom życia ntelektualnego w Polsce. Początki nie ędą łatwe. Już współpracowników nie ntwo jest zwerbować, cóż dopiero czy- elników. Ale po kilku latach wytężo- ej pracy wyniki przyjdą z pewnością. Wiemy o tym z własnego doświadcze- nia. Czytelnik miesięcznika literackie- o to czytelnik wytrawny, samodziel- y, mało wrażliwy na sam połysk sty- styczny, to felietonowe słońce. Trze- a czegoś więcej. Ale gra warta wieczki.

Kiedy dyskusje literackie nabiorą łębi i powagi, kiedy krzyżować się ędą nie języki, ale idee, kiedy błysz- zeć będą nie dowcipy, ale myśli, wte- y — po cóż zresztą prorokować — sa- i zobaczymy. A tygodniki na tym szystkim tylko wygrają. Staną się nie- astąpionym źródłem informacji, jak a całym świecie.

zb

„OPINIE“

Ukazał się w kioskach pierwszy numer *„Opinii“* — kwartalnika poświęconego kulturze radzieckiej.

„Opinie“ przyjęte zostały z dużym zainteresowaniem i bardzo życzliwie. Świadczą o tym zarówno recenzje w prasie codziennej, jak i powodzenie pisma wśród czytelników. Ten ostatni objaw jest szczególnie pocieszający. Wynika z niego bowiem niezbicie, że wieloletnie wysiłki urzędowych apologetów i wulgaryzatorów nie zdołały odstręczyć naszego środowiska kulturalnego od literatury i sztuki radzieckiej, że istnieje realne zapotrzebowanie społeczne na rzetelną informację o jej problemach, bolączkach i osiągnięciach.

„Opinie“ przynoszą dużo ciekawych pozycji. Z utworów oryginalnych wymienić należy przede wszystkim starannie opracowany wybór poezji radzieckiej (Pasternak, Mandesztam, Zabołocki, Cwietajewa, Słucki, Martynow), fragment powieści wielkiego poety rosyjskiego, Borysa Pasternaka — *Doktor Żywago*, oraz nieznany w Polsce dramat klasyka współczesnej literatury radzieckiej, Izaaka Babla — *Zmierzch*. Prozę najnowszą reprezentują *Dźwignie* Jaszyna i *Światło w oknie* Nagibina — utwory, które — jak wiadomo — stały się ostatnio w Związku Radzieckim przedmiotem nader ożywionej dyskusji.

Rozbudowany dział krytyczny zawiera artykuły i recenzje Stawara, Pollaka, Fedeckiego, Sterna, Piotrowskiej i Treugutta oraz napisaną specjalnie dla *„Opinii“* pracę młodego krytyka radzieckiego, Władimira Ogniewa, o Aleksandrze Twardowskim. Ten ostatni artykuł pozwala żywić nadzieję, że *„Opinie“* staną się areną tak potrzebnej przyjacielskiej i rzeczowej wymiany poglądów między pisarzami polskimi i radzieckimi.

Warto także wspomnieć o obszernej kronice kulturalnej, która obejmuje nawet takie dziedziny, jak filozofia i architektura.

Z ciekawością oczekujemy nowych numerów pisma.

jm

LISTY HEINEGO

Historia listów Henryka Heinego jest nie mniej osobliwa niż burzliwy żywot tego poety. Ich zebranie i wydanie stanowiło dla badaczy twardy orzech do zgryzienia, a to z kilku powodów. Po pierwsze, listy Heinego były rozproszone po całej Europie, a niektórzy posiadacze korespondencji, jak Rotszyldowie paryscy, rodzina George Sand, zazdrośnie strzegli jej tajemnicy. Najbardziej zawiniła rodzina Heinego, która niedbale obeszła się ze spuścizną pisarza, niszcząc wiele jego listów, oddając je w niepowołane ręce lub zniekształcając. Heine niezbyt pochlebnie wyrażał się o swoich krewnych, toteż wyłazili ze skóry, aby zatrzeć ślady kompromitacji.

Przez długie lata edycją korespondencji Heinego zajmowali się ludzie niekompetentni, którzy opierali się na odpisach lub nieautentycznych wersjach. Charakterystycznym przykładem jest tutaj Karpeles, który wydawał dzieła i listy Heinego w sposób nader niechlujny. Badacze wytknęli mu mnóstwo błędów, niekiedy wprost żenujących. Sprawa ruszyła dopiero z martwego punktu, gdy zajął się nią zasłużony badacz Heinego, Fryderyk Hirth, który poświęcił całe życie skompletowaniu korespondencji Heinego. Pomiędzy 1914 a 1920 rokiem wydał Hirth trzy tomy listów Heinego, ale edycja ta, z czego autor zdawał sobie sprawę, miała duże luki. W dwudziestych latach i po drugiej wojnie światowej Hirth kontynuował swoją pracę. Jej rezultatem jest monumentalne wydanie listów Heinego, które obecnie wyszło z druku nakładem wydawnictwa Florian Kupferberg w Moguncji.

Edycja składa się z sześciu tomów. Pierwsze trzy tomy zawierają listy, trzy ostatnie — komentarze. W porównaniu z pierwszym wydaniem, obecne liczy o ponad dwieście listów więcej. Po raz pierwszy ujrzały tu światło dzienne trzy duże grupy listów: pisanych do George Sand, do kuzynki Heinego, Cécile Heine-Furtado, i do markiza de la Grange. Poza tym znalazły się w nowym wydaniu listy adresowane do wybitnych pisarzy francuskich, dalej listy udostępnione przez francuskie archiwa, biblioteki oraz osoby prywatne. Niewyczerpaną kopalnią okazał się także zbiór księcia Spoelberch de Lovenjoul, który zapisał manuskrypty Heinego Institut de France. Coś niecoś znalazło się także w niemieckich i belgijskich bibliotekach.

Imponujące są tomy z komentarzami. Każdy list Heinego otrzymał obszerny komentarz, który wyjaśnia powstanie listu, jego treść, realia i podaje wyczerpujące informacje o osobach w liście wymienionych. Ponadto Hirth przytacza tu często listy o Heinem, rzucające ciekawe światło na poetę. Edycję Hirtha można zaliczyć do najznakomitszych prac tego pokroju w naszym stuleciu.

k

TAJEMNICA CASANOVY

Zagadka, która przez sto siedemdziesiąt lat otaczała pamiętniki Casanovy, przestanie być, jak się zdaje, tajemnicą. Casanova, który się sam nobilitował i podpisywał jako Chevalier de Seingalt, zmarł w 73 roku życia na zamku czeskiego hrabiego, von Waldensteina, gdzie piastował urząd bibliotekarza. Było to w roku 1798.

Dwadzieścia pięć lat po śmierci awanturnika odkryto w zamku von Waldensteina duży rękopis, zawierający pamiętniki Casanovy. Autor spisał je w latach 1791—1798, nie myśląc wcale o ich opublikowaniu. Manuskrypt pod tytułem *Histoire de ma vie* zaoferowano w roku 1820 niemieckiej firmie wydawniczej A. F. Brockhaus w Lipsku. Po zbadaniu rękopisu przez ekspertów Brockhaus zdecydował się nabyć pamiętniki i polecił niemieckiemu literatowi, Wilhelmowi von Schütz, przygotować niemiecką edycję na podstawie francuskiego oryginału. W latach 1822—1828 pamiętnik Casanovy wyszedł po raz pierwszy z druku pod tytułem: *Memoiren des Venetianers Jakob Casanova von Seingalt*. Książka zdobyła z miejsca olbrzymi rozgłos i została przetłumaczona na wiele języków. W trzydziestych latach minionego stulecia Brockhaus zlecił sporządzić francuski przekład (!) z niemieckiego tłumaczenia.

Charakterystyczną jest rzeczą, że rękopisu pamiętników Casanovy, o których napisano tysiące rozpraw, nikt dotychczas nie widział na własne oczy. Manuskrypt utonął w pancernej skrytce firmy Brockhaus, której właściciele pil-

nie strzegli tajemnicy, odmawiając wytrwale okazania oryginału. Pewne jest, że edycja, którą obecnie czytamy, niewiele ma wspólnego z tym, co Casanova napisał. W 1928 roku Stefan Zweig stwierdził w swoim eseju o Casanovie: „Do dzisiaj brak nam oryginalnego tekstu jego pamiętników. To, co znamy, jest tylko samowolnie skleconym galimatiasem, który firma F. A. Brockhaus, właścicielka oryginalnego rękopisu, kazała sporządzić przed stu laty jakiemuś nauczycielowi języka francuskiego. Byłoby rzeczą naturalną, by przynajmniej nauce użyczono dostępu do autentycznego tekstu Casanovy. Uczeni wszystkich krajów, członkowie akademii starali się usilnie o to zezwolenie. Ale wobec Brockhausów nawet bogowie muszą skapitulować; manuskrypt pozostał, na skutek uporu właścicieli, zamknięty w żelaznej kasie firmy i tak jesteśmy świadkami osobliwego faktu, że przez samowolę jednostki jedno z największych arcydzieł literatury światowej możemy czytać i ocenić tylko w formie zniekształconej".

Niedawno obecny właściciel wydawnictwa Brockhaus (Wiesbaden) oświadczył: „Rękopis pamiętników Casanovy przetrwał drugą wojnę światową i znajduje się w moim posiadaniu. Od dłuższego czasu planujemy wydanie pamiętników na podstawie rękopisu. Kiedy to nastąpi, trudno dziś dokładnie określić".

k

SACHA GUITRY

Co stanowi ostateczną próbę wartości dramatu, jego tzw. teatralność, czy nagie słowo, słowo samo? Z powodu śmierci Sachy Guitry pisarze francuscy zastanawiają się nad tą, tym razem wyjątkowo aktualną sprawą. Konkretnie i *sub specie aeternitatis* jednocześnie, *sub specie aeternitatis* Sachy Guitry. Co z niego pozostanie?

Teatralność była mocną stroną tego pisarza-aktora-reżysera obdarzonego świetną aparycją, pięknym głosem i łatwym dowcipem, który przez pięćdziesiąt lat nie schodził właściwie ze sceny. Guitry przez pięćdziesiąt lat grał siebie. W najrozmaitszych kostiumach i epokach. Nie jego wina, że w naszej polskiej pamięci był przede wszystkim *Romansem szulera*. Ta ustawiczna gra samego siebie nie mogła się nie zemścić na jego sztuce. Grać siebie to znaczy wystawiać się z najlepszej strony, to znaczy zawsze mieć rację, to znaczy nie dopuszczać do żadnego zasadniczego konfliktu, który by tę rację mógł podważyć, to znaczy monologować, a najwyżej rozkładać monolog na głosy. Sacha Guitry więc przez lat pięćdziesiąt monologował. Robił to znakomicie. Miał znakomite poczucie niewypełnionej pustki, którą brak rzeczywistego konfliktu zawsze pozostawia. To znakomite poczucie słabości pozwoliło mu tworzyć znakomite pozory. Otwierał więc fałszywe głębie, wznosił fałszywe szczyty, sztucznym sercem tworzył fałszywe miłości. Jak nikt był werbalny. „Każde jego powiedzenie było powiedzonkiem" — pisze François Mauriac. Ten wyrok śmierci na pisarza jest jednocześnie oddaniem mu najwyższej sprawiedliwości. O to mu przecież przez całe życie chodziło. Tego szukał. Nic naturalniejszego, że tylko to po nim pozostanie. Sława mistrza, który w przeszło stu sztukach teatralnych potrafił mówić, mówić, lapidarnie, trafnie, dowcipnie — i nigdy nic nie powiedzieć. Różne rzeczy można ze słowa fabrykować. Sacha Guitry produkował gaz rozweselający. To prawie dym.

b

ZBIEŻNOŚCI

Pamiętamy, przed kilkoma laty trochę miejsca w prasie literackiej zajęła sprawa zbieżności tematycznej, dziwnie szczegółowej zbieżności tematycznej istniejącej między opowiadaniem Huxleya a powieścią polskiego literata, W. Smolarskiego. Utwór Smolarskiego powstał i ukazał się sporo lat przed opowiadaniem angielskiego pisarza. Sprawę potraktowano w jedyny możliwy sposób: przypadki, nawet bardzo dziwne przypadki chodzą także po literaturze. No, bo jak inaczej należało ją potraktować?

Zbieżności tematyczne istniały zawsze. Pewne problemy skłaniają do podobnych skojarzeń myślowych, psychologicznych ludzi należących do odmiennych środowisk i kultur. Znana i szeroko u nas spopularyzowana zbieżność tematyczna *Niespodzianki* K. H. Rostworowskiego i *Malentendu* Camusa jest tego znakomitym dowodem.

Zbieżność tematyczną Smolarski — Huxley za taki sam dowód trzeba by chyba uważać. I kropka.

Cóż kiedy zbieżności na tym się nie kończą. Coraz ich więcej. Coraz bardziej są interesujące, żeby nie powiedzieć dziwne. W jednym tylko kwietniowym (1957) biuletynie Międzynarodowego Instytutu Teatralnego *„Créations Mondiales“* są dwie interwencje przypadku. Sądząc ze streszczeń sztuk *Favonia* (Lesley i Storm) przypomina temat *Famy* Iwaszkiewicza, a *The Knife Edge* (Ethel i Douglas Davidson) jest po prostu jak gdyby kopią *Dnia jego powrotu* Nałkowskiej. Zbieżności, zbieżności, zbieżności.

Może rzuci na nie trochę światła niedawny artykuł Antoniego Marczyńskiego w *„Przekroju“*. Pisał on o agencjach sprzedających zaabonowanym pisarzom pomysły sztuk, nowel, powieści. Pisarz za odpowiednią opłatą nabywa prawo wyłącznej własności pomysłu dostarczonego mu przez agencję. Skąd agencja pomysł wzięła, nikogo już nie obchodzi. Zwyczaj kupna — sprzedaży półfabrykatów wyobraźni rozprzestrzenił się bardzo szeroko w świecie anglosaskim.

Warto by się jednak zastanowić, skąd agencje biorą swój towar? Kto go fabrykuje? Zadziwiające i coraz częstsze zbieżności nasuwają przypuszczenie, że agenci kręcą się w kółko. Skąd biedny agent ma intrygę sztuki teatralnej wyssać? Z palca? Sięga więc do niespopularyzowanych w krajach anglosaskich literatur i z gotowych utworów wysysa treść. Wiele każe przypuszczać, że i polska literatura staje się źródłem natchnienia tej spekulacji. Proceder jak każdy inny, chyba opłacalny.

ski

KALIBER

Nasza myśl krytyczna, wiemy o tym, nie jest bogata. Niedługo trzeba się biedzić, by znaleźć tych kilku oryginalnych, rzetelnych myślicieli, jakich mieliśmy. Jednym z nich, może największym z nich, był Karol Irzykowski. Wydawałoby się więc, że nic prostszego, jak w posusze myśli wydać dzieła Irzykowskiego. Narzekać to umiemy. Narzekamy na brak krytyki, brak krytyków, nawet na brak kryteriów. A od Irzykowskiego nauczyłoby się wielu. Myślenia, namiętności, walki. Nic więc prostszego na posuchę myśli krytycznej, jak wydać dzieła Irzykowskiego.

Filmowa Agencja Wydawnicza zrobiła zdawało się dobry początek. *Dziesiąta Muza* poszła w świat i świat ze zdumieniem rozpoznał w Irzykowskim nieprześcignionego do dzisiaj w wielu sprawach estetyki filmu prekursora. Ale dobry początek nie doczekał się kontynuacji na tym samym poziomie. „Czytelnik“ wydał *Cięższy i lżejszy kaliber* co prawda. Tak, ale jest to wybór, jakaś antologia myśli i metody Irzykowskiego. Trochę tego, trochę tamtego. Irzykowski potraktowany został więc jak felietonista. Nawet nie. U nas felietoniści są lepiej traktowani. Na przykład Kott czy Kopaliński.

Chyba że nie chciano od razu wywoływać zbyt wielkiego wstrząsu w umysłach pokolenia przez długi czas karmionego myślami przeżutymi. Chyba że po antologii ukaże się Irzykowski normalny, cały, po kolei, od *Czynu i słowa* począwszy. Oczywiście, jeśli tak...

b

OD REDAKCJI

Wiersz *W świetle wieczornego słońca* pochodzi z nie opublikowanego dotychczas listu Kafki, pisanego 29 sierpnia 1907 roku. Druga zwrotka posłużyła za motto do *Beschreibung eines Kampfes*. W całości wiersz został po raz pierwszy opublikowany przez dwumiesięcznik *„Akzente” (Nr. 3/1957)*. Kafka pozostawił około 12 wierszy, pozbawionych przeważnie większej wartości literackiej. Tylko ten jeden, jak piszą *„Akzente“* „może pretendować do oryginalności, zarówno w tonie jak i w doborze słów”.

Opowiadania w niniejszym numerze drukowane wzięte zostały z ośmiotomowego wydania dzieł Kafki (S. Fischer Verlag, Frankfurt nad Menem), a w szczególności z tomów *Erzählungen* i *Beschreibung eines Kampfes*.

Strażnik grobowca jest fragmentem (pierwszym aktem) dramatu, którego Kafka nie ukończył. Utwór ten przetrwał w rękopisach przekazanych Maksowi Brodowi, któremu Kafka polecił spalić wszystkie swoje papiery. Brod opublikował po raz pierwszy *Strażnika* w tomie *Beschreibung eines Kampfes*.

Do Redakcji „Twórczości"!

Wdzięczni p. M. Ranickiemu za sprostowanie względnie uzupełnienie w r 7 „*Twórczości*" dwóch szczegółów bibliograficznych dotyczących twórczości Wolfganga Koeppena, wyjaśniamy, że:

1. Przedrukowane na obwolucie polskiego wydania *Śmierci w Rzymie* „głosy krytyki" odnosiły się w ogóle do twórczości tego pisarza, nie tylko do *Cieplarni*, lecz także do *Gołębi w trawie*. Nie ma więc mowy o „fałszerstwie" z naszej strony, podobnie zresztą jak i te inspiracje pod naszym adresem kładziemy raczej na kark pochopności krytyka. Np. wypowiedzi o poprzednich książkach Koeppena doskonale przylegają i do *Śmierci w Rzymie*.
2. Naszym zdaniem, autor trzech, krótkich zresztą, bardzo nowoczesnych w formie powieści z lat 1951—54, choćby i poprzedzonych gruntownie zapomnianym tomem z 1934, nie może jako pisarz uchodzić za przedstawiciela starszego pokolenia, nawet mimo przekroczenia pięćdziesiątki.

W sumie wstydzimy się, ale nie tak bardzo.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY
REDAKCJA LITERATURY NIEMIECKIEJ

(—) Stanisław Szenic

Do Redakcji „Twórczości"!

W związku z pojawiającymi się w ostatnich miesiącach w prasie literackiej rozlicznymi wystąpieniami polemicznymi prof. dr Kazimierza Budzyka, profesora teorii literatury w Uniwersytecie Warszawskim, a w szczególności w związku z zapowiedzią stworzenia i przeszkolenia nowej kadry krytyków w miejsce nie istniejącej dotychczas, stworzenia i przeszkolenia pod osobistym kierunkiem prof. K. Budzyka — proszę o łaskawe umieszczenie na łamach Waszego pisma następującego wyjaśnienia: prof. dr Kazimierz Budzyk od dłuższego czasu nie wchodził w skład Dyrekcji oraz Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN, nie wchodzi również w skład nowej Rady Naukowej oraz Dyrekcji powołanej w czerwcu bież. roku przez ogół środowisk polonistycznych i głoszone przez wspomnianego uczonego poglądy są wyrazem jego całkiem osobistych zapatrywań i przekonań. W szczególności Instytut Badań Literackich PAN nie zamierza zakładać jakiejkolwiek szkoły krytyków pod wspomnianym kierownictwem.

Warszawa, 6.VIII.1957

(—) Prof. dr Kazimierz Wyka

(dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN)

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Irzykowski Karol — *Cięższy i cięższy kaliber.* Krytyki i eseje. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stawar. Obwolutę, tłoczenia i kartę tytułową projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 617, 3 nl.

Kasprowicz Jan — *Poezje.* Wybór. Wybór i wstęp Jana Józefa Lipskiego. Tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 564.

Korzeniowski Józef — *Krewni.* Tom I i II. Tekst i przypisy opracował Adam Jarosz. Okładkę projektowała Barbara Jakubowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; tom I str. 341, 3 nl; tom II str. 396, 4 nl.

Kraszewski J. I. — *Pamiętnik panicza. Z francusko-polskiego oryginału na polsko-francuskie przełożony z niektórymi dodatkami.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 193, 1 nl.

Lenartowicz Teofil — *Poezje wybrane.* Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Paweł Hertz. Tłoczenia projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie II; str. 521, 3 nl.

Niemirycz Krzysztof — *Bajki Ezopowe.* Opracował Stanisław Furmanik. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 164). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. LXXII, 80, 4 nl.

Opowieści dziewczęce. Ustępy z pamiętników młodych panien. (1776—1866). Opracował Stanisław Wasylewski. Okładkę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 184, 4 nl.

Orzeszkowa Eliza — *Jędza.* Ilustrowała Irena Kuczborska. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 254, 2 nl.

Sygietyński Antoni — *Nowele wybrane.* Wyboru dokonał i posłowiem opatrzył Tomasz Weiss. Okładkę projektował Jerzy Napieracz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 225, 3 nl.

Szymonowic Szymon — *Sielanki.* Opracował Stefan Reczek. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Kartę tytułową Zofia Czerwińska. Wro cław, Zakład im. Ossolińskich, 1957 str. 115, 1 nl.

Żeromski Stefan — *DZIEŁA.* Po redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Hen ryka Markiewicza. Nowele i opowiada nia. Tom 3. *Duma o hetmanie i inn opowiadania.* Ilustracje Jana M. Szan cera. Opracowanie graficzne: Jan S. Mi klaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957 str. 229, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Appian z Aleksandrii — *Histo ria rzymska.* Tom I i II. Przełożył, opra cował i wstępem opatrzył Ludwik Pio trowicz. (Biblioteka przekładów z lite ratury antycznej. 1, 2). Wrocław, Zakła imienia Ossolińskich, 1957, wydanie I tom I str. XXVI, 365, 3 nl; tom II str. 40

Balzac Honoriusz — *Małe niedoł pożycia małżeńskiego.* Przełożył i wstę pem opatrzył Tadeusz Żeleński-Boy Oprawę i kartę tytułową projektował Ja Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik" 1957, wydanie I; str. 162, 2 nl.

Conrad Joseph — *Ocalenie.* Opo wieść z płytkiego morza. Przełożył Aniela Zagórska. Okładkę projektowa Aleksander Stefanowski. Warszawa, Pań stwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wy danie I; str. 494, 2 nl.

Coster Karol, de — *Legenda jako te bohaterskie, wesołe i sławne przygod Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwc w krajach flamandzkich i gdzie indziej* Przełożył Julian Rogoziński. Wstęp R Rollanda przełożyła Hanna Szumańska -Grossowa. Okładkę projektowała Ew Lubelska-Frysztak. (Biblioteka Arcydzieł) Warszawa, Państwowy Instytut Wydaw niczy 1957; str. 640, 4 nl.

Čapek Karol — *Listy z Anglii.* Z ilu stracjami Autora. Przełożyła Emilia Wi twicka. Okładkę i obwolutę projektowa Marek Rudnicki. Warszawa, Państwow Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I str. 150, 2 nl.

Diderot Denis — *Kubuś Fatalist i jego pan.* Przełożył i wstępem opa trzył Tadeusz Żeleński-Boy. Okładk projektowała Ewa Lubelska-Frysztak (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Pań stwowy Instytut Wydawniczy, 1957 str. 298, 4 nl.

laubert Gustaw — *Listy*. Wyboru dokonał i przełożył Wacław Rogowicz. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 362, 6 nl.

ant Immanuel — *Krytyka czystego rozumu*. Tom I i II. Z oryginału niemieckiego przełożył oraz opatrzył wstępem i przypisami Roman Ingarden. (Biblioteka Klasyków Filozofii). (Kraków). Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1957, wydanie I; tom I str. XXIV, 483, 1 nl; tom II str. VIII, 622, 8 nl.

ann Tomasz — *Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla*. Tłumaczył Andrzej Rybicki. Wiersze przełożyła Jadwiga Dackiewicz. Okładkę projektował Marek Rudnicki, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 497, 3 nl.

erez Galdos Benito — *Bitwa pod Arapilami*. Tłumaczyły: Zofia Szleyen, Kalina Wojciechowska. Reprodukcje obrazów i rysunków Francisca de Goyi. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 639, 5 nl.

laton — *Eutydem*. Przekład Władysława Witwickiego. Do druku przygotował Henryk Elzenberg. (Kraków), Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1957, wydanie I; str. 77, 5 nl. (Biblioteka Klasyków Filozofii).

zekspir Wiliam — *Król Lear*. Przełożył Władysław Tarnawski. Opracował Stanisław Helsztyński. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 28). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1957, wydanie I; str. LXIX, 1 nl, 235, 3 nl.

Tytus Andronikus. Tragedia w pięciu aktach. Przełożył Leon Ulrich. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 133, 3 nl.

ola Emil — *ROUGON-MACQUARTOWIE*. Historia naturalna i społeczna rodziny za drugiego cesarstwa. *Brzuch Paryża*. Przełożyła Nina Gubrynowicz. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 282, 2 nl.

Poezja, dramat

ndrzejewski Jerzy, Zagórski Jerzy — *Święto Winkelrida*. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 127, 1 nl.

randstaetter Roman — *Milczenie*. Dramat w trzech aktach. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 94, 2 nl.

zycz Stanisław — *Tia*. Wiersze. Okładkę i kartę tytułową projektował Stefan Szlachtycz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 32, 2 nl.

ałczyński Konstanty Ildefons — *DZIEŁA*. W pięciu tomach. Tom 2. *Poezje*. Weryfikacja tekstu: Natalia Gałczyńska. Przypisy: Andrzej Stawar. Obwolutę i tłoczenia projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 863, 1 nl.

icgier Tadeusz — *Garść ziemi*. Wiersze. Okładkę projektował Stefan Rzepecki. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 58, 4 nl.

urek Jalu — *Strumień goryczy*. Okładkę projektowała Liliana Baczewska. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 133, 3 nl.

Kwiatkowski Remigiusz — *Parasol noś i przy pogodzie*. Zbiór aforyzmów, przysłów i sentencji ludów Wschodu. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 264, 4 nl.

Miller Jerzy — *Sól i chleb*. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 103, 1 nl.

Nowicki Andrzej — *Warsztat*. Opracowanie graficzne: Jan Knothe. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 170, 2 nl.

Promiński Marian — *Sąd nie śpi*. Dramat w 3 aktach. Okładkę projektowała Barbara Szczerbińska. Kraków. Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 149, 3 nl.

Skoneczny Stanisław — *Obraz świata*. Okładkę projektowała Maria Malinowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 67, 5 nl.

Zalewski Jan — *Wizerunki liryczne*. Okładkę projektowała Barbara Kusak-Pawlikowska. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 69, 3 nl.

Proza

Andrić Ivo — *Pragnienie*. Opowiadania. Przełożyli: Irena Olszewska, Zygmunt Stoberski, Maria Znatowicz-Szczepańska. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 406, 2 nl.

Arnaud Georges — *Cena strachu*. Przełożył Jan Błoński. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 207, 1 nl.

Baranowicz Jan — *Zielone ścieżki*. Ilustrował i okładkę projektował Ludwik Maciąg. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 193, 3 nl.

Camus Albert — *Upadek*. Przełożyła Joanna Guze. Okładkę i obwolutę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 122, 2 nl.

Dib Mohammed — *W kawiarni*. Tłumaczyła Hanna Szumańska-Grossowa. Okładkę projektował Stanisław Zamecznik. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 102, 2 nl.

Fallada Hans — *Pijak*. Przełożyła Barbara Płaczkowska. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 330, 2 nl.

Fast Howard — *Silas Timberman*. Tłumaczyła Eleonora Romanowicz. Okładkę projektowała Aleksandra Rutkowska. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 381, 3 nl.

Feuchtwanger Lion — *Wygnanie*, Tłumaczył Jacek Frühling. Wiersze tłumaczył Andrzej Dołęgowski. Oprawę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 795, 5 nl.

Fiedler Arkady — *Wyspa kochających lemurów*. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Zdjęcia ze zbiorów autora. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 139, 5 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Słupy ogniste*. Tom I i II. Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Ostrzesze-

wicz. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie II; tom I str. 392, 2 nl; tom II str. 416, 2 nl.

Jarosławski Mieczysław — *Bunt na Dalmorze.* Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 302, 2 nl.

Jasińska Aniela — *Wacuś albo kupujcie fiołki.* Powiastka dla dorosłych. Okładkę i kartę tytułową projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 125, 3 nl.

Katajew Walentin — *Defraudanci.* Tłumaczył J. Brodzki. Ilustrował i okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 194, 2 nl.

Koźniewski Kazimierz — *Zamknięte koło.* Pamiętnik z lat 1940—1943. Okładkę i kartę tytułową projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 513, 3 nl.

Kuncewiczowa Maria — *Leśnik.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 209, 3 nl.

Kurek Jalu — *Belfagor czyli 11 szufladek.* Okładka i ilustracje: Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1957, wydanie I; str. 176, 4 nl.

Kuśmierek Józef — *Wyrok.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 148, 4 nl.

Laxness Halldór — *Dzwon Islandii.* Przełożyli: Edmund Misiołek i Maria Szypowska. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. (Powieści XX wieku). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957, wydanie I; str. 487, 5 nl.

Makuszyński Kornel — *Awantury arabskie.* Okładkę projektowała Barbara Biernat. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1957; str. 140, 4 nl.

Meissner Janusz — *Czarna bandera.* Opowieść o korsarzu Janie Martenie. Ilustrował Antoni Uniechowski. Okładkę projektował Stanisław Kazimierczyk. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 306, 2 nl.

Nałkowska Zofia — *Medaliony.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie VI; str. 66, 2 nl.

Niewierow A. — *Taszkient miasto chleba.* Przełożył Alde. Opracowanie graficzne: Franciszek Starowieyski. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 155, 5 nl.

Odojewski Włodzimierz — *Spisek czarnych orłów.* Okładkę projektował Stanisław Kaźmierczyk. Ilustrował Mieczysław Kościelniak. Warszawa, „Iskry", 1957, str. 322. 2 nl.

Opitz Karl Ludwig — *Mój generał.* Niezdyscyplinowane zapiski feldfebla. Tłumaczył Erwin Wolf. Okładkę, kartę tytułową i ilustracje projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 161, 3 nl.

Opowieści z dreszczykiem. Wybrali i opracowali: Wojciech Żukrowski i Tadeusz Adrian Malanowski. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 161, 3 nl.

Parandowski Jan — *DZIEŁA WYBRANE.* Tom II. *Eros na Olimpie. Dwie wiosny. Trzy znaki zodiaku. Godzina śródziemnomorska. Zegar słoneczny.* Obwolutę i tłoczenia projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 770, 2 nl.

Prorok Leszek — *Ziarno kąkolu.* Powieść. Opracowanie graficzne: Maria Dolna. Poznań, Pallotinum, 1957, wydanie I; str. 419, 1 nl.

Putrament Jerzy — *Trzynasty z Wesołka.* Opowiadania o rybach, ludziach i zwierzętach. Obwolutę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 217, 3 nl.

— *Wypadek w Krasnymstawie.* Obwolutę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 444, 4 nl.

Ruth Buczkowski Marian — *Dzieciństwo i inne opowiadania.* Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 344, 4 nl.

Rybakow A. — *Katarzyna Woronina.* Tłumaczyła Zofia Kaczorowska. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 471, 1 nl.

Rychliński Jerzy Bohdan — *Kulawy bosman.* Opracowanie graficzne: Stanisław Hiszpański. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie II; str. 265, 3 nl.

Sagan Françoise — *Pewien uśmiech.* Tłumaczyła Anna Gostyńska. Ilustrował i okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 139, 1 nl.

Segal Kalman — *Ludzie z jamy.* Okładkę i stronę tytułową projektował Mieczysław Kowalczyk. Rysunki: Jolanta Niesytto. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 242, 2 nl.

— *Nad dziwną rzeką Sambation.* Okładkę i stronę tytułową projektował Marian Stachurski. Ilustrowała Teresa Obmińska. Warszawa, „Iskry", 1957; str. 169, 3 nl.

Truchanowski Kazimierz — *Oratoria nocne.* Rysunki: Bożena Truchanowska - Majchrzakowa. Obwoluta, okładka i karta tytułowa: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 349, 3 nl.

— *Zatrute studnie.* Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Strony tytułowe projektu Teresy Stankiewicz-Chamielec. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 495, 3 nl.

Uniłowski Zbigniew — *Człowiek w oknie.* Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I, str. 164, 4 nl.

Vailland Roger — *325000 franków.* Tłumaczyła Zofia Jaremko-Pytowska. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 172, 4 nl.

Waugh Evelyn — *Garść prochu.* Tłumacz: Jerzy Olgar. Drugą wersję zakończenia przełożyła Irena Oleksiakowa. Motto w przekładzie Czesława Miłosza. Warszawa, „Pax", 1957, wydanie I; str. 290, 2 nl.

Wells H. G. — *Dolores.* Tłumaczyła Maria Skibniewska. Okładka i karta tytułowa: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 354, 2 nl.

0384/03

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

James Joyce — Przekłady · Jerzy Lisowski — Henry Miller · Henry Miller — Via Douvres-Newhaven · Walter Muschg — Zagłada literatury niemieckiej · Bertrand Russell — Wspomnienie o Conradzie · Dylan Thomas — Wiersze · Stanisław Wygodzki — Zatrzymany do wyjaśnienia · Poezja Eskimosów